

Hans Helmut Kirst

PRZEZNACZENIE

To, co ta książka zawiera, nie jest dokładnym odwzorowaniem rzeczywistości. Powstała ona z subiektywnej interpretacji faktów i z niczym nie skrepowanego zmyślenia, opartego jednak na podstawie dokumentarnej.

Główną sprawą jest tu praca policji kryminalnej, jej możliwości i niebezpieczeństwa, na jakie jest narażona, działanie jej mechanizmów i wysokie wymagania stawiane jej ludziom.

Ten wątek został przedstawiony dość realistycznie, natomiast jego tło, czyli dziedzina polityki, ma raczej charakter symboliczny. Nie chodzi tu ani o określone partie, ani o znane osobistości, lecz jedynie o możliwości, jakie stwarza gra polityczna.

Jest to zatem powieść.

Emerytowany funkcjonariusz policji Keller tak mówił o komisarzu Krebsie, kierowniku wydziału przestępstw obyczajowych:

— Nigdy nie widziałem, by ktoś tak gorliwie jak Krebs, niczego nie przeczuwając, kopał grób, który mógł się stać grobem także dla niego.

Przy tej okazji wydobył on jednak na światło dzienne mnóstwo śmieci i brudu; poniekąd zaczęło to cuchnąć tak mocno, że zrobili wszystko, co było w ich mocy, ażeby położyć kres odkrywaniu śmierdzącej prawdy.

Wszystko się dokonało w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, to jest dwóch ostatnich dni dorocznej monachijskiej uroczystości, Festynu Październikowego. Dokonał się również czyjś los i można go było złożyć w grobie.

I

Byla to rzecz zwyczajna, zupełnie powszednia — przynajmniej dla niego. Przywykł już od dawna nie odczuwać ani odrazy, ani zgrozy, nawet w takim przypadku jak ten, kiedy miał oto przed sobą okrutnie sponiewierane dziecko. Stało się to na początku jego nocnego dyżuru.

Nazywał się Krebs, na imię miał Konrad. Był komisarzem w Prezydium Policji, kierował tam wydziałem przestępstw obyczajowych — obyczajówką. W zakres jego odpowiedzialności wchodziły zatem takie sprawy jak stręczycielstwo, prostytutka i pornografia.

Ta ostatnia dziedzina stale zresztą traciła na znaczeniu. Zajmowało się nią tylko paru policjantów, którzy lubili oglądać zarekwirowane zdjęcia i wycofane z obiegu filmy. Nie trzeba już było również w tej instytucji zbyt gorliwie przejmować się prostytutką. Stała się ona ostatnio swego rodzaju grą towarzyską. Homoseksualizm zaś od dawna przestał stanowić jakiś szczególny problem.

Pomimo wszystko policjanci pracujący w obyczaj owce wciąż jeszcze nie narzekali na brak zajęcia. Trudno było wyobrazić sobie jakąś okropność, która by nie mogła się pojawić w zasięgu ich działalności. Było to zawsze coś splamionego krwią, spermą i moczem. Keller, wybitna osobistość w Prezydium, nazwał kiedyś tę dziedzinę „kloaką ciężkich psychicznych zaburzeń trawiennych”.

W tym momencie można było wszakże odnotować tylko tyle: Sobota, 7 października, przedostatni dzień tegorocznego Festynu Październikowego w Monachium. Pogoda

sucha, bezchmurna. Wciągu dnia ocieplenie do 14, a nawet 18 stopni. Zachód słońca o godzinie 17.42.

— Przepięstwo popełniono około godziny dwudziestej trzydzieści — meldował policjant. — Sprawca został najwi-
doczniej spłoszony przez dwóch przechodniów.

— Przypuszczalnie jakaś czuła parka — uzupełnił ktoś os-
tym, stanowczym głosem tuż za plecami Krebsa. Był to in-
spektor Michelsdorf. — Ściskali się po ciemku, weszli do
bramy i usłyszeli jęki dziecka. Zawiadomili policję. Zatrzy-
mano ich dla spisania zeznań.

Komisarz Krebs pochylił się nad leżącym dzieckiem. Była
to dziewczynka — skulona, dygocąca, zapłakana.

— Spokojnie, malutka — powiedział cicho. — Już po
wszystkim, dziecinko. Teraz jesteś bezpieczna.

— Jeszcze nie zbadano zgodnie z przepisami, panie ko-
misarzu, miejsca przestępstwa — zauważył ostym głosem
starszy inspektor Michelsdorf. — A także ofiary, zwięsz-
cza że nie zachodzi obawa o bezpośrednie zagrożenie ży-
cia...

— Podajcie koc — rozkazał Krebs — i wyłączcie re-
flektor.

Wczesne wieczory na początku października w Mona-
chium bywały zimne, po zachodzie słońca temperatura szy-
bko spadała. Z ziemi unosiła się przy tym jesienna wilgoć,
nawierzchnia ulic wyglądała jak pokryta szronem. Leżąca
na przejeździe między dwiema kamienicami dziewczynka
marzła. Ustał wprawdzie jej gwałtowny dygot, ale wciąż
drżała.

— To już cała seria — uznał za wskazane stwierdzić Mi-
chelsdorf. — Chyba trzeci albo czwarty całkiem podobny
wypadek w ciągu trzech miesięcy.

— Bardzo możliwe — odparł komisarz cicho, niemal
uprzejmie. Wziął podany przez któregoś policjanta koc,
zdarł z niego plastikową osłonę i owinął nim dziecko tros-
kliwie, z pewną czułością.

— Zabezpieczyć ewentualne ślady! — głośno zawołał Mi-
chelsdorf. Wszyscy obecni policjanci musieli go usłyszeć,
o co mu właśnie chodziło. — Bezpośrednio zbadać ofiarę!

— To nie jest w tej chwili najważniejsze — stwierdził Krebs, przyglądając się uważnie dziewczynce. — Gdzie karetka pogotowia?

— Już została wezwana — zameldował starszy inspektor. — Ale uznano, że najpierw należy sprowadzić ekipę do zabezpieczenia śladów.

— Życie ludzkie jest zawsze najważniejsze! — zdecydowanie oświadczył Krebs. — Tym dzieckiem musi jak najszybciej zająć się lekarz.

Komisarz łagodnie przygarnął do siebie owiniętą w sterylny koc cichutko pojękującą istotkę, dźwignął ją z ziemi i zaniósł do swego służbowego wozu. Usiadł ostrożnie wraz ze zmaltretowaną dziewczynką na tylnym siedzeniu.

— Pettenkoferstrasse, Instytut Medycyny Sądowej, do profesora doktora Lobnera — zawołał do kierowcy.

— Angażować najlepszego specjalistę medycyny sądowej do zwyczajnego rutynowego przypadku? — odezwał się poruszony Michelsdorf.

Krebs puścił mimo uszu uwagę swego najbliższego współpracownika. — Niech pan każe powiadomić przez radio profesora Lobnera, że zjawię się u niego z dzieckiem. Już jest na to przygotowany.

— Naprawdę? — zapytał z niedowierzaniem Michelsdorf.

— Naprawdę — potwierdził lapidarnie Krebs. — Niech przyjdzie do Instytutu koleżanka Brasch, a pan tymczasem zajmie się całą resztą. Jazda!

Starszy inspektor Michelsdorf — według akt personalnych pracownik nader godny zaufania, gorliwy, o dobrym przygotowaniu zawodowym — spojrział w ślad za swoim przełożonym i z lekka pokręcił głową. Szef zaczynał go ostatnio niepokoić. Coraz częściej mianowicie pozwalał sobie na zbyt ludzkie odruchy, zaniedbując tym samym obowiązujący tryb postępowania policyjnego.

W praktyce znaczyło to, że ten komisarz, uchodzący powszechnie za wybitnego specjalistę, zajmował się, zresztą nie tylko w tym ostatnim przypadku, znacznie gorliwiej ratowaniem chorych niż praktyką kryminalistyczną! Nad czymś podobnym trudno przejść do porządku. To niepokojące. Należałoby odnotować odpowiednie fakty w notatkach służbowych!

Nie powstrzymało to wszakże Michelsdorfa od natychmiastowego wypełnienia zgodnie z przepisami formularza KP14. Jeśli chodzi o szczegóły, sprawca nieznan; miejsce przestępstwa (tu załączony szkic) — Monachium, południowo-zachodnia część Theresienwiese, a więc w pobliżu terenu Festynu Październikowego; odległość stamtąd — około tysiąca metrów w linii prostej, na miejscu ulica P — boczna, prawie bez żadnego ruchu, wprawdzie wiele zaparkowanych pojazdów, również na chodniku; trzypiętrowe domy czynszowe niższej lub średniej kategorii; tylko niewiele oświetlonych okien.

Ofiara, odnaleziona wkrótce po zaalarmowaniu, gdyż okolicę patrolują liczne radiowozy, leżała na wjeździe między domami numer 24 i 26; dom pod numerem 24 od dawna nie malowany, szary; dom pod numerem 26 malowany niedawno, żółtawy. Złe oświetlenie — świetlówki o długości jednego metra zawieszane nad ulicą znajdują się w odległości około piętnastu metrów na prawo i na lewo od miejsca przestępstwa. Brama do tego wjazdu, z kutego żelaza, na oścież otwarta.

Zaalarmowanie policji — godzina 20.35; wkroczenie patrolu — godzina 20.47; przybycie policji kryminalnej — najpierw Michelsdorf, następnie Krebs — godzina 20.52 oraz 20.57. Postanowienie Krebsa w sprawie odwiezienia uszkodowanego dziecka z miejsca przestępstwa — godzina 21.03.

Wyglądało na to, że wydarzenie to jest nierozzerwalnie związane z Festynem Październikowym, którego radosna wrzawa dolatywała wprawdzie aż tutaj, lecz z daleka przypominała tylko odległy warkot gigantycznego silnika przykrytego górą waty.

Doroczny, rozpoczynający się we wrześniu, a trwający szesnaście dni, monachijski Festyn Październikowy jest zabawą ludową, znaną na całym świecie i ściągającą wielu przybyszów z zagranicy. Miliony litrów piwa, kilkaset tysięcy pieczonych kurczaków, miliony kielbasek z rusztu, a do tego jakieś dwadzieścia cztery do dwudziestu sześciu tucznych wołów pieczonych w całości na rożnie.

Istny raj — choć nieco kosztowny — zarówno dla miejscowych, jak i dla przyjezdnych. W którąkolwiek się stronę spojrzano — tu całe góry precli, tam znów stopy serduszek; mechaniczny lew, reklama słynnego browaru, porykuje, podnosząc w górę łeb; niejaki Jakub na obrzeżach Festynu udaje ptasie głosy; ujeżdżacz koni z „Hipodromu” zachęca do oglądania zabawnych wyczynów na grzbiecie udręczonego wierzchowca; parę tuzinów jarmarcznych bud zachwala przez głośniki swoje różności, począwszy od horrorów, a na gołźnie kończąc.

Ponadto setka, a chyba nawet więcej urządzeń mechanicznych: kolejki ósemkowe i kolejki piekielne, karuzele, huśtawki. Całą tę gigantyczną ekscytującą maszynię uruchamiano tu dzień w dzień począwszy od południa i utrzymywano w pełnym biegu do jedenastej wieczorem. Wszystko to razem piszczało, warczało, ryczało, szumiało i wyło wzmożone przez kilkaset megafonów. Stłoczona zaś, rozkołysana ciżba, opita piwem i żadna zabawy, przetaczała się przejściami wśród bud w tej całej wrzawie przekrzykiwan i rozgłośnych wybuchów śmiechu — zwanej odświętnym nastrojem.

Nad tym wszystkim niewzruszenie panował stojący na skraju Festynu potężny i rozłożysty spizowy posąg Bawarii — z daleka widoczne, niezwykle masywne, niezłomne babsko. Była wraz z wbudowanym w jej głowę tarasem widokowym całkowicie obłana zielonkawym światłem.

Sznury samochodów okrążające teren Festynu przypominały pochód z pochodniami. Rzeka ludzkich ciał wylewała się z głównej bramy na wewnętrzne ulice. Sama brama była z tej okazji przystrojona na monachijską modłę — flagą i herbem Monachium, symbolem miasta. Ponad tym napis

dużymi literami: „Witamy na Festynie Październikowym!” Odblask wielu tysięcy świateł z terenu Festynu rozjaśniał ładny szmat nieba nad tą częścią miasta.

Kopuła bladego światła sięgała wokół co najmniej na odległość kilkuset metrów w linii powietrznej. Zatem również tam, gdzie położono sponiewierane dziecko. Nawet samo miejsce przestępstwa było oblane lekko czerwonawą poświatą. Specjalistyczna ekipa do zabezpieczania śladów, która tam przybyła, podejmowała pod kierownictwem Michelsdorfa swoją żmudną pracę — nikomu nie brakło zapału.

Do zatłoczonego, dudniącego hałaśliwą muzyką Namiotu Kuszników zdążył tymczasem powrócić Bert Neumann. Drobny, niemal filigranowej budowy, w dzikim pośpiechu przedzierał się przez zbity tłum.

Zderzył się z jakąś kobietą, a może ona zastąpiła mu drogę — zataczająca się, dobrodusznna, zmysłowa tłuściocha. Wesóło podchmielona, objęła go, nazwała „swoim małym” i usiłowała pociągnąć go za sobą w najgęstszy tłum. — Podobasz mi się!

Odepchnął ją z całej siły, spojrzął na nią i powiedział zduszonym głosem: — Brzydzi mnie to, zawsze się czymś takim najgłębiej brzydziłem. Prymitywna żądza! — i oddalił się.

Tłuściocha pokręciła głową. — Któż to taki? On tu chyba zabłądził!

Neumann przeciskał się, zmierzając ku prawej stronie tylnej galerii namiotu — tam gdzie bezpośrednio pod srebrzystym dwugłowym orłem, prawdziwie bawarskim, siedział jego obecny zwierzchnik — najlepszy z najlepszych, potężny wśród potężnych, jakkolwiek zaledwie druga lub trzecia figura w swojej partii, to przecież prawie jedynowładca, ponieważ osobistość numer jeden najczęściej przebywała w Bonn, zajmując się utrzymywaniem w niepewności zarówno rządu, jak opozycji.

Tym obecnym w namiocie namiestnikiem był okazałej postaci mężczyzna nazwiskiem Holzinger. W tej chwili, mocno uchwyciwszy kufel, zawołał do Berta Neumanna: — Intrygujesz mnie, mały! Gdzieś się podziewał przez całą godzinę? Może w toalecie?

— Byłem w Namiocie Szkockim — zakomunikował Bert Neumann, sadowiac się obok swego masywnego przełożonego. Musiał się przy tym wcisnąć między niego a jego „adiutanta”, zwanego oficjalnie osobistym referentem.

— Spieszyłem się jednak, jak tylko mogłem.

— Coś ty taki sfatygowany, Neumann? — wykrzyknął ze śmiechem Holzinger, szef partii. Zawsze się zachowywał hałaśliwie, ale dopiero tu, wśród zgiełku panującego w namiocie, przekonująco demonstrował siłę swego głosu — słycać go było przy całym stole. Korzystał więc z tego. Zresztą zawsze był gotów korzystać ze wszystkiego, co się tylko wykorzystać dało.

Huber, zwany Trzecim, osobisty referent Holzingera, podsunął Bertowi Neumannowi pełny kufel. On również — jak się wydawało — był skory do używania sobie, podobnie jak jego mistrz i przełożony. — Pokrzep się, syneczku, zdaje się, że pilnie tego potrzebujesz, jak zawsze!

Zostało to w tym doborowym towarzystwie przyjęte jak dobry żart i z gotowością skwitowane głośnym śmiechem. Wszyscy wzniesli kufle na powitanie Neumanna, patrząc wszakże wyraźnie w stronę Maximiliana Holzingera, swego niewątpliwie konserwatywnego przywódcy partyjnego. On zaś popisywał się swoim niezrównanym śmiechem, przyglądając się bacznie i zarazem z nie ukrywaną pogardą najbliższemu otoczeniu.

Na swego osobistego referenta Hubera Trzeciego nie musiał zwracać szczególnej uwagi. Ten, jak się okazało nie jeden już raz, zasługiwał na zaufanie. Był podobnie bystry jak on sam, brakowało mu jednak jego siły przebicia. Dlatego też Holzinger mógł całą swoją uwagę niepodzielnie poświęcić otaczającym go ludziom, których zresztą z rozmysłem dobrał sobie na ten wieczór.

Geigenbauer, redaktor naczelny miejscowej rozgłośni radiowej i telewizyjnej — człowiek sprytny i ambitny. Dalej

deputowany do Landtagu nazwiskiem Mausbach, w widoczny sposób zabiegający o przychylność Holzingera, jednocześnie właściciel drukarni na prowincji i intratnego przedsiębiorstwa budowy domów czynszowych oraz zręczny polityk w zakresie środków przekazu. Najbardziej godna uwagi była towarzysząca mu Maria-Petra, gorąco krwista istota o krowich oczach. I wreszcie Streicher, naczelny dyrektor imperium Weltera — czasopisma, gazety, magazyny, produkcja płyt gramofonowych, aparatura telewizyjna i kasety video.

Holzinger uśmiechał się serdecznie do nich wszystkich i głośno oświadczał: — Jestem rad, drodzy przyjaciele, że przyjęliście moje zaproszenie, i spodziewam się, że nawiążemy interesujące rozmowy.

Chwila była po temu odpowiednia, gdyż nastrój w namiocie nie osiągnął jeszcze punktu kulminacyjnego, należało się tego spodziewać za jakąś godzinę, a może dwie. Na razie więc Holzinger mógł zająć się Bertem Neumannem.

Bert Neumann był na pewno jednym z najlepszych, jeśli w ogóle nie najlepszym zawodnikiem w jego ekipie. Co prawda wąty i anemiczny, czasem naiwnie spoglądający baranym wzrokiem, a więc nie nadający się do występowania wobec szerszego gremium, był jednak wielostronnym teoretykiem. Redagował przemówienia, tworzył programy, układał trafne modele rozmaitych wariantów rozgrywek, zależnie od prawdopodobnych układów. Dla kogoś takiego jak Holzinger przedstawiał nie byle jaką wartość, gdyż nadawał się do wszystkiego.

Maximilian Holzinger, wśród swoich zwany Max, zwrócił się do Berta Neumanna. Huber Trzeci uważnie nastawił ucha. Orkiestra, ulokowana pośrodku namiotu, po raz piąty już tego wieczoru grała *Bawarskiego marsza defiladowego*. Tym razem dyrygował berlińczyk, Holzinger sądził więc, że grają *Chwałę Prus*.

— Neumann — odezwał się z naciskiem — rozejrzałeś się więc w ciągu ostatniej godziny po Namiocie Szkockim. Tam lubi się pokazywać nasza konkurencja. Kogoś tam widział?

Neumann zaczął wyliczać: — Przede wszystkim Müllera z partii opozycyjnej. Miał ze sobą swego ulubionego dorad-

cę do spraw polityki kulturalnej doktora Weinhebera. Ale także naszego dyrektora telewizji. Następnie wydawcę gazet i właściciela drukarni z Frankfurtu, niejakiego Lauferera.

Holzinger machinalnie pochwycił kufel i niby to chcąc osłonić twarz, wychylił go jednym haustem. Następnie rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu. Huber Trzeci domyślił się, co to ma znaczyć — w każdym razie nic dobrego. Holzinger tak się zawsze uśmiechał przed zadaniem ciosu.

— Czyżby się tu zanosilo na jakiś podstępny manewr z ich strony? — zaczął domyślać się ostrożnie Huber.

Jednakże Holzinger, zawsze niezależny w swoich poczynaniach przywódca partyjny, miał ochotę rozmawiać jedynie z Bertem Neumannem. Położył mu znacząco prawą rękę na ramieniu, akcentując przez to swoją nad nim władzę:

— Na ustalenie takiej listy obecności powinien ci wystarczyć kwadrans.

— Ja także tak uważam — stwierdził gorliwie Huber Trzeci. — Ale nasz Bert na samo dojście tam zużył ponad godzinę. A ja straciłem prawie pół godziny, szukając go wszędzie.

Holzinger udał, że nie zważa na tę odzywkę. Nadal zajmował się Neumannem. To, że mówił do niego per ty, nie było niczym szczególnym. U kogoś w rodzaju Holzingera następowało to automatycznie — uważał, że jest to rodzaj serdecznej poufałości. Prawie nigdy jednak nie dopuszczał do wzajemności. Wiedział bowiem dobrze, co to szacunek, i przywiązywał do tego wagę, zatem tylko bardzo niewielu wybranym wolno było zwracać się do niego po imieniu, czyli mówić mu Max. Ten przywilej pozwalał liczyć na uzyskanie stanowiska ministra.

— Neumann, zdaje mi się, że znam twoje wewnętrzne problemy — odezwał się poufale. — Masz pociąg do spraw wyższej natury, jesteś, że tak się wyrażę, lepszego pokroju duchowego. Nie możesz pić.

— Możliwe — wyznał z ulgą Bert. Wydawało mu się, że ktoś go nareszcie zrozumiał. Odczuł wdzięczność. Spojrzał z oddaniem na zwierzchnika.

— Szukałeś więc tych papierowych tygrysów, tych tygrysów z papieru toaletowego, tak długo tylko dlatego, aby nie pić razem z nami?

— Tak, przyznaję — potwierdził Neumann z pełnym zaufaniem.

— Przyjmuję to do wiadomości — powiedział Holzinger, gotując się do skoku na ofiarę. — Z tego, co mówisz, wnoszę, że swoje zakichane dobro osobiste stawiasz o wiele wyżej niż nasz wspólny konstruktywny interes! Włóczysz się gdzieś i ani ci w głowie, że szybkie przekazanie spostrzeżeń o takim spędzie tych muzycznych świntuchów może być niezwykle ważne!

Neumann, ogromnie speszony, milczał. Huber Trzeci z wyrazem nagany kręcił swoją głowę przypominającą pomidor. Holzinger zawołał, by mu podano nowy kufel; dostał go natychmiast od Hubera i przepił nim do siedzącego przy tym samym stole naczelnego redaktora radia i telewizji. Teraz z kolei zwrócił się do niego:

— Na słówko, mój drogi! Od początku bardzo sobie cenilem pańskie sugestywne wystąpienia na rzecz prawdziwej wolności przekonań.

— Robię, co mogę — powiedział ostrożnie Geigenbauer. — Ale niełatwo to idzie. Co mnie oczywiście nie zniechęca.

— Spodziewam się tego po panu — zapewnił go serdecznie Holzinger. Następnie z zatroskaniem dorzucił: — Zauważył pan pewnie, że coraz natarczywiej się usiłuje oddawać nasze środki masowego przekazu na usługi polityki. I to bardzo jednostronnie. Nasza partia nie bierze w tym udziału. Dlatego też, kiedy dochodzą mnie słuchy, że dyrektor telewizji, którego dotychczas zaliczaliśmy do naszych najbardziej zaufanych osób, siedzi akurat u Müllera i jego ludzi, odnoszę wrażenie, że sytuacja jest wręcz alarmująca.

— On tam właśnie jest wśród swoich — zauważył otwarcie Geigenbauer.

— No właśnie! Ostatecznie to stanowisko nie jest jego dozgonnym przywilejem. — Pogląd ten wyraził Holzinger nad wyraz poważnie. — Tym bardziej że wyobrażam już sobie, kto by się mógł na nie najlepiej nadawać. Otóż pan, mój drogi!

— Dziękuję — powiedział Geigenbauer uniżenie.

— Należy to oczywiście załatwić, to znaczy przygotować szybko i gruntownie. W związku z tym liczą na pański czynny współdział.

Miejsce przestępstwa, ulicę P, znów oświetlało kilka policyjnych reflektorów; dodawały jej magicznej poświaty światła Festynu Październikowego, odbijające się od granatowego, przejrzyste czystego nieba. Starszy inspektor Michelsdorf przejął dowodzenie. Stał, górując wzrostem nad całą resztą, niby z daleka widoczny centralny ośrodek wydarzeń, które miały się dopiero rozegrać.

Obecny wśród zajętych badaniem śladów jeden z najlepszych specjalistów, jakich miała policja, zwrócił się do niego z następującym spostrzeżeniem: — Brak jakiegokolwiek uchwytne punktu zaczepienia. Zaledwie jeden słabo odbity ślad poślizgu. Odciski stóp wprawdzie widoczne, ale prawie nieczytelne. Numer obuwia czterdzieści trzy lub czterdzieści cztery. Pozostałości śladów równe, a zatem brak profilu zelówki. Ślad nadwymiarowy, jednakże może on należeć do kogoś spośród około pięćdziesięciu tysięcy osób pozostawiających ślady w obrębie samego tylko Monachium.

— Pomimo wszystko jest to jakiś punkt zaczepienia — stwierdził Michelsdorf, nie tracąc rezonu. — Co poza tym?

— Dwa ślady krwi. Jeden na płycie kamiennej przy wjeździe do bramy, drugi na ścianie domu. Oba przypuszczalnie pozostawiła ofiara. Ale do niej dotychczas nie mamy dostępu. A może?

— Niestety nie — powiedział Michelsdorf z wyraźnym żalem. — Przynajmniej chwilowo.

— Poza tym znaleziono — meldował dalej rzeczowo policjant — w odległości zaledwie paru metrów od prawdopodobnego miejsca przestępstwa zgubioną albo wyrzuconą chustkę do nosa. Używaną i zlepioną. Być może wydzieciną z nosa, ale możliwe też, że spermą.

— Zabezpieczona?

Sprzeciwił się temu Müller ze swoją drużyną, po pierwsze dlatego, że znajdowali się w opozycji i nie mieli dostępu do finansowych możliwości, jakie daje ten typ przedsięwzięcia; po drugie zaś, ze względów zasadniczych, ponieważ Müller to nie tylko polityczny przeciwnik Holzingera, lecz także jego osobisty wróg. Wynikły z tego bardzo przykre następstwa, również dla mnie.

Jak zresztą najczęściej się zdarza przy tego rodzaju zamierzeniach, miało z tego wyjść niezbyt wiele — tylko skromny zysk i nieudany kompromis. Ale cała ta sprawa, odpowiednio rozdmuchana, zmieniła się wkrótce w prawdziwe piekło. Łącznie z ohydny morderstwem. A ono miało bezpośredni wpływ na sfery działania i Holzinger, i Müllera.

Stało się tak nie bez udziału policji kryminalnej, łącznie z jej niefortunną ingerencją. Co dotknęło mnie osobiście. Zarówno Holzinger, jak i Müller poszli tym razem za daleko. Zachodziła obawa, że obaj się wywrócą z powodu paru drobizgów, a także za przyczyną kogoś, jak sądzono, mało ważnego, a kto okazał się prawdziwym potworem.

Całość zaś ułożyła się tak kiepsko, bo pan się w to wmieszał, panie Keller.

Keller. Ze względu na kogoś, kto nazywa się Krebs.

Erwin Müller, przewodniczący swojej partii na kraj, właśnie uznał, że wszystkie zwrotnice, jakie tego wieczoru należało poruszyć, zostały już ustawione. Celem była polityka w zakresie środków masowego przekazu. Na jego pocziwej twarzy malował się spokój, niemal zadowolenie.

Przy jego stole zatrzymał się bowiem obecny dyrektor telewizji, poniekąd szukając u niego opieki. Czuł się ścigany i tak istotnie było. Uporczywie starał się o to ostro nacierający redaktor naczelny Geigenbauer. Zapewnienie czegoś w rodzaju azylu dla dyrektora telewizji, zarysowanie przed nim pewnych perspektyw było mądrym posunięciem polny czynem.

Zadbał o to skwapliwie Lauferer z Frankfurtu, który dźwięcznie oświadczył: — Jeżeli stwierdzimy, że nasza wolność myśli jest zagrożona, będziemy musieli się bronić.

Owa zagwarantowana wolność poglądów przynosiła mu rokrocznie milion marek osobistego zysku. Wcale mu to nie przeszkadzało podawać się za zdeklarowanego wyznawcę przekonań postępowych.

Faworyzowany przez Müllera jego doradca w sprawach kultury doktor Weinheber lubował się w wielkich, pięknych teoriach. Świadom swego posłannictwa, obwieszczał: — Sztuka musi stać ponad wszystkim! Komercjalizacja naszych środków przekazu prowadziłaby nieuchronnie do ich intelektualnego upadku, kompletnego pogrążenia się w odmętach nastawionej na zysk rozrywki masowej. Cóż jest bowiem ważniejsze, Bonanza czy Beethoven?

Erwin Müller odchylił się do tyłu i odetchnął z ulgą. Spojrzał w górę na strop namiotu. Grube, niezdarne belkowanie prawie całkowicie zakrywały biało-niebieskie wstęgi, kokardy, festony. Widok niecodziennej dekoracji sprawiał mu pewną przyjemność. Zdjął okulary, co tylko uwydatniało jego po mieszczańsku solidny wygląd księgowego. Było to zamierzone. Müller pragnął uchodzić za prostego, porządnego mieszczaucha.

— Wygląda na to, że jest pan bardzo zadowolony — odezwał się tuż obok niego czyjś głos, wyraźnie nastawiony na przyjacielskie brzmienie. Próbował nawiązać rozmowę niejaki Battenberg, główny reporter miejscowej rozgłośni telewizyjnej. Uważał, że z tej racji zajmuje pierwszoplanową pozycję w dziedzinie kształtowania opinii publicznej. Miał też jasno sprecyzowane zamiary wzmocnienia jeszcze tej pozycji. — Chyba całkiem dokładnie sobie wyobrażam, jak tym razem chce pan ustawić zwrotnice.

— Drogi panie Battenberg — przemówił Erwin Müller z całą uprzejmością, jaką mu zalecali jego doradcy do spraw *publicity*. — Polityka to niestety nie to samo co rozkład jazdy pociągów i często, kiedy sądzimy, że puściliśmy pociąg po właściwym torze, on natychmiast się wykoleja. Czego jednak na szczęście opinia publiczna najczęściej nie zauważa.

— Rozumiem — powiedział Battenberg z poufałym uśmiechem. — Nasz dyrektor telewizji zasiada tu więc całkiem przypadkowo, podobnie jak pan Lauferer, najgroźniejszy chyba konkurent imperium prasowego Weltera.

— Domyśla się pan najzupełniej trafnie — zapewnił go Müller nie mniej poufale. — Mamy przecież Festyn Październikowy. Ludzie spotykają się nieoczekiwanie i mają okazję, by wypić, pogadać i podtrzymać kontakty.

Müller, jakby uradowany tą myślą, rozejrzał się po rozkrzyczanym tłumie; na jego twarzy znać było lekkie rozochocenie. Podniósł kufel w podziękowaniu kilku przepijającym do niego z daleka — ostatecznie chciał się także zaprezentować jako ktoś popularny.

— Zapewne panu wiadomo — zagaił Battenberg — że szef Holzingera polecił mu, aby się zajął na naszym terenie polityką w zakresie środków masowego przekazu. Jeśli chce nadal być drugą lub trzecią figurą w partii, musi się odpowiednio wykazać.

— Nie takie to groźne — stwierdził Müller pobłażliwie. — Ale co, pańskim zdaniem, chce on osiągnąć?

— Wzmocnić swoje polityczne wpływy, bo cóż innego? Chce wprowadzić na kluczowe stanowiska odpowiadających mu ludzi. Dokładnie tego samego próbuje także pan, do czego oczywiście nigdy się pan nie przyzna. Ale właśnie dlatego dostaje się pan w pole ostrzału Holzingera. A jest to nie byle jaki myśliwy!

— Ostatecznie dzieli nas tylko pewna różnica poglądów. Nic ponadto — oświadczył Müller tonem pewnym, spokojnym i uprzejmym. — A gdzie tych różnic brak, proszę pana? Nie ma tu spraw, których nie dałoby się uporządkować.

Battenberg uznał, że powinien się wmieszać do wielkiej polityki, aby w ten sposób podnieść swe szanse:

— Mogę tylko pana ostrzec, szanowny panie Müller. Dyrektor telewizji, który w tej chwili biesiaduje u pana, należy całkowicie do otoczenia Holzingera. Jeśli się chce spróbować manipulować jego ludźmi, to trzeba się właśnie z nim zderzyć. Czy zmierza pan do bezpośredniej konfrontacji? Z kimś takim jak Holzinger?

— Holzinger i ja jesteśmy przeciwnikami politycznymi, licząc się z tym oczywiście — wyjaśnił rozważnie Müller.

— Wiem również, że posługujemy się odmiennymi metodami, ale zmierzamy do podobnych celów.

— Czy pan jest pewny, że Holzingerowi można zaufać pod każdym względem? — pytał uporczywie Battenberg.

— Kiedy ktoś mu wchodzi w drogę, wówczas on usiłuje go wykończyć wszelkimi dostępnymi sposobami.

Erwin Müller przez dłuższą chwilę milczał w zamyśleniu, po czym z uśmiechem zapewnił: — Och, wie pan, niekiedy roznieca się potajemnie słomiany ogień tylko po to, ażeby go potem móc ugasić na oczach wszystkich. Niech mi pan wierzy, w dziedzinie polityki ma się zawsze pewną liczbę możliwości; najczęściej jest ich więcej, niż sami politycy sobie wyobrażają.

Wierzył w to, co mówił, i to go usprawiedliwiało. Znał swój świat, ale właśnie tylko swój. A zresztą nawet tego swojego świata nie znał całkowicie. I mógł tylko bardzo mgliście przeczuwać, co się lęgało w głowach funkcjonariuszy policji kryminalnej. Nie wiedział także, kim jest Krebs.

Przy głównym wejściu do filii Instytutu Medycyny Sądowej przy Pettenkoflerstrasse w pobliżu Sendlinger-Tor-Platz u progu nocy niecierpliwie czekał, powiadomiony drogą radiową, profesor doktor Lobner.

— Czy to jest właśnie ten przypadek? — zawołał, gdy pojawił się Krebs.

— Dziecko, jak zapowiedziałem. — Komisarz niósł w ramiach owiniętą kocem Gudrun Dambrowską. Wydawała się bez życia. Krebs wkroczył z półmroku ulicy w powódź światła przy wejściu. — Jakieś dziesięć, najwyżej dwanaście lat; prawdopodobnie dość poważne obrażenia; rana w tyle głowy; może być zgwałcona. Należy mieć na uwadze doznanie silnego wstrząsu.

— Wygląda na to — stwierdził Lobner, przyglądając się dziewczynce, którą podsunął mu Krebs.

— Przygotował pan wszystko, jak uzgodniono?

— Nie powinienem był się nigdy w to wdawać — powiedział Lobner, pochylając się nisko nad ofiarą. — Jestem specjalistą od zwłok. Badaniami serologicznymi zajmowałem się tylko teoretycznie.

— Ale bardzo gruntownie, jak nikt inny prócz pana, doktorze, jak sądzi Keller.

— Ach, ten Keller! — zawołał Lobner. Ujął rękę dziewczynki, zbadał puls i próbował dotykiem sprawdzić temperaturę.

Czynności te nie przeszkodziły mu jednak rzucić gniewnej uwagi: — Ten Keller, a potem jego przyjaciel Zimmermann! A teraz na dobitkę pan! Uwzięliście się wprost na mnie, stawiacie mnie wobec najdelikatniejszych i najmniej pewnych zagadnień. Na pewno uważacie, że mnie to szczególnie pociąga, a może stanowi jakieś wyzwanie. Niestety, tak właśnie jest.

— Niech pan obejrzy tę dziewczynkę — poprosił go Krebs. — Chcę dokładnie wiedzieć, co ją naprawdę spotkało.

— No dobrze — powiedział dość szorstko Lobner, próbując ujarzmić bujną śnieżnobiałą czuprynę. Zaniósł szczerze owiniętą w koc istotkę do jednego z pobocznych pomieszczeń, w których mieściła się jego pracownia.

Czekała tam już na nich w pogotowiu jego asystentka, pani doktor Gehrman, około trzydziestoletnia, szczupła, oschła i rzeczowa. Wzięła od profesora małą Gudrun, ułożyła ją na przykrytym świeżymi prześcieradłami skórzanym tapczanie i zaczęła ją odwijać z koca.

— Proszę uważać — zawołał troskliwie Krebs. — To okrycie jest wyjąłowione.

— Wiemy, o co tu chodzi — z lekka niechętnie zapewnił Lobner. — Przezornie zawczasu przedyskutowałem z moją asystentką przypadek, o którym mnie pan powiadomił. Będziemy więc dbać, ażeby nie narazić na zniszczenie nic z tych rzeczy, które wy, kryminolodzy, nazywacie elementami śladów. Zgodzi się pan jednak, że ja jako lekarz na razie widzę przed sobą istotę ludzką.

Pierwszym zabiegiem, jaki zastosował, był łagodny zastrzyk na uspokojenie. Bezpośrednio po nim Gudrun, jakby

uwolniona od wszelkich niepokojących ją myśli, zasnęła głęboko. Wydawało się, że prawie nie oddycha. Jej anielska twarzyczka odprężyla się całkowicie, pojawił się nawet na niej lekki uśmiech.

— Co pan może stwierdzić? — dopytywał się natarczywie Krebs.

— Cierpliwości — doradził Lobner. Wyciągnął ręce do asystentki, ona zaś szybkimi, wprawnymi ruchami wciągnęła na nie gumowe rękawice.

Następnie Lobner, zachowując najwyższą ostrożność, odwinął z koca nieruchomo leżącą Gudrun. Zbadał dotykem jej twarz, potem kark i potylicę. Tu się na moment zatrzymał, po czym obmacał to miejsce dokładniej i stwierdził: — Uderzyła się pewnie o jakiś twardy przedmiot, prawdopodobnie o ścianę.

— W przypadku skrajnie pobudzonego afektu sprawcy możliwe jest każde obrażenie.

Lobner przytaknął bez wyraźnego przekonania. Podeszedł do przeciwległego końca i stojąc tam rozpoczął oględziny nóg dziecka, centymetr po centymetrze, najpierw stóp, potem wyżej. Następnie odwinął spódniczkę. Ukazały się szczupłe uda, majteczki.

— Rzeczywiście poważne obrażenia — stwierdziła asystentka doktor Gehrman. — Przypuszczalnie przy użyciu przemocy. Widoczna kleista masa.

— Sperma? — zapytał Krebs.

Doktor Gehrman pozostawiła odpowiedź Lobnerowi. On zaś nachylił się niżej, kazał sobie podać lupę, po czym stwierdził:

— Wydaje się, że tak. Gwałtowny atak. Ale ślady zatarte, jakby zamazane.

— Czy wystarczy tego, co pozostało, do ustalenia grupy krwi?

— Można przyjąć, że tak — odparł Lobner, a w jego ustach było to jednoznaczne potwierdzenie. — Czy to jest cały pański materiał dowodowy?

— Prawie wszystkie części ubrania dziewczynki mogą nosić na sobie ślady, a zwłaszcza od dołu. A więc trzewiki, pończochy, spódniczka, figi. Bardzo proszę o możliwie staranne ich zabezpieczenie, a następnie złożenie poszczególnych części garderoby na tym wyjałowionym kocu. Później zajmie się nimi szczegółowo specjalista z policji.

— Wydaje mi się, że nasz zawód staje się z dnia na dzień bardziej skomplikowany, tak przynajmniej twierdzą rozmaici specjaliści. Tacy jak pan.

— Ja się nie poczuwam do żadnej winy w tym względzie — oświadczył Krebs, gotów dochodzić swej racji. — Zwłaszcza w dzisiejszym przypadku.

— Czyż te przestępstwa obyczajowe nie są takie same od wieków, jeśli nie od tysiącleci? We wszystkich wyobrażalnych szczegółach? — Lobner zadał to pytanie zapewne w sensie czysto retorycznym, gdyż natychmiast po nim zainteresował się czymś innym. — Mamy ściągnąć z dziecka uszkodzoną bieliznę?

— Oczywiście. Ale lepiej będzie ją porozcinać. Przy ściąganiu łatwo zatrzeć ewentualne ślady, a przynajmniej je uszkodzić.

Lobner skinął na asystentkę, ona zaś wzięła do ręki ostre operacyjne nożyce i zaczęła nimi powoli i starannie pruć spódniczkę, a następnie bieliznę ofiary.

— Po co to wszystko? — z lekka niechętnie zapytał Lobner Krebsa, mierząc go niecierpliwym spojrzeniem.

— Przecież podobna sprawa jest w waszym środowisku tylko ponurą codziennością. Czyżby tym razem było inaczej?

— Tym razem jest inaczej — zapewnił Krebs z głębokim zastanowieniem. — Ale dlaczego inaczej, nie potrafię jeszcze dokładnie wyjaśnić. Jestem jednak pewien, że się nie mylę.

— Mój drogi — powiedział profesor doktor Lobner, już wyraźnie znudzony. — Wiem, że jest pan znakomitym fachowcem, ale nieco mnie dziwi, że może się pan okazać także jasnowidzem. Niezależnie od tego dostarczę panu wyniki oględzin, sporządzone zgodnie z wszelkimi zasadami mojej sztuki. Zupełnie tak samo, jakby mi pan przywłókł okazowego trupa.

Holzinger wydawał się znów bardzo pewny siebie. Uśmiechnięty, zadowolony, przysłuchiwał się piekielnemu zgiełkowi, który rozlegał się wokół niego. Przyglądał się odurzonemu tłumowi ludzi z szeroko otwartymi gębami, stłoczonemu pośród ciężkich głów dzików i jeleni rozwieszonych na podłużnych ścianach Namiotu Kuszników.

Naraz podniósł się i mocno klepnął Neumanna po ramieniu.

— Chodź no ze mną, krasnalu, ty wyrzutku polityczny. Pójdziemy się wysikać!

Uwaga ta wzbudziła wesołość przy całym stole, gdyż Holzinger wprost tryskał siłą i humorem, by tak rzec, we wszystkich okolicznościach życiowych. Zawsze też napotykał ludzi, którzy bez zastrzeżeń płacili mu za to poklaskiem.

Bert Neumann kroczył za swoim panem i mistrzem z wyraźną niechęcią. Holzinger zaś przepychał się przez tłum, ścisnął wyciągające się do niego dłonie, pozdrawiał wszystkich ruchem ręki, uśmiechając się szeroko klepał ludzi po ramionach i plecach, witając się z nimi głośno. Zwyczajnie, jak powszechnie lubiany przywódca ludu! Neumann zazdrościł mu zawsze w takich chwilach. Jednak tylko na krótko.

Holzinger przemknął się obok toalet i przez tylne wyjście na zewnątrz. Ogarnął ich dobroczynny chłód, wrzawa panująca w namiocie urwała się, jak nożem uciął. Było tu już niewielu ludzi, zresztą w półmroku nie poznawali go. Bardzo mu to w tej chwili dogadzało.

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa, a miał ich przy sobie kilka, i wytarł twarz, a potem kark. Wciąż pocił się mocno. Zapytał Neumanna: - No, jak myślisz, zafajdany elegancie, o co tu chodzi?

— O władzę, o wpływy, a krócej mówiąc o zyski, o forszę. Operatywni spekulanci biorą górę. Kto żyw, chce zarabiać. A w dziedzinie środków przekazu zarobić można.

— Ale przecież niebezwarunkowo!

— Wynika ze stanu rzeczy, kto może stawiać odpowiednie warunki.

— Tym razem nadeszła moja kolej!

— Tak mi się wydaje — odparł Neumann. — Ja przynajmniej w to nie wątpię.

— Nie radziłbym ci — rzucił Holzinger.

Na to Bert Neumann oświadczył: — Dość dokładnie znam swoje możliwości. Toteż potrafię dostrzec granice, do których wolno mi się posunąć. Przynajmniej pod względem politycznym.

— I na pewno także dlatego, że wiesz, jaki dokument kazałem założyć w twojej sprawie — roześmiał się serdecznie Holzinger. — Ale to tylko jeden papierek wśród innych, niemało ich dotyczy najbardziej szanowanych w tym kraju nazwisk. Huber Trzeci jest oczywiście wśród nich. Jeśli się chce zatrzymać przy sobie przyjaciół, trzeba się jakoś ubezpieczyć.

Holzinger roześmiał się raz jeszcze na cały głos. Potem bez żadnego przejścia zaczął wypytywać: — Czegóż się spodziewasz po tym dyrektorze telewizji? Po tej politycznej szmacie?

— Ten człowiek obawia się o własną egzystencję, co jest zupełnie zrozumiałe, ponieważ Geigenbauer mocno depce mu po piętach. Chwyta się więc wszystkiego, co popadnie. Nie może jednak wyleźć z własnej skóry. Ostatecznie jest to przecież pański człowiek, pan go zrobił tym, czym jest w tej chwili.

Wyglądało na to, że Holzinger postanowił dokonać niezbędnego oczyszczenia przedpola. — Spróbuj dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Zbieraj skrętnie wszystko, na co się tylko natkniesz. Czego najbardziej nie cierpię, to niewdzięczności.

— Liczy się pan z tym, że gdy tylko podejmie pan pewne kroki w sprawie środków masowego przekazu, Müller natychmiast podejmie przeciwdziałania?

— Należy się tego spodziewać, ale to nie ma większego znaczenia — odparł zarozumiałe Holzinger. — Jeśli tylko się zabierzemy do rzeczy dość ostro, Müller będzie się wystrzegał bezpośredniej konfrontacji. Brak mu bojowego charakteru. Jest on raczej urodzonym ugodowcem.

— Bardzo to możliwe, ale wcale tak nie musi pozostać na zawsze. — Po czym Bert Neumann dokończył prawie sam

do siebie, jakby z wewnętrznym przymusem: — Na każdego może pewnego dnia przyjść taka chwila, kiedy się całkowicie odmieni i spróbuje wybuchnąć, nie zważając na samego siebie.

— Nie zabawiaj się w psychologa. My zajmujemy się polityką!

Z aktualnej dokumentacji Akcji Demokratycznej:
„Mobilizacja sił chętnych do działania jest całkowita i przebiega na szerokim froncie. Organizacje widzów o jednoznacznie prawicowej orientacji, takie jak ART — Akcja na Rzecz Radia i Telewizji — oraz KSMP — Kształtowanie Środków Masowego Przekazu, jak też Obywatelski Związek Słuchaczy Radia i Telewizji, następnie Towarzystwo Studiów nad Kształtowaniem Opinii Publicznej” itd. itp.

Z „komunikatu wewnętrznego”, sporządzonego w partii Müllera:

„...trzeba się liczyć z tym, że pracownicy radiofonii zorganizują akcję poparcia dla nas...”

„...można przypuszczać, że nastąpi solidaryzacja znacznej części związków zawodowych...”

„...pewne objawy wskazują na rodzenie się bardzo obiecującej inicjatywy obywatelskiej, którą niewątpliwie poprze kilka gazet codziennych...”

Wewnętrzny komentarz do powyższego napisany przez Ettenkoflera:

„Obie strony wyraźnie wywołały wrzawę w sprawach, w których jakoś tam dałoby się znaleźć powód do

podniesienia alarmu. Zawsze znajdują się ludzie, którzy się takich akcji podejmą. Potrafią oni odpowiednio podgrzać nastroje. Lecz w końcu nie oni decydują. Naprawdę wielką politykę robi się w ścisłym kręgu.

Przy czym nieraz idzie się po trupach — jeśli nie da się tego uniknąć".

Zanim Bert Neumann na polecenie Holzingera poszedł się wysikać, przebiegł wzrokiem cennik wywieszony obok tylnego wejścia do namiotu. Głosił on:

Pół kurczaka — 6,70 DM, porcja giczy cielęcej — 12,20 DM, piwo — 3,05 DM.

Wszystko ma swoją cenę.

Na przykład jednorazowe wysikanie się — 30 fenigów. Bezpłatna ostatecznie nie jest nawet śmierć. Kiedy tak stał i usiłował powstrzymać oddech, ażeby się nie udławić stężonym tu zapachem uryny, gapiąc się zarażem na ścianę pisuaru, ktoś stojący obok zagadał do niego:

— Jak się zalano, tak się odlano. No nie, panie sąsiedzie?

— Być może — odparł uprzejmie Bert Neumann.

Patrzył w zamyśleniu przed siebie, a przez głowę przelatywały mu strzępy wspomnień. Oto jego babka — bił od niej przenikliwy odór potu, zwłaszcza kiedy rozpościerała ramiona, aby go przygarnąć do siebie. Zbierało mu się wtedy gwałtownie na wymioty. Również jego matka, która jak daleko wstecz mógł sięgnąć pamięcią, nigdy go nie brała w objęcia, wydzielała cierpki, mocny, prawie odurzający zapach, a on dlatego właśnie schodził jej zawsze z drogi.

Później było pewne stworzenie rodzaju żeńskiego — dziewczątko ze sklepu spożywczego. Przyłgnęła do niego, padła na wznak — na łóżko jego matki — pociągając go za sobą. Zabrała się do rozbierania i jego, i siebie samej, ośliniła go i zaczęła wstrętnie śmierzdieć przez wszystkie pory skóry. Wyrwał się jej, a ona zwymyślała go słowami, jak uznal, niesłychanie wulgarnymi.

— Całe to życie jest w gruncie rzeczy je«piym wielkim smrodem — stwierdził sąsiad w pisuarze. — W tym tylko sęk, że niektórzy śmierdzą lepiej!

Bert Neumann oddalił się pospiesznie ~ po prostu uciekł.

Fragment stenografowanego meldunku starszego inspektora policji kryminalnej Michelsdorfa — notatka dotycząca Dambrowskiego, ojca ofiary, przybyłego na miejsce przestępstwa:

Dambrowski: Gdzie jest dziecko? Co się stało z moją Gudrun? Gdzie się ta mała łążęga włóczy? O co tu chodzi?

Michelsdorf: Znalaziono tu dziewczynkę w wieku około dziesięciu do dwunastu lat. Ubrana była w plisowaną granatową spódniczkę i białą bluzkę. Kędzierzawa blondynka z ładną buzią.

Dambrowski: To ona! Ta mała łążęga! Moje kochane dziecko! Co zmalowała tym razem? Nieznośna smarkula! Od dawna już powtarzałem mojej żonie: „Jak nie będziesz na nią dobrze uważać...”

Michelsdorf: Została napadnięta, prawdopodobnie przez przestępcę obyczajowego.

Dambrowski: Co? Co pan mówi? Zboczeniec? Akurat moją kochaną córeczkę? To nieprawda! Gdzie jest ten podły bydlak? Kark mu skręć! Takich trzeba wieszać! Kastrować! A wy tu stoicie...

Michelsdorf: Badamy jedynie dostępne nam okoliczności przestępstwa.

Dambrowski: Czy ona może nie żyje? Zamordowali ją? Moje biedne śliczne dzieciątko! Tak bardzo ją kochałem... Takim bydlakom trzeba by łby...

Michelsdorf: Pańskie dziecko jest bezpieczne. Znajduje się pod opieką jednego z naszych najlepszych lekarzy. Zduje się też, że pańska Gudrun nie doznała szczególnie ciężkich obrażeń. Nic nie zagraża jej życiu. Prawdopodobnie przeżyła tylko wstrząs.

Dambrowski: Przecież powtarzałem jej tyle razy: nie wdawaj się z nikim w rozmowę, nie uśmiechaj się tak słodko i głupio na wszystkie strony, nie zagapiaj się jak cielątko. Słuchaj swego tatusia, mówiłem jej, bo tatuś chce tylko twojego dobra. Tatusiowi możesz wierzyć. Na sto procent. A co tymczasem robi ta nieodpowiedzialna dziewczyna? Wdaje się w gadkę z jakimś drabem! Ma teraz za swoje!

Michelsdorf: Dlaczego znalazła się o tej porze w tym miejscu?

Dambrowski: Diabli wiedzą! Miała tylko przynieść piwo. Z knajpy na rogu. Oglądałem akuratnie telewizję. Szedł właśnie *Konspirator*, trzeci odcinek, na drugim programie, taki szpiegowski film, wzięty wprost z życia...

Michelsdorf: A gdzie była w tym momencie pańska żona?

Dambrowski: Była podobno gdzieś w kinie z jedną przyjaciółką. Ale już ja ją nauczę! Za to, że zaniedbuje dziecko i że rozmaici zboczeńcy...Poradźcie coś na to, wy policjanci! Dlaczego tu sterczycie i gapicie się? To po co płacimy wysokie podatki? Ażeby potem nasze kochane dzieci...

Michelsdorf, niezmiernie rzeczowy: Proszę podać dokładne personalia pańskiej córki.

Musisz dzisiaj przeprowadzić jeszcze jeden wywiad — powiedział Battenberg do Brigitty Scheurer. Działo się to na głównej drodze, pomiędzy Namiotami Kuszników a Szkockim, w pobliżu smażalni kurczaków Heinza.

— Jeszcze teraz? — spytała ziewając. — Jestem bardzo zmęczona, chce mi się spać.

— Z kimkolwiek masz zamiar to zrobić, raczej odłóż sprawę na potem.

Brigitte Scheurer uśmiechnęła się. Jej uśmiech znano w całej Bawarii z popołudniowego programu telewizyjnego. Wyrażał on po części uprzejmość damy, po części serdeczność przyjaciółki. Powszechnie ją lubiano, co — jak

zdążyła się już zorientować — dawało jej wymierne materialne korzyści.

— W ciągu dzisiejszego wieczoru jak na pięćset marek honorarium dostatecznie się wyeksploatowałam, drogi Klausie.

— Dodatkowo dwieście — zachęcał ją Battenberg.

— Kto? — zapytała rzeczowo.

— Müller. Nie powinnaś mieć z nim kłopotu, bo mu się podobasz. Zresztą, komu ty się nie podobasz?

— Na przykład jego żonie, ona mnie wprost nie cierpi. Jej zdaniem, pewnie nie jestem dość poważna.

— Nie ma jej tu — stwierdził Battenberg już z pewną rezerwą. — A ja radziłbym ci, Brigitte, w miarę możliwości pozostawić na uboczu żonę Müllera. Bo na tej niesłychanie ruchliwej arenie życia politycznego jest ona przypadkiem szczególnym.

— O, widzę, że masz słabość do tej starszej pani!

— Pani Müller ma niewiele ponad czterdziestkę, jest więc o jakie dwa, trzy lata młodsza od swego męża.

— No właśnie, jest dla niego za stara. Nic dziwnego, że ja mu się podobam.

Klaus Battenberg przyjrzał się z zastanowieniem Brigitte Scheurer. Rzucił rzeczowo: — Wywiad w granicach od pięciu do dziesięciu minut, tu, na Festynie, na świeżym powietrzu. To zapewni ożywione tło, da okazję do zrobienia efektownych przerywników. Dwie kamery, jeden mikrofon. Będzie to gotowe za pół godziny.

— Czemu nie? To dlatego, że chodzi o ciebie, Klaus. Ale trzysta marek zamiast dwustu znacznie by mi dodało werwy.

— Dobra, dobra, dziewczyno — powiedział uradowany.

— Przecież pieniądze to nie wszystko. A kiedyś dawniej, jak sobie przypominam, do twego honorarium wchodziła też pewna przyjemność.

— Dawniej i ty byłeś o wiele bardziej rozrzutny. — Brigitte uśmiechnęła się do niego, tak jakby stała przed kamerą.

— Ze względów czysto osobistych. Ale tymczasem zaczęłaś interesować się coraz młodszymi. Jak tak dalej pójdzie, to niedługo sięgniesz do zupełnie małych dzieci.

— Dajmy temu spokój — odparł szorstko Battenberg. — Bądź co bądź nigdy nie byłem małosłowny, przynajmniej w stosunku do ciebie. Powiedzmy więc, dwieście marek na pewno, a do tego jeszcze sto marek jako premia, jeśli wydobędziesz z niego to, co ja chcę usłyszeć.

— Czyżbyś chciał położyć na łopatki tego Müllera? Przy mojej pomocy? I to właśnie jego? Przecież on jest w sprawach polityki śliski jak wąż.

— Wystarczy, byś mu zadawała właściwe pytania.

— Jakie?

— Zacziesz całkiem niewinnie, na przykład od tego Festynu, że to istny raj dla ludzi, i dalej w ten sposób. Możesz to spokojnie przeciągnąć w czasie, tak czy owak część z tego się powycina. A potem — tu Klaus Battenberg wydobył z wewnętrznej kieszeni karteluszek — przejdiesz do zagadnień naszej polityki w dziedzinie środków masowego przekazu. A także do wolności myśli i wynikających stąd praktycznych wniosków.

— I tak stanę się swego rodzaju królikiem doświadczalnym.

— A za czterysta marek?

— Zrobi się — zdecydowała Brigitte Scheurer. Bardzo obiecująco skinęła Battenbergowi głową, wzięła od niego karteluszek i zaczęła go czytać.

Była jednak warta swojej ceny.

Wszystko wskazywało na to, że komisarz Krebs uparcie i zdecydowanie uznaje Instytut Medycyny Sądowej, a w szczególności jego filię przy Pettenkoferstrasse, za coś w rodzaju swego stanowiska dowodzenia.

Jego samochód, utrzymujący stałą łączność z Prezydium, stał bezpośrednio przed wejściem. Jeden z jego podwładnych pełnił w westybulu funkcję portiera. Sam Krebs, zupełnie jak u siebie w policji, siedział w niecierpliwym oczekiwaniu przy biurku profesora Lobnera.

Profesor Lobner wręczył mu swoje wstępne rozpoznanie na podstawie zbadania śladów na poszarpanej bieliznie

ofiary: Badanie mikroskopowe ujawniło obecność plemników. Znaczna przewaga kwaśnych fosfomonoesterazów. Przy oglądaniu przez analityczną lampę kwarcową plamki nasienne fluoryzują biało z odcieniem niebieskim. Po przeniesieniu na szkiełko podstawkowe podgrzane nad płomieniem — podwójne zabarwienie plemników: główki czerwone, ogonki niebieskie. Wreszcie określenie grupy krwi — w przygotowaniu.

Asystentka pani doktor Gehrman zbadala tymczasem ofiare. A oto jej stwierdzenia: ciężki uraz tylnej części głowy, ślady ucisku na przegubie lewej ręki — czerwone plamy na nieco startym naskórku, trudno dostrzegalny gołym okiem ślad zadrapania na prawym udzie, zaczerwienienie skóry na brzuchu, sześć centymetrów poniżej pępka, szerokości dużego palca. Następnie — rozpoznano uszkodzenie narządów płciowych. Nie można wykluczyć poważnych obrażeń w górnej części pochwy.

Godzina 22.05

Do Instytutu przybywają dalsi funkcjonariusze, mężczyzna nazwiskiem Wernicke i niejaka panna Leineweber. Wernicke — biolog, specjalista w dziedzinie analizy śladów. Hildę Leineweber należała do kobiecej policji kryminalnej, w skrócie KPK. Po przyjściu zameldowała:

— Wezwana koleżanka Brasch jest nieobecna, w tej chwili bierze udział w nalocie na dom publiczny „masażystek” przy Ungererstrasse. Pan Michelsdorf oddelegował mnie w jej zastępstwie.

— Proszę się zaopiekować tym dzieckiem — polecił jej Krebs. Nie dał po sobie poznać, że mocno go zdziwiło przysłanie przez jego zastępcę tej właśnie, jeszcze w pełni nie obeznanej ze swoim zawodem policjantki.

— A pan zajmie się dolną częścią garderoby tej dziewczynki, spódniczką, figami i pończochami — zwrócił się do przybyłego policjanta.

— A więc śladami mikrowłókien — stwierdził spokojnie Wernicke.

— Wszystkim, co tylko zwróci pana uwagę — odparł Krebs. — Niech pan się stara wykryć wszystko, co się da.

Godzina 22.13, meldunek Michelsdorfa z miejsca przestępstwa:

— Ofiara została zidentyfikowana przez jej ojca. Jest on mocno wzburzony. Prawdopodobne ślady zabezpieczono. Między innymi chustkę do nosa, mocno splamioną, przypuszczalnie spermą.

W odpowiedzi polecenie Krebsa:

— Przerwać badanie miejsca przestępstwa. Wszystkie dotychczas znalezione materiały dostarczyć do laboratorium, przede wszystkim chustkę do nosa. Sprowadzić tu również matkę dziecka, w żadnym przypadku ojca. Niech matka przyniesie ze sobą ubranie dla córki. Należy jej zakomunikować, że nie ma żadnych powodów do obaw.

— Naprawdę nie ma? — zapytał Michelsdorf podejrzliwym tonem.

Krebs na to nie zareagował. Polecił jedynie:

— Służbowe omówienie tego wypadku jeszcze dzisiaj, powiedzmy, o dwudziestej czwartej.

— A co do tego czasu?

— Proszę przejrzeć wszystkie nasze notatki. Niech pan uruchomi także elektroniczne przetwarzanie danych. Chcę wyczerpać wszystkie możliwości! Zrozumiał mnie pan?

— Zrozumiałem — odpowiedział Michelsdorf. Nie potrafił już ukryć zdziwienia z powodu zastosowania w dochodzeniu tak wszechstronnych metod. Był to bowiem, jego zdaniem, przypadek całkiem zwyczajny, jeden spośród wielu podobnych, jakie się ostatnio wydarzyły. Po prostu zdarzenie rutynowe. Należałoby więc je traktować jako takie.

— Po co tyle hałasu? — powiedział sam do siebie, zastanawiając się głęboko. — Coś się tu nie zgadza.

Z notatek funkcjonariusza policji w stanie spoczynku Kellera:

„Z przypadkiem tym, który wkrótce miał wzbudzić prawdziwą sensację, a którego znaczenie od razu zrozumiał,

a przynajmniej wyczuł Krebs, również ja zetknąłem się dość wcześniej. Stało się tak, gdyż zatelefonował do mnie profesor doktor Lobner.

Lobner jest najwyższej klasy specjalistą, jeśli chodzi o zwłoki. Nawet na podstawie kilku kości, i to po upływie paru dziesiątków lat, potrafi określić wzrost, wagę, a nawet rozmaite schorzenia osoby, po której pozostały te szczątki. Wyniki dokonywanych przez niego badań zwłok znajdują uznanie w świecie.

Tego właśnie Lobnera, powołując się zresztą na mnie, sprowadził Krebs do dziewczynki, która została zgwałcona i znajdowała się w ciężkim szoku. Wyglądało to mniej więcej tak, jakby do międzynarodowej sławy lekarskiej zwrócono się z katarem siennym.

Nic dziwnego, że głos Lobnera brzmiał bezradnie, kiedy zadzwonił do mnie z pytaniem, czy nie domyślam się, o co chodzi Krebsowi.

Zapewniłem go jedynie, że pracowałem razem z Krebsem i że jest to człowiek wrażliwy, obdarzony niezawodnym instynktem i wprost twórczą wyobraźnią. Dodałem też, że w naszym zawodzie cechy te w takim stopniu zdarzają się bardzo rzadko.

— Skoro pan tak mówi — oświadczył Lobner wyraźnie zaniepokojony — to na pewno tak właśnie jest.

— Cóż więc pana niepokoi?

— Jeśli mam być szczery, to sposób, w jaki sobie poczyna pański przyjaciel i kolega Krebs. Wie pan, jakie on na mnie robi wrażenie? Kogoś, kto nagle zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę. Krótko mówiąc, urzędnika usiłującego grać w pokera. Mam nadzieję, że się mylę.

— Jestem przekonany, że tak właśnie jest. Krebs z pewnością nie jest hazardzistą. Nie jest także fanatykiem. Jest natomiast bardzo odważny. Jeśli jest czegoś pewny, nie cofnie się przed żadnym ryzykiem. Nie bez kozery nazywają go w Prezydium Archaniołem.

Nie powiedziałem jednak Lobnerowi czegoś istotnego i uczyniłem to rozmyślnie. Nasz Krebs ma mianowicie skłonność, nawet po swoich dwudziestu pięciu latach

harówki w policji kryminalnej, do emocjonalnych, czysto ludzkich reakcji. To właśnie miało się w tym przy padu okazać czynnikiem decydującym, a w ciągu kilku godzin doprowadzić do następstw po prostu katastrofalnych dla wszystkich zaangażowanych w sprawie — w tej liczbie również dla mnie. A nawet dla mego psa Antona".

2

W ciągu nocy z 7 na 8 października, to znaczy z soboty na niedzielę, a więc przedostatniej nocy tegorocznego Festynu Październikowego, można już było ująć rezultaty całego przedsięwzięcia w liczbach. Zanosilo się na nowe rekordy, jeśli nie w zakresie ilości wypitego piwa, to przynajmniej pod względem konsumpcji kurczaków. „Nigdy jeszcze dotychczas nie zjedzono tyle, co tym razem” — donosiła pewna gazeta.

Panował więc odpowiedni nastrój — restauratorzy byli zadowoleni, uczestnicy Festynu najedzeni. Orkiestry dęte głośno przygrywały, kelnerki chodziły rozpromienione, a służby porządkowe niemal szczęśliwe. I to mimo zwyczajki cen — od dziesięciu do dwudziestu procent w porównaniu do ubiegłego roku.

Godzina 22.25

W Namiocie Kuszniaków odbywa się druga rozmowa przywódcy Holzingera z Geigenbauerem, coraz wyraźniej wybijającym się redaktorem naczelnym radia i telewizji. Jej przebieg jest bardziej poufny i dotyczy bardziej konkretnych spraw niż poprzednia.

Holzinger: Polityka, mój drogi, wszelka polityka, to zawód. To nie darowany koń, któremu nie zagląda się w zęby. Nieraz trzeba za nią płacić. Jest pan na to przygotowany?

Geigenbauer: Naturalnie! Choćby mi było trudno, na przykład materiał obciążający...

Holzinger: Obciążenie jednego jest zarazem odciążeniem kogoś innego. Kto chce zajść wyżej, musi pokonać wszelkie przeszkody. I to w najbardziej zdecydowany sposób. Niech więc pan wyklada cały materiał, jaki pan ma. Chodzi nam nie tyle o jakąś pojedynczą osobę, ale w miarę możliwości o cały aparat. A my już zrobimy z tego użytek. Mój Neumann jest specjalistą od takich spraw. Niech mu pan nie daje zbyt długo kręcić się bez roboty.

Huber Trzeci, siedząc obok Berta Neumanna, usiłował go „rozgryźć”, posiłkując się alkoholem. Tymczasem „wesole krowiaste stworzenie”, nudząc się wyraźnie w towarzystwie posła do Landtagu, zerkało zachęcająco w stronę Holzingera.

W tym samym czasie na Bavariastrasse Erwin Müller udzielał wywiadu Brigitte Scheurer. Było to piętnaście minut ważkich wypowiedzi. Wyglądało na to, że Klaus Battenberg jest zadowolony.

Po zakończeniu wywiadu Müller zagadnął Brigitte, dlaczego zadawała mu takie właśnie, w owej chwili bardzo drażliwe pytania. Bez żenady odparła mu, że całkiem po prostu same jej przyszły na myśl. Gdy Müller zaprosił ją „na piwko”, nie odmówiła, widząc, że Battenberg skwapliwie temu przytakuje.

W Namiocie Szkockim Lauferer z Frankfurtu nadal był zajęty rozmową z monachijskim dyrektorem telewizji. Po wstępnej nieobowiązującej wymianie grzeczności przeszli do gorących zapewnień o tak zwanej przyjacielskiej szczerości.

Lauferer: Jeśli chce pan osiągnąć sukces, szanowny panie, musi pan działać bardziej energicznie. Chodzi przecież o podstawowe zasady naszego życia publicznego! W jawny sposób ktoś usiłuje wolność przekonań, zagwarantowaną przez konstytucję, przehandlować temu, kto da więcej.

Dyrektor telewizji: To naprawdę godne ubolewania, ale ja zawsze się starałem...

Doktor Weinheber, przyłączając się do rozmowy: W tym przypadku chodzi przede wszystkim o zaspokojenie potrzeb kulturalnych i artystycznych. To właśnie powinniśmy stale mieć na względzie.

Czcza gadanina bawiła Erwina Müllera. Jednocześnie z coraz większym zainteresowaniem przyglądał się siedzącej obok Brigitte Scheurer. Wydawała mu się osobą niezwykłą i dość obiecującą.

W tym samym czasie w Instytucie Medycyny Sądowej profesor Lobner był zajęty badaniem chustki do nosa, znalezionej w miejscu przestępstwa. Pani doktor Gehrman pracowała nad swoim orzeczeniem, a funkcjonariuszka policji kryminalnej Hildę Leineweber czuwała nad ofiarą, która nadal leżała uśpiona.

Wernicke, biolog i technik kryminalistyki, zameldował:

— Wygląda na to, że poszukiwanie mikrośladów dało wynik dodatni.

Godzina 22.29

Pani Erna Dambrowska, lat 34, pojawiła się w instytucie Lobnera z dużą torbą. Miała w niej, zgodnie z zaleceniem, odzież dla swojej córki. Zażądała, żeby ją zaprowadzono do Gudrun. Zgodnie z wydanym poleceniem, zameldowano o jej przybyciu komisarzowi Krebsowi.

Prezydium Policji, o tej samej godzinie

Jeden z inspektorów w ośrodku elektronicznego przetwarzania danych pracował nad uzyskaniem z pamięci maszyny szczegółowych danych zbieżnych z badanym przestępstwem. Wprowadził w tym celu wszystkie dotychczas ustalone elementy: czas, cechy przestępstwa, charakterystyczne szczegóły. W wyniku stwierdził, że dotychczas zarejestrowano już pięć podobnych przypadków. Aż pięć!

Również w Prezydium Policji

Powtórne dokładne przesłuchanie potencjalnych świadków przestępstwa — owej pary kochanków. Nie wniosło ono nic nowego, tylko potwierdzenie poprzednich zeznań.

Znów w Namiocie Kuszników. Tym razem Holzinger w poufnej rozmowie z dyrektorem Streicherem z kancelarni Weltera. Obaj konfidencjonalnie nachyleni do siebie.

Streicher: Umowa stoi. Pozostaje tylko sprawa pieniędzy. Jesteśmy gotowi wypłacić każdą sumę, jeżeli nam się to opłaci.

Holzinger: Jaką sumę?

Streicher: Niech pan zaproponuje.

Holzinger, śmiejąc się serdecznie: Czyżby pan chciał zastawić na mnie pułapkę, szanowny panie dyrektorze? To ja oczekuję na pańskie propozycje.

Godzina 22. 38

Znów w Instytucie Medycyny Sądowej

Profesor doktor Lobner poprosił właśnie do siebie Krebsa i swoją asystentkę, panią doktor Gehrman.

Lobner: Proszę się temu przyjrzeć. Jest to chustka do nosa, znaleziona w pobliżu miejsca przestępstwa. Co w niej zwraca państwa uwagę?

Gehrman: Plamy spermy, do rozpoznania gołym okiem. Oprócz tego trochę zabrudzona, przypuszczalnie śluzem z nosa. Na tej podstawie da się określić grupę krwi.

Lobner: Przestępcę ma prawdopodobnie grupę krwi zero-wą, a jego ofiara, jak się wydaje, grupę A.

Krebs: Na podstawie materiału dowodowego można by wysunąć przypuszczenie, że przestępca swoją ofiarę zgwałcił i poplaścił, po czym usiłował plamę zetrzeć.

Lobner: Przy podobnym postępku odruch zadziwiająco ludzki, nie sądzi pan?

Krebs: Wskazywałyoby to na przestępcę, który nie zatracił jeszcze resztek wrażliwości. I to w połączeniu z pragnieniem dokonania gwałtu. Mogłoby to wskazywać na poważne schorzenie, a więc na możliwość nieobliczalnego nasilenia się okrucieństwa.

Lobner, wyraźnie zaniepokojony śmiałym wnioskiem komisarza policji: Drogi panie, dowie się pan tego dopiero wtedy, kiedy przestępca znajdzie się w pańskich rękach. Na razie ma pan do dyspozycji jedynie chustkę do nosa. Jej właśnie powinien pan się przyjrzeć bliżej, nie tylko ze względu na pozostawione na niej ślady, lecz także ze względu na nią samą. Nie zauważa pan na niej nic szczególnego? Także pani, koleżanko, że się tak wyrażę, jako kobieta?

Dopiero teraz pani doktor zorientowała się, o co chodzi.

— Ależ tak, ma pan rację, panie profesorze! To jakaś zupełnie niezwykła chustka. Na pewno nie jest to żaden wyrób seryjny. To przecież czysty jedwab, a ten kunsztowny haft przedstawia wzór orientalny. Może pochodzić z Bałkanów albo z Bliskiego Wschodu. W każdym razie jest to rzadki, raczej luksusowy przedmiot.

Krebs: Zatem jeszcze jedno potwierdzenie mojego przypuszczenia. Jest to właśnie to, czego się obawiałem. Ten przestępca jest bardzo niezwykłym osobnikiem. Muszę go ująć, zanim stanie się mordercą!

Huber Trzeci, osobisty sekretarz Holzinger — wciąż jeszcze w Namiocie Kuszników — zajął się Bertem Neumannem. Starał się przy tym podsłuchiwać, o czym jego przełożony rozmawia z naczelnym redaktorem i dygnitarzem koncernu Weltera. Niewiele mógł usłyszeć, zbyt wielki panował tam hałas, zwłaszcza teraz, w ciągu oficjalnie ostatniego kwadransa przedostatniego dnia Festynu Październikowego.

Huber Trzeci przepił do Neumanna i nachylił się do niego-

— Czego szef chciał od ciebie?

— Tego samego, co zawsze — odparł przezornie Neumann. — Pytał, co o tym myślę.

— A co ty myślisz?

— Zawsze to, co potwierdza, uzupełnia i rozszerza tok jego własnego myślenia. Cóż by innego?

— O co więc chodzi tym razem?

— Po co pan pyta? — odparł Bert Neumann z głębokim znużeniem. — Przecież sam pan dobrze wie.

— Ma się rozumieć, że wiem — wyjaśnił rubasznie Huber Trzeci. — Ale ty masz mi to powiedzieć. Ażebym się przekonał, czy masz do mnie zaufanie.

Bert Neumann, udręczony, zamknął oczy, złożył ręce jak do modlitwy i powiedział: — Robię, co mogę. Ale po co wciąż od nowa te naciski? Po co ten przymus? Ta okropna presja zewsząd? To mnie przytłacza...

Cokolwiek się działo wokół niego, całe jego życie było nieprzerwanym pasmem upokorzeń, nieporozumień i przykrych zajęć. Miał wokół siebie samych prześladowców.

Podobnie było wtedy, kiedy próbował pocieszyć ową ładną, delikatną i milutką panią z sąsiedniego domu, kiedy płakała na jego ramieniu nad swoim życiem u boku męża. Akurat wtedy zjawił się ten mąż i zbił go okrutnie — jego, który wcale się nie bronił i cierpiał za nią. Ona zaś wskazała na niego i oskarżyła: — On na mnie napadł!

Na to jej mąż nadepnął mu na brzuch, mierząc dokładnie poniżej pasa. Neumann spędził potem trzy tygodnie w szpitalu, nie wspominając ani słowem o tej pani ani o jej mężu. Przemilczał sprawę.

— Bert, dobrze wiem, że piekielnie subtelny z ciebie facet! — zaśmiał się Huber Trzeci, podsuwając Neumannowi świeżo nalaną szklankę piwa. — Jesteś, że tak powiem, niesłychanym delikacikiem, ale teraz należysz już do nas. Z wszystkimi płynącymi stąd konsekwencjami. To się opłaca, także finansowo. Nie zapominaj jednak nigdy, że to ja ci się wystarałem o tę robotę. Mam nadzieję na wspaniałą współpracę.

— Jestem do niej gotów! Nie wiem tylko, do czego Holzinger rzeczywiście zmierza.

— No dobrze, nie wiesz, ale się domyślasz. Oświeć więc mnie w ramach naszej współpracy.

Bert Neumann skinął posłusznie głową. — Chodzi o politykę w zakresie środków przekazu. Jak mi się zdaje, Holzinger jest zdecydowany uznać ją za główny cel swego działania.

— I dlatego, sądzisz, zgromadził wokół siebie te marionetki?

— Wszyscy są figurami w partii szachów, a on ją rozgrywa. Geigenbauer chce zostać dyrektorem telewizji na miejsce obecnego dyrektora, który okazał się nie dość sprawny we współpracy politycznej. Poseł do Landtagu Mausbach, jak się wydaje, może się stać, wspólnie ze swoją towarzyszką, czynnikiem stabilizującym.

— Dyrektor Streicher od Weltera chce inwestować, aby potem mieć coś do powiedzenia. A ty?

— Ja tylko wciąż zbieram materiały, dla polityków, związków, gazet i wszystkich, którzy tylko pozwalają się informować. Wystarczy tych wiadomości?

— No tak! — Huber Trzeci pochwycił swój kufel. — Wiesz, jakie czasem robisz na mnie wrażenie? Mocno sentymentalnego dupka. Zdaje się, że tak ogólnie wiesz, jak wyglądają rzeczywiste stosunki. Próbujesz się nawet do nich dostosować. Ale robisz to bez żadnego rozmachu! Nie przejawiasz odpowiedniego zapału do naszej sprawy! Chłopie! Dlaczego się całkiem nie włączysz?

— Ostatecznie jestem tylko dostawcą pomysłów, kulisem na każdą nadarżającą się okoliczność.

— Nie wyskakuj z czymś podobnym, chłopie! Masz rozum, ale pozwalasz sobie na zbyt wiele uczucia! Chcesz pracować dla śpiących rycerzy? Praca u nas to zajęcie dla psów gończych. Ale ty nie umiesz tropić. Nie masz serca do sprawy, nigdy nie masz właściwego podejścia. To przecież musi nas martwić.

— Wybacz pan — powiedział Bert Neumann jak zwykle ostrożnie — ale mogę sobie chyba pozwolić na jakieś życie osobiste.

— Co ci znów chodzi po głowie, chłopie? W zasięgu władzy naszego Holzingera? On ma gdzieś wszelkie życie osobiste z wyjątkiem swego własnego. Poza tym on nie przepuści nikomu z naszej gromady. Ale ty raz po raz, że się tak wyrażę, w jego obecności bierzesz ogon pod siebie. Dlaczego? Z jakiego powodu? Może ze względu na swoją żonę?

— Proszę nie mieszać w to mojej żony! — zaprotestował, tym razem stanowczo, Bert Neumann. — Jej osoba to nie temat do naszej rozmowy.

— Dlaczegoż by nie? — zareplikował z miejsca Huber Trzeci. — Twoja żona jest podobno, jak mi mówiono, całkiem do rzeczy. Nasz szef też się nią zainteresował. Dlaczego nie pokażesz jej nam kiedyś? A może uważasz, że szkoda jej dla nas?

— To wszystko tutaj to nie jej świat — oświadczył wymijająco Bert Neumann.

— Czyżby ci ona przeszkadzała myśleć o naszych sprawach? — Huber Trzeci poczuł się mocno ubawiony. — Chłopie, bardzo mnie zaciękało to, co mówisz o swojej szanownej małżonce!

Podniósł kufel piwa i stuknął się z Neumannem. Orkiestra dęta grała właśnie marsza *Per aspera ad astra*. Przy zdenerwieniu kufli ich zawartość przelała się przez brzeg i ochlapała Neumannowi koszulę i spodnie. Neumann wzdrygnął się i spojrzał z odrazą na plamy. Po czym zapytał:

— Ma pan chustkę *do nosa*?

— Miałem — odparł niedbale Huber Trzeci — ale mi się gdzieś zapodziała, diabli wiedzą gdzie i kiedy. Ale na co ci chustka? Plamy po piwie to na Festynie Październikowym zwyczajna rzecz. To tak jak swego rodzaju odznaczenie.

Dalsze informacje J. F. Ettenkoflera udzielone Kellerowi:

— Wśród tych polityków, szanowny panie, dzieje się w istocie rzeczy wcale nie inaczej niż wśród zawodowych bokserów. Wybija się najmocniejszy. Ale na tym nie ko-

nieć. Bo każdego ktoś kiedyś wyrzuci z miejsca i załatwi na zawsze. Zdarza się to częściej, niżby się kto spodziewał.

W naszej ówczesnej sytuacji pod niektórymi względami miał przewagę Müller. Jest o dziesięć lat młodszy od Holzingera i dopiero wchodził na scenę polityczną. Rozgrywał sprawę o wiele ostrożniej i, powiedziałbym, mądrzej. Sądził, że może sobie pozwolić na odczekanie. Holzinger jest jednak człowiekiem czynu. Kiedy Müller jeszcze się zastanawiał, on już działał, i to ze zdumiewającą konsekwencją. Posługiwał się przy tym metodami, które pewnych ludzi przerażały. To rasowy polityk.

W każdym razie poszło nagle nie o politykę, ale o przestępstwo obyczajowe, a później nawet o morderstwo. A stało się to wszystko tylko dlatego, że pański kolega Krebs przekroczył wszystkie swoje uprawnienia i przeprowadził sprawę w sposób niebezpieczny nawet dla niego samego.

Keller rzucił uwagę: Z początku wszyscy byliśmy zdumieni, bo nikt nie potrafił, także i ja sam, zorientować się, w jaką awanturę się Krebs wmieszał. A zrobił to całkiem świadomie. Współczułem mu wtedy.

Ettenkofler: Ja także dostałem się w tryby tej maszyny rozpoznawania przestępstwa, maszyny bardzo wątpliwej wartości.

Keller: Wszyscy muszą być przygotowani na takie ryzyko. Każdy może nieoczekiwanie stanąć twarzą w twarz z okrutną śmiercią. Dla nas, pracujących w policji kryminalnej, jest to chleb powszedni.

Chcę się dostać do mojego dziecka, do Gudrun — powiedziała kobieta z torbą w ręku. Funkcjonariusz stojący w hallu i pilnujący wejścia do Instytutu Medycyny Sądowej powiadomił komisarza Krebsa, a ten pojawił się niezwłocznie. Podeszedł do przybyłej powoli, jakby się chcąc zorientować, z kim ma do czynienia. W ciągu sekundy stwierdził, że pani Dambrowska jest jeszcze bardzo młoda, ma około trzydziestu lat, i odznacza

się typową bawarską wiejską urodą. Ciemnowłosa, z lekką skłonnością do tycia, z owalną twarzą w typie Madonny o gładkiej, lśniącej skórze. Oprócz tego Krebs stwierdził, że nie przypomina ona swojej córki Gudrun.

— Niech się pani już o nic nie martwi — uspokoił ją komisarz. — Pani córka, zważywszy okoliczności, ma się zupełnie dobrze. Nic nie zagraża jej życiu, a tu jest całkowicie bezpieczna.

— Co jej się stało?

— To, co niestety zdarza się od czasu do czasu, ale nie zawsze przebiega tak stosunkowo łagodnie, jak to było w jej przypadku. — Krebs ujął panią Dambrowską pod rękę i podprowadził ją do ławki stojącej w hallu. Usiadł obok niej. — Pani córka natknęła się na kogoś, kogo można uznać za chorego.

— Czy on ją napadł, a potem...?

— Nie wydarzyło się ani jedno, ani drugie — usiłował jej wyjaśnić Krebs. — Spotkanie było bardzo groźne, ale jego przebieg nie okazał się szczególnie brutalny.

— Chciałabym zobaczyć moje dziecko. Będę mogła ją zabrać do domu?

— Tak, będzie pani mogła, jeśli pani tego bezwzględnie zażąda. Jednak nie radziłbym pani. Tu córka ma doskonałą opiekę. Oczywiście może pani pozostać z nią, jeśli tylko pani sobie tego życzy.

— To niemożliwe — powiedziała pospiesznie pani Dambrowską. — Mój mąż nie zgodzi się na to.

Krebs coraz uważniej przyglądał się siedzącej obok niego kobiecie. Wreszcie odezwał się cedząc słowa:

— Pani córka nie jest zbyt podobna do pani. Wydaje się, że przypomina raczej pani męża?

— Swego ojca! Gudrun urodziła się jeszcze przed moim ślubem. Nie jest dzieckiem mojego męża.

— W każdym razie pani córka jest dzieckiem bardzo delikatnym. Pewnie jest też niezmiernie wrażliwa.

— Panie komisarzu — zapytała znów pani Dambrowską, jakby pod wpływem nowego postanowienia — czy uważa pan za możliwe, by moje dziecko... a więc moja Gudrun sama była winna tego zajścia?

— Skąd pani to przyszło do głowy?

— Mój mąż myśli... że może Gudrun lekkomyślnie, z pełną ufnością...

— Nie — odpowiedział zdecydowanie Krebs. — Nie wskazuje na to ani prawdopodobny przebieg zajścia, ani dotychczasowe wyniki śledztwa, ani też orzeczenie lekarskie. Gudrun odniosła mało obrażeń zewnętrznych, ale przeżyła szok psychiczny. Niech pani ją tu zostawi.

— Ale mój mąż się nie zgadza.

— No tak, ale on nie jest ojcem Gudrun, jak mi pani w zafaniu powiedziała. Natomiast pani jest matką. Może pani wyjaśnić mężowi, że ja się upierałem, by pani dziecko pozostało w szpitalu. Czy pani się czymś jeszcze niepokoi albo się czegoś obawia?

— Czy może się zdarzyć, że to się dostanie do którejś gazety?

— Dlaczego pani o to pyta?

— Dlatego, że z tego mogą wynikać poważne nieprzyjemności. Obawiam się, że nie tylko dla mnie, ale dla nas wszystkich. A zwłaszcza w razie gdyby się o tym dowiedział prawdziwy ojciec Gudrun. Musi pan wiedzieć, że jest to bardzo szanowany i wpływowy obywatel naszego miasta, o głośnym nazwisku, które na pewno i panu jest znane.

— Och, niech to będzie, kto chce! Kogo to może obchodzić? Tylko panią, nikogo więcej. Nas także to nie obchodzi. Poza tym my z zasady nie podajemy ani nazwisk, ani innych szczegółów związanych z przestępstwami obyczajowymi żadnym środkiem przekazu. A już w żadnym przypadku nazwisk ofiar. Szukamy przestępcy! Pomoże nam pani?

W Namiecie Szkockim obserwatorzy sceny rozgrywanej się przy stole Erwina Müllera zarejestrowali „swobodną atmosferę wzajemnego zrozumienia”. Należało sądzić, że teoretyczne rozmowy na temat środków przekazu zakończyły się sukcesem. Dyrektor telewizji z wyraźną ulgą przepił do doktora

Weinhebera, potem obaj unieśli kufle w stronę pana Lauferera z Frankfurtu.

— Nie ma nic lepszego niż gotowość do wzajemnego zrozumienia opartego na wspólnym interesie — żwawo przekrzykiwał świąteczną zabawę potentat prasowy z Frankfurtu.

— Zawsze w interesie naszego kraju i jego obywateli! — bez zmrużenia oka stwierdził dyrektor telewizji.

Erwin Müller uprzejmie uniósł kufel, przytknął go do ust, upił z niego niewiele. Pomimo to wyglądał, jakby dokonał doniesłego pociągnięcia. Robił wrażenie zadowolonego, jego śmiech brzmiał prawie swobodnie. Siedział teraz pomiędzy doktorem Weinheberem a znaną z telewizji Brigitte Scheurer.

— Dobrze się pan tu czuje? — zapytała. — Nie należy pan przecież do największych krzykaczy.

— Kiedy koniecznie trzeba, to i ja potrafię być bardzo głośny — zapewnił ją Müller, udając wesołość.

— Tak głośny jak Holzinger?

— Szanowna panno Scheurer — oświadczył pouczającym tonem Weinheber, który dotychczas uważnie przysłuchiwał się rozmowie. Jego przystojna twarz odtwórcy ról bohater-skich przybrała poważny wyraz. — Uprawia pani piękny zawód. Pani zadaniem jest podobać się ludziom, i rzeczywiście podoba się pani. Jest pani podziwiana i lubiana. Politykom też czasem zachciewa się czegoś podobnego, jednakże znacznie bardziej potrzebny jest im szacunek, a być może powinni nawet wzbudzać obawę, jeśli chcą osiągnąć jakiś znaczniejszy sukces.

— To nie takie proste — wyraziła swoją opinię lekko rozbawiona Brigitte Scheurer.

— Ale kiedy ten mechanizm już działa, wówczas osiągnięcia nie dają na siebie czekać. Działa on jednak tylko wtedy, gdy ktoś stale nad nim czuwa.

— A to nie jest znów takie łatwe dla tych pań, do których to należy — odrzekła z lekka prowokacyjnie Brigitte.

— Żony polityków przyzwyczajają się do tego — zripostował Weinheber. — Na szczęście ułatwia im to właściwa kobietom umiejętność dostosowania się do sytuacji. Szcze-

golnie gdy są dość rozsądne, by unikać niepotrzebnych trudności.

— My zaś ze swej strony staramy się nie wymagać od naszych żon zbyt wiele — uzupełnił skwapliwie Müller. — Ja na przykład oszczędzam swojej żonie zbyt ciężkich obciążeń, jak, powiedzmy, uczestnictwa wraz ze mną w takim wieczornym spotkaniu jak dzisiejsze. Ma przecież na głowie dom i dzieci.

— Ma pan zapewne urocze dzieci — powiedziała spontanicznie Brigitte Scheurer. — Zresztą pańska żona robi bardzo sympatyczne wrażenie, jest taka macierzyńska. Ożenił się pan bardzo młodo, prawda?

Weinheber pospiesznie odpowiedział za Müllera: — Ja na przykład nie jestem zbyt biegły w etyce chrześcijańskiej, ale wierzę w rolę rodziny w stabilizacji pewnego porządku.

— Właśnie pan! — zawołała nieco zbyt żywiołowo Brigitte. — Przecież podobno ma pan przyjaciółkę, i to zapewne za zgodą pańskiej żony.

— A gdyby nawet? — zaśmiał się Erwin Müller, aby rozładować atmosferę. — Nasz Weinheber jest duszą artystyczną, toteż łatwo o podobną sytuację.

— A pan? — dopytywała się Brigitte.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, podniósł się bowiem dyrektor telewizji, zachwiał się i z pewnym wysiłkiem zwrócił się do Müllera: — To był niezwykle interesujący wieczór. Wymieniliśmy ważne myśli, odbyliśmy ciekawe rozmowy...

— Uważam, że znaleźliśmy odpowiednią bazę intelektualną. — Tu Müller oburącz uchwycił dłoń, którą mu podał dyrektor telewizji. — Jest pan oczywiście zwolennikiem gruntownie przemyślanych przygotowań, podobnie jak ja. Dopiero na takiej podstawie można podejmować praktyczne działania i umawiać się w sposób wiążący.

— Kiedy mniej wiążący?

— Może nawet jutro, w razie gdyby sytuacja rozwinęła się szybciej, niż myślę. Cieszyłbym się, gdybyśmy się spotkali jutro na poświęceniu Studni Zwierząt. Mam tam wygłosić przemówienie. Potem moglibyśmy razem zjeść obiad.

— Dziękuję za zaproszenie, panie Müller. Chętnie przyjdę. Przyślę też ekipę...

Dyrektor telewizji wykonał niepewny ukłon i odszedł chwiejnym krokiem.

Lauferer ze zdziwieniem zapytał Müllera: — Naprawdę do niczego się pan wobec niego nie zobowiązał? Niczego mu pan nie obiecał?

Brigitte Scheurer, choć mocno nastawiała ucha, nie dosłyszała odpowiedzi Müllera, bo właśnie odezwał się do niej Weinheber. Powiedział dobitnie: — Szanowna panno Scheurer, jeśli panią przypadkiem interesuje życie prywatne polityków, to tym razem szukała pani pod niewłaściwym adresem. Radziłbym w tej sprawie zwrócić się do Holzingera. Od niego się może pani pod tym względem spodziewać znacznie więcej.

Radca kryminalny Martin Zimmermann, z urzędu odpowiedzialny za śledztwa w sprawach morderstw i za zadania specjalne, a chwilowo również zastępujący dyrektora policji kryminalna zajętego obowiązkami reprezentacyjnymi, miał zwyczaj późnym wieczorem robić obchód Prezydium. Przemierzał wtedy gabinety kierowników poszczególnych wydziałów, przypominając przy tym po trosze wężącego wyżła.

Około godziny 23, po zlustrowaniu służby dyżurnej i odwiedzeniu wydziałów kradzieży i rabunków, oszustw i fałszerstw, ścigania oraz pożarów wstąpił także do obyczajówki z nadzieją, że spotka tam swego przyjaciela Krebsa i swobodnie z nim porozmawia na tematy związane z ich fachem specjalistów od kryminalistyki. Jednak tego dnia przy biurku Krebsa zasiadał Michelsdorf.

Zimmermann nie okazał ani śladu rozczarowania. Zapytał jakby nigdy nic: — No, co nowego u was słyhać? Jeżeli w ogóle w waszej sprośnej instytucji może się wydarzyć coś nowego. Chyba od tysięcy lat nie zmieniły się wykro-

czenia przeciw obyczajności, zmienne tylko są wciąż ceny i środki płatnicze.

— Mimo wszystko i u nas zdarzają się dziwne przypadki. Dziś w nocy zatrzymaliśmy dwóch takich. Jeden to dwudziestosześcioletni murarz, który systematycznie kradł damską bieliznę rozwieszoną na sznurach do suszenia, koszule, majtki, biustonosze, po czym je darł i zapaskudzał. Przyłapaliśmy go na gorącym uczynku. Drugi to kierownik kasy oszczędności, w wieku pięćdziesięciu lat; ten z kolei zabawiał się, ze względów czysto seksualnych, przekłuwaniem opon samochodowych. Został zatrzymany i przyznał się do winy.

— A czym zajmuje się komisarz Krebs?

— Sprawą usiłowania popełnienia gwałtu na dziecku.

— Czy chodzi w tym przypadku o coś szczególnego?

— Zapytał lekko zdziwiony Zimmermann.

— Moim zdaniem nie — oświadczył ostrożnie Michelsdorf. — Ale według pana komisarza Krebsa zapewne tak.

— A w czym rzecz?

— Nie wiem dokładnie, panie radco. Dla mnie pewne jest dotychczas tylko tyle, że mamy tu do czynienia z notorycznym przestępcą, który się ostatnio pojawił. W każdym razie działa on w jedwabnych rękawiczkach, to znaczy, poczyną sobie delikatnie. Być może dopiero zaczyna. Uważam, że taką sprawę należy traktować rutynowo.

— Należy, ale się nie traktuje — stwierdził głośno Zimmermann. — Co pana upoważnia do takiego przypuszczenia?

— Pan komisarz Krebs przewiózł dzisiejszą ofiarę, dziesięć czy jedenastoletnią dziewczynkę, wprost z miejsca wypadku do instytutu profesora Lobnera, a był to już czwarty wypadek z serii podobnych wydarzeń. Zawiózł ją przy tym osobiście. Potem wezwał z Prezydium najlepszych specjalistów do badania śladów i mikrośladów. Ponadto zostały postawione w stan alarmu wszystkie patrole w pobliżu Theresienwiese. Zupełnie jakby to była sprawa kryminalna najwyższej rangi.

Czy to ma znaczyć, panie kolego, że podaje pan w wątpliwość metody stosowane przez pańskiego przełożonego? — zapytał radca kryminalny.

— W żadnym wypadku — zapewnił go skwapliwie starszy inspektor. — Wydaje mi się tylko godne uwagi to całkiem rzadko praktykowane postępowanie: Zaangażowanie ekspertów, zbyt wielu jak na rutynowy przypadek, za jaki należy uznać to przestępstwo, no i włączenie do akcji takiej światowej sławy jak profesor Lobner, wobec czego...

— Przypuszcza pan więc, że strzela się tu z armaty do komara?

— Nigdy bym sobie nie pozwolił na coś podobnego, panie radco! Ma się rozumieć, wykonuję wszystkie wskazania czy rozkazy mojego bezpośredniego przełożonego, choć tym razem nie potrafię tak całkiem się zgodzić z poglądami pana Krebsa, który sądzi, że przestępcy należałoby szukać w wyższych sferach. Parę szczegółów może rzeczywiście na to wskazywać, ale wiem doskonale, że podobne przypuszczenie jest rażąco sprzeczne z naszymi normalnymi doświadczeniami w tej dziedzinie.

— Niech pan posłucha, Michelsdorf — odezwał się szorstko Zimmermann — czy u nas cokolwiek jest przynajmniej z grubsza normalne? No tak, w przypadku prawie każdego przestępstwa można dowieść statystycznie pewnych zgodności. Musimy jednak stale zważać na to, że mogą zdarzyć się wyjątki, których istnienie ma ponoć potwierdzać regułę. Sądzi pan, że w tym przypadku jest to wykluczone?

— Oczywiście nie, panie radco.

— Czy nie uważa pan za bądź co bądź możliwe, że pan Krebs natknął się właśnie na wyjątek?

Uważam to za możliwe — zapewnił go Michelsdorf z pewnym przymusem, wiedział bowiem o znanej w całym urzędzie przyjaźni łączącej Zimmermanna i Krebsa.

— Proszę więc sporządzić pełny wykaz zdarzeń tego wieczoru w zakresie przestępstw obyczajowych — zarządził ostrym głosem radca Zimmermann, już lekko zaniepokojony. — Niech mi pan go niezwłocznie przedstawi. A kiedy pan Krebs przyjdzie z powrotem do biura, niech się u mnie pokaże. Pozostanę w Prezydium przez całą noc.

Monachijski Festyn Październikowy kończył się codziennie koło jedenastej wieczorem. W ciągu paru minut zatrzymywano kolejki ósemkowe, diabelskie koła i karuzele. Restauracje podające kurczaki wyłączały prąd zasilający piekarniki o pół godziny wcześniej. Z namiotów, gdzie sprzedawano piwo, goście wysypywali się na wolną przestrzeń przy życzliwej, ale zdecydowanej pomocy służb porządkowych.

Policja — a na czas trwania tej imprezy o światowym rozgłosie utworzono jej specjalną, nader sprawnie działającą jednostkę — miała tym razem, podobnie zresztą jak co dzień, pełne ręce roboty: odwożenie pijanych, doprowadzanie rannych i pobitych do namiotu-ambulatorium, poszukiwanie zaginionych dzieci, legitymowanie nietrzeźwych kierowców, rejestrowanie całych tuzinów kradzieży kieszonkowych.

W ciągu ostatniej godziny przed północą tysiące rozweselonych konsumentów piwa i kurczaków wyruszały w drogę do domu, stapały ociężale, zataczając się, a niejednen z nich miał ochotę na dalszy ciąg świętowania. Możliwości w tym względzie istniało mnóstwo.

Było otwartych jeszcze około trzydziestu lokali wokół Theresienwiese, a w niektórych z nich przygrywała do tańca nastrojowa muzyka. W pobliskim śródmieściu także oczekiwały na niezawodne pojawienie się hulaków z Festynu następne dwa tuziny nocnych lokali. Komendant odpowiedniej jednostki policji zarządził baczną obserwację również tych przedsiębiorstw rozrywkowych drugiego rzutu. Przydzielono mu w tym celu dodatkowo kilkuset funkcjonariuszy w cywilu, powiększył więc wydatnie liczbę swoich patroli. Była to bowiem pora znakomitej koniunktury dla wszelkiego rodzaju hien i szakali żerujących na działalności rozrywkowej.

Co bardziej bywali uczestnicy Festynu długo jeszcze o tej porze nie opuszczali terenu Theresienwiese. Ciągnęli do „Hipodromu”. Ten renomowany, od dawna znany zakład, stanowiący coś w rodzaju ujeżdżalni połączonej z lokalem rozrywkowym, był czynny oficjalnie do wpół do pierwszej w nocy.

„Hipodrom” mieścił się w długim namiocie, poprzedzianym świetlnymi girlandami oraz bladożółtymi i jaskrawoczerwonymi wstęgami. Tuż przy wejściu była arena — sześć koni, sześciu chłopców stajennych, dwóch poganaczy. Jedna jazda kosztowała 3 marki, jedna róża na długiej łodydze 3,50. W wysoko umieszczonej galerii produkował się sześciuosobowy zespół instrumentalny ze swoją muzyką odpowiadającą duchowi lokalu.

Bywała tam zazwyczaj tak zwana śmietanka. Tego wieczoru zasiadali tam: pewna amerykańska wokalistka, popularny bawarski aktor, dwaj wybitni niemieccy piłkarze i trzy modelki ze swoją międzynarodową switą.

Przy zarezerwowanym uprzednio stole w głębi na prawo znalazł się tam również Holzinger ze swoim orszakiem — Huber Trzeci, Neumann, poseł do Landtagu Mausbach ze swoją towarzyszką, dyrektor Streicher z koncertu Weltera. Przy innym natomiast, również zarezerwowanym stole, ale w głębi na lewo, zasiadali Müller z Weinheberem, do tego Lauferer, a między nimi Brigitte Scheurer, olśniewającej urody prezenterka miejscowej telewizji. Wyglądało na to, że przy obu stołach goście bawią się znakomicie.

— Tamci szczerzą zęby — uznał za wskazane stwierdzić Huber Trzeci, siedzący tuż obok Holzingera. — Ale wysoko nie podskoczą.

— Obawiam się, że to złudne wrażenie, podobnie jak wiele innych — zauważył ostrzegawczo Neumann.

Holzinger jakby tego nie dosłyszał. Zwrócił się do Hubera Trzeciego: — Sprawdź no, jakie mają tętno.

— Ja bym nie radził — przemówił Neumann z pewnym wysiłkiem; za dużo musiał wypić tego wieczoru. — Ten Müller nie da przecież niczego po sobie poznać.

— Ale my wiemy, co się za tym kryje — odrzekł butnie Holzinger.

Huber Trzeci podniósł się natychmiast. Opuścił górny sektor lokalu, gdzie na stołach przykrytych błękitnymi obrusami wśród eleganckiej zastawy widniały tabliczki informujące, że tu się podaje szampana. Rozmyślnie niedbałym krokiem powlókł się do głównego baru rozmieszczonego w głębi. Wisiało za nim lustro, a wokół na wysokich stoł-

kach tłoczyli się skorzy do płacenia kawalerowie i gotowe, by ich zachęcać do picia, damy.

Dotarłszy tam Huber Trzeci skinął na któregoś kelnera i wetknął mu banknot. Kelner podszedł do stołu Müllera i nachylił się konfidencjonalnie do doktora Weinhebera. Ten, odczekawszy na przyzwalające skinienie Müllera, podniósł się i zdecydowanym krokiem podszedł do Hubera Trzeciego.

— Chciał pan ze mną mówić? — zapytał z rezerwą.

— Czego pan chce?

— Chciałem tylko powiedzieć panu dzień dobry, a raczej dobry wieczór.

Huber Trzeci nauczył się od swego szefa, jak rozgrywać podobne sytuacje. Przybrał jowialnie serdeczną pozę, klepnął Weinhebera po ramieniu, nie bacząc na to, że ten się lekko odsuwa, po czym głośno się roześmiał.

— Mam nadzieję, drogi panie, że bawi się pan znakomicie. Ta Brigitte Scheurer jest wcale niezła.

— Panie Huber — poradził mu zimno Weinheber — wypraszam sobie podobne insynuacje.

— Wiem, wiem, jest pan zasranym pięknoduchem! Prawie takim jak nasz Neumann. — Huber Trzeci podsunął mu nalaną po brzegi szklankę kanadyjskiej whisky. — Ale przy mnie może pan zejść ze swego piedestału kultury. Jestem tylko politykiem, jak mój szef. Wypijmy za jego zdrowie.

Weinheber wypił, ale zapewne nie na tę. intencję. Spoglądał sceptycznie na swego rozmówcę. — Może być pan pewien, że mamy praktyczne uzdolnienia także w zakresie polityki.

— My też w to wierzymy — zapewnił Huber Trzeci.

— I możemy z tego mieć obustronne korzyści.

— Czy ma to być rodzaj zachęty — zapytał Weinheber

— czy też może ostrzeżenie?

— Chodzi o bardzo konkretną ofertę — zapewnił go Huber, odsuwając jednocześnie energicznie przepychającą się ku nim damę do towarzystwa. — Ofertę ścisłej współpracy.

— W jakiej sprawie? Czemu by to miało służyć?

— Mówi się o pańskim szefie — powiedział dobrodusznie Huber Trzeci — że jest liberalny i tolerancyjny. Podobnie

też mówi się o panu, z tym że panu przypisuje się te cechy w wyższym stopniu. Po cóż by pan miał tak uparcie przysparzać sobie zbędnych kłopotów?

— A może chodzi tu o pewną zasadę, panie Huber?

— Śmiechu warte — odpowiedział, nie okazując jednak ani śladu wesołości. — Tu chodzi o interesy, z których może być obustronna korzyść. Powinien pan to zrozumieć i odpowiednio się ustawić.

— A jeśli nie?

— To się pokłócimy.

— A więc jednak pogroźki! Co, pańskim zdaniem, miałyby nas spotkać?

— Mój drogi panie — powiedział wesoło Huber, podnosząc szklankę — dotychczas stale przestrzegaliśmy w tym kraju pewnych reguł gry, zawsze z naszą wspólną korzyścią! Jednym zdaniem, z przestrzeganiem zasady pełnej wzajemności. I tak powinno pozostać.

— A gdyby tak nie miało pozostać? Co wtedy?

— Wtedy, szanowny panie, niech się pan liczy z tym, że wyciągniemy stąd odpowiednie konsekwencje, które mogą dotknąć także pana osobiście. Niech pan szepnie o tym swemu szefowi. Mówią, że on pana słucha. A ja mu życzę, aby i tym razem posłuchał.

Trzy rozmowy telefoniczne prowadzone tej nocy między godziną 23.35 a 23.50 przez radcę kryminalnego Martina Zimmermanna

Rozmowa pierwsza, między Zimmermannem a profesorem doktorem Lobnerem:

Zimmermann: Dowiedziałem się, że nasz kolega Krebs wziął pana do pracy nad pewnym przypadkiem ze swojej dziedziny. Jak się wydaje, przypadek ten jest dość niezwykły.

Lobner: Drogi panie Zimmermann, od kiedy mam do czynienia z panem i pańskimi kolegami, a zwłaszcza z tym Kellerem, nic już nie może mnie zadziwić.

Zimmermann: To na pewno wiele ułatwia. Jednakże w tym przypadku, jak dano mi do zrozumienia, może chodzić o zwykłą rutynową sprawę.

Lobner odsapnął lekko, co wskazywało, że jest trochę zaniepokojony: Być może. Ale ja znam tylko jedną stronę tego zdarzenia, to jest ofiarę. Nie znam drugiej strony, sprawcy. Przypuszczam jednak, że to jakaś poważna historia. Ale nie mam pojęcia, jak poważna. Wiedzieć coś na ten temat może pan Krebs. Stoi tu obok mnie. Niech pan z nim porozmawia.

Rozmowa druga, między Zimmermannem a komisarzem Krebsem:

Zimmermann: Cóż to za przypadek, że rozpracowujesz go tak dokładnie?

Krebs: Jeszcze nie wiem, Martin, jeszcze dokładnie nie wiem. Obawiam się pewnych komplikacji.

Zimmermann, zatroskany: Co to ma znaczyć? Prawie nic nie wiesz, ale obawiasz się czegoś poważnego? Chciałbym możliwie dokładnie się dowiedzieć, o jakiego rodzaju komplikacje chodzi.

Krebs: Wstępne, z pewnością jeszcze niepełne badania wskazują na co najmniej dwa rodzaje komplikacji. Po pierwsze, sprawca, jak się wydaje, nie mieści się w żadnym znanym nam schemacie. A po drugie, prawdopodobnie mamy tu do czynienia z szybką eskalacją jego występów. Zaczął od natarczywych prób zbliżenia, a teraz, zaledwie po paru tygodniach, doszedł do usiłowania gwałtu. Jutro może się stać zdeklarowanym przestępcą obyczajowym.

Zimmermann: Powiedz, co masz konkretnie na myśli, mówiąc, że ten przestępca wydaje ci się jakiś niezwyyczajny.

Krebs: Niezwyyczajny pod dwoma względami. Po pierwsze, zapewne nie należy do grasujących na naszym terenie grup z mętów społecznych. Po drugie, wydaje się, że mamy tu do czynienia z rzadko spotykanym zjawiskiem przestępcy tak zwanego estetycznego. Gdyby miało się to okazać prawdą, byłoby to straszne! Dlatego właśnie chcę to zdarzenie rozpracować osobiście i doprowadzić sprawę do końca.

Rozmowa trzecia, między Zimmermannem a emerytowanym funkcjonariuszem policji Kellerem:

Zimmermann: Wybacz, proszę, że przeszkadzam ci w nocnej pracy, tobie i Antonowi. Jak się miewa ten wspaniały zwierzak? Dobrze? To świetnie! A jak ci idzie pisanie tej twojej książki o prowadzeniu śledztwa w sprawach morderstwa?

Keller: O co chodzi? Masz jakiś problem?

Zimmermann: Krebs.

Keller: Za dobry? Niewygodny dla ciebie? Zbyt dokładny? Powinieneś się cieszyć, że masz kogoś takiego jak on. Ten człowiek tak bardzo zasługuje na zaufanie, że powierzyłbym mu na jakiś czas nawet mojego psa Antona. W jaki sposób właśnie on miałby ci przysparzać kłopotów?

Zimmermann: Wiesz przecież, że ja także ogromnie go cenię. Tym razem jednak tropi on chyba jakiś drobny przypadek przy użyciu niewspółmiernie poważnych środków. Robi to tak gorliwie, jakby chodziło o morderstwo lub sprawę państwowej wagi. Zaangażował nawet profesora Lobnera.

Keller, ostrożnie, z rozwagą: Przepuszczalnie nie bez powodu. Krebs, podobnie jak ja, należy w policji kryminalnej do tych niewielu, którzy czytają czasopisma medyczne. Dzięki temu nasz przyjaciel dowiedział się, że wybitny specjalista od badania włók prowadzi również rozległe studia serologiczne. Odnalazł on na przykład na ekshumowanych włókach kobiecych ślady spermy, świadczące niezbicie o ich sprofanowaniu.

Zimmermann: Że też mogą się wydarzać podobne okropności! W tym jednak przypadku Krebs użył sformułowania niezwyklego w naszym zawodzie. On mówi o jakimś przestępcy estetycznym. Słuchasz mnie? Oniemiałeś?

Keller: Powiedziałeś: przestępca estetyczny? Wolałbym sądzić, że się przesłyszałem. Nie? O, to niedobrze. To nawet bardzo źle, jeżeli on ma rację.

Zimmermann, już sam zaniepokojony: Mógłbyś się tym zająć możliwie natychmiast! Proszę cię o to! Że się tak wyrażę, z urzędu.

Keller: Czy to ma przypadkiem znaczyć, że ty także niepokoisz się o naszego Krebsa. Kogo chcesz ubezpieczyć? Jego czy siebie, a może swoją posadę? Przy mojej pomocy?

Zimmermann, już całkiem otwarcie: Rzeczywiście martwię się o niego. Ale to między nami. W ostatnich tygodniach obserwowałem naszego przyjaciela Krebsa. Skłoniły mnie do tego jego coraz dziwniejsze metody pracy. Wiesz, co odkryłem? Wygląda na to, że on się zupełnie bezwiednie zdecydował na odrzucenie wszystkich obowiązujących nas reguł.

Keller: Odważa się więc przekroczyć ciemne strony naszego zawodu. Mamy mu współczuć czy życzyć szczęścia?

Zimmermann: Na razie widzę same komplikacje! I trzeba to wszystko uregulować, aby sam Krebs nie dostał się w tryby tej maszyny. Pomóż mi, proszę.

Znów w „Hipodromie” na Theresienwiese — w głębi na prawo, w strefie, gdzie się podaje szampana, zarezerwowany stół przykryty błękitnym obrusem.

Huber Trzeci po rozmowie z Weinheberem od Müllera pojawił się znów w otoczeniu Holzingera, wyraźnie okazując zadowolenie z siebie. — No to go załatwiłem — oświadczył siadając.

— W jaki sposób? — zainteresował się Holzinger.

— Powiedziałem mu parę słów prawdy na temat polityki w sprawach środków masowego przekazu — zdawał sprawę Huber, popijając przy tym z kufła Neumanna, na co ten chętnie się zgodził. — Poinformowałem Weinhebera, że liberalni demokraci nic się na tym nie znają. A jeśli spróbują wetknąć nos w te sprawy, mogą tylko spać nasze dobre pomysły. Tak mu powiedziałem.

— Zbyt wyraźnie — stwierdził zatroskany Neumann całkowicie już zapijaczonym głosem. — Jeśli pan chce wiedzieć, ani w tym nie było umiaru, ani dyplomacji.

Pewien aprobaty swego szefa, Huber oświadczył jednak:

— To był tylko sygnał ostrzegawczy. A na to ten zasraniec od kultury zaznaczył, że Müller tym razem nie pójdzie na żaden kompromis, a zwłaszcza z koncernem Weltera.

— To wobec tego z kim? — chciał się natychmiast dowiedzieć Holzinger.

— W ostatecznym razie — wyrzucił z siebie Huber Trzeci — z jakąś neutralną grupą.

— Ma on na myśli przypuszczalnie Ettenkoflera — poddał pod rozważę zatroskany Neumann. — A ten udaje wprowadzie neutralnego, ale wyraźnie się skłania w kierunku Müllera.

— Nie musi być tak zawsze — odezwał się zamyślony Holzinger.

— Nie jest wskazane nie doceniać Müllera — stwierdził Neumann. — Jest to swego rodzaju idealista.

— Z podobnymi typami załatwimy się bez trudu — uważał Huber Trzeci. — Tak są wpatrzeni we własny pępek, że nie wiedzą, co się wokół nich dzieje.

Holzinger roześmiał się, skinął głową obu swoim przybożnym i zajął się gorliwie towarzyszką deputowanego do Landtagu.

— No to co proponujemy naszym pięknym paniom? Tak pod czysto ludzkim względem.

Neumann patrzył na manę — na konie, które się tam męczyły i które tam męczono. Wyraz przerażenia w ich oczach, ich zdyszane oddechy przyprawiły go o dreszcze. Tymczasem poganiano je bez przerwy rytmem muzyki, strzelaniem z batów poganiaczy, uderzeniami pięt jeźdźców. Po 3 marki za przejażdżkę.

— Mój Boże! — powiedział sam do siebie Bert Neumann — do czego to się przymusza żywe istoty!

Nikt go jednak nie słyszał.

Z notatek emerytowanego funkcjonariusza policji Kellera:
„Przypadek, na który z takim naciskiem zwracali mi uwagę zarówno Lobner, jak Zimmermann, należy do zdarzeń, o których się w zasadzie prawie nie mówi. Co jest zresztą zupełnie zrozumiałe. Krew i niebezpieczne uszkodzenia narządów płciowych nie nadają się na tematy do porannej le-

ktury gazet przy śniadaniu. Niech to już raczej będzie piękne morderstwo dokonane na córce Koryntu. Taka rzecz działa jak kojący balsam w niejednym «zacisznym ognisku domowym» na zasadzie: «My nie tacy!».

Gazety lubują się w takiej tematyce. Ale ludzie z policji stają zazwyczaj twarzą w twarz z całkiem innymi zdarzeniami — z niewyobrażalną ohydą.

Na przykład uprawianie stosunku ze zwierzętami, przede wszystkim z krowami. W tym procederze znajdują się one na pierwszym miejscu, na drugim są kury, rzadziej wchodzi tu w grę świnie i kozy, jeszcze rzadziej psy. Dopiero daleko za nimi lokują się gęsi, konie, owce...

Wynaturzenia bywają wprost niewyobrażalne, nie do pomyślenia. Są tacy, co wzniecają pożar dla wywołania orgazmu, inni odczuwają nieprzemierzalny wstręt do niektórych części ciała, jak piersi i pośladki. Pewnego lekarza doprowadziło to do morderstwa. Są tacy, których oszołamia widok pewnych kolorów, jak żółcień chromowa, liliowa szarość albo błękit. Pewien profesor gimnazjalny wpadał w amok na widok brunetki w niebieskiej bieliźnie. Wreszcie pewien trzydziestoczteroletni robotnik portowy kładł się do łóżka z wyczyszczoną na wysoki połysk śrubą okrętową, aby doprowadzić się do orgazmu.

Wszystko to jest jednak — przynajmniej dla policjantów, którzy co dzień mają do czynienia z ludzką kloaką — jakoś tam «normalne». Lecz nawet im się zdarza od czasu do czasu natknąć na zjawisko, które może ich do głębi zaniepokoić. Do zjawisk takich należy «przestępca estetyczny», przedstawia on bowiem jedną z najpoważniejszych i najbardziej niebezpiecznych anomalii, z jakimi się można spotkać w tym zawodzie.

Typ przestępcy określanego jako estetyczny nie został jeszcze właściwie zbadany przez kryminalistykę. Za stwierdzone bądź prawdopodobne uchodzi zaledwie kilka z przypisywanych mu właściwości. Dla przykładu — taki przestępca reaguje niemal wyłącznie na ściśle określony, a więc dający się ustalić typ ofiary, prawie zawsze odznaczającej się jakąś szczególną cechą.

Po drugie, przestępca «estetyczny» nie objawia pospolitych upodobań seksualnych, raczej ulega natręctwom wyobraźniowym. Mimo że ewentualnie popełnia akty przemocy, pozostaje swego rodzaju smakoszem. Jakkolwiek jest on z reguły dość łagodnego usposobienia, musi jednak nieuchronnie dopuścić się gwałtu.

Stale *się* buntowałem wewnętrznie przeciw nazywaniu jakiegokolwiek rodzaju przestępstwa «estetycznym». Skłaniam się raczej ku pogładowi kryminologa de Ripera, który ów rzadko spotykany, ale szczególnie niebezpieczny, gdyż nader trudno poddający się kontroli typ przestępcy zarejestrował jako «wypiełgnowanego sadybę».

Dla mnie było w każdym razie rzeczą jasną, że Krebs się wdał w niesłychanie ryzykowaną imprezę. Jeśli jednak ktośkolwiek mógł się uporać z tą kryminalistyczną hipotezą, to tym kimś był właśnie on. Wzbudził we mnie podziw, mocne zaciekawienie, a zarazem niejasne obawy. Nie chciałem więc dopuścić, by uszło mojej uwagi wydarzenie tak rzadkie w naszym zawodzie".

O cóż więc chodzi? — dopytywał się ostrożnie polityk opozycyjny Müller swego zaufanego Weinhebera. — Czego chciał od ciebie ten Huber numer trzy?

— Plótł coś tam w kółko, zresztą po prostaku. Temu człowiekowi brak jakiegokolwiek kultury.

— Może tylko nie chce się z nią zdradzić u boku swego szefa? — zażartował jowialnie Müller. — Czy przypadkiem próbował nam grozić?

— Przedstawiał nam coś w rodzaju oferty, jeśli go dobrze zrozumiałem.

— Oferta współpracy? Można się było tego spodziewać! Ale praktycznie to znaczy, że my mielibyśmy z nimi współpracować. Dopiero wtedy pójdą na rozmowy z nami.

— Mniej więcej tak — potwierdził Weinheber.

— Podał jakieś uchwytny punkty zaczepienia? Wymienił jakieś liczby, określone obiekty, nazwiska? Powiedział, o jakie kompromisy tu chodzi? Rozgraniczenie interesów?

— To była tylko niewiążąca natrętna gadanina! — zapewnił z oburzeniem Weinheber. — To hieny! Nikt nie jest od nich bezpieczny. Wciąż tylko czegoś żądają. Od nas, na przykład, abyśmy się nie mieszała. *Nie* mówią natomiast, o co właściwie im chodzi.

— Zwróciłeś mu uwagę, że pewne ośrodki społeczne już zostały zaalarmowane, nie tylko przez nich, ale i przez nas.

— Oczywiście! On jednak uważa, że ludzie się obruszą, ale potem znów się uspokoją. Chodzi tylko o to, kto okaże większą wytrwałość. Nawet dzisiejszy nekrolog za parę dni będzie tylko wspomnieniem dawnych czasów. Ci ludzie rzeczywiście tak myślą, a już Holzinger na pewno.

— Użyłeś nazwiska Ettenkofler? Spodziewam się, że zrobiłeś to bardzo ostrożnie.

— Tak, wymieniłem je. Wywołało to wyraźne zainteresowanie, ale nie wynikło z tego nic konkretnego. Mam wrażenie, że oni chcą zagrać z nami w pokera, bo sądzą, że mają świetną kartę. Może zresztą tak rzeczywiście jest?

Müller podziękował uprzejmie Weinheberowi. Uznał chyba jego informacje za wystarczające. W niemal wesołym nastroju przepił do Brigitte Scheurer, która mu się przyglądała z niezwykłym podnieceniem, potem uniósł kufel w stronę Lauferera.

Twarz potentata prasowego z Frankfurtu przybrała wyraz głębokiego zamyślenia. Działo się to wciąż jeszcze w „Hipodromie” na Theresienwiese, przy zarezerwowanym stole w głębi po lewej stronie. *Po chwili zastanowienia odezwał się:*

— Czy z tego, co mówi pan Weinheber, nie należałoby wnosić, że Holzinger jest gotów pójść fia kompromis?

— Zawsze jest na to gotów, podobnie jak i ja — zapewnił Müller, uśmiechając się z wyższością. — Decydujący jest jednak moment, w którym do tego dojdzie. Tymczasem jednak Holzinger żąda na pewno zbyt wiele.

— A co pan zrobi?

— Wyczekuję, badam grunt. Nie decyduję się na nic zbyt pochopnie.

— Ze wszystkim pan tak zwleka? — zapytała prowokacyjnie Brigitte Scheurer. — Także w życiu prywatnym?

— Zawsze czekam, aż sprawa dojrzeje — stwierdził Müller. — Tylko w ten sposób osiąga się dobre rezultaty.

Wyglądało na to, że temat został wyczerpany. Gawędzili sobie wesoło i beztrudnie, przepijali do siebie wzajemnie. Lauferer zawarł przy barze znajomość z jakimś stworzeniem rodzaju żeńskiego całkiem niezłej klasy — nieco wyżej średniej — dobrze ubranym, względnie młodym i z pełną ogładą. Zwrócił więc swoją uwagę w tym kierunku.

Kiedy Brigitte Scheurer poszła umyć ręce, Müller nachylił się do Weinhebera: — Spróbuj nawiązać kontakt z Ettenkoflerem, chętnie bym z nim porozmawiał. Jeśli się da, jeszcze w ciągu dzisiejszej nocy, a najpóźniej jutro przed południem.

— Czy to naprawdę aż takie ważne?

— Trzeba się ubezpieczyć — oświadczył Müller. — Kiedy między dwiema grupami dochodzi do próby sił, szczęśliwym rozwiązaniem może się wówczas okazać pojawienie się trzeciej siły. W naszym przypadku może się nią stać właśnie Ettenkofler.

Zespół muzyczny „Hipodromu” zagrał w tej chwili marsza *Starzy towarzysze*.

Poufne informacje Josefa F. Ettenkoflera przekazane Kellerowi:

— U nas, podobnie jak we wszystkich miastach, sytuację opanowało kilka grup opartych na znanych firmach, po większej części zasiedziały w przedsiębiorstwach rodzinnych.

Zawsze staraliśmy się unikać prymitywnej stronniczości. Wobec przedstawicieli społeczeństwa czy też wobec wspólnot interesów mieliśmy postawę jak najbardziej otwartą. Nie wyróżnialiśmy nikogo, ale też staraliśmy się nikogo nie pomijać.

Po prostu jest nieprawdą, jakobysmy raz po raz usiłowali wypychać duże projekty przestrzenne na skraj miasta, wskutek czego musiały się ogromnie wydłużać ulice, urządzenia kanalizacyjne, instalacje oświetleniowe itd., oczywiście na koszt podatników.

Istotnie, wykupywaliśmy w swoim czasie grunty między miastem a nowymi budowlami, ale było to zwykłą przezornością. Nie przeważał tu wzgląd na to, że parcele na tym obszarze nagle zaczynały przynosić wielorakie korzyści. Chodziło nam jedynie o dobro i rozkwit naszego ukochanego miasta.

Jeśli ktoś tu chciał sobie „dorobić”, to ma się rozumieć, nie mógł tego osiągnąć bez nas. Jednakże ten teren, który idealnie się nadawał do zlokalizowania komercyjnej stacji telewizyjnej, tylko przypadkowo należał do mnie.

Keller: W związku z tym, jeśli właściwie pana zrozumiałem, obie strony zaczęły się usilnie ubiegać o pańską przychyłność.

Ettenkofler: Gdyby chodziło tylko o to, łatwo bym się z tym uporał. Umiem wchodzić w układy z ludźmi interesu, a także z politykami. Ale jak to się robi z policją kryminalną?

Prawie dokładnie o północy tego przedostatniego dnia Festynu Październikowego wkroczył do akcji człowiek, który przez wiele lat wykonywał wyłącznie żmudną, niewdzięczną, drobiazgową robotę. Na przykład odizolowanie opryszków, sprawdzanie dowodów tożsamości, wyłapywanie pijanych kierowców, identyfikacja prostytutek i ich „opiekunów”, poza tym opieka nad pijakami, ofiarami napadów, zabłąkanymi...

Nazywał się Thomas Gartner — łatwo zapamiętać to nazwisko. Jego stopień służbowy — starszy wachmistrz policji. Tej nocy był służbowo odpowiedzialny za radiowóz Isar 29, podobnie jak setki razy dotychczas, w dzień i w nocy. Thomas Gartner był nie tylko godnym najwyższego zaufania funkcjonariuszem policji, lecz także troskliwym

i kochającym ojcem rodziny. Miał czworo dzieci — dwóch chłopców w wieku ośmiu i dziesięciu lat oraz dwie dziewczynki, dziewięcio i jedenastolatkę. Należy zaznaczyć, że o ile jego mężczy potomkowie byli nadzwyczaj żwawi i energiczni, to dziewczynki niemal wzruszająco delikatne i miłotkie; cała czwórka, jak sądził, była mu serdecznie oddana.

Napełniało go to nieraz ciepłymi, cudownie marzycielskimi uczuciami, zwłaszcza kiedy pozwalały mu na to obowiązki służbowe. Na przykład wówczas kiedy radiowóz, którym dowodził, zatrzymywał się gdzieś, on sam zaś cierpliwie wysłuchiwał płynących przez radio rutynowych policyjnych meldunków. bójka przy głównym wejściu na Theresienwiese, główne ognisko koło ustępów", „...napad na kobietę, rabunek torebki, Bayerstrasse...", „alarm pożarowy przy Gartnerplatz", „trzy osoby ranne... wypadek drogowy przy Leopoldstrasse", „jedna osoba zabita...", „włamanie przy Königinstrasse, poważne straty materialne..."

Ale potem pojawiło się coś innego: „...próba zgwałcenia dziecka... w najbliższym sąsiedztwie Festynu Październikowego, w części południowej... sprawca przypuszczalnie dość niski... dobrze ubrany... nie wyklucza się powtórnego usiłowania... ewentualne spostrzeżenia meldować niezwłocznie do Prezydium, wydział przestępstw obyczajowych, bezpośrednio do właściwych osób — Krebsa i Michelsdorfa..."

— Nędzny bydlak — zauważył starszy wachmistrz Gartner, przysłuchując się w swoim wozie składanym przez radio meldunkom. — W głowie się nie mieści! Taka ohydna świnia napada na niewinną, bezbronną istotkę, dziecko! A mogłoby to być przecież moje dziecko!

Nikt mu nie zakłócał biegu myśli, bo policjant, który siedział obok niego przy kierownicy, zapadł chyba w drzemkę. Był to człowiek gnuśny — chudy, wysoki i zawsze zmęczony. Teraz oto szeroko raz po raz ziewał...

Naraz Gartner dostrzegł przy Miillerstrasse, gdzie zatrzymał się jego wóz, w miejscu zacienionym, obok drzewa, a więc świetnie zamaskowanym, jakiegoś mężczyznę. Obok stało dziecko. Oboje, nachyleni ku sobie, żywo gestykulo-

wali. Nagle dziecko — widocznie na polecenie — ruszyło w kierunku bramy pobliskiego domu, znikło tam od razu w kompletnej ciemności. Nie docierało tam światło ani od lamp ulicznych, ani od nieba rozjaśnionego odbłaskiem Festynu.

Mężczyzna, który stał z dzieckiem — ów łajdak — poszedł w ślad za dziewczynką. Jego sylwetka odpowiadała dokładnie opisowi z meldunku radiowego — wzrost mniej więcej średni, dobrze ubrany. Gartner poczuł, że zbliża się jego wielka chwila. I tak rzeczywiście było, ale w zupełnie innym znaczeniu, niż przypuszczał.

Szepnął spiesznie do swego ziewającego towarzysza:

— Będziesz mnie osłaniał! — Następnie odbezpieczył pistolet, pochwycił ostro świecący ręczny reflektor, wysiadł ostrożnie z wozu i ruszył w kierunku zaciemnionej bramy. Zbliżywszy się do niej zaświecił reflektor. I oto, co zobaczył — dziewczynka, przykucnięta, z opuszczonymi majteczkami, a tuż obok niej ten świntuch!

— Nie ruszać się! — wykrzyknął ostro Gartner. — Bo użyję broni!

— Kim pan jest? — zapytał potraktowany w ten sposób mężczyzna, na którym nie zrobiło to widocznie żadnego wrażenia. — Czego pan chce?

— Jest pan aresztowany! — wykrzyknął starszy wachmistrz.

— Za co? — zapytał mężczyzna stojący obok dziecka, które pospiesznie się podniosło. — Co to za brednie?

— Odejść na bok! — rozkazał energicznie Gartner. Do kolegi zaś, który wciąż jeszcze ziewając przyszedł w ślad za nim, powiedział: — Zaprowadź to dziecko w bezpieczne miejsce!

— Będzie pan musiał mi wyjaśnić, co to wszystko ma znaczyć — oświadczył podejrzany z oburzeniem.

— Wkrótce się pan dowie! — Thomas Gartner, starszy wachmistrz policji, radiowóz patrolowy Isar 29, był całkowicie pewien swego. — Może się pan wylegitymować?

— Nazywam się — oświadczył podejrzany tonem obrażonej godności — Ettenkofler. Josef Franz Ettenkofler. Czy panu to coś mówi?

— Też coś! — Gartner skinął na niego energicznie i zdecydowanie. — Teraz pojedzie pan z nami.

— Czy to ma znaczyć, że mnie pan aresztuje? — zapytał z niedowierzaniem Ettenkofler.

— Właśnie tak. Biorę pana do Prezydium. I to zgwałcone przez pana dziecko. Będzie to miało swoje konsekwencje!

Niestety tak się właśnie stało. Prawie połowa Prezydium miała to przyjąć za dobrą monetę. A przede wszystkim pewien komisarz — Krebs.

3

Na szczęście dla całego Prezydium dyżurnym w dyspozytorni radiowozów był tej nocy rodowity monachijczyk, starszy wachmistrz Bauer. Doszła do tego jeszcze jedna pomyślna okoliczność — akurat w owej chwili nie działo się nic ważnego, zatem funkcjonariusz ten mógł się zająć każdym przypadkiem znacznie dokładniej niż zwykle.

Wypadkowi przy Miillerstrasse o godzinie 0.08 poświęcił Bauer szczególną uwagę, ponieważ działał tam jego kolega Gartner, z którym jednocześnie rozpoczął kiedyś służbę w policji. A zadziałał tym razem, jak się wydawało, bardzo skutecznie. Gartner zażądał drugiego radiowozu, aby zgodnie z zasadami postępowania policyjnego dowieźć osobno sprawcę, a osobno jego ofiarę. Żądanie to zostało uwzględnione.

Nie był to wcale zwyczajny przypadek, zdaniem starszego wachmistrza Bauera, gdyż ujęcie przestępcy obyczajowego, by tak rzec, na gorącym uczynku udaje się niezmiernie rzadko. Zamierzał więc pogratulować koledze Gartnerowi tego wyczynu. W każdym razie trwał w tym postanowieniu dopóty, dopóki Gartner nie przekazał drogą radiową nazwiska podejrzanego o dokonanie przestępstwa, jak zwykle zawczasu, ażeby nadać bieg wstępnemu sprawdzeniu kartoteki.

Ale nazwisko to brzmiało: Ettenkofler. Josef Franz Ettenkofler.

Bauer oniemiał. Potem polecił, by mu dostarczono meldunek w sprawie tego zajścia na piśmie i przyjrzał się mu z głębokim namysłem. Po czym pochwycił słuchawkę

telefonu i zażądał, by go połączono z wydziałem przestępstw obyczajowych.

— Proszę osobiście z komisarzem Krebssem.

Zamiast Krebsa zgłosił się Michelsdorf.

— Szef jest w drodze. Ja go zastępuję. O co chodzi?

— Zapowiedziano doprowadzenie — meldował Bauer.

— Przepuszczalnie przestępstwo obyczajowe. Mężczyzna i dziecko.

— Niech pan mi ich da — powiedział Michelsdorf, jak zawsze gotów do działania. — Zajmę się nimi.

— W każdym razie pozwolę sobie zwrócić uwagę na nazwisko rzekomego sprawcy — nadmienił ostrożnie Bauer.

— Jest to Ettenkofler.

— Cóż mnie to może obchodzić? — odezwał się butnie Michelsdorf. — Dla mnie może się on nazywać, jak tylko chce.

— Ale on się nazywa Ettenkofler, a na imię ma Josef Franz.

— Każę zajrzeć do kartoteki — odparł Michelsdorf, bynajmniej tym nie poruszony. — Kto się dostanie w nasze ręce, temu się już dobierzemy do skóry!

— Ettenkofler u nas w Monachium nie jest nazwiskiem pospolitym — oświadczył na to dobitnie Bauer. — Noszą je przedstawiciele jednej z najstarszych i najbardziej szanowanych rodzin. A najznakomitszy obecnie z tego rodu, liczący niewiele ponad pięćdziesiąt lat, ma na imię Josef Franz.

— No to co z tego? — oświadczył Michelsdorf nie zbity z tropu. — Tylko w naszym wydziale są przecież osoby o nazwisku Strauss lub Brandt, a także Wagner, jak ten kompozytor, a jest nawet Luther, w dodatku Martin. Proszę pana, jakie to ma znaczenie?

— No tak — ostrożnie odrzekł Bauer. — Ja w każdym razie pana poinformowałem.

— Przyjmuję to z należytych uznaniem! — podkreślił swoją zwierzchnią pozycję inspektor Michelsdorf. — Ale choćby sam papież był zamieszany w przestępstwo obyczajowe, to czyż wobec prawa nie jest on taki sam jak każdy z nas?

Na te słowa Bauer zdecydowanie zakończył rozmowę.

W ciągu kilku najbliższych minut nie miał okazji powrócić myślą do tej sprawy, gdyż nagle zakotłowało się w eterze — meldunki patroli policyjnych gnały jak szalone jedne za drugimi: samochód osobowy marki Porsche mija przy czerwonym świetle Baldeplatz, zderza się przy tym z innym samochodem, najbliższy radiowóz rozpoczyna pościg"; ... Lindwurmstrasse, jakaś kobieta woła z okna na trzecim piętrze — jej mąż zamordował siekierą dwoje dzieci, teraz zagraża jej..."; Starnberger Bahnhof, w pobliżu przejścia podziemnego przy Paul-Heyse-Strasse, bójka pomiędzy grupami młodzieżowymi, pobici trzej przypadkowi przechodnie, zachodzi potrzeba przewiezienia ich do szpitala.

Bauer wszystko rejestrował, wydawał dyspozycje, przekazywał meldunki do właściwych wydziałów. Bez żadnych komentarzy.

Wśród nagłego masowego napływu informacji o przestępstwach, zmuszającego do ciągłego skupienia uwagi na szybko zmieniających się danych, zwłaszcza nazwiskach i nazwach miejscowych, nawet zazwyczaj bardzo czujny Bauer niemal zapomniał o wypadku z Ettenkoflerem.

Müller szef monachijskiego oddziału swojej partii, kazał się odwieźć do domu. Bynajmniej nie dlatego, że czuł się zmęczony czy wyczerpany — jedynie ze względu na swój plan zajęć na następny dzień. Mimo że w planie tym figurowało wiele niepoważnych błahostek, musiał jednak być wykonany w całości.

Godzina 9.00 — konkurs psów owczarków, 10.00 — apel sztandarowy wysiedleńców ze Śląska, 11.30 — poświęcenie fontanny przy Rindermarkt, 13.30 — otwarcie japońskiej wystawy lalek w Muzeum Miejskim, 15.00 — loteria na rzecz gmachu rezydencji przy Marienplatz... i tak dalej, i tak dalej, do późnego wieczoru, i wreszcie — zakończenie Festynu Październikowego.

Müllerowi chciało się ziewać na samą myśl o tym już w tej chwili, kiedy wchodził do swego mieszkania

wynajmowanego w czynszowym domu na obrzeżu dzielnicy Harlaching. Sam czynsz za nie stanowił niemal majątek, ale i żona, i dzieci chciały żyć stosownie do swego stanu. Trzeba było na to piekielnie ciężko pracować, a więc być zawsze na posterunku, stale robić dobre wrażenie.

Do wzorowego życia rodzinnego, zarówno w domu, jak i na zewnątrz, przykładano w Bawarii, kraju wciąż jeszcze świadomie katolickim, ogromną wagę. Toteż Müller potrafił i pod tym względem zaprezentować odpowiednio godny obraz — żona Elisabeth, troje dobrze wychowanych i oczywiście uzdolnionych dzieci; dwaj chłopcy w wieku dwiętnastu i szesnastu lat szczęśliwie nie zdradzali zainteresowania polityką, nie sprawiali więc ojcu kłopotów. Po prostu wzorowi synowie.

Z zewnątrz wydawało się, że jego sprawy rodzinne są doskonale uporządkowane. Wskazywał też na to wygląd mieszkania, do którego właśnie wchodził. Było czyste, pachnące, stale gotowe na przyjęcie gości.

Ogarnęło go nagle obezwładniające znużenie, chęć położenia się natychmiast do własnego łóżka. Już w przedpokojku zdjął okulary i wsunął je do skórzanego etui, potarł dłonią czoło i okolice oczu, spoglądając jednocześnie w stronę drzwi.

Zauważył, że w dużym pokoju, tak zwanym salonie — znajdował się tam telewizor, barek i regał z książkami — pali się jeszcze światło. Wywnioskował stąd, że jego żona albo nie wyłączyła oświetlenia — o co raczej trudno ją było posądzać, znając jej zamiłowanie do porządku — albo czeka jeszcze na niego. Zdarzało się to często w ostatnim czasie. Zbyt często! Elisabeth siedziała w fotelu, w którym zazwyczaj on lubił zasiadać. Spojrzała na niego ciemnymi, życzliwymi oczyma.

— Jak ci poszło?

— Czekaaś może na mnie? — zapytał, zatrzymując się w drzwiach.

— Ależ skąd? — odpowiedziała łagodnie. — Oglądałam telewizję i zdrzemnęłam się trochę. Miałaś dobry dzień?

— Wydaje się, że tak — stwierdził, zbliżając się do niej pomału. — W każdym razie był to dzień wyczerpujący.

— Więc jak zwykle, i to nie tylko ostatnio.

Dni jego były po brzegi wypełnione obowiązkami. Często wstawał rano o porze, kiedy dzieci jeszcze spały, a powracał do domu prawie zawsze wtedy, kiedy były już w łóżkach. Widywały go jednak przy rozmaitych okazjach — na zdjęciach w gazetach, w telewizji. Matka uczyła ich szacunku do ojca. To przecież człowiek wybitny.

— Wszystko to jest bardzo męczące — wyznał Müller, siadając naprzeciwko żony. — Jestem strasznie zmordowany.

— Powinieneś się trochę oszczędzać — powiedziała, starając się, by nie brzmiało to jak wyrzut. — Jak będziesz tak nadal postępował, zrujnujesz sobie zdrowie.

— Uważasz, że powinienem więcej czasu poświęcać rodzinie, to znaczy dzieciom i tobie?

— W ciągu bez mała dwudziestu lat naszego małżeństwa starałam się przywyknąć do roli żony człowieka ożenionego z polityką.

— Czy to twoje własne słowa? — zapytał, usiłując obrócić to w żart. — Czy też wzięte z Maughama? Włożył on kiedyś w usta jednej ze swoich bohaterek, co prawda w którejś komedii, taką wypowiedź: „Kochałam go, a on kochał siebie, cóż za szczęśliwe małżeństwo!” Czy to było właśnie stamtąd?

— Mogę coś dla ciebie zrobić?

— Tak, coś bardzo ważnego. Daj mi się wyspać.

Inspektor Michelsdorf, siedząc przy biurku kierownika wydziału przestępstw obyczajowych, poczynił wszystkie możliwe przygotowania. Sprawdzenie w kartotece nazwiska Ettenkofler dało wynik negatywny. Sprowadził policjantkę do przesłuchania ofiary i opieki nad nią. W danej chwili była do dyspozycji jedynie, a jego zdaniem niestety, pani inspektor Brasch, zwana również „mamą Brasch”.

O godzinie 0.42 zameldowano mu, że jest ona gotowa do działania. Następnie pani inspektor Brasch zajęła się dziec-

kiem, na osobności, w pokoju dokumentacji. Michelsdorf odnotował to, po czym wyrzwał z gabinetu nieobecnego komisarza Krebsa do przedpokoju. Ujrzał tam starszego, dobrze ubranego, godnie trzymającego się pana. Obok niego stał z poważną miną funkcjonariusz policji. Był nim Gartner. Michelsdorf zbliżył się do Ettenkoflera i wezwał go:

— Proszę za mną! — Następnie odwrócił się na pięcie i przeszedł do pokoju szefa. Wezwany podążył w ślad za nim, wyraźnie oburzony na zachowanie funkcjonariusza, pozbawione jakichkolwiek śladów szacunku.

— Szanowny panie — odezwał się z trudem hamując gniew — czy mogę panu zwrócić uwagę na to...

— Na cokolwiek pan chce, panie Ettenkofler — odpowiedział mu starszy inspektor tonem wyższości, lecz dość ostrożnie. — Ale wszystko we właściwym czasie.

— Czy pan przynajmniej wie, kogo ma pan przed sobą?

— już znacznie głośniej zapytał Ettenkofler.

— To się na pewno okaże jeszcze w ciągu tej nocy — odrzekł tym razem bardzo rzeczowo Michelsdorf.

— Nazywam się Ettenkofler.

— To się zgadza z meldunkiem, który otrzymałem.

— Czy panu to nazwisko naprawdę nic nie mówi?

— Cóż miałoby mówić?

Josef Franz Ettenkofler, jeden z członków najlepszego patrolu monachijskiego, dokładał wszelkich starań, by się nie unieść.

— Domagam się, by niezwłocznie powiadomiono prezydenta policji, z którym jestem osobiście...

— Pan prezydent znajduje się obecnie w podróży służbowej — oświadczył Michelsdorf, niewzruszony, lecz coraz bardziej starający się o zachowanie pewnej uprzejmości.

— W takim razie pana dyrektora, z którym też jestem osobiście...

— O ile jestem dobiż poinformowany, zastępuje on nieobecnego prezydenta na przyjęciu u pewnego konsula generalnego.

— To jego zastępcę...

— Panie Ettenkofler — powiedział Michelsdorf, tym razem dość stanowczo — uprzejmie pana proszę o odrobinę

cierpliwości. Chodzi tu o zajście, o którym powinien najpierw złożyć zeznanie funkcjonariusz, meldujący o wydaniu. Dopiero potem...

— Ostrzegam pana! — wykrzyknął gwałtownie Ettenkofler. — Popelnia pan w tej chwili poważny błąd!

— Ale nie jako funkcjonariusz policji — oświadczył Michelsdorf. — Będąc nim, przestrzegam tylko przepisów i, proszę to zrozumieć, stosuję się dokładnie do poleceń mojego przełożonego. Jeszcze raz uprzejmie pana proszę o odrobinę cierpliwości.

— Protestuję! — zawołał energicznie Ettenkofler.

— Przyjmuję to do wiadomości. Jeśli pan sobie tego będzie nadal życzył, stwierdzą to potem w notatce służbowej.

Na te słowa Ettenkofler na razie zamilkł. Z wzrastającym niepokojem słuchał tego, co mówi inspektor policji. Ten zaś włączył urządzenie rozmównicze i przekazał do przedpokoju następującą dyspozycję: — Koleżanka Brasch, gdy tylko uzyska konkretne wyniki, złoży meldunek. Pan Ettenkofler ma pozostać w przedpokoju w oczekiwaniu na wezwanie; należy się nim starannie zaopiekować. A najpierw niech wejdzie kolega Gartner.

Funkcjonariusz policji wyprowadził Ettenkoflera do przyległego pomieszczenia. Podsunęto mu tam krzesło. Usiadł bez słowa, zagniewany. Jego oburzenie nie słabło. Sapał ciężko. Zapytano go grzecznie, czy ma jakieś specjalne życzenie. Nie miał żadnego. Wpatrywał się w marynarkę ubranego po cywilnemu policjanta, który go pilnował. Wydawało mu się, że jest mocno wypchana po lewej stronie u góry. Przypuszczał, że tkwi tam pistolet. Mylił się. W wydziale przestępstw obyczajowych nikt nie ma broni palnej.

Michelsdorf przyjął komendanta radiowozu Isar 29 w gabinecie Krebsa i zaproponował mu, by usiadł na krześle przed biurkiem komisarza.

Z miejsca go zapytał: — Zdaje pan sobie sprawę, drogi kolego, na co, a dokładniej, na kogo pan się natknął?

— Na kogóż to według pana? — Gartner sprawiał wrażenie zdziwionego poczciwca. — Przecież spełniam tylko swój obowiązek!

— O tym jestem przekonany — zapewnił go Michelsdorf. — Mogę pana zapewnić, że zachował się pan całkiem poprawnie i że nie powinien się pan niepokoić ze względu na osobę tego, kogo pan aresztował.

— Dlaczego miałbym się niepokoić? Świntuch jest tylko świntuchem, niezależnie od tego, czy jest ubabrany gnojem, czy okryty aksamitem i jedwabiem.

— Właśnie — zgodził się zachęcająco Michelsdorf.

— A co widziałem, to widziałem!

— Co właściwie? Proszę, możliwie ze wszystkimi szczegółami. Na razie zrobię sobie tylko notatki. Na formalny protokół przesłuchania mamy jeszcze czas, załatwimy to później. Zatem całkiem szczerze, panie kolego, jesteśmy przecież sami.

Na to Gartner — według sporządzonego później protokołu przesłuchania zeznał (w skrócie): ..siedziałem w wozie... słuchałem komunikatów Prezydium... zobaczyłem potem starszego pana, średniego wzrostu, dobrze ubranego, co całkowicie zgadzało się z rysopisem podanym w komunikacie... zobaczyłem go z dzieckiem, dziewczynką w wieku dziesięciu do dwunastu lat, w pobliżu bramy wjazdowej... zobaczyłem, jak wchodzi do ciemnej bramy; dane dotyczące miejsca i czasu są w moim meldunku... uznałem za pilnie wskazane zbadać, o co tam chodzi, przy czym musiałem stwierdzić, że to dziecko ma majteczki opuszczone aż do kolan, przypuszczalnie ściągnięte do dołu. Natomiast zatrzymany, a więc ten Ettenkofler, stał obok, lekko nachylony.

— I to może pan zaświadczyć? — zapytał Michelsdorf, wyraźnie pod wrażeniem tego, co usłyszał, z nie ukrywaną satysfakcją ścigającego, który dopadł zdobyczy.

— Mogę przysiąc, jeśli będę musiał!

— Nic nie zmieniając?

— Co widziałem, to widziałem! — zapewnił uroczyście Gartner.

— To, mam nadzieję, wystarczy — stwierdził Michelsdorf pełnym ufności głosem.

Holzinger umiał używać życia na swój własny sposób. Wszelkie zahamowania były mu obce. Rachunek za ten wieczór miał zapłacić próbujący wkraść się w jego łaski poseł do Landtagu Mausbach, ten z piękną krowiooką towarzyszką. Mógł sobie na to pozwolić, gdyż jako bogacz średniej klasy dysponował ciężkimi milionami, a że przy tym był ambitny, więc chciał uczestniczyć w wielkiej polityce. W kręgu Holzingera miało to jednak określoną cenę.

Holzinger, który potrafił bez żadnych widocznych skutków wlać w siebie dowolną ilość piwa, a szampana pić jak wodę mineralną, raz jeszcze zarządził zmianę lokalu. Najpierw był Namiot Kuszników, potem „Hipodrom”, a stamtąd udali się do „Grand Moullin”, lokalu w śródmieściu przy Karlsplatz. Siedzieli więc tu w zgranym gronie w środkowej łoży po prawej stronie, tuż obok głównego parkietu.

W kręgu jasnego światła produkowała się tam Polly Winters, najbardziej atrakcyjna w owym czasie striptizerka w Monachium. Podobno była dzieckiem matki Rosjanki i ojca Francuza, wychowana w Anglii, wykształcona w Ameryce, na pewien czas zagnana do Hongkongu. Wyginając się uwodzicielsko w tanecznych ruchach, usiłowała zużyć jak najwięcej czasu na pozbycie się odzieży.

Holzinger, rozparty w krzesło, nie poddawał się zbyt jej pokusom. Bardzo mu dogadzało, że żywo się nią zainteresował dyrektor Streicher. Sam hołdował zasadzie, że łatwy do pochycenia gołąbek z sąsiedniego krzesła jest zawsze lepszy niż jakiś zwodniczy łabędź daleko na parkiecie. Po prostu podchodził do sprawy praktycznie.

Tymczasem towarzyszka radośnie usłużnego posła do Landtagu promieniowała ponętym ciepłem. Holzinger, pełen nadziei, uległ jej urokowi. Nie omieszkał wszakże zaprząć do roboty swoich najbliższych współpracowników — Hubera Trzeciego i Berta Neumanna.

Huberowi Trzeciemu polecił: — Zajmij się naszym obrotnym amatorem polityki Mausbachem. Sprawdź, czym on trąci. Postaraj się dowiedzieć, czego on naprawdę chce i co ma zamiar nam za to zaoferować.

Do Berta Neumanna natomiast powiedział: — Weź się w garść, chłopie! Musisz wreszcie zrozumieć, w jaki sposób trzeba się dostosowywać do naszego sposobu bycia. To sprawa twojego zawodu!

Na to Neumann: — Przecież się staram! Ale teraz chętnie już bym sobie poszedł. Muszę jeszcze popracować nad pańskim przemówieniem, tym na poświęcenie fontanny.

Holzinger: — Masz jeszcze kupę czasu, kochasiu. Co najmniej dziesięć godzin. A może byś chciał pospać z żoną? To by ci odpowiadało? W każdym razie, dopóki jesteś tu, nie będziesz spał. Możesz się więc zastanowić na przykład nad tak zwaną polityką w zakresie środków przekazu, na której temat chciałbym jak najszybciej dostać od ciebie pierwszorzędny, to znaczy przydatny dla mnie zbiór materiałów. A w wolnej chwili możesz rzucić okiem na tę delikatesową babkę. Najwyższa klasa.

— Ona budzi we mnie wstręt.

— Neumann, chłopie, zachowaj się raz wreszcie jak człowiek! Głowa do góry! Nie próbuj przypadkiem psuć mi osobistej przyjemności.

Po czym Holzinger, nie tracąc czasu, zajął się swoją towarzyszką. Nachylił się, położył rękę na jej udzie i zaśmiał się do niej: — Podobasz mi się, dziewczyno!

— Już od dawna zachwycam się tobą jako politykiem. Ale teraz także jako człowiekiem. Jako mężczyzną.

Huber Trzeci, zgodnie z poleceniem, zajął się Mausbachem, dając mu na wstępie poufną radę: — Niech pan się nie przejmuje tym, że Holzinger i pańska towarzyszka...

— Nie ma mowy — zapewnił go przyjaźnie Mausbach.— Jestem bardzo tolerancyjny. Zgodnie z dewizą naszego kraju: żyć samemu i pozwolić żyć innym!

Neumann, który podsłuchiwał rozmowę Hubera z posłem do Landtagu, wypowiedział się na jej temat później:

„Mausbach musiał widocznie dość dobrze poznać gust naszego Holzingera. Odpowiednio do tego dobrał sobie panią do towarzystwa, a następnie usłużnie odstąpił ją naszemu bossowi. Miała na imię Maria-Petra i pracowała w którymś z jego zakładów: «Budowa Osiedli, Region Południe», «Domy Czynszowe Ramersdorf» lub w czymś innym tego rodzaju.

Była dość przysadzista, jawnie zmysłowa, całkiem nieskomplikowana, nieco rubaszna w zachowaniu. Miała pełne, wilgotne wargi i mocne, ale kształtne nogi.

Przypominała sekretarkę z naszej centrali partyjnej, Helgę, która przy każdej okazji próbowała napierać na nas swoim wielkim biustem. Trudno się było od niej opędzić. Większość pracowników tej instytucji nawet zresztą tego nie próbowała.

Ja jednak jej powiedziałem: — Tylko nie ze mną.

A ona mi na to: — Chyba jesteś impotentem albo takim oddanym żonkosiem. Cóż to musi być za kobieta, ta twoja żona, jeżeli odebrała ci smak wszelkiej kobiecości?"

Huber kontynuował rozmowę z Mausbachem:

— Jest pan usposobiony tolerancyjnie, podobnie jak mój szef. Nie lubi on niejasnych sytuacji, gdyż jest realistą i chciałby dokładnie wiedzieć, czego kto się po nim spodziewa.

— No tak — rozpoczął Mausbach bardzo konfidencjonalnie, starając się o oczekiwaną od niego jasność wypowiedzi — chodzi o dalsze perspektywy i związane z nimi praktyczne przedsięwzięcia w zakresie najważniejszego środka masowego przekazu, to jest telewizji.

— Niektórzy uważają, że jest to najwyższej klasy środek masowego ogłupiania — poddał pod rozagę Huber. — Inni jednak, podobnie jak mój szef, uważają, że skoro ze środka tego nie można w żaden sposób zrezygnować, należy go opanować.

— To całkiem jasny cel, także w aspekcie finansowym. Żadnych monopolów interesów politycznych, religijnych czy społecznych! Tylko bezwarunkowo wolna gospodarka rynkowa! Kto ma pieniądze, ten kupuje. Jak w Ameryce. Zyski z reklamy sfinansują wtedy sztukę.

— Sztuka? Kogo to dziś interesuje? — powiedział Huber powstrzymując ziewanie. — Nawet nie jednego na tysiąc. Z ekonomicznego punktu widzenia to nieodpowiedzialny luksus. Większość chce oglądać mecze piłkarskie, filmy rozrywkowe i słuchać przebojów.

— Zapewnimy to widzom — obiecał spontanicznie Mausbach. — Ale będzie to możliwe tylko wtedy, kiedy naprawdę będziemy mieli wolną rękę. A więc jeśli będziemy dys-

ponowali własnymi stacjami telewizyjnymi, będą dla nas pracowały odpowiednie zespoły produkcyjne, a nasze wytwórnie filmowe będą mogły działać bez przeszkód.

— Niech pan przygotuje odpowiedni projekt na piśmie. Przedstawimy go do oceny w naszym biurze. Proszę go przygotować w miarę możliwości już na jutro. Coś jeszcze?

— A teraz sprawa chyba najważniejsza: powołanie w Landtagu komitetu do opracowania i jak najszybszego wniesienia pod obrady odpowiednich ustaw. Chętnie w nim obejmę funkcję przewodniczącego.

— A to wszystko tylko dlatego — zapytał z naciskiem Huber Trzeci — że pan wypił z Holzingerem bruderszaft?

— Oczywiście nie — zapewnił konfidencyjnie Mausbach. — Ma się rozumieć za każdą przysługę w tym zakresie hojnie bym się zrewanżował. Na przykład pośrednimi udziałami w zyskach, popieraniem firm, które należy popierać, udziałami po znizowanych cenach. Także zwrotem kosztów w odpowiedniej wysokości. Osobistymi przyjemnościami. Dama na dzisiejszym spotkaniu to tylko ich drobny przedsmak.

— Dość! Wystarczy! — wykrzyknął Huber. — Mój szef z pewnością nie da się przekupić. Co zresztą nie znaczy, że nie docenimy przejawów wdzięczności. Rzecz jednak dotyczy zaufanych prawników, zaprzyjaźnionych firm lub osób wtajemniczonych, tak jak ja.

— Rozumiem — stwierdził z uznaniem Mausbach. — Może więc pan zawsze liczyć na moją przychylność, oczywiście wyrażoną w sumach odpowiedniej wysokości.

Obaj równocześnie spojrzeli na Holzingera, nadal zajętego siedzącą obok niego damą. Jego ręka wciąż swobodnie spoczywała na jej udzie, ale już znacznie wyżej niż poprzednio. Oddychała z lekko rozchylonymi wargami — zęby miała wspaniałe. Pachniała też bardzo dobrze.

— Jak ci właściwie na imię? Zdaje się Maria?

— Tak, Maria — odpowiedziała przyciskając się do niego. — Ale mówią do mnie Petra. To moje drugie imię. Nie podoba ci się?

— Mniejsza o imiona — odpowiedział rubasznie. — Grunt, że ty sama jesteś w stu procentach jak trzeba.

Przez cały ten czas Holzinger nie spuszczał oka ze swoich najbliższych współpracowników.

— Huber — odezwał się poufnie do swego osobistego referenta, nie zdejmując przy tym ręki z uda Marii-Petry — zaopiekuj się naszym Neumannem. Obawiam się, że ten nasz szczurek reaguje nie całkiem normalnie.

Panie Ettenkofler, czy mogę pana prosić? — uprzejmie, lecz z pewną rezerwą wezwał oczekującego starszy inspektor Michelsdorf. — Chętnie bym teraz wysłuchał pańskiej wersji wydarzeń i sporządził protokół.

— Zdążyłem się zastanowić — powiedział Ettenkofler siadając na krześle, które mu podsunęto w gabinecie Krebsa.

— Mogłbym prosić o pomoc prawną kogoś z moich adwokatów. Ale zrezygnowałem z tego.

— Dlaczego, panie Ettenkofler?

— Bynajmniej nie zamierzam rozdmuchiwać tego zajścia. Tym bardziej że jestem pewien, iż wszystko się bardzo łatwo wyjaśni. — Ettenkofler, zaróżowiony, gładki, a zarazem godny, okazał się również uprzejmy. — Pozwalam sobie przypuszczać, że nasza policja, której prezydenta mam za szczyt zaliczać do osobistych przyjaciół, zawsze stara się postępować dyskretnie i taktownie. Pan oczywiście rozumie, co mam na myśli.

— Może być pan tego pewien — potwierdził Michelsdorf.

— Ale proszę, niech pan przejdzie do sprawy.

Josef Franz Ettenkofler, lat 54, zeznanie:

— Około godziny jedenastej, a może trochę później poznałem się z kilkoma przyjaciółmi, z którymi spędziłem wieczór, wśród nich z Duhrem z Przedsiębiorstwa Budowlanego Duhr, z Hurdachem, właścicielem zakładów mięsnych, następnie z jedną z księżniczek von Preussen — wyposażenie wewnątrz — poza tym z Hoflehrem — wielkie budowy, między innymi dom Marabella, następnie z panią Freisehner — sieć handlowa — i z Damlicherem, właścicielem banku.

Moi przyjaciele mieli jeszcze ochotę pospacerować po mieście, ale ja poczułem się niezbyt dobrze, a do tego obiecałem przyjść jutro przed południem na poświęcenie nowej fontanny, na które zaprosił mnie nadburmistrz. Zresztą nie tylko on. W każdym razie poszedłem do mego wozu. Musiałem go zaparkować przy Środkowej Obwodnicy, biały BMW trzy tysiące. Stał tam i stoi dotychczas w odległości około tysiąca dwustu metrów od terenu Festynu.

Po drodze, w pobliżu Miillerstrasse, zobaczyłem dziecko, dziewczynkę. Siedziała wystraszona pod drzewem. Zapytałem ją, co tu robi. Odpowiedziała, że boi się iść do domu. Mówiła, że jest już „bardzo późno” czy też „za późno”.

Starąłem się uspokoić dziewczynkę, bo jej rozpacz i lęk wydały mi się prawdziwe. Powiedziałem do niej mniej więcej tak: „To wszystko nie jest takie straszne. Chodź ze mną, zawiozę cię do domu.”

Uważałem to za swój ludzki obowiązek. Żał mi było dziecka. Jeśli ktoś potrzebuje mojej pomocy, jak to było w tym przypadku, może na mnie liczyć. Zapytałem dziewczynkę o nazwisko. Powiedziała, że nazywa się Therese Giesinger czy też Gieringer. Podała mi też adres rodziców, przy Sternhallerstrasse. Było mi to nawet po drodze, w każdym razie musiałem zboczyć tylko kilka kroków. Nie miało to dla mnie znaczenia. Byłem gotów jeszcze się przejść po świeżym powietrzu. Odprowadzałem więc małą do domu, rozmawiając z nią przyjaźnie po ojcowsku.

Nagle ona odczuła pewną ludzką potrzebę. Powiedziała mniej więcej tak: „Muszę koniecznie na mały interes. Czy mogę?” Nie mogłem jej oczywiście zabronić. Weszła do najbliższej bramy i tam przykucnęła. Ja starałem się tylko ją zasłonić. Wtedy z zaparkowanego w pobliżu samochodu wyskoczył policjant i rzucił się na mnie.

— Całkiem wiarogodna wersja — zapewnił skwapliwie Michelsdorf.

— Rad jestem, że pan to stwierdza — powiedział Ettenkofler. — Ponieważ więc moja osoba jest panu znana i dysponuje pan moim adresem, a zatem może się pan ze mną skomunikować w każdej chwili, mogę zapewne już odejść?

— Czy ma pan chustkę do nosa?

— Co za pytanie? — zdziwił się Ettenkofler, — Oczywiście, zawsze mam przy sobie chustkę do nosa, i to nie jedną, ale zwykle dwie lub trzy.

— Dlaczego właśnie trzy?

— Mój ojciec miał taki zwyczaj i ja go po nim przejąłem. Tak, na wszelki wypadek. Na przykład na użytek pań, w razie rozlania napoju lub do wytarcia rąk po umyciu, jeśli brak odpowiednich urządzeń higienicznych.

— To ciekawe — stwierdził Michelsdorf z szacunkiem. — Czy mógłbym zobaczyć te pańskie chustki?

— No dobrze, skoro pan nalega! — Ettenkofler lekko się ociągając wyjął z kieszeni spodni prawie świeżą chustkę, drugą wyciągnął z kieszeni marynarki, także nie używaną. Bezskutecznie jednak szukał trzeciej.

— Musiała mi się gdzieś zawieruszyć.

Michelsdorf przyjrzał się uważnie obu chustkom, nie biorąc ich jednak do ręki. Po czym powiedział: — Dziękuję.

— Mogę już wreszcie odejść?

— Niestety, musimy przedtem dopełnić paru koniecznych formalności, toteż trzeba będzie poczekać na zakończenie dochodzenia w sprawie tego zajścia. Należy do niego również przepytanie tego dziecka. Musi się więc pan uzbroić w cierpliwość.

— Panie Michelsdorf, to są już zwykane!

— Ależ nie, panie Ettenkofler — odparł uprzejmie Michelsdorf. — Spełniam tylko swój obowiązek, stosując się do zaleceń mojego przełożonego. Nie ponoszę żadnej odpowiedzialności za to, że pan się tu znalazł. Ja tylko wykonuję rozkazy, szanowny panie Ettenkofler.

Doktor Weinheber, na imię mu było Artur, szczególnie zaufany powiernik Müllera, już od kilku miesięcy miał w zwyczaju każdą noc z soboty na niedzielę spędzać u swojej przyjaciółki. Nazywała się Karin, była od niego młodsza o jakieś dwadzieścia lat

i hołdowała pewnej bardzo współczesnej zasadzie życiowej: sukces przede wszystkim!

Sukces stał się jej udziałem — dzięki wpływom jej Artura. Załatwił on jej dobrze płatną, a za to nie męczącą pracę w pewnym towarzystwie artystycznym, którego zarządem był członkiem. Ponadto kupił dla niej — a tym samym dla siebie — dwupokojowe mieszkanie przy Nymphenburgerstrasse.

Spotykali się dwa razy w tygodniu. Raz któregoś przypadkowego dnia powszedniego, po uprzednim telefonicznym uprzedzeniu, mniej więcej na dwie godziny. Natomiast już regularnie w sobotę — na całą noc. Atmosferę mieszkania tworzył mieszczkański komfort — wyposażenie z firmy „Die Einrichtung”, łazienka i wełna od „Obermeiera”, pralka i maszyna do zmywania z firmy „Die Heinzelmannehen”.

— Jesteś dziś chyba zmęczony — powiedziała Karin tuląc się do niego. — Sprawiasz wrażenie wyczerpanego.

— Mam chwilowo osobiste problemy — wyznał jej.

— Czy z mojego powodu? — zapytała.

— Przy tobie usiłuję o nich zapomnieć — zapewnił ją Weinheber. Jednocześnie przebiegał spojrzeniem ściany, które po części on także przystroił: *Błękitne konie* Franza Marca, jugosłowiański kilim w czerwonej tonacji, Turner — statek na pełnym morzu, a nad nim rozdarte błyskawicą niebo. Były to wprawdzie reprodukcje, ale pierwszorzędnej jakości. Łóżko, w którym leżał razem z Karin, miało pościel w modnych kolorach. Puchowa kołdra była w niebieskie kwiaty.

— Mam pewne obawy — stwierdził.

— Jeżeli chodzi o mnie, nie masz się czego obawiać, stoję na głobulki.

— Jeżeli chodzi o ciebie, wszystko jest w najlepszym porządku. Obawiam się o Müllera.

— Którego tak bardzo szanujesz...

— Ale nie bez zastrzeżeń, a w każdym razie niebezkrytycznie. Jestem nie tylko doradcą, ale też prawdziwym przyjacielem Müllera. Ale on chyba nie umie tego należyście docenić, a może nie wie dokładnie, na czym mi zależy.

— A na czym ci zależy? Chcesz zostać intendentem, przewodniczącym rady do spraw radia, ministrem wyznań religijnych?

— Obawiam się, że Müller nie myśli dość praktycznie. Zdaje się, że nie jest zdolny do tego, by pójść na korzystny kompromis, przynajmniej w tym przypadku. Popelnia błędy. Nie próbuje niczego zbudować, tylko wszystko od siebie odpycha. Nie myśli przy tym o swoich przyjaciółach.

— To znaczy także o tobie.

— Jeśli nadal tak będzie postępował, to przy takim przeciwniku jak Holzinger jest skończony.

— A ty razem z nim. Tego właśnie się obawiasz?

— Nie ma chyba nic gorszego niż idealista walczący o władzę. W jakimś momencie na pewno się rozbije. A jego zwolennicy wyjdą na głupców!

Trzy rozmowy między funkcjonariuszami policji, przeprowadzone w ciągu tej nocy

Rozmowa pierwsza:

Cartner, radiowóz 29, z Bauerem z centrali. Miejsce: korytarz przed dyspozytornią patroli zmotoryzowanych.

Gartner: Chciałem tylko powiedzieć dobry wieczór i opowiedzieć ci coś ciekawego. Trafiłem dzisiaj na grubą sztukę.

Bauer: Na Ettenkoflera, prawda? Twój meldunek radiowy sprzed paru minut przekazałem do wydziału obyczajowego. Czy tam naprawdę chodzi o tego właśnie Ettenkoflera, tę chlubę monachijskiego mieszczaństwa?

Carter: Kapitalna zdobycz! Michelsdorf też tak uważa. Zabrał się ostro do roboty.

Bauer: On zawsze taki. Ale najważniejsze, co mówi o tym Krebs. Jak ocenia ten przypadek.

Gartner: Wcale nie ocenia. On jeszcze o niczym nie wie. Jest gdzieś w drodze, zastępuje go Michelsdorf.

Bauer: A radca Zimmermann?

Gartner: Co go mogą obchodzić ci z obyczaj ówki?

Bauer: Drogi przyjacielu, wszystko to nie wygląda zbyt korzystnie dla ciebie. Ostatecznie przyłapałeś nie jakiegoś tam małego łobuza, ale zadarłeś, że się tak wyrażę, z monachijskim potentatem. Gdyby tak ktoś zechciał tej sprawie łeb ukreć, a to łatwo może się zdarzyć, mogą całą odpowiedzialność zrzucić na ciebie. I co wtedy zrobisz?

Gartner: Jak myślisz, co mam robić?

Bauer: Obawiam się, że już zrobiłeś więcej, niż należało. Teraz pozwól, że ja się postaram ustawić tę sprawę na właściwym torze. Jeżeli nie jest na to już za późno.

Rozmowa druga:

Bauer i Zimmermann na terenie Prezydium.

Bauer: Pozwoli pan, panie radco, że zwrócę uwagę pana na pewne wydarzenie, które może okazać się ważne. Dzisiejszej nocy jeden z naszych komendantów radiowozów, pracownik cieszący się nieposzlakowaną opinią, dostawił do Prezydium podejrzanego o przestępstwo obyczajowe.

Zimmermann: To doskonale! Każdy taki osobnik powinien do nas trafić. Ale dlaczego informuje mnie pan o tym przypadku bezpośrednio, bez zachowania drogi służbowej? Albo dokładniej: co pana tu niepokoi?

Bauer: Tylko jedna rzecz, nazwisko tego kogoś. Chodzi mianowicie o niejakiego Ettenkoflera, o Josefa Franza Ettenkoflera.

Zimmermann: Przypadkowa zbieżność nazwisk?

Bauer: Niestety nie, o ile dobrze wiem.

Zimmermann: Dziękuję za informację, panie kolego. Pozostaje mi tylko nadzieja, że nie jest ona prawdziwa. A przy tym wiem, że należy pan do tych nielicznych, którzy błąd w działaniu policji uważają za rzecz nieludzką. Zresztą tak jest w istocie.

Rozmowa trzecia:

Zimmermann w Prezydium i Krebs w Instytucie Medycyny Sądowej.

Zimmermann: Trudno mi oceniać, jakie znaczenie ma przypadek, nad którym właśnie pracujesz, Krebs. W każ-

dym razie w biurze zastępuje ciebie Michelsdorf, co zresztą jest w porządku. Ale czy nie dostał on polecenia, by powiadamiać ciebie bezzwłocznie o każdym nadzwyczajnym wydarzeniu?

Krebs: Mam ciągłą łączność radiową ze swoim biurem. Jak mnie powiadomiono, Michelsdorf zajmuje się tam pewnym mężczyzną podejrzanym o przestępstwo obyczajowe.

Zimmermann: Tyle tylko, że tacy ludzie miewają czasem pozycję i nazwisko. W tym przypadku mamy do czynienia z niejakim Josefem Franzem Ettenkoflerem. Coś ci to mówi?

Krebs: Powiedziałbym po prostu, że liczy się tylko przestępstwo. Nie powinno nas z góry interesować, kim jest przestępca.

Zimmermann: Chłopie, w samej rzeczy mnie to też gównie obchodzi. Ale mamy tu człowieka, który może postawić przeciwko nam cały monachijski świat i nawet samego Pana Boga, jeśli się okaże, że popełniliśmy jakiś błąd!

Krebs: Zaraz przyjeżdżam do Prezydium. Gdy tylko się zorientuję, o co chodzi, złożę ci meldunek.

Maximilian Holzinger rozsiadł się władczo, podniecony alkoholem, i ani myślał zakończyć tę noc udaniem się na spoczynek. Wyglądało na to, że jego żywotność nie ma granic — głos jeszcze przybrał na sile, a on sam porywał wszystkich żywiołową wesołością.

W nocnym lokalu „Grand Moulin” krąg biesiadników wokół niego pozostawał niezmienny: poseł do Landtagu Mausbach wołający o szampana, jego gotowa na wszystko towarzyszka, udający bardzo rozbawionego Huber, pochylony i pogrążony we własnych myślach Neumann. Oprócz nich także najwyższej klasy striptizerka Polly Winters, zaproszona do tego stołu przez dyrektora Streichera; instynktownie zażądała najwyższego honorarium.

Zespół muzyczny „Tajfuny” niewielki zaszczyt przynosił swemu mianu. Coś tam pobrzękiwali na saksofonie

i elektrycznych gitarach, a chłopak przy perkusji, zaparty przed siebie, bujał w obłokach. Właściciel baru polecił wygasić część światel. Aby osiągnąć intymny nastrój.

Posel do Landtagu próbował jeszcze raz poruszyć sprawę polityki.

— Niewątpliwie dojdzie do tego — zwrócił się wprost do Holzingera — że uda się nam przeforsować projekt ustawy w Landtagu, gdzie stanowimy przecież większość. A kiedy ja, jako przewodniczący komisji...

Ale Holzinger machnął na to ręką. — Już my to załatwimy.

— Po czym znów się zajął Marią-Petrą.

Huber, zadowolony, uśmiechał się szyderczo, Neumann siedział bez życia, dyrektor koncernu Weltera raz po raz dotykał siedzącej obok niego Polly Winters, jakby zamierzał ją kupić, ona gruchała do niego.

— Nie ma tu czym oddychać — powiedział Neumann.

— Cóż za przenikliwy odór!

— Moje perfumy pochodzą z Paryża — zapewniła oburzona Polly Winters. — Specjalna kompozycja firmy „Jeanette”.

— Tu śmierdzi — odparł tępo Neumann.

— Pan mnie obraża — oburzyła się Polly.

— Nie musi się pani tu na nikogo obrażać — wyjaśnił Neumann z udręką, ale wyraźnie. Był już kompletnie pijany.

— Wystarczy, by pani sobie stąd poszła. Rachunek może pani wystawić tak czy tak. Ci panowie od ręki zapłacą.

Polly Winters podniosła się, stanęła w rozkroku, zmierzyła wzrokiem Berta Neumanna z najwyższą pogardą i wykrzyknęła: — Ty nędzny świntuchu!

— Strasznie zabawny wieczór — powiedział szczerze uradowany Holzinger.

— Niech pan przeprosi panią — domagał się od Neumanna dyrektor Streicher.

— Ja przepraszam za niego — oświadczył Huber, szybko stając między nimi. — Przecież on jest kompletnie zalany.

Dyrektor Streicher przyjął to wyjaśnienie, tym bardziej że Holzinger skinął na niego. Oddalił się wraz z Polly Winters.

Na znak dany przez Holzingera Huber zajął się troskliwie Neumannem.

— Chłopie, jakiś zupełnie wykolejony facet z ciebie! Co masz przeciwko tej wspaniałej rozdziewajce? Wszystko ma super! Fajne cycuchy, poręczna pupcia, a do tego buzia jak z Hollywood. Neumann, człowieku, czego ci więcej trzeba?

— Prawdziwej piękności — bełkotał Neumann, znów pociągając z kieliszka, całkiem już nieprzytomny — delikatności, czułości, kobiecej istoty jakby z porcelany.

— Gdzie masz coś takiego? — roześmiał się głośno Huber Trzeci.

— Jest coś takiego — wyznał ledwie dosłyszalnie Bert Neumann.

— Ale gdzie? Może twoja żona jest taka? Wydawało się, że Bert Neumann, co zdarzało mu się bardzo rzadko, traci panowanie nad sobą.

— Zabraniam panu mówić o mojej żonie!

— Co ty wygadujesz? Też coś! — poruszyło to wyraźnie Hubera Trzeciego. Jego niezbyt bujna wyobraźnia zaczęła malować przed nim niecodzienne obrazy. Patrzył na Berta Neumanna z coraz większym zainteresowaniem. — Takie ci się wydaje ważne to twoje ukryte przed ludźmi, by nie rzec, ekskluzywne życie osobiste?

— Oczywiście! I niech pan uprzejmie przyjmie to do wiadomości.

— Przyjmuję — roześmiał się kpiąco Huber Trzeci — ale na mój własny sposób.

Neumann wpatrywał się uporczywie w swój pełny kieliszek, potem go pochwycił i wychylił do dna. Huber zaraz go znów nappełnił. A Neumann wpatrywał się tępo w parkiet.

Tańczyły tam dwie pary — jedna ciasno spleciona ze sobą, druga raźnie przytupująca. Na uboczu siedzieli przy stoliku dwaj chłopcy, wpatrujący się w siebie z oddaniem. Przy innym stoliku radośnie bełkocący starsuszek pozujący na młodzieńca zalecał się do żwawego dziewczęcia. Przy barze stał olśniony wielkim miastem przybysz z prowincji, otoczony przez trzy czy cztery panienki do towarzystwa.

I wciąż ten sam „Tajfun” — pięciu zagapionych przed siebie, machinalnie pracujących na swoich instrumentach chłopaków.

Neumann jęknął: — Nie, to wszystko jest okropne! Muzyka nie jest muzyką, piękność nie jest piękna. Brzydka tandeta!

W tym momencie Holzinger, opuszczony chwilowo przez swoją już należycie urobioną towarzyszkę zabawy, zatroszczył się znów o swoich najbliższych współpracowników. Stał za nimi i objął ich obu ramionami jednakowo serdecznie.

Powiedział do nich tonem zwyczajnego stwierdzenia, a więc nie czyniąc żadnych wymówek:

— Ty, Neumann, popełniłeś poważny błąd. Nie ze względu na tę Winters, bo zareagowałeś na nią całkiem poprawnie. Nie wzięłeś jednak pod uwagę faktu, że tę Winters zagarnął dla siebie dyrektor Streicher, nasz partner w interesach. I to było niedobre. Wszystko to odkręcisz. Musisz to zrobić, jeśli mam ciebie nie skreślić z rejestru.

— Przykro mi — wyznał małodusznie Neumann.

— Jesteś tylko sentymentalną dupą — dorzucił Huber.

— Ale nie możesz w tym trwać — zdecydował Holzinger — bo zbliża się chwila, kiedy będziemy musieli skoncentrować wszystkie nasze siły na projekcie numer jeden, a więc skierować je przeciw Müllerowi.

Huber Trzeci okazał się niedowiarkiem. — To jest przecież polityczne zero. I ma swoje słabe strony, wiele słabych stron. Jak każdy.

— Jakież to są te słabości, których jeszcze nie znam? Wskażcie je! — rozkazał im Holzinger, po czym odwrócił się od nich w stronę powracającej Marii-Petry. Władczym ruchem wziął ją w ramiona — jak sądziła niejedna z jego licznych zwolenniczek — mocne ramiona.

— Słyszałeś, zapijaczony lunatyku? — zapytał Huber, nachylając się do Neumanna. — Natęż teraz swoją mózgowicę. Za to ci ostatecznie płacimy. Co jest słabym punktem Müllera?

— Chyba ten jego Weinheber — powiedział Bert Neumann.

— W jakim sensie?

Bert Neumann nie miał jednak już sił, by cokolwiek po-

wiedzieć, choć bardzo się starał. Był błąd jak ściana. Zachwiał się i opadł na stół, tłukąc kilka kieliszków.

Huber stwierdził ze znanstwem: — Nasz pisarczyk jest ululany na amen. Nareszcie udało się nam go załatwić.

— Może powoli stanie się podobny do ludzi — zauważył ubawiony Holzinger. Po czym rzeczowo zarządził: — Odwieź naszego małego bezcennego śmierzdiela do domu i oddaj go żonie.

— Zrobię to z rozkoszą! — zapewnił Huber Trzeci. — Bo po tym wszystkim, co nasz Neumann uparcie o niej przemilczał, niecierpliwie ostrzę sobie na nią zęby.

— Każdemu przyjemność, na jaką sobie zasłużył — orzekł Holzinger z zachętą w głosie. — Przynajmniej u nas!

Z notatek emerytowanego funkcjonariusza policji Kellera:

„Znam zaledwie jednego policjanta, który chętnie zajmuje się przestępczością obyczajową. Jednakże jeśli ktoś oddaje się temu z całym zapalem, budzi to we mnie pewne podejrzenia. Tak ma się na przykład sprawa, jeśli chodzi o Michelsdorfa.

Większość policjantów nawet nie przeczuwa, w jakie sprawy się przy tym wdają. Uczni światowej sławy łamali sobie głowy nad niejednym faktem z tej dziedziny. Niejaki Hirschfeld, pośród wielu innych możliwości wyjaśnienia genezy zbroczeń, wymienia następujące: zaburzenia równowagi hormonalnej, dwupłciowość, wystąpienie form przejściowych w chromosomach określających płć. Boss sprokurował zupełnie inną teorię. Twierdził, że chodzi tu o «występującą u niektórych osobników sprzeczność między pragnieniem życia w świecie rządzonego przez miłość a koniecznością egzystencji określonej przez ograniczony byt doczesny».

Nie ma więc w zakresie kryminalistyki przypadków bardziej skomplikowanych niż te właśnie. Z własnego doświadczenia przypominam sobie na przykład pewną zamężną kobietę, która systematycznie wpajała swojej dziewięcioletniej córce najbardziej wymyślne zbroczenia seksualne tylko

po to, ażeby później oskarżyć o ich praktykowanie swego męża, którego nienawidziła. Inny przypadek: pewna matka uśmierciła własne dziecko przez uszkodzenie jego narządów płciowych, ażeby upozorować morderstwo na tle seksualnym, popełnione rzekomo przez ojca.

Podobne okropności są w tym zawodzie chlebem powszednim. Przestępcy są przeważnie osobnikami o chorobliwej wyobraźni, często cierpią na urojenia, stanowią też poważne zagrożenie dla społeczeństwa. W ostatnim dziesięcioleciu odnotowano przestępców na tle popędu seksualnego również z wyższym wykształceniem, zajmujących poważną pozycję społeczną.

Na przykład więc: dyrektor gimnazjum w wieku 32 lat, duchowny — lat 50, starszy wachmistrz policji — lat 41, urzędnik państwowy — lat 49, naczelnny lekarz — lat 52. Temu ostatniemu udowodniono dwa przypadki zgwałcenia oraz jedną próbę dokonania gwałtu.

Ale podobnej rzeczy trzeba najpierw dowieść. W tym celu należy zebrać możliwie dużo namacalnych dowodów, niepodważalnych zeznań świadków, szczegółowych badań. Całkowitą jasność udaje się wszakże uzyskać niezmiernie rzadko.

Pomimo wszystko tak konsekwentnemu i umiejącemu ogarnąć całość okoliczności znawcy zagadnień, jakim jest Krebs, mogło się udać rozwikłanie nawet takiej sprawy. Z każdego spotkania z nim odnosiłem korzyść. A dla mojego psa Antona były one prawdziwą przyjemnością. Dlatego że Krebs ma ukochaną, także przeze mnie i przez Antona, córeczkę Sabine ."

Około godziny 1.30 w Instytucie Medycyny Sądowej komisarz Krebs zęgnął się z profesorem Lobnerem, prosząc go, ażeby mu jak najszybciej dostarczył wyniki nie zakończonych jeszcze badań; najważniejsze z nich należałoby utrwalić jako materiał do ekspertyzy.

— Szkoda, że musi już pan wracać — rzekł szczerze zmartwiony Lobner. — Cieszyłem się już na długą nocną rozmowę na nasze pięknie obrzydliwe tematy zawodowe.

— Powetujemy sobie niebawem tę stratę — obiecał Krebs.— Najpóźniej wtedy, kiedy zakończymy już pracę nad tym przypadkiem. A jest on naprawdę najbardziej godny uwagi ze wszystkich, z jakimi miałem dotychczas do czynienia. W każdym razie serdecznie panu dziękuję za współpracę, a także za to, że mała Gudrun może pozostać w pańskim Instytucie.

— Zgodnie z pańskim życzeniem odizolujemy dziecko. Będziemy jej strzec, jakby to były angielskie klejnoty koronne. I co jeszcze? Odprawimy każdego, kto by zechciał wywierać tu jakieś naciski. Tylko na jak długo?

— Do jutrzejszego przedpołudnia. Kiedy Gudrun już dobrze wypocznie i zje śniadanie, zajmiemy się jej dokładnym przesłuchaniem.

W drodze do Prezydium z Pettenkofenstrasse na Ettstrasse, co trwało pięć, a najwyżej siedem minut, Krebs kazał się połączyć z kierownikiem dyspozytorni radiowozów. Zapytał go: — Jak można się skomunikować z komendantem patrolu, który dzisiejszej nocy aresztował przy Miillerstrasse podejrzanego o przestępstwo obyczajowe?

Bauer natychmiast dopowiedział: — To kolega Gartner, Isar 29. Jest właśnie u mnie w dyspozytorni.

— Dobrze! Niech go pan wobec tego poprosi, aby zszedł do dyżurki przy wejściu. Będę tam za jakieś pięć minut.

Jeszcze jedna rozmowa przez radio:

Krebs ze swoim biurem, to jest starszym inspektorem Michelsdorfem.

— Mam następujące pytanie: Kto przesłuchał Ettenkoflera?

Odpowiedź brzmiała: —Ja go przesłuchałem. Właśnie spisujemy zeznanie. Dziewczynką zaopiekowała się koleżanka

Brasch, jeszcze się nią zajmuje. Ettenkofler znajduje się pod nadzorem w naszym przedpokoju.

Na to Krebs zadysponował: — Żadnych dalszych czynności do mojego przyjazdu.

Komisarz Krebs przybył do Prezydium tuż po godzinie 1.40. Zgodnie z poleceniem, przy wejściu czekał na niego Gartner. Ich rozmowa trwała około dziesięciu minut. Najpierw Gartner przedstawił przebieg wydarzenia, po czym nastąpiła seria szybkich, szczegółowych pytań Krebsa. Dostawał na nie zwięzłe i tak samo szczegółowe odpowiedzi. Krebs wydawał się zadowolony.

Następnie udał się do „pokoju przesłuchań”. Nie było to wcale jakieś wspaniałe wyposażone pomieszczenie, gdyż nie pozwalał na to stan budżetu, ale po prostu archiwum, które nocną porą wykorzystywano do przesłuchiwania zatrzymanych. Znajdowała się tam również kartoteka. Krebs spotkał tu panią inspektor Brasch, bawiącą się z dzieckiem, które oddano jej pod opiekę.

Wystarczyło sześciu minut, by Krebs uzyskał informacje o przebiegu zajścia. Pani Brasch była bowiem obdarzona niemal bezbłędnym instynktem zawodowym. Jeśli to tylko było w jakikolwiek sposób możliwe, potrafiła przetwarzać zaledwie mgliste przypuszczenia w użyteczny materiał dowodowy.

— Niech pani kończy na dziś, szanowna koleżanko — powiedział Krebs. — Służbowy wóz odwiezie panią do domu, a po drodze proszę odstawić swoją podopieczną do rodziców. Niech pani im łagodnie i bezstronnie opíše sytuację. Ale komu to ja mówię? Jutro skorzystam z pani pomocy przy przesłuchaniu szczególnego rodzaju. Wstępne omówienie około dziewiętej trzydzieści. Tu, w biurze.

— Może byśmy pomówili o tym jeszcze dzisiaj? — zaproponowała pani Brasch. — Aby się mogła odpowiednio nastawić do tej sprawy. Jak się zdaje, jest ona dla pana ogromnie ważna. Odwiozę więc teraz dziecko do domu, a potem wrócę. Dobrze?

— Dobrze — powiedział z wdzięcznością Krebs.

Niezwykła bezpośredniość, z jaką zawsze na wszystko reagowała ta policjantka, zwana „mamą Brasch”, oddziaływa-

ła dobroczynnie na komisarza. Nie stawiała mu nigdy żadnych pytań, gdyż z góry знаła na nie odpowiedź. Uśmiechając się do siebie, udał się Krebs do swego gabinetu.

W przedpokoju ujrzał Ettenkoflera. Rozpoznał go od razu. Widywał go na rozlicznych zdjęciach w gazetach i kolorowych magazynach: „...otworzył bal Monachijskich Złoty Serc”, „..... wręczył prezydentowi miasta pięciocyfrowy czek na fundację Stara Ojczyzna” „..... towarzyszył premierowi przy zwiedzaniu wystawy Życie Monachium” i tak dalej.

Ettenkofler przeglądał książkę telefoniczną i prawie nie zwrócił uwagi na niewysokiego, szczupłego mężczyznę w przyzwoitym szarym garniturze. Spojrzał tylko na niego przelotnie, widać wziął go za jakiegoś podrzędnego funkcjonariusza. Jednakże komisarz, podobnie jak czyniło to wielu policjantów, obojętnie przyjął to niedbałe zlekceważenie jego osoby. Tym bardziej nieoczekiwanie mógł wkroczyć do akcji.

W gabinecie szefa czekał już Michelsdorf, który pospiesznie wskazał biurko. Leżało tam już bowiem utrwalone na piśmie, lecz jeszcze nie podpisane zeznanie Ettenkoflera oraz meldunek komendanta patrolu zmotoryzowanego Gartnera, uzupełniony jego szczegółowym przepytaniem. Krebs stojąc przeczytał oba dokumenty. Michelsdorf czekał w milczeniu.

— Żle — osądził z żalem Krebs. — Bardzo źle!

— Ma pan na myśli moją pracę? — zapytał z niedowierzaniem Michelsdorf.

— Mam na myśli przesłuchiwanie osoby odpowiedzialnej za to wydarzenie. Wdał się pan w to bez zastanowienia. A mógł pan przecież na mnie zwalić całą odpowiedzialność. Sytuacja aż się o to prosiła.

— Ale chyba nie dlatego, że niejaki Ettenkofler...

— Stop! — osadził go zdecydowanie Krebs, siadając za swoim biurkiem. Nawet okulary nie mogły przesłonić blasku nieufności w jego oczach. — Pozycja społeczna domniemanego sprawcy przy rozpatrywaniu dokonanego ewentualnie przestępstwa schodzi na dalszy plan. Powinno nam być obojętne, czy podejrzany nazywa się Ettenkofler, czy

Müller, czy Huber. Ale jeśli na kogoś padnie podejrzenie, to powinien on mieć podstawy do zaufania naszej bezstronności. Każdy jest niewinny dopóty, dopóki nie przemówią przeciw niemu poważne dowody.

— Panie komisarzu — przemówił Michelsdorf, już teraz tonem rozmyślnie oficjalnym, przybierając przy tym sztywną, niemal wojskową postawę — przyjąłem za punkt wyjścia przekonujący mnie, poprawny meldunek służbowy bezwzględnie godnego zaufania policjanta!

— Właśnie z nim rozmawiałem — stwierdził Krebs.

— Gartner uważa, że widział tak zwaną drażliwą sytuację, jednak bez jakichkolwiek rozpoznawalnych czynności. Gdzież tu jest jakiś dowód, jeśli się przyjrzymy tylko trochę dokładniej?

— Czy to ma znaczyć, że chce pan tego Ettenkoflera wziąć pod swoją opiekę? — zapytał wyzywającym tonem Michelsdorf. — Przecież jego zeznanie, jak się temu dobrze przypatrzeć, to tylko nieudolna bajeczka dla grzecznych dzieci. Cóż mogłoby być bardziej podejrzanego? Nie pozwoli pan przecież temu facetowi biegać na wolności?

— Nikomu nie pozwolę biegać na wolności — powiedział z naciskiem Krebs, chcąc zwrócić uwagę na niestosowność tego wyrażenia, ale wciąż jeszcze uprzejmie. — Muszę jednak uznać, że Ettenkofler jest wolny od podejrzeń.

— Czy nie dlatego, że nazywa się Ettenkofler?

— Nie powinien pan był tego powiedzieć, Michelsdorf — stwierdził smutno Krebs. — To całkiem po prostu jest niezgodne ze sposobem myślenia świadomego swojej odpowiedzialności pracownika kryminalistyki. Opieram się tylko na faktach. Stwierdziłem brak jakichkolwiek budzących podejrzenia rozbieżności między wynikiem przesłuchania Ettenkoflera a meldunkiem funkcjonariusza, który go doprowadził, jak też domniemanej ofiary. Raczej łatwo stwierdzić znaczną ich zgodność.

— Ale ja jestem zupełnie innego zdania, jeśli pan pozwoli!

— Nie mam w zwyczaju na cokolwiek pozwalać lub czegokolwiek zabraniać moim współpracownikom. Oczekuję natomiast od nich stałej dbałości o obiektywizm. Ale przy-

puszczam, że nie zna pan jeszcze wyników, jakie uzyskała koleżanka Brasch.

— Nie znam ich jeszcze — przyznał z uporem Michelsdorf. — Ale znam za to panią Brasch.

— No, mam nadzieję! Bo to, co stwierdziła nasza koleżanka po dokładnym przepytaniu tego dziecka, pokrywa się praktycznie z tym, co pan zapisał po przesłuchaniu Ettenkoflera. W samej rzeczy znaczy to, że jego wersja wydarzeń jest chyba prawdziwa. W każdym razie nie można udowodnić, że jest inaczej.

— Wynika z tego oczywiście, że my jeszcze raz musimy po prostu wypuścić na wolność prawdopodobnego przestępcę obyczajowego!

— Muszę pana ostrzec, Michelsdorf! Tym razem wcale nie chodzi o zakończenie sprawy z braku dowodów, lecz niemal na pewno o drastyczny przypadek wkroczenia policji. Kto wie, może nawet wykroczenia czy też nadużycia! Niewątpliwie padnie tu pytanie, kogo należy obciążyć odpowiedzialnością za to wydarzenie.

— W żadnym przypadku nie mnie! Stosowałem się dokładnie do pańskich poleceń. Czyżby pan chciał temu zaprzeczyć?

Dom, w którym mieszkał Bert Neumann, stał przy Hohenzollernstrasse. Był to budynek nowoczesny — gładki beton i szkło, funkcjonalny, dopóki nie wysiadł dopływ prądu. Tam właśnie, na trzecim piętrze na lewo — trzy pokoje z kuchnią, łazienką i we.

Gdy znaleźli się przed domem, Neumann, podtrzymywany przez Hubera, próbował zebrać w sobie resztkę sił. Oświadczył: — To wystarczy! Dziękuję, bardzo dziękuję! To bardzo ładnie z pana strony, że mnie pan tu...

— Tylko dotąd, a nie dalej? — zapytał wyczekująco Huber, przyciskając do siebie Neumanna jak pakunek. — Nie doceniasz mojej wiernej koleżeńskiej opieki.

— Nie! — wykrzyknął Neumann z ogromnym wysiłkiem. — Tyle wystarczy!

— Ale nie mnie — zapewnił go rozweselony Huber.
— Przecież nasz szanowny zwierzchnik powierzył mi ciebie. On się o ciebie troszczy! Lubimy ciebie i cenimy!
— Ciągnął Neumanna za sobą, przyglądając się po drodze tabliczkom z nazwiskami na drzwiach. Potem nacisnął dzwonek i przytrzymał dość długo.

Po drugiej stronie masywnych drzwi wejściowych nie ustawał dźwięk przypominający głos dzwonu. Huber, trzymając w objęciach Neumanna, za którego czuł się odpowiedzialny, zdawał się rozkoszować pięknem tych dźwięków.

— To przypomina Mozarta, prawda?

Po chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich istota jak nie z tego świata, w każdym razie tak później wyraził się o niej Huber. Młoda kobieta, okryta fałdzistym, niezwykle strojnym szlafrocikiem o jasnotęczowych barwach. Lekki jak mgiełka jedwab i wytworne koronki sięgające podłogi. Nad tym zaś twarzyczka jak z najszlachetniejszej porcelany rodem z norymberskiej manufaktury — klasyczna: łagodnie zaróżowione policzki, fiołkowoniebieskie rozmarzone oczy, czerwone jak wiśnie wargi o zachwycającym, kuszącym wykroju, lśniące jak perły ząbki, odsłonięte w lekkim wyrozumiałym uśmiechu.

— Jeśli pani jest panią Neumann — odezwał się Huber Trzeci wpatrując się jak urzeczony w tę twarz lalki — to ten tu jest pani mężem.

— Tak jest — stwierdziła. Powiedziała to jasnym głosem, nie okazując żadnego wrażenia.

— W każdym razie cieszę się, szanowna pani, że mam wreszcie okazję ją poznać. Jestem Huber. Pani mąż i ja współpracujemy ze sobą, i to bardzo ściśle! On z pewnością pani o tym opowie. Pani ma na imię Undine, prawda?

— Niech go pan położy — powiedziała Undine Neumann cicho, lecz bardzo stanowczo — w przedpokoj.

— Chętnie, szanowna pani! — Huber z gwałtownie wznoszącym zainteresowaniem przyglądał się zjawisku, które miał przed sobą. — Chętnie bym w czymś pomógł. Niech pani tylko wyrazi życzenie.

— Dziękuję, nie ma takiej potrzeby — odparła Undine Neumann, patrząc gdzieś w przestrzeń.

— Wybacz, proszę — bełkotał Bert, niemal upadł na podłogę w przedpokoju. — Ale tak to już jest, takie życie!

— Nigdy go jeszcze nie widziałam w takim stanie — powiedziała Undine, patrząc na męża z najwyższą odrazą. — Nie potrafiłabym nawet go sobie takim wyobrazić...

Następnie jakby marionetkowym, lecz bardzo wymownym gestem dała Huberowi niedwuznacznie do zrozumienia, że powinien sobie odejść. Wyniosła skinięła mu głowę i zamknęła za nim drzwi.

— A to ci dopiero! — wykrzyknął Huber ni to rozbawiony, ni to zaskoczony. — To wręcz nieprawdopodobne!

Rozmowa telefoniczna Krebsa z Zimmermannem:

Krebs: Niestety muszę podzielić twoje obawy. Nie da się utrzymać podejrzenia, że doprowadzony do nas Ettenkofler mógł popełnić przestępstwo obyczajowe.

Zimmermann: Czy cała procedura kryminalistyczna była przeprowadzona w sposób niepodważalny?

Krebs: Absolutnie tak.

Zimmermann: Kto ponosi za to odpowiedzialność?

Krebs: Ja, mój wydział.

Zimmermann: A zatem funkcjonariusz, który prowadził dochodzenie, to znaczy Michelsdorf.

Krebs: Tylko ja jestem odpowiedzialny za jego czynności. Podobnie jak za wszystko, co dzieje się w moim wydziale.

Zimmermann: Powinieneś być szczęśliwy, że dziś w nocy nie ma w Prezydium dyrektora Hadricha, ten by się po prostu wściekł, gdyby się o tym dowiedział. A poza tym, oszczędź mi, mój drogi, tych swoich deklaracji solidarnościowych. Przecież twój Michelsdorf dybie na twoje stanowisko. Ale może je dostać tylko wtedy, jeżeli ty sobie skreślisz kark. W czym on ci zresztą chętnie pomoże.

Krebs: Proszę cię, Martin, ja i Michelsdorf od lat pracujemy razem.

Zimmermann: Chyba już zbyt długo... Pozostaw to mnie. Zdaje mi się, że jemu koniecznie trzeba przemówić do rozumu. A jak ci wiadomo, ja to potrafię.

Rozmowa Zimmermanna z Michelsdorfem w pokoju kierownika wydziału obyczajowego:

Zimmermann: Zachował się pan jak słoń w składzie porcelany.

Michelsdorf: Nie bardzo w to wierzę, panie radco, ze swego punktu widzenia.

Zimmermann: W takim razie przyjął pan niewłaściwy punkt widzenia, Michelsdorf, sądząc z faktów, o których mi wiadomo.

Michelsdorf: Przepraszam, panie radco, ale sądziłem, że w tym właśnie przypadku wskazana jest szczególna staranność, aby nie powstało podejrzenie, że nasz wydział, a tym samym Prezydium wyróżnia pewne osobistości...

Zimmermann: Nikogo nie wyróżniamy i nikogo nie krzywdzimy, Michelsdorf. Zatem nikt nas o to nie będzie podejrzewał. Poza tym powinien pan już mnie dobrze poznać. Kiedy pan komuś bezspornie udowodni, że jest przestępcą, niezależnie od tego, kto to jest, niech to będzie sam premier albo kardynał, wtedy ja pierwszy pana poprę. Ale podobna sprawa musi mieć ręce i nogi i trzymać się kupy. Tu jednak nie widać nic z tych rzeczy.

Michelsdorf: W takim razie sprawdzę jeszcze raz dokładnie wszystkie dokumenty... Nie mam jednak całkowitej pewności, że pańskie poglądy znajdują potwierdzenie.

Zimmermann: Przydałby się panu zimny prysznic, człowieku! Po to, abyśmy jak najszybciej uporządkowali tę sprawę. Dość tego zamieszania, jakiego pan tu narobił. Niech pan pójdzie się przespać. I proszę pokazać się dopiero wtedy, kiedy będzie pan mógł znowu trzeźwo myśleć.

Zimmermann, Krebs i Ettenkofler w służbowym pomieszczeniu wydziału obyczajowego:

Zimmermann: Głęboko ubolewam, że nie udało się nam oszczędzić panu pewnych przykrości.

Ettenkofler: Czy to znaczy, że pan mnie przeprasza?

Zimmermann: Liczę tylko na pańską wyrozumiałość dla środków, które musieliśmy zastosować. Obecnie jednak okazuje się, na szczęście, że w istocie nie miały uzasadnienia.

Ettenkofler: Zatem pan mnie nie przeprosi?

Zimmermann: Nie, panie Ettenkofler, jeśli mnie pan tak bezpośrednio pyta. Ponieważ musieliśmy, a właściwie nasi funkcjonariusze musieli zbadać przypadek, a do tego nieuniknione było posłużenie się nawet dość przykrymi metodami postępowania kryminalistycznego.

Ettenkofler: Wobec tego lepiej będzie, jeśli ja teraz, w podobnie nieunikniony sposób, wezwę jednego ze swoich adwokatów...

Zimmermann: Jeśli się pan tego domaga, to oczywiście... Ja bym jednak tego panu nie doradzał. Proponuję, by pan popatrzył na tę sprawę tak, jak ona wygląda w rzeczywistości. Nasi funkcjonariusze musieli przeprowadzić pewne poszukiwania. Przy okazji poproszono pana, panie Ettenkofler, o współpracę przez złożenie pewnych zeznań. Dlatego też zwrócono się do pana z prośbą o przyjście do Prezydium.

Ettenkofler: Nie jestem więc o nic podejrzanym?

Zimmermann: Nie. Nasz komisarz Krebs, kierownik odpowiedniego wydziału, może to potwierdzić.

Krebs: Potwierdzam.

Ettenkofler: No to właściwie dlaczego by nie? To całkowiec zmienia postać rzeczy. Ma się rozumieć, że jestem w pełni świadom swoich obowiązków obywatelskich, również wobec policji. Ale w żadnym wypadku nie mogę sobie pozwolić na żaden skandal, a nawet cień skandalu.

Zimmermann: Proszę mi wierzyć, panie Ettenkofler, że wszelkie akta naszej instytucji spoczywają w miejscu niedostępnym jak grób.

Michelsdorf udał się na parter gmachu Prezydium, do kantyny. Spotkał tam dziennikarza Herzoga — szarego jak mysz, utykającego i lisio chytrego reportera kroniki kryminalnej jednego z pięciu monachijskich pism codziennych. Znali się obaj od lat, toteż przywitali się kordialnie.

— Niewiele się dzisiaj działo — zauważył Herzog ze szczerym żalem. — Ani napadu rabunkowego, ani morderstwa, z którego by się dało coś zrobić, żadnego przestępstwa obyczajowego nadającego się na nagłówek. A może jednak?

— To zależy.

— Od czego? — od razu pochwycił kuty na cztery nogi Herzog.

— No właśnie od tego, czy ktoś mający dar kombinowania potrafi to przedstawić dostatecznie interesująco.

— Gdzie, człowieku, mój przyjacielu, Michelsdorf?

— Szanowny panie Herzog, nie mam oczywiście zamiaru udzielać panu jakichkolwiek wskazówek w tej sprawie. Powiem tylko tyle: przychodzę właśnie z gabinetu mego szefa, zna pan przecież Krebsa? Ma się rozumieć, nie powiem panu, kto tam przebywa. Mam jedynie zamiar wypić w kantynie mocną kawę. Bardzo tego potrzebuję.

Wgabinecie kierownika wydziału obyczajowego — a znajdowali się tam nadal Ettenkofler, Zimmermann i Krebs — zanosilo się, jak mogłoby się wydawać, na ogólną zgodę. Trzej panowie, siedząc blisko siebie, wzajemnie się zapewniali, jak bardzo się szanują, jak mocno starają się wzajem zrozumieć, oraz że wobec tego nie może już dojść między nimi do żadnego przykrego nieporozumienia.

Zimmermann: Jest pan poza wszelkim podejrzeniem, panie Ettenkofler.

Krebs: Z przyjemnością to potwierdzam.

Ettenkofler: I mogę się nie spodziewać jakichś nowych przykrości czy posądzeń?

Zimmermann: Według wszelkiego prawdopodobieństwa może pan.

Krebs: Na zdrowy rozsądek, tak. Muszę jednak zaznaczyć: stuprocentowej pewności nie ma.

Obaj panowie puścili to zastrzeżenie mimo uszu. Ettenkofler chętnie, Zimmermann z pewnym przymusem. Skinęli sobie z uśmiechem głowami, odczuwając cudowną ulgę, że oto wspólnymi siłami udało się im ominąć nader niebezpieczną rafę. Wydawało się, że znów jest wszystko w porządku na gotowym do kompromisów świecie.

Nagle jednak bez pukania otworzyły się drzwi do ich pokoju. Wśliznął się reporter policyjny Herzog, zatrzymał się radośnie zaskoczony i wykrzyknął: — Panie Ettenkofler, pan tu? Właśnie pan w tym wydziale? W nocy? Z jakiego powodu?

— Pan Ettenkofler — zareagował Zimmermann szybko, lecz podejrzanie głośno — znajduje się tu poproszony o udzielenie kilku informacji.

— Jakich? — chciał niezwłocznie usłyszeć Herzog.

— To nie powinno pana interesować! — zdecydowanie odparł Zimmermann. — Chodzi o poufną sprawę urzędową, o wydarzenie ze sfery czysto prywatnej, które nie powinno interesować nikogo postronnego. Bardzo proszę, niech pan wyjdzie!

— Wychodzę, skoro pan tak nalega, ale czekam — zapewnił Herzog, wycofując się przezornie. — Czekam więc na bliższe wyjaśnienia od pana, panie radco, albo od pana, panie Ettenkofler. Ale w miarę możliwości przekonujące! — Następnie zatrasnął za sobą drzwi.

— Tego nam tylko brakowało! — powiedział zatroskany Zimmermann.

— Jak on tu trafił? — zapytał bezradnie Krebs. — Akurat teraz!

Ettenkofler natomiast powiedział wyraźnie i zdecydowanie:

— Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak tylko oddać sprawę w ręce któregoś z moich adwokatów, sądzę, że najlepszego. A więc zapewne pana Messera. Przykro mi, że może przez to dojść do pewnych bardzo nieprzyjemnych komplikacji. Bóg mi świadkiem, że ich nie chciałem, ale wy, panowie, niestety nie umieliście temu przeszkodzić. Cokolwiek z tego wyniknie, nie będzie to moja wina.

4

Bert Neumann przysiadł na chłopskiej skrzyni w stylu starobawarskim w pobliżu drzwi, przy wieszaku, mając za sobą lustro. Jego żona Undine stała przed mężem, jakby chciała przejrzeć się w lustrze — osłupiała, ze smutkiem w oczach, ze stężoną twarzą.

— Tego jeszcze brakowało! — Jej głos pobrzmiwał szklanym dźwiękiem.

— Wybacz mi — powiedział Bert Neumann, bezskutecznie starając się spojrzeć na żonę. Głowa zwiślała mu bezwładnie nad kolanami. Był kompletnie pijany.

— Co mam ci jeszcze wybaczyć? Zawsze to samo!

Bert usiłował obiema rękami podnieść głowę.

— Tak bardzo się starałem, tak rozpaczliwie. Ze względu na ciebie, tylko na ciebie!

— I z jakim skutkiem? — zapytała cichym, bezradnym głosem. — Ze względu na mnie? To i wszystko inne? Czego się po mnie spodziewasz?

— Ja ciebie kocham — szepnął ponuro.

Undine pokręciła głową. Wyglądało to znów jak ruch marionetki, tylko bardziej rytmiczny i mniej wyrazisty. Cofnęła się przy tym — zaledwie o kilka centymetrów, bo przedpokój był ciasny.

— Mój Boże, co też niektórzy uważają za miłość!

— Ja cię uwielbiam!

Undine zamknęła oczy. Podniosła bardzo powoli ramię, jakby chciała je obejrzeć. Jej dłonie były delikatne i drobne jak u dziecka. Znów je powoli opuściła.

— Słuchaj — powiedziała, a brzmiało to nie jak wyrzut, lecz jak pełna rezygnacji skarga — sprawiłeś mi zawód, i to nie jeden raz. Sprawiasz mi go za każdym razem.

— Dlaczego mnie odpychasz? — Nadal nie mógł spojrzeć na nią wprost. — Dlaczego nie próbujesz mnie zrozumieć, pojąc, jak wiele dla mnie znaczysz?

W tym momencie odezwał się dzwonek u drzwi; dość długo naciskany, kilkakrotnie powtórzył fragment dźwięcznej melodii. Bert Neumann z udręką zasłonił sobie uszy. Undine otworzyła i ujrzała przed sobą Hubera.

— Łaskawa pani — odezwał się patetycznie — jestem tu znów, kierowany, że tak powiem, poczuciem obowiązku, koleżeństwem, współczuciem. Czym pani tylko zechce!

— Nie chcę absolutnie niczego — odparła cicho Undine — ani od pana, ani od nikogo innego.

— Niech mnie pani źle nie zrozumie — wyjaśnił jej Huber, stojąc w otwartych drzwiach i przyglądając się Bertowi Neumannowi. — Właśnie przyprowadziłem tu do pani swego drogiego przyjaciela, naszego wspaniałego, wielce cenionego współpracownika. Zostawiłem go i odszedłem. Ale jestem tu z powrotem, bo powiedziałem sobie, że przecież nie można się spodziewać po tej pięknej, delikatnej pani, że sama powlecze swego męża do łóżka. Ofiaruję więc swoje usługi.

Bert Neumann podniósł się resztkami sił, opierając się o lustro, które miał za sobą, i tak stał na chwiejnych nogach.

— Wynoś się! — wybełkotał.

— Nie wysilaj się tak! — zawołał żywo Huber. — Gdybym ja miał taką piękną żonę, oszczędzałbym dla niej wszystkie siły. No chodź, zaprowadzę cię do łóżka.

Na to Bert Neumann zatoczył się do przodu w stronę Hubera, rzucił się na niego i usiłował pochwycić go rękami za gardło. Osunął się jednak po nim, padł na podłogę i nie podniósł się więcej. Dyszał ciężko. Po chwili leżał, już nie dając znaku życia.

— Patrzcie no! — zawołał po paru sekundach zaskoczenia Huber. — Nigdy bym się po nim nie spodziewał czegoś podobnego. Chciał mnie pobić!

— Niech pan o tym zapomni — powiedziała Undine, stojąc obok bez ruchu. — I niech już pan sobie idzie, proszę.

— Jak pani sobie życzy — powiedział Huber, gnąc się przed nią w ukłonie, lecz nie spuszczać przy tym z niej oczu. — Pójdę więc, ale tylko po to, by wrócić. A żeby się dowiedzieć, jak pani się czuje, a też jak się czuje nasz poczciwy Bert. Pozwoli pani?

Im głębiej zapoznaje się ze sprawą, tym ostrożniej snuje przedwczesne domysły — wyznał komisarz Krebs. — Przepięstwa, zwłaszcza w naszej dziedzinie, są właściwie całkiem nieobliczalne, często mają chyba podłoże psychiczne, są więc rodzajem choroby. Nie powinno to mieć wpływu na naszą pracę. Naszą rzeczą jest wyjaśnić przebieg przestępstwa, to znaczy również znaleźć sprawców.

Krebs mówił to w swoim gabinecie do koleżanki Brasch, zwanej też „mamą Brasch”. Siedziała przed jego biurkiem z notatnikiem w ręku. Emanowało z niej niewzruszone opamiętanie i wyrozumiałość.

— Odstawiłam do rodziców dziewczynkę ze sprawy Ettenkoflera — powiedziała. — Bez żadnych komplikacji. Spokładam się nawet z pewną wdzięcznością za działanie policji.

— Doskonale! — ucieszył się Krebs.

— Na biurku w przedpokoju znalazłam wykaz, kto do nas dzwonił, także do pana osobiście. Telefonowała pańska żona.

— Coś ważnego? — zapytał Krebs.

— Nie. Dowiadywała się tylko, co się u pana dzieje i kiedy pan wróci do domu.

— Zapewne powiedziała jej pani to samo co zwykle. — Po czym dorzucił poufnie: — Moja żona widać się jeszcze nie przyzwyczaiła do męża policjanta.

— Niech się pan także do tego nadmiernie nie przyzwyczaja. — Pani Brasch była, jak zawsze, bezpośrednia. — Kiedy pan już ze mną skończy, proszę pójść do domu.

— Bardzo bym chciał, ale oczekuję pana Kellera z psem Antonem.

— Wobec tego przeciągnie się to jeszcze i zdąży pan w tym czasie zadzwonić do domu. Jeżeli natomiast o mnie chodzi, to niech pan mówi zwięźle.

— Przed południem oddam pani pod opiekę ogromnie wrażliwe dziecko — oznajmił jej Krebs. — Jest to niejaka Gudrun Dambrowska. Jak się zdaje, natknęła się ona na przestępcę obyczajowego cierpiącego na niezwykle, wprost zatrważające zбочenie.

— Rozumiem — powiedziała pani inspektor Brasch.

— Uważa pan, że konieczne jest możliwie gruntowne przygotowanie dziecka do przesłuchania. Ale niech pan powie, dlaczego.

— Co do tego przypadku — przemówił z naciskiem Krebs — nasuwa się pewien wniosek. Otóż sprawca jest być może skrajnym dziwakiem, mógł więc sobie poczynić wbrew wszystkim znanym nam w tej dziedzinie regułom.

— To znaczy — szybko zareagowała pani Brasch — że przede wszystkim należy uzyskać możliwie dużo szczegółów o nieznanym przestępcy. I to od dziecka!

— Świetnie, koleżanko! — stwierdził z uznaniem Krebs.

— Należałoby w tym przypadku zwrócić szczególną uwagę na następujące rzeczy: ogólny wygląd zewnętrzny sprawcy, określenie jego typu fizycznego, odróżniający go sposób ubierania się, zapachy, ewentualnie perfumy, charakterystyczne ruchy. Ale przede wszystkim jego sposób mówienia: takie cechy jak seplenienie czy jąkanie się, może sapanie, używanie napszonych wyrażen czy wyrazów obcych, jakichś okrzyków. A nade wszystko proszę zwrócić uwagę, czy nie używał jakichś niezwykle zwrotów.

— Zdaje mi się — zauważyła pani Brasch, która w skupieniu tego słuchała — że pan dobrze wie, czego należy szukać.

— Nie mam absolutnej pewności — przyznał Krebs. Spojrzał przy tym na rodzaj ściennej tablicy znajdującej się w najodleglejszym kącie pokoju. Była to jego „tablica ogłoszeń”. Dotyczyły one zawsze tego przypadku, który Krebs w danej chwili uważał za najważniejszy. Znajdowało się na niej kilka zdjęć dzieci, notatki dotyczące szczegółów przestępstwa i do tego, jak zwykle, plan miasta Monachium.

— Mam tu dotychczas tylko kilka punktów zaczepienia, ale wskazują one na przestępcę, który jest dla nas wyspą nieznaną. A ja zamierzam ją odkryć!

— Wiąże pan wielkie nadzieje z przepytaniem tego dziecka?

— Właśnie dlatego, że ta Gudrun Dambrowska wydaje mi się bardzo wrażliwa — wyjaśnił Krebs. — Okropne przeżycie, jakiego doznała, musiało głęboko wryć się w jej pamięć. I to tak mocno, że mogą stąd wynikać uchwytny punkty zaczepienia.

— No dobrze. Przygotuję się do tego.

— O godzinie dziesiątej trzydzieści spotkamy się tu jeszcze raz, aby uzgodnić ostatnie szczegóły. Potem pojedziemy razem do Instytutu, do Lobnera. Tam około jedenastej będzie pani mogła gruntownie zająć się dzieckiem.

— Zrobione — rzekła pani Brasch, wstając. — A więc mniej więcej za siedem godzin. Niech pan jednak nie zapomni zadzwonić do swojej żony. Ona na pewno na to czeka, byłoby wskazane także wspólne śniadanie. Wiem o tym z własnego doświadczenia.

Holzinger leżał w pokoju hotelowym. Był to luksusowy hotel w stolicy kraju w pobliżu Lenbachplatz, z krytym basenem pływackim, nocnym klubem, z w luksusową restauracją w podziemiu, łazienką z we przy każdym pokoju. Znane przedsiębiorstwo międzynarodowe — trzygwiazdkowe — i odpowiednie do tego ceny. W jednoosobowych pokojach francuskie łóżka.

Holzinger przeciągnął się, sapiąc z zadowoleniem. O mało nie wypchnął przy tym z łóżka leżącego obok kobiecego ciała. Stawiła mu opór, przetoczyła się przez niego i usiłowała ściągnąć na siebie koldrę.

— Co to ma znaczyć? — zapytał zaspany Holzinger. Usiadł. Lampka przy łóżku oświetlała nagą postać obok niego — otwarte obrzmiałe, wilgotne usta, na wpół przymknięte zaspane oczy, lecz spod powiek uważne

spojrzenie; sterczące piersi. Stale to samo, wciąż tak samo — jak zawsze!

— Co tu jeszcze robisz? — spytał, ziewając bez skrępowania.

— Jestem Maria — powiedziała — a ty mnie wziąłeś.

— No to co z tego? — zapytał Holzinger, znów opadając na łóżko. — Przecież po to tu ze mną przyszłaś.

— Oddałam ci się z miłości — powiedziała. — Musisz mi wierzyć, Max!

— Dobra, dobra — odrzekł niechętnie. — Daj sobie spokój z tą sentymentalną gadaniną. Poza tym nie nazywam się Max tylko Maximilian. Zresztą Maximilian ma ochotę po spać. Za parę godzin znów muszę być w formie ze względu na jakieś zasrane poświęcenie fontanny. — Odwrócił się na bok potężnym grzbietem w jej stronę.

Przez chwilę przyglądała mu się z zainteresowaniem, po czym się odezwała starannie akcentując wyrazy: — Gdyby to doszło do wiadomości publicznej...

Holzinger nagle otrzeźwiał. Dźwignął się w górę, przetarł ręką twarz i przyjrzał się badawczo partnerce. — Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic określonego — zapewniła go pospiesznie. — Ale w końcu pochodzę z dobrego domu, a ty jesteś żonaty i w dodatku...

— Dość! — zawołał energicznie. — Wystarczy! Wcale mi się to nie podoba!

— Ale ja miałam na myśli tylko to, że byłoby ogromnie przykro, gdyby...

— Nie mnie, dziewczyno, jeśli zmierzasz do wywołania jakichś komplikacji. Ostatecznie masz już więcej niż szesnaście lat, jesteś pełnoletnia i znalazłaś się tu zupełnie dowolnie. Zabawiłaś się. I to już wszystko.

— Ale twoja pozycja, twoje stanowisko...

— Wszystko we właściwym czasie! Nie nakładajmy niepotrzebnie drogi. Jasne? Byłaś całkiem dobra, a ja też nie byłem kiepski. Przy okazji możemy to powtórzyć na tej samej lub na podobnej zasadzie. Ale wiązanie z tym jakichkolwiek dalszych planów, to, dziewczyno, nie dla mnie! Rozumiesz?

- Czy moja miłość nic dla ciebie nie znaczy?
- Nie jestem małostkowy, powszechnie o tym wiadomo .
- Maximilian Holzinger zareagował czysto po kupiecku.
- Wystarczy, byś mi powiedziała, o co ci chodzi. Coś w rodzaju premii uznaniowej? Proszę cię bardzo. A może rekomendacja na jakąś ciepłą posadkę? Czemu nie? Ekonomia, publicystyka, polityka? Powiedz tylko, czego chcesz, dajmy na to, za tydzień. Masz czas. A jeżeli zamierzasz zasłużyć w łóżku na przywileje dla swego obecnego szefa, posła do Landtagu, to także niejedno da się zrobić. Ma się rozumieć w odpowiednich granicach.
- Nie doceniasz mnie — zapewniła go nader gwałtownie Maria-Petra. — Nigdy jeszcze dotychczas nie wdałam się w taką awanturę, ale teraz kocham ciebie. Zadaję też sobie pytanie, co by było, gdyby tak teraz zobaczyła nas twoja żona.
- Po prostu by wyszła! — zaśmiał się Holzinger, absolutnie pewny swojej sprawy. — Ostatecznie jesteśmy oboje, moja żona i ja, złączeni nierozzerwalnym węzłem. Musisz wiedzieć, że moja żona jest wspaniałą kobietą, godną zaufania, wspaniałomyślną i wyrozumiałą. Wie również, na czym polega polityka, zna także jej uboczne zjawiska. Zaręczam ci, że gdyby ktoś próbował mnie szantażować, ona nie wystąpi przeciw mnie. A ja sam jestem na to wręcz uczulony. Powinnaś wziąć to pod uwagę.
- Ale ja ciebie naprawdę kocham — zapewniła go pod wrażeniem tego, co usłyszała.
- To pozwól mi się przespać — odpowiedział i z ulgą opadł na łóżko. — Przecież jutro też mamy dzień. I to jaki!

Było kilka minut przed czwartą, kiedy emerytowany funkcjonariusz policji Keller, oczywiście wraz ze swoim nieodstępnym psem Antonem, zjawił się u Krebsa. Dla psa było już przygotowane krzesło wyłożone wełnianym kocem, na które Anton wskoczył, ułożył się wygodnie i natychmiast zasnął.

Tymczasem Keller zasiadł w przygotowanym dla niego fotelu, nie zapominając wszakże przedtem odpowiednio go ustawić. Siedział teraz mając źródło światła, to jest wiszącą lampę, za sobą, a przed sobą Krebsa w pełnym świetle. I jego ścienną tablicę.

— Dziękuję ci, że przyszedłeś — odezwał się serdecznie Krebs.

— Co słysząc u ciebie w rodzinie? — dowiadywał się Keller.

— Dziękuję, wszystko w porządku. — Krebs jak gdyby się zastanowił. — Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Ale od dwóch dni nie było mnie w domu. Pojmujesz?

— Nie — stwierdził po prostu i wyraźnie Keller. — Gdybym ja pozostawił mojego psa samego choćby na dwie godziny, na pewno mocno by się zaniepokoił. Nie rozumiem, dlaczego ludzie uważają, że wolno im zaniedbywać tych, którzy są z nimi bezpośrednio związani.

Na odpowiedź Keller nie czekał. Wstał i jakby go ciągnęła jakaś tajemna siła, podszedł do tablicy w najodleglejszym kącie pokoju. Znane mu były osobliwe metody kolegi Krebsa — jego karteluszek z notatkami, specjalna kartoteka, a również ta ekspozycja na ściennej tablicy.

— Jak widzisz — mówił Krebs idąc obok Kellera — wszystko znajduje się w stadium początkowym. Brak mi jeszcze uchwytnych wyników.

Keller zaś przyglądał się postaci mężczyzny, której kontur był z grubsza, ale wyraźnie naszkicowany białą kredą na czarnej powierzchni. Na lewo od szkicu odnotowane były dane dotyczące miejsca i czasu, a na prawo domyślne dane o samej osobie: drobnej budowy, dobrze ubrany, około 170 cm. Następnie dane dotyczące miejsca i godzin naniesione na plan miasta Monachium. Ponad nim na prawo trzy zdjęcia.

— To są zdjęcia dzieci — wyjaśnił Krebs — wszystkie w wieku od dziewięciu do jedenastu lat. Ofiary przypuszczalnego sprawcy serii przestępstw, który, jak się zdaje, poczyna sobie coraz zuchwałiej. Dojdzie tu jeszcze czwarte zdjęcie, małej Dambrowskiej, zgwałconej dzisiejszej nocy.

Keller — niewysoki, wytworny, uderzająco uprzejmy pan — długo i uważnie przypatrywał się zgromadzonym na tej tablicy wynikom dochodzenia. Potem spojrzął na Krebsa i powiedział:

— W rozmowie telefonicznej Zimmermann podał mi jedno z twoich określeń. Obawiam się, że bardzo trafne.

— Domyślam się, które — powiedział przygnębiony Krebs. — Na pewno to o przestępcy estetycznym.

— Właśnie to — potwierdził Keller, kierując się z powrotem do swego fotela. Zasiadł w nim i wyciągnął do przodu nogi, jakby poszukując odprężenia. — A ponieważ znam cię, jak sądzę, dosyć dobrze, określenie to wprost mnie przeraziło.

— Ty właśnie znasz się na tym i wiesz, co to może w praktyce znaczyć: zderzenie twarzą w twarz z najbardziej skrajnymi możliwościami. Należy przy tym przypuszczać, że przestępca wywodzi się z tak zwanego lepszego towarzystwa. Tego rodzaju przestępca estetyczny jest człowiekiem wykształconym i wykazuje pewnego rodzaju nadwrażliwość artystyczną, a także niepohamowane pragnienie całkowitego odprężenia, na przykład po ciężkim wysiłku umysłowym. I to mi się wydaje niezwykle niepokojące.

— Konrad — odezwał się z kolei ostrożnie Keller, czule spoglądając na swego Antona — czy jesteś pewien, że nie kierujesz się jakimś uprzedzeniem?

— Dlaczego by tak miało być?

— Obejrzałem sobie dokładnie zdjęcia tych sponiewieranych dzieci.

— Ja także wciąż je oglądam. Domyślam się już, co ci się wydaje godne uwagi, podobnie jak mnie. Otóż przestępca nie dobierał ofiar przypadkowo. Wprost przeciwnie. Wszystkie dziewczynki w zadziwiająco podobny sposób przedstawiają całkiem określony typ dziecka i jednocześnie kobiety. Potwierdzałyby to moją teorię przestępcy estetycznego.

— Istotnie na to wygląda, Krebs. Ale nie tylko to rzuciło mi się w oczy. — Po czym Keller niezwykle rzeczowo stwierdził: — Czy wiesz lub przynajmniej podejrzewasz, co

z tych zdjęć w istocie wynika? Znajdujemy w nich ni mniej, ni więcej, tylko uderzającą zgodność z fenotypem całkiem określonego dziecka, które obaj znamy, a mianowicie twojej córki Sabine .

— Nie wierzę — zapewnił zdumiony, a zarazem zaniepokojony Krebs. — Trudno mi to sobie wyobrazić! Zresztą tak, z pewnością, i mnie nasuwa się jakieś odległe podobieństwo, kiedy tak wyraźnie zwróciłeś mi na to uwagę.

— Krebs bardzo uważnie przyjrzał się zdjęciom na ściennej tablicy. Następnie mocno ściszone głosem przyznał: — Być może masz rację, także tym razem. Musisz mi jednak wierzyć, że przedtem nie...

— Wierzę ci — zapewnił go skwapliwie Keller. — Przypuszczam, że zareagowałeś całkiem instynktownie, ale tym samym całkiem poprawnie. Gdyby nie pośrednie oddziaływanie ciągłego rozmyślania o Sabine , na pewno długo byś jeszcze nie wykrył serii, jakiej należało się w tym wypadku spodziewać.

— Jak zwykle, masz mnóstwo nieoczekiwanych pomysłów — stwierdził z niekłamanym podziwem Krebs.

— Jeszcze jedna pomyłka — łagodnie zaprzeczył Keller.

— Mam za sobą doświadczenia długiego życia. Nie ma prawie dla mnie rzeczy nowych. Przypominam sobie z dawnej praktyki przypadek morderstwa, które miało wszelkie pozory nieszczęśliwego wypadku, nawet w moich oczach. Było jednak coś, co obudziło we mnie wątpliwość. To matka denatki. I to nie tyle objawy jej rozpacz, co jej zewnętrzny wygląd. Była podobna do mojej matki! I jedynie to skłoniło mnie, a byłem wtedy jeszcze bardzo młody, do zajęcia się powtórnie przypadkiem, który wydawał się beznadziejny. I wykryłem przestępce!

— W każdym razie mnie ogarnęły w tej chwili pewne wątpliwości — wyznał Krebs.

— Wcale mi o to nie chodziło — zapewnił Keller. — Jeżeli jednak rzeczywiście chcesz, żebym zajął w pełni rzeczowe, jednoznaczne stanowisko, to musisz mi udostępnić swoje materiały dochodzeniowe, a także zapoznać mnie ze wszystkim, co zaszło tej nocy. Wydaje mi się, że gdzieś tu tkwi błąd.

— Musi się tu istotnie znajdować jakaś zapała, cos, co nam przeszkadza. Ja także to wyczuwam. Spróbujesz wy* kryć, co w tym tkwi?

— Spróbuję. A ty zajmij się tymczasem swoją rodziną.

— Teraz? W nocy? — Krebs był z lekka ubawiony. — Moja rodzina to nie pies Anton, który stale jest czujny. Moja żona i dzieci śpią teraz.

Keller roześmiał się serdecznie.

— Czasami naprawdę zapominam, że nie wszystkim ludziom wystarcza towarzystwo psa. Większość ma życie bardziej skomplikowane.

— Dotrzymam ci towarzystwa. — Tu komisarz Krebs zaczął szybko rozkładać swoje materiały. — A w razie, gdyby udało się nam uporać z tym wszystkim do godziny, powiedzmy, siódmej, to ja pójdę do domu, aby wraz z żoną przygotować śniadanie. A ciebie serdecznie zapraszam, przyjdź na nie razem z Antonem po porannym spacerze, około ósmej.

— Wobec tego pospieszmy się — zgodził się ochotczo Keller. — Anton jada co prawda wieczorem, ale jako rodowity Bawarczyk nie odmówi spożycia uroczystego niedzielnego śniadania. Spodziewa się tylko, że dostanie białe kielbaski.

— Moja żona się ucieszy — zapewnił z wdzięcznością Krebs. — A cóż dopiero Sabine. Ach, drogi przyjacielu, czy jest na świecie coś piękniejszego niż sprawianie przyjemności dzieciom!

— Kim ty właściwie jesteś, Krebs, ojcem rodziny czy kryminologiem?

Poglądy, przypuszczenia i opinie o małżeństwie komisarza Krebsa z Helen Vogler:

1. Dyrektor Hadrich:

— Cóż mogło — proszę państwa — budzić w tej sprawie jakieś wątpliwości? Zawieranie związku małżeńskiego jest

przecież sprawą czysto prywatną, oczywiście również jeśli chodzi o funkcjonariusza policji. Żon policjantów w żadnym przypadku nie sprawdza się w zapisach akt i kartotek, zwłaszcza gdy swoje małżeństwo zapowiada tak szanowany i godny zaufania pracownik naszej instytucji, jak komisarz Krebs.

Sam prezydent z własnej inicjatywy wyraził gotowość wystąpienia jako świadek ślubu. Uczynił to na prośbę Zimmermanna oraz po dokładnym wypyтaniu Kellera. Wydawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku.

2. Starszy inspektor Michelsdorf:

— Mówiąc całkiem poufnie, ten ożenek Krebsa stał się wydarzeniem, które u nas, w całym urzędzie, narobiło sporo hałasu. Chodziło o to mianowicie, że nasz szef, którego uważaliśmy za kogoś absolutnie bez zarzutu, pozwolił sobie poślubić osobę o bardzo wątpliwej reputacji. Figurowała ona u nas przez jakiś czas w kartotece pod hasłem „prostitutki okazjonalne”. Zresztą należy przyznać, że nie stanowiło to jakiegoś formalnego zakwalifikowania czy dowodu w sensie prawnym. Ale jednak!

Ja byłem w każdym razie oburzony, ale też, muszę wyznać, nieco zdeprymowany. Bo proszę tylko pomyśleć! Kierownik akurat tego wydziału wiąże się z osobą o wyraźnie podejrzanej przeszłości.

Z czysto ludzkiego punktu widzenia można to jakoś zrozumieć, ale pod względem służbowym stanowiło to co najmniej zagrożenie dla naszej instytucji. W tej sytuacji musiały bowiem z konieczności ucierpieć moralne podstawy zwalczania przestępstw. Konsekwentnie się temu sprzeciwiałem.

3. Keller, funkcjonariusz policji w stanie spoczynku:

— W tym szczególnym przypadku, podobnie jak też w wielu innych, zostałem zawczasu uprzedzony.

Małżeństwo Krebsa z Helen Vogler nie było niestety tak całkiem prostą sprawą, jak sobie wyobrażał na przykład dyrektor Hadrich i wielu innych. Ale wcale też nie aż tak

niezwykle, jak skwapliwie utrzymywali inni, na przykład Michelsdorf. Gdy Krebs zapowiedział swój ożenek radcy Zimmermannowi, na razie w osobistej rozmowie, powiadomił także mnie.

Wtedy my obaj przeprowadziliśmy swoje trwające parę tygodni małe śledztwo — oczywiście po godzinach służbowych. Próbowaliśmy zbadać i wyjaśnić sprawę tej kobiety. Okazało się, że Helen Vogler zmierzała tylko do zmiany trybu życia na inny, lepszy, i do zapewnienia bezpieczeństwa sobie i swojej córce Sabine ; na temat jej ojca nie mówiła w ogóle nic.

W każdym razie mogliśmy stwierdzić, że Helen Vogler jest osobą zrównoważoną, pogodnego usposobienia, ze względnie szczęśliwym dzieckiem. Do tego miała „stałe zajęcie”, według naszego policyjnego żargonu, u pewnego szanowanego doradcy podatkowego. Mogła wykonywać swoją robotę w domu. Pobrali się więc spokojnie, Krebs i Helen Vogler, bez żadnych zastrzeżeń z naszej strony, a raczej za naszą zgodą i z naszym udziałem. Było to przed rokiem i wszystko jak dotąd układa się dobrze.

Mają obecnie także syna. Dali mu moje imię, nazywa się więc Konstantin. Więcej zaufania miałbym do imienia Anton.

Bertholdzie — odezwała się Undine Neumann. Nazywała go zawsze Bertholdem, nigdy Bertem. — Jak mogło do tego dojść?

Siedział wciąż jeszcze w przedpokoju na starobawarskiej skrzyni. Był to podarunek od jej kochanego tatusia — solidny, starannie wywoskowany mebel, z wizerunkiem chłopskiej Matki Boskiej pośrodku i kwiatami po obu stronach obrazu — słomianożółtymi, krwiście czerwonymi i śnieżnobiałymi.

— Proszę cię, Bertholdzie, usiądź gdzie indziej. — Undine powiedziała to tonem łagodnej skargi, ale z dającym się

wyczuć uporem, który go zdenerwował. — Bądź tak dobry i zejdź ze skrzyni tatusia.

Bert Neumann zsunął się bokiem i usiadł na podłodze, a właściwie na nowszym niż skrzynia orientalnym chodniku, gęsto tkanym, chabrowobłękitnym, o bogatym wzorze. Przyjrzał mu się. To także był prezent od jej ojca — dla ukochanej córeczki.

— Czy coś jeszcze? — usłyszał sam siebie.

— Nie mów tak do mnie! — powiedziała z uporczywą skargą w głosie.

Spróbował podnieść głowę, by na nią spojrzeć. Niezwykle piękny obraz Undine ukazał mu się zamazany, mglisty, wąski, bez wyraźnych konturów. Ale stojąca za nią zafa — późny barok — wydała mu się groźnym, rozłożystym ciężkim cieniem, jak gdyby uosobieniem jej ojca, który wszelkimi sposobami usiłował ochronić przed tym małżeństwem swoją jedyną córkę Undine.

Monolog ojca Undine przed jej ślubem:

Powiada pan, młody człowieku, że kocha pan moją córkę? Niejeden ją kocha, to oczywiste, bo ona zasługuje na to by ją kochano! I to bardzo! Chce ją pan poślubić. Prosi „pan, by właśnie panu wolno było się z nią ożenić. To bardzo śmiało życzenie. Jestem pełen zrozumienia, ale nie chciałbym od razu wyrażać zgody zwłaszcza gdy chodzi o pana, panie Neumann!

Jeżeli poważnie zamierza pan poślubić moją córkę Undine, to zrozumie pan na pewno, że będę chciał najpierw się przekonać, w jakiej mierze jest pan zdolny do tego, by zapewnić swojej przyszłej żonie odpowiedni poziom życia. To znaczy taki poziom, który również w moich oczach zapewni jej szczęście:

Zatem w najbliższych dniach przedstawię panu szereg pytań, dotyczących pańskich uzdolnień, nabytych umiejętności i pańskich widoków w pracy zawodowej. Dopiero wtedy...

Jestem zupełnie wyczerpany — przyznał się Bert Neumann, siedząc na podłodze, tam gdzie opadł.

— Jesteś kompletnie pijany — powiedziała Undine z wyraźną odrazą.

— Niestety nie dość pijany — odparł Bert z trudem dając wyraz swemu wzburzeniu — ażeby nie słyszał twego ciągłego demonstrowania niechęci. A jednak cię Kocham! Ale ty mnie odpychasz. Zawsze, za każdym razem. Jestem od tego chory.

— Jesteś chory, Bertholdzie — odpowiedziała mu, wciąż jeszcze bardzo łagodnie. — Jesteś do głębi chory.

— Stałem się taki przy tobie. I przez ciebie. — Proszę cię, zdejmij buty. I marynarkę także. Czuć ją czymś. Potem pójdz do łazienki i weź prysznic. Zażyj tabletki od bólu głowy i umyj zęby.

— A co potem?

— Potem możesz się przespać w salonie, na kanapie albo na podłodze. Zresztą, gdzie ci się podoba. Byle nie u mnie.

— Jesteś nieodrodną córką swego ojca.

Dalszy ciąg monologu ojca Undine przed jej ślubem:

— Pomimo całej życzliwości, młody człowieku, i pomimo wyrozumiałości, z jaką się odnoszę do dzisiejszej młodzieży, a nawet przyjmując z przykrością do wiadomości, że moja ukochana córka, jak się wydaje, nie jest niechętna małżeństwu z panem, muszę stwierdzić — niestety, niestety — że pańskie odpowiedzi na moje pytania wcale mnie nie uradowały i ani odrobinę nie zadowolily.

Muszę jednak z przyjemnością przyznać, że pańskie świadectwa, opinie i zaświadczenia o postępach, poczynszy od szkoły podstawowej, a kończąc na maturze, są nader obiecujące. Nie najlepsza jednak mi się wydaje pańska konstytucja fizyczna. Uważałbym za bardzo wskazane gruntowne badanie lekarskie. Bądź co bądź, jak wynika z pańskich dokumentów, ma pan niezwykle wysoki wskaźnik inteligencji. Co jednak w praktyce nie zawsze jest zaletą.

Na zakończenie zadaję panu całkiem konkretne i obiektywne pytanie: Co pan naprawdę może zaoferować mojej córce?

Czy myślisz sobie czasem o tym, jak my oboje wtedy... kiedy wszystko się zaczynało... — zapytał Neumann żonę, zataczając się przy próbie stanięcia na nogi.

— Widzę tylko to, co jest teraz.

— Ale wówczas...

Wówczas, a było to w pobliżu Ulm, stali oboje nad niezwykle uroczym jeziorkiem Blautopf, o ciemnej, tajemniczo połyskującej wodzie. Wpatrywali się w nią. Była to ich pierwsza wycieczka we dwoje — bez ojca i rodziny.

— Widzę — powiedział Bert — jak twoje nogi odbijają się w wodzie. Ale także to, co jest powyżej nóg.

— Bardzo cię proszę, tylko nie to! Nie w tym miejscu! I nie w biały dzień! — mówiła. Lecz nagle parsknęła śmiechem. Potem, jakby wystraszona, dorzuciła: — Gdyby tak to usłyszał mój ojciec!

— Daruj mi, proszę, moje zuchwalstwo. Nie chciałem cię urazić.

— Może wcale nie jestem urażona — powiedziała, przymykając oczy. — A ojciec jest daleko. Co zrobimy?

— Będę cię zawsze szanował! — wykrzyknął Bert tonem przysięgi. — Bo uwielbiam cię. Jesteś dla mnie samą czystością, pięknem i wdziękiem świata.

— Naprawdę taka jestem?

— Tak, na pewno jesteś!

— A może ja wcale nie chcę być taka.

Następny monolog ojca Undine:

— Pozwoliłem sobie, panie Neumann, zasięgnąć o panu rozmaitych informacji. Zrobiłem to oczywiście w mteresie

mojej córki, która jest dzieckiem niesłuchanie delikatnym, subtelnym i potrzebującym czułości. Pragnę mieć pewność, że znajdzie się ona w czyichś możliwie najlepszych, bardzo wrażliwych rękach.

Powróćmy jednak do zebranych przeze mnie informacji: pański obecny chlebodawca, mecenas Schosser, którego dość często spotykam na zebraniach naszego Rotary Club, wyrażał się z uznaniem o pańskich szczególnych uzdolnieniach. Między innymi o pańskich trafnych analizach procesów, zwłaszcza cywilnych, a także o udanych projektach orzeczeń sądowych i mów obrończych. Podobno nadają się do wielorakiego wykorzystania.

Słyszałem, że zwrócono na pana uwagę nawet niezmiernie godnemu szacunku panu Holzingerowi. On zaś, o ile mi wiadomo, wyraził życzenie przyjęcia pana do grona swoich najbliższych współpracowników. Gdyby się rzeczywiście tak stało, wówczas zapewne nie zwlekałbym już...

O mój Boże, Undine — jęknął Neumann, patrząc błagalnie na żonę — czegoś się nie podejmowałem, czego cierpliwie nie znosiłem jedynie ze względu na ciebie! Nie widzisz tego? Wciąż nie chcesz tego zauważyć?

Odeszła, pozostawiając go samego. Pozostawiła go leżącego tam, gdzie upadł. Nie raczyła nawet spojrzeć w jego stronę.

Oto jestem — powiedział adwokat Messer z właściwym mu radosnym optymizmem. — Wcale mnie pan nie zerwał ze snu, jeśli pan ciekaw. Dopiero zamierzałem się położyć, kiedy usłyszałem dzwonek telefonu. A spędziłem właśnie niezmiernie interesującą noc. Jakie pan ma kłopoty?

Ettenkofler powitał adwokata umiarkowanie przyjaźnie. Był to co prawda człowiek solidny, a także zręczny, o czym powszechnie wiedziano, ale zupełnie niefrasobliwy, jeśli chodzi o metody działania i sposób bycia. Messer świadomie udawał, że jest niezmiernie dynamiczny: nie było łatwo ustawić go w pożądanym kierunku. Na razie Ettenkofler poprosił mecenasa, by usiadł.

Potem Ettenkofler przemówił: — Dziś w nocy spędziłem kilka godzin w Prezydium Policji. Musiałem się tam zatrzymać.

— Naprawdę? — zapytał Messer nieco ubawiony. Był to pan około czterdziestki, ale wyglądał na znacznie młodszego; uchodził za wybitnego obrońcę w sprawach karnych, a oprócz tego był znany w całym mieście z tego, że potrafił załagodzić nawet najbardziej drażliwą sytuację. Z miejsca wysunął przypuszczenia: — Ciężki wypadek samochodowy? Może śmiertelny? A może w dodatku ucieczka z miejsca wypadku?

— Gorzej — powiedział Ettenkofler, spoglądając badawczo na Messera. — Zostałem aresztowany czy też doprowadzony przez policję i poproszony o wyjaśnienie jako podejrzany o popełnienie przestępstwa obyczajowego.

— Niech pan to powtórzy raz jeszcze — poprosił go adwokat, jeszcze bardziej ubawiony.

Rozmowa toczyła się w willi Ettenkoflera w dzielnicy Harlaching przy Harthausner Strasse — pod najlepszym spośród możliwych adresów monachijskich — a dokładnie: w tak zwanym pawilonie. Był to mały budynek w ogrodzie, z regałami pełnymi dokumentów i dwoma pustymi biurkami — jednym Ettenkoflera, a drugim jego osobistej sekretarki. Rodzina jeszcze spała — żona, troje dzieci, teściowa, ponadto dwa psy bernardyny. Spała także służba — kucharka, bona i do tego szofer: mąż kucharki, który był jednocześnie ogrodnikiem.

Po powrocie z Prezydium Policji Ettenkofler udał się do swego pawilonu i stamtąd natychmiast zatelefonował do Messera, a następnie sam otworzył mu bramę swojej posiadłości. Był to dowód najściślejszej poufności, zwłaszcza o tej porze, kiedy dopiero zaczynało się rozwidniać.

— Dlaczego me pyta mnie pan, czy te zarzuty nie były przypadkiem uzasadnione?

— Nie pierwszy raz pracuję dla pana — oświadczył zdecydowanie Messer — a więc poniekąd pana znam. A jeśli przy tej okazji znów się pan do mnie zwraca, co mnie bardzo cieszy, bez wahania oddaję się do pańskiej dyspozycji. Ma się rozumieć, jestem głęboko przekonany, że jest pan niewinny. A może?

— Nie ulega wątpliwości, że jestem całkowicie niewinny.

— W takim razie mamy do czynienia z pochopnym wkroczeniem lekkomyślnych policjantów — domyślił się z poletem Messer. — Musi pan wiedzieć, że rozprawianie się z czymś podobnym jest jedną z moich specjalności. Załatwiam takie sprawy skutecznie i czynię to z przyjemnością!

— Proszę pana, absolutnie mi nie chodzi o nadanie sprawie rozgłosu, lecz właśnie o to, aby go uniknąć — oświadczył stanowczo Ettenkofler. — To także jest pańską specjalnością. Dobrze o rym wiem.

— Pan mnie zna! — zapewnił Messer chętny do działania, ale zarazem jakby lekko zagubiony w sytuacji. — Proszę mnie zorientować nieco dokładniej.

W odpowiedzi na to Ettenkofler zdał mu systematycznie sprawę z wydarzeń — najpierw aresztowanie przez jakiegoś podoficera policji, przypuszczalnie w trakcie pewnej poważniejszej akcji, potem szczegółowe przesłuchiwanie przez dość na pozór rzeczowego funkcjonariusza nazwiskiem Michelsdorf, widocznie niezbyt wysoko postawionego, następnie zaś, wkrótce potem, ostrożne i powściągliwe, ale nie całkiem jednoznaczne przeprosiny; złożyli je zastępujący w danej chwili dyrektora radca Zimmermann oraz szef właściwego wydziału, komisarz Krebs.

— Ale potem — wtrącił nieco zdziwiony tą opowieścią Messer — wszystko było w najlepszym porządku. Czy jednak nie?

— Niestety nie — oświadczył zafrasowany Ettenkofler. — Gdyż w chwili, kiedyśmy się już zegnali, poniekąd zadowoleni i pojednani, bo sprawa wydawała się ostatecznie załatwiona, nagle pojawił się jakiś reporter. Wszedł do pokoju, w którym siedzieliśmy. Bez pukania!

— Trudno sądzić, że to był przypadek, co? Zatem nasłany! Ale przez kogo? — Messer, nagle zaniepokojony, rozumował szybko i precyzyjnie. — Czy on pana znał? Wiedział, dlaczego się pan znalazł w Prezydium? Kto to był?

— Znał oczywiście moje nazwisko — relacjonował Ettenkofler z wyraźną przykrością. — Całkiem po prostu chciał się ode mnie dowiedzieć, co robię w Prezydium. Rzekomo nie wiedział, co może być powodem mojej tam obecności, i dawał to niejasno do zrozumienia.

— Musiał nim ktoś kierować! — stwierdził Messer. — To nie wygląda na przypadek, lecz raczej na zamówioną robotę. Ale przez kogo?

— W każdym razie radca Zimmermann bardzo energicznie usiłował pozbyć się tego człowieka. Obawiam się jednak, że bezskutecznie — powiedział Ettenkofler. — Był to niejaki Herzog. Zna go pan?

— Też pytanie! — wykrzyknął Messer, zaniepokojony.

— To sprytny szpicel, a przy tym cichy intrygant. Rzekomo głęboko zatroskany o prawo i sprawiedliwość. W każdym razie tak można by sądzić po jego artykułach. Pisuje obecnie do bardzo przyzwoitej skądinąd gazety „Miinchner Allgemeine Zeitung”.

— Niebezpieczny człowiek?

— Na w pół dziki — zapewnił ze znanstwem Messer.

— Należy do tych dziennikarzy, na szczęście nielicznych, którzy chętnie przyjmują pieniądze za to, że czegoś nie napiszą. Podejmę się rozmowy z nim.

— Sądzi pan, że to odniesie skutek?

— Skutek jest całkiem pewny, panie Ettenkofler. Tym bardziej, że mogę liczyć na pański gest. Czy wolno mi będzie, jeśli uznam to za konieczne, wydać do pięciu tysięcy marek?

— Choćby nawet dziesięć tysięcy, panie Messer. Tylko bez żadnego skandalu, zwłaszcza ze względu na rodzaj sprawy! Uważam też, że aby się skutecznie zabezpieczyć, powinniśmy zmobilizować wszystko, co się tylko nawinie.

Messer nastawił ucha. — Ale co lub kto może się nawinać, proszę pana?

Ettenkofler podniósł leżącą przed nim kartkę. — Pan Müller życzy sobie porozmawiać ze mną. Poufnie, jak kazał

mi zakomunikować. Ciekawe, czy w tym przypadku uda się to jakoś wykorzystać. Oby tylko nie popsuć sprawy!

— Müller jest dobry — stwierdził Messer, tym razem ogromnie podniecony. — Być może, mógłby nam pomóc w tej sprawie, bo „Munchner Allgemeine Zeitung” całkiem wyraźnie skłania się w jego stronę, chociaż podaje się za organ ponadpartyjny. Mógłby tam zadziałać, gdyby zechciał. Oby go można było tylko do tego nakłonić!

— Spróbuję wszelkich sposobów.

— Dobrze, niech więc pan spróbuje wciągnąć tego Müllera do akcji na pańską rzecz. Dobrze by było, gdyby pan mnie poinformował, jak to się panu udało i na jakich warunkach. W każdym razie ja zajmę się najpierw tym Herzogiem.

— Jesteśmy więc zgodni. Zmobilizujemy wszystko, co się da. Byle bez skandalu.

Zegar wskazywał właśnie godzinę 5.45.

Prawie dokładnie o tej samej godzinie inspektor Michelsdorf przybył do filii Instytutu Medycyny Sądowej profesora Lobnera przy Pettenkofenstrasse. Wszystko tam wyglądało na pogrążone we śnie. Przy wejściu siedział obok portiera i patrzył przed siebie zaspanym wzrokiem policjant. Oczywiście bez przeszkód przepuścił Michelsdorfa, którego znał z Prezydium. Nie omieszkał jednak rutynowo odnotować jego przybycia w swoim bloku meldunkowym, zaznaczając dokładny czas — 5.51. Tymczasem Michelsdorf, znając świetnie rozkład budynku, udał się do pokoju numer 3.

Tam, w pobliżu osłoniętego grubymi kotarami okna, stała mała Gudrun, zwinięta w kłębek, ciężko dysząca, z wypiekami na buzi. Obok łóżka siedziała policjantka Leineweber. Na imię jej było Hildę. Spojrzała na niego wyczekująco.

— Czego to się od nas żąda! — stwierdził ujmując jej wyciągniętą rękę. Uścisnął ją mocno, jakby chciał przyciągnąć

Hildę do siebie. — Ale nie każde żądanie będzie się spełniać bez końca. Szkoda na to naszych kwalifikacji.

— Na pewno — skwapliwie zgodziła się Hildę Leineweber. — Jeżeli ty tak mówisz, to z pewnością tak jest. Ty zawsze masz rację.

Położył jej rękę na karku i pogłaskał delikatnie, a ona z wdzięcznością poddała się pieśszczocie. Byli już prawie ze sobą zaręczeni, choć na razie tylko potajemnie. Wprawdzie w ubiegłym roku już dwukrotnie przespali się razem — raz po powrocie z wycieczki urządzonej przez instytucję, a drugi — po obławie na tak zwane masażystki. Ale w Prezydium nikt o tym nie wiedział; tak im się wydawało. Sądziło, że jest to ich tajemnica. Ale wiedziała o tym przynajmniej jedna jeszcze osoba, obdarzona niezwykłym wyczuciem, pani Brasch.

— Zanotowałeś sobie wszystko dokładnie? — zapytał ją poufnie. Przytaknęła mu ruchem głowy. — Każdy szczegół, tak jak mi powiedziałeś. Mam nadzieję, że niczego nie przeoczyłam.

Wyciągnął rękę, a ona podała mu gęsto zapisaną kartkę papieru. Michelsdorf chciał usiąść na stojącym obok krześle, lecz po chwili namysłu przesunął je tak, by się znalazło bliżej Hildę Leineweber, niby to chcąc razem z nią przejrzeć notatki. Sprawdziło to jej przyjemność, lekko pochyliła swoją głowę o gładkich krótkich blond włosach ku lewemu ramieniu Michelsdorfa.

— Och, Ernst! — westchnęła.

Ernst Michelsdorf z coraz większym zadowoleniem przeglądał otrzymane notatki. Kilkakrotnie kiwnął głową, po czym stwierdził: — Zawsze ostatnio to samo. Niestety, specjaliści kryminalistyki, których dawniej można było brać poważnie, zmiękli pod wpływem jakichś krzykliwych apostołów humanitaryzmu i występują w roli pielęgniarzy! Już się nie ściga i nie wyświeśla, tylko się bada i tłumaczy. Nawet to, co robi nasz wydział, coraz bardziej mija się z celem. Do czego to nas doprowadzi?

— Czy moje materiały ci się przydadzą?

— Tak, na pewno — uspokoił ją, ujmując z wdzięcznością jej ramię. — Te ciągle odstępstwa od wszelkich obowiązu-

jących zasad i przepisów! Ta podejrzana gotowość do ustępstw, którą potem podaje się za oczywisty dowód humanitaryzmu! Nic dobrego z tego nie wyniknie!

Mówił o Krebsie, nie wymieniając jednak jego nazwiska. Zresztą wcale nie musiał go wymieniać, zwłaszcza w rozmowie z asystentką policji kryminalnej Leineweber. Wiedziała dość dokładnie, do czego jej Ernst zmierza.

— Ależ on uchodzi za znakomitego specjalistę! — zauważyła.

— Być może tak jest — stwierdził Michelsdorf, starannie składając, a następnie chowając do kieszeni otrzymaną od niej kartkę z notatkami. — Ale nie jest on u nas jedynym specjalistą, a ostatecznie każdego można zastąpić kimś innym.

— To może się okazać nieuniknione.

— Absolutnie! Jego wyskoki budzą poważne zastrzeżenia. Postępowanie z ofiarą jest zupełnie anormalne, badanie śladów wprost groteskowo przesadne, a zabiegi zapobiegawcze i próby wyjaśnień prowokacyjnie jednostronne!

— Czy ja przypadkiem nie będę musiała wystąpić bezpośrednio przeciw niemu? — zaniepokoiła się nagle Hildę. Powiedziała to tak głośno, że omal nie obudziła Gudrun Damrowskiej.

Michelsdorf uspokoił swoją Hildę. Odciągnął ją delikatnie od łóżka poszkodowanej, której miała pilnować, i zaprowadził do kąta. Poszła z nim bez oporu. Lubiła, gdy brał ją w objęcia, ale tym razem podroczyła się trochę: — Przecież nie tu...

— No dobrze, wobec tego przy jakiejś lepszej okazji, mam nadzieję, że wkrótce. — Obydwoma rękami ujął ją za ramiona. — Twoje notatki niemało dla mnie znaczą. Muszę polegać na nich w stu procentach, a więc i na tobie. Mogę na ciebie liczyć, Hildę?

— Możesz. Przecież mamy się pobrać!

— Niedługo się pobierzemy — zapewnił ją bez namysłu Michelsdorf. — Gdy tylko osiągnę odpowiednią dla mnie pozycję! Zresztą nie wątpię, że przy twojej pomocy to się uda.

— Byłoby mi bardzo przykro obciążać kogoś takiego jak Krebs. Mam dla niego pewien szacunek.

— Ale, jak mi się zdaje, mnie kochasz.

— Bądź tego pewien — wyznała, tuląc się do niego.

— Bo masz do mnie zaufanie. Nie tylko do mnie jako do mężczyzny. Poznałaś mnie przecież i wiesz, jak ogromnie poważnie traktuję swój zawód. Śmiało można powiedzieć, że jest on moim powołaniem. Zależy mi na wykrywaniu i wyłączeniu ze społeczeństwa elementów przestępczych, a nie na opiekowaniu się nimi, gdzie się da. Pragnę sprawiedliwości i nie cierpię dopatrywania się ofiar wszędzie, nawet wśród przestępców. Takie metody osłabiają nasze środowisko zawodowe, czynią z niego bagno. Rozumiemy się?

Istotnie się rozumieli.

Również Klaus Battenberg, naczelny reporter miejscowej rozgłośni radiowej i telewizyjnej, poczuł, że go rozumiano. Jak prawie zawsze, od chwili kiedy uzyskał obecne stanowisko. Ostatecznie był jednym spośród najbardziej kompetentnych pracowników tego środka przekazu, decydująco wpływającego na opinię społeczną.

W tym też duchu odezwał się do Brigitte Scheurer: — Ci działacze polityczni wprost biją się o moją przychylność. Jedzą mi, że się tak wyrażę, z ręki. Oczywiście każdy na swój sposób. Holzinger na przykład zgrywa się na kompana do wypitki, Müller natomiast próbuje bardziej okrężnej drogi — usiłuje uprawiać politykę międzynarodową i działać na rzecz całej ludzkości. Śmiechu warte!

Wiesz, Klaus, jak wyglądasz w moich oczach w ostatnim czasie? — zapytała Brigitte Scheurer, wciąż rozbawiona, ale mocno już zmęczona. — Jesteś jak pijany, oszołomiony pełnią swojej władzy! A w rzeczywistości jesteś tylko nadętym reklamiarzem!

Klaus Battenberg uśmiechnął się, wcale nie urażony. Co więcej, zachował się tak, jakby go kto pochwalił. Niedawno spędził z Brigitte Scheurer całą noc, ale wcale się z nią nie

przespał. Od dłuższego już czasu uważał, że byłoby to bezsensowne marnowanie sił. Cały czas gadał, gadał i gadał o sobie. Żaden inny temat nie wydawał mu się równie ważny.

— Twój wywiad z Müllerem, dziecinko — zapewniał ją po raz trzeci lub czwarty tej nocy — to dopiero była klasa! Czy on ci się może podoba? Bo w waszej rozmowie zabrzmiało parę bardzo osobistych nutek. Mam ucho wyczułone na te rzeczy.

Brigitte bawiło to, co mówił Battenberg, ale ziewała przy nim bez skrępowania. — Jeśli się chce naprawdę poznać naszych rzekomo wielkich ludzi, trzeba się przyrzec ich żonom. Na przykład pani Müller przedstawia udaną mieszaninę kurki domowej, nauczycielki szkoły podstawowej i urzędniczki opieki społecznej! Jak można żyć przez dwadzieścia lat z czymś takim! Prawdopodobnie trzeba być do tego tak genialnie zdolnym, jak właśnie jest Müller.

— Masz go więc za swego rodzaju geniusza? — Battenberg patrzył z uciechą na Brigitte Scheurer z wyżyn swojej łoży szyderców. — Ale w porównaniu z takim Holzingerem...

— Ten przecież w ogóle nie wie, co to takiego moralność!

— Śmiać mi się chce, Brigitte! — Battenberg spojrział przy tym na nią niemal zatroskany. — Czyżbyś jeszcze nie rozumiała, że jeżeli dwaj robią to samo, to wcale nie jest to samo. Jeśli, powiedzmy, Holzinger się łajdaczy, gdzie się tylko da, to jest w tym coś z siły, sprawdzania samego siebie, poczucia pełni życia. Zwłaszcza gdy nieugięcie stoi przy nim jego żona. Holzinger w każdej chwili i wobec każdej publiczności potrafi wspólnie z żoną odegrać absolutnie przekonującą sielanekę wiernej rodziny. Müller natomiast nie dokaże tego, gdyż miewa niepokojące przypiływy przyzwoitości. I na nich właśnie może się pośliznąć.

— Nagromadziłeś w sobie strasznie dużo totalnej pogardy do ludzi!

— Każdego w końcu można rozgryźć — zauważył cierpko Battenberg.

— Stałeś się homoseksualistą czy gustujesz w małych dziewczynkach? A może jesteś impotentem? Masz się za filozofa czy satyryka? Co się z tobą w ogóle stało?

— Tropię powstawanie władzy — oświadczył Battenberg, bez urazy, ale bardzo pewny siebie. — A więc tropię tak zwanych potentatów! A im dłużej ich śledzę, tym wyraźniej widzę, z jaką okazałością aranżują oni swoje lunatyczne zabawy wariatów. Każą na nich tańczyć marionetkom, a tymczasem sami tańczą jak marionetki.

— Czy mój wywiad z Müllerem ma podobny charakter?

— Niech ci się nie zdaje, że może się ona na wiele przydać — oświadczył jej zarozumiale Battenberg. — Było tam dużo głupiej gadaniny, ale to się da z łatwością wyciąć. Reszta, która z tego pozostanie, mogłaby wyglądać mniej więcej tak: pewien pan Müller uprawia politykę w zakresie środków przekazu, co stanowi poważne wyzwanie dla Holzinger. Toteż będzie on musiał zająć wobec niej jednoznaczne stanowisko. Coś takiego nazywamy, dziewczyno, reakcją łańcuchową!

— Jak sądzisz, do czego może się ona przydać?

— Zagrani, stawiając ich wszystkich przeciwko sobie — orzekł zprzekonaniem Battenberg. — Rozpaczynam już dzisiaj. Na przykład przy okazji radiowej niedzielnej audycji dla młodzieży. W razie gdyby tego nie starczyło, podejmę dalszy ciąg już jutro, w dzienniku wieczornym, równocześnie na wizji i w dźwięku. To po prostu musi chwycić!

— Tak uważasz? — Brigitte Scheurer, już mocno znużona, zerknęła na niego z powątpiewaniem. — Pamiętaj, że Müller ma bardzo gładką skórę, a Holzinger bardzo grubą. Po prostu obaj nie usłyszą tego, czego nie będą chcieli usłyszeć.

— Już ja ich zmuszę, by mieli szeroko otwarte oczy i uszy! Będzie to zależało od wprowadzenia, doboru materiału i komentarza! Holzinger musi się poczuć sprowokowany przez Müllera, wówczas od razu wejdzie na arenę. I tak zacznie się prawdziwy cyrk!

Brigitte ziewała niepohamowanie. Spojrzała w stronę okna. Wstawał za nim już nowy dzień. Jasne światło jesieni wciskało się we wszystkie zakątki. Słońce weszło o godzi-

nie 6.22. Brigitte chciała tylko spać. W miarę możliwości sama.

Była godzina 7.05.

Bardzo to przygnębiające wydarzenie — prawie dokładnie o tej samej godzinie stwierdził emerytowany funkcjonariusz policji kryminalnej Keller. Odsunął na bok ostatni dokument, jaki mu pokazano. — Tak samo przygnębiające, jak oczywiste.

— A więc ostatecznie nic nie mówiące — uważał za wskazane podsumować Krebs. — Zmarnowałeś więc tylko czas, przeglądając beużyteczny materiał.

— I tak, i nie — powiedział z wahaniem Keller, zerkając jednocześnie na swego psa Antona. Pies jednak spał głębokim snem, jakby wiedział, że noc jeszcze nieprędko się skończy. Nieprędko dla jego pana, a więc tym samym i dla niego.

Keller po chwili znów się odezwał, patrząc na Krebsa: — Przy przeglądaniu całości zebranego materiału rzadko mi się udaje uzyskać nowe informacje. Tym razem jednak studiowałem twoje akta z wciąż wzrastającą obawą.

— Co do mojej roboty? Przecież była taka dokładna! A może ty również wątpisz w przydatność moich metod?

— Jesteś niedościgniony w swojej specjalności. Twoje przypuszczenia wprawdzie nawet fachowcowi mogłyby się wydać zbyt śmiałe, są jednak chyba trafne. Mamy tu niewątpliwie do czynienia z tak zwanym przestępcą estetycznym w akcji. Nazwałbym go raczej psychicznie wykolejonym, dotkniętym przewlekłą chorobą.

— Dostosowałem się do słownictwa używanego w kryminalistyce. W istocie ta odmiana przestępstwa nie ma nic wspólnego z estetyką, a nazwą posługują się tylko teoretycy.

— Znajdujesz się w samym centrum sfery swoich zainteresowań — powiedział z namysłem Keller — zupełnie jak w snopie światła reflektora. Możesz w nim rozpoznać każdy

ważny szczegół, ale nie widzisz, co się dzieje obok ciebie albo za tobą.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Coś bardzo prostego: nie zwracasz uwagi na swoich bliskich i najbliższych współpracowników.

— Dlaczego miałbym to robić? — szczerze zdziwił się Krebs. — Mój zespół składa się z godnych zaufania, świetnych specjalistów. Przeważnie przeszli najlepszą szkołę, u ciebie albo u Zimmermanna.

— To nie dotyczy Michelsdorfa. Sam go sobie wychodowałeś.

— On jest niezwykle energiczny i wytrwały — zapewnił z przekonaniem Krebs. — Jest niezrównany w swojej gotowości do walki z przestępcami.

— Czy to wszystko? A raczej czy nie za dużo tego dobrego? Kiedy ten twój Michelsdorf zajmował się u ciebie sprawami prostytutki, wcale nieprzypadkowo nazwano go „łowcą dziwek”. Ty jednak nie wahałeś się powierzać mu najbardziej drażliwych i najdelikatniejszych przypadków. Zrobiłeś go nawet swoim zastępcą. Tymczasem on, jak mi się wydaje, nadal uparcie trwa przy swoim, gotów nie przebierać w środkach przy polowaniu na ewentualnych przestępców.

— Za twoim pozwoleniem — odezwał się Krebs, tym razem bardzo poważnie — stwierdzam, że Michelsdorf pracuje ze mną, ale praktycznie pod moim kierownictwem. Jest on dla mnie tym, czym ja nie jestem i nie chcę być, a mianowicie swego rodzaju psem gończym, jeśli ze względu na twego Antona zgodzisz się na takie określenie. Ale tylko ja sam decyduję, gdzie należy wprowadzić do akcji Michelsdorfa. Stale tego pilnuję, by jego ogromną energię ustawić w kierunku, który ja uznam za słuszny. I wtedy jego działanie przynosi poważne efekty.

— A możesz przypadkiem zapomniał, że dokumenty należy czytać bardzo uważnie? — zauważył wyraźnie już zatroskany Keller. — Koncentrujesz się na samym przebiegu przestępstwa, ale nie na tym, jak sporządzono związane z tym dokumenty, co one sugerują, co można z nich łatwo wyczytać między wierszami. Zwróć na przykład uwagę na

sformułowania, które tylko w lekko zawołowany sposób wyrażają zastrzeżenia lub otwarcie podają w wątpliwość twoje metody. Natknąłem się przynajmniej w trzech miejscach na próby przedstawienia tego rodzaju poglądów. Gdyby doszło do poważnego sporu, mogłyby one posłużyć jako materiał obciążający ciebie!

— To, co mówisz, jest po prostu niewiarygodne!

— Będziesz musiał w to uwierzyć — ostrzegł go Keller. — Właśnie dlatego, że o ile cię znam, jesteś człowiekiem nie tylko dobrym, ale i prawym. Jesteś godnym zaufania kolegą, dobrym przyjacielem, wyrozumiałym dla innych. Popełniasz jednak przy tym fatalny błąd, sądząc, że każdy musi ci odpłacać tym samym.

— Twoje zarzuty wobec Michelsdorfa dotyczą mnie głębokoko — wyznał Krebs. — Wiem jednak, że nigdy byś czegoś podobnego nie twierdził, nie mając przekonania o swojej słuszności. Powinniśmy jak najszybciej omówić tę sprawę z Zimmermannem.

— Nie trzeba — odparł Keller. — Zimmermann sam mi zwrócił na to uwagę. Powiedział mi tak: „Ten Michelsdorf usiłuje zrobić Krebsowi świństwo. Nie jest to wśród nas zjawiskiem częstym, ale zdarza się od czasu do czasu.”

— Ale dlaczego? — zapytał bezradnie komisarz. — Czy nie starałem się zawsze w wydziale o atmosferę wzajemnej życzliwości?

— W tej sprawie Zimmermann się wypowiedział mniej więcej tak: „Wygląda na to, że Michelsdorf węszy szansę przejęcia wydziału obyczajowego. Ale dopnie on swego jedynie w przypadku, jeśli jego dotychczasowemu szefowi powinie się noga.” Jak mi się zdaje, nadarza się podobna przykra okazja. Mamy przypadek, o który nawet ty możesz się potknąć.

— A niechby nawet! Dla mnie najważniejsze jest znalezienie przestępcy!

— Dlatego, że jego ofiara tak nieodparcie przypomina twoją Sabine? — Keller uśmiechnął się wyrozumiale do Krebsa. — To mogłaby być rzeczywista przyczyna twojego postępowania, co prawda nie w sensie kryminalistycznym, ale czysto ludzkim. Lecz w tym właśnie szkopał. Kto w naszym

środowisku znajdzie zrozumienie dla takich odruchów? Nie wspomnę już o ich popieraniu.

— Ty.

— Mogłoby tak być, ale praktycznie nie miałyby to znaczenia. Nie należą już do instytucji.

— A Zimmermann?

— On czasem myśli podobnie odważnie jak my, ale na swoje szczęście nie wie o tym. Również dyrektor Hadrich stale dba o to, by powstrzymać Zimmermanna od realizacji zbyt śmiałych pomysłów. Ale Zimmermann odniesie się do twojego sposobu myślenia przynajmniej z szacunkiem. Hadrich jednak to fanatyk przepisów i zarządzeń. Kiedy się zorientuje, do czego zmierzasz, od razu na ciebie zagwiżdże, abyś wracał, i to ostro.

— A ja będę robił to, co uznam za słuszne.

— Nie zapomnijmy pomimo wszystko o naszej umowie: śniadanie dla Antona i dla mnie, że się tak wyrażę, w ściśle rodzinnym gronie. Tak około wpół do dziewiątej. Ja do tego czasu będę się nadal zajmował twoimi dokumentami. Kto wie, co jeszcze z tego wyniknie?

Z notatek emerytowanego funkcjonariusza policji Kellera:

„Dla specjalisty tej klasy co Krebs zawsze odczuwałem podziw, ale jednocześnie mu współczułem. Tacy jak on policjanci muszą bowiem dzień w dzień zajmować się najokropniejszymi postępkami, a te nie podlegają żadnym regulom i nie mieszczą się w żadnych, choćby z grubsza nakreślonych granicach.

Przestępcami na przykład mogą być zarówno dzieci, jak i starcy. Podobnie ofiarami. Pewien przestępca, jeden spośród tysięcy, powiedział: «Gdyby dziewczyna mi uległa, to pewnie jeszcze by żyła.» Inny znów, wcale nie mniej wiarygodnie oświadczył: «Musiałem ją zabić, bo ta dziwka się broniła.»

Przestępcy ci nie zawsze są odtraconymi przez społeczeństwo samotnikami, jakimiś «elementami aspołeczny-

mi», albo często w tym kontekście wymienianymi rozpustnymi staruszkami». Statystyka wskazuje raczej, że wśród przestępców obyczajowych niezwykle wysoki udział mają ludzie w granicach trzydziestu, czterdziestu lat, a więc w «najlepszym wieku», bardzo często żonaci, których niedostatecznie zaspokaja życie małżeńskie albo nie zaspokaja ich wcale.

Jedno tylko można stwierdzić na podstawie statystyk — każdemu się to może przydarzyć, każdy może się znaleźć w takiej sytuacji! Parobcy, szoferzy, nauczyciele, przedsiębiorcy, najbliżsi krewni, ojcowie, nawet duchowni. Nie ma żadnej ogólnej reguły na to, w jaki sposób lub przez kogo zostanie złamane lub zniszczone ludzkie życie.

Niejeden z pracowników policji mógł się wzbraniać przed poznaniem tej niewesołej prawdy — odważnie jej stawić czoło mógł jedynie ktoś taki jak Krebs."

5

Podobnie jak przeważnie bywało w ciągu ostatnich dni, także w tę niedzielę, która przypadała na dzień 8 października, wielu miało swój osobisty terminarz wypełniony po brzegi. Ludzie polityki już od dawna do tego przywykli, w policji kryminalnej było to rzeczą zrozumiałą, a na przykład dla duchownych w tym mieście był to dzień pełen uroczystych obrzędów. Wszyscy oni są gotowi służyć swoim bliźnim, zarówno współobywatelom, jak i współwyznawcom, jak gdyby ci tylko na to czekali.

Prezes partii Müller wstawał codziennie o tej samej porze — o godzinie siódmej rano. Obudziło go dziś dyskretne bicie zegara, bardzo dokładnego, otrzymanego przed rokiem od przyjaciół partyjnych na czterdzieste piąte urodziny. Müller zwykł od pewnego czasu sypiać w jednym z pokojów dziecięcych, aby oszczędzić swojej żonie choć w części niedogodności związanych z jego skomplikowanym, męczącym trybem, życia. Odwdzięczała mu się za to wzmożoną staranną opieką. Z radością się na to godził.

Podczas gdy on golił się w łazience, ona krzątała się w kuchni. Nie widzieli się jeszcze tego ranka. Müller machinalnie rozprowadzając krem po twarzy przeglądał swój rozkład dnia, przymocowany do brzegu lustra. Były tam spisane przewidziane na dziś imprezy, jedna po drugiej, bez najmniejszej przerwy. Prawie wszystkie o charakterze czysto reprezentacyjnym, wobec czego pożądana była tylko jego na nich obecność.

Był pewien wyjątek: poświęcenie Studni Zwierząt. Miał on tam wygłosić jedno spośród paru przewidzianych

przemówień. Nie stanowiło to nigdy dla niego problemu, jednak tym razem zależało mu na dobrym przygotowaniu wystąpienia. Zwierzęta były ważną i lubianą częścią życia tego miasta. Miłość do nich, a przynajmniej zrozumienie dla nich — to było coś, co zdobywało głosy wyborców.

— A więc zwierzęta — powtarzał sobie, aby dobrze zapamiętać — w tym mieście, które kiedyś chętnie nazywano sielskim miastem.

Zaledwie przed pół wiekiem istniały tu jeszcze targi — bydłęcy, koński, drobiowy, a dziś jeszcze działa powszechnie uczęszczany targ żywnościowy. Jego Monachium było wciąż jeszcze miastem psów wszelkich ras i nierasowych, kotów i gołębi. Wprost symbolem zaś Monachium, który potrafił przetrwać mimo natarczywego nadużywania go podczas Olimpiady, był jamnik. Mógł być zarówno gładko, jak i długowłose, wystarczyło, by miał krótkie krzywe nóżki i lubił przebywać w piwnych ogródkach. Müller rozważał, czyby nie zrobić swojej małżonce Elizabeth prezentu z tak pięknego zwierzęcia.

— Telefon! — zawołała do niego przytłumionym głosem żona przez korytarz.

Narzucił na siebie płaszcz kąpielowy i przeszedł do pokoju, gdzie stało jego biurko. Żony tam nie zastał. Odłożyła tylko na bok słuchawkę, a sama odeszła z powrotem do kuchni.

Müller się zgłosił, jak się spodziewał, był to Weinheber. Oznajmił: — Nie spałem przez całą noc.

— Jak zresztą zwykle z soboty na niedzielę — odpowiedział żartobliwie Müller.

— Wcale nie to nie dawało mi spać. Zastanawiałem się nad niektórymi sprawami. Między innymi nad tym, jak nagle Holzinger zaczął przepychać się do przodu. Niepokoi mnie jego bezwzględne poczynanie w zakresie środków przekazu.

— Całkiem niepotrzebnie! Twoje stanowisko doradcy do spraw radiofonii nie jest zagrożone.

— Dziękuję ci za to — ucieszył się doktor Weinheber.

— Czy mogę cię spytać, jakie środki zapobiegawcze, a w szczególności...

Müller zareagował jak zwykle z całą ścisłością. Był już prawie zupełnie wypoczęty — udało mu się przespać blisko sześć godzin. — Przed samym poświęceniem studni pozostać mi na tę sprawę około kwadransa. Bezpośrednio potem chętnie bym porozmawiał z Ettenkoflerem. Proszę cię, nadaj sprawie bieg, jak ci już wczoraj napomknąłem.

— To się załatwi — powiedział Weinheber uprzedzająco grzecznie — bo on także chce rozmawiać z tobą. Poleciał, by mi to zakomunikowano.

— Świetnie — stwierdził Müller. Zdawało się, że nic nie może go zaskoczyć.

Przeszedł do kuchni. Jego żony już tam nie było, ale śniadanie stało przygotowane: mocna czarna kawa, dwa jajka na miękko, czterominutowe, wiejski chleb, masło i ser. Ma się rozumieć — ser bawarski.

Jedząc śniadanie rozmyślał nad własnym życiem. Nie było ono najlepsze, jakie można by było sobie wyobrazić, ale bądź co bądź niezłe zorganizowane — stanowiło przyzwoitą fasadę. Musiało to wystarczyć! Ufnie liczył na niewyczerpaną wyrozumiałość żony. Ona też musiała sobie zdawać sprawę z tego, kim jest jej mąż! A zatem i zachowywać się odpowiednio do tego.

Przysunął do siebie leżący obok w gotowości notatnik i zapisał w nim dużymi, rzucającymi się w oczy literami: „O godzinie 11.30 poświęcenie studni. Bardzo ważne! Proszę, żebyś była obecna. Mój kierowca dowiezie'ciebie na czas. Ja wygłaszam mowę.”

Adwokat Messer, gnany niezaspokojoną ciekawością i stałą żądzą działania, odszukał pewien dom przy Dachauer Strasse w pobliżu Dworca Głównego. Na czwartym piętrze znajdowało się tam mieszkanie Hanselmana, a jednym z dwóch podnajemców był w nim Herzog, reporter wiadomości sądowych i lokalnych. Messer przedostał się do jego pokoju, urządzonego niesłychanie rozrzutnie. Wydawało się, że złożono w nim cały

transport mebli — krzesła, komody, szafy, dywany w imponującej liczbie. Znajdowało się tam również łóżko francuskie — szerokie, z wysoko spiętrzonymi poduszkami i puchowymi kołdrami pokrytymi jedwabiem. Spośród nich wygrzebał się ziewając zdziwiony, lecz na pozór całkiem obojętny Herzog.

— Właśnie pan! — stwierdził Herzog na widok Messera tonem leniwej obrony. — Oczekiwałem pojawienia się kogoś pańskiego pokroju, ale nie akurat pana we własnej osobie.

— Niech się pan cieszy, że to ja przyszedłem — dodał mu otuchy Messer, unosząc w jego kierunku wypchaną torbę. — Bo któż inny jak nie ja przyniosłby panu podobne śniadanie dla smakosza: szampana, szczypcę langusty, pastet z gęsich wątróbek?

— Człowieku — wyznał Herzog oblizując wydatne wargi — tego się piekielnie dobrze słucha! — Pociągnął nosem w stronę torby z delikatesami, ale zaraz gburowato dorzucił: — Przy tym, łaskawco, musi pan wiedzieć że ja nie dam się przekupić.

— Wiem — przytaknął mu ubawiony Messer — ponieważ jest pan niezłomnym rewolucjonistą. Ale pomimo to współpracuje pan z liberalną gazetą.

— Ostatecznie człowiek musi żyć, nie zważając na to, skąd pochodzą środki.

— Wciąż powtarza się jedno i to samo — stwierdził żywo Messer. — Ten, kto znajduje się na dole, czeka na swoją rewolucję, ażeby ostatecznie znaleźć się na górze! Gardzi się kawiozem, dopóki się go nie ma. Wczorajsi obrazoburcy demaskują się wkrótce jako jutrzejsi kolekcjonerzy malarstwa. Nie zważają na to, że wspinając się w górę, muszą po drodze zburzyć tak wiele wartości! A jednak co nieco z tego pozostanie także dla nich!

— Cóż to za potok wielkich słów! — powiedział Herzog, ziewając i drapiąc się w pierś przez rozchelstaną piżamę. Był wciąż jeszcze zaspany, ale usiłował zachowywać się przytomnie. — A ta szczodra oferta złożona z przyniesionych pseudoargumentów czy to może z powodu Ettenkoflera? A więc drobnego przestępcy obyczajowego? A może tym razem wcale nie małego, całkiem okazałego? Przystęp-

ca obyczajowy pozostanie jednak nadal sobą! A może uważa pan, że jest inaczej?

— Niech pan nie zadaje sobie tyle trudu — oświadczył Messer. — W mojej obecności może pan każdego dowolnie obrzucić błotem. Mnie zależy tylko na tym, co pan napisze. Ale o ile pana znam, to jeszcze się pan zastanowi nad tym, co pisze w tej chwili.

— Proszę pana, czy ktokolwiek może naprawdę znać kogoś innego? — Herzog spojrział z nadzieją na adwokata. — Ta sentencja weszła zresztą nie na moim błotku: to niejaki Keller posługuje się nią z lubością. Wie pan, kto to taki ten Keller?

— Niestety aż zbyt dobrze — wyznał uczciwie Messer. — Któż z naszej profesji go nie zna?

— Od dwudziestu lat uprawiam swój zawód, specjalizując się w wiadomościach kryminalnych, i wiem, że tego Kellera trudno ominąć. Zwłaszcza od czasu kiedy przeszedł na emeryturę, to dopiero nie sposób. Bo teraz wtyka nos wszędzie, gdzie tylko poczuje jakiś smrodek. — Herzog postawił na stole dwie szklanki. — Dlaczego szczyrzy pan zęby jak adwokat zbyt pewny swojej sprawy? Czy pan przypadkiem nie przychodzi od Kellera?

— Nie. Ale mógłbym pójść do niego, gdyby to było konieczne. Mam jednak nadzieję, że nie zajdzie taka potrzeba. Dla mnie Keller jest instancją absolutnie ostatnią. Kiedy on wkracza do akcji, wówczas ja jak najszybciej schodzę z linii strzału. — Messer sprawnie otworzył butelkę pommery i napełnił nim po brzegi obie szklanki. — Ja reprezentuję tu jedynie interesy pana Ettenkoflera.

— Przeciwno mnie?

— Wspólnie z panem, jeśli pan woli. — Messer wznosił zapraszająco szklankę w stronę Herzoga. — Pragnę tylko uniknąć komplikacji, niepotrzebnych również panu. Oczywiście, ma to swoją cenę. Czy wypowiedziałem się dość wyraźnie?

— Całkiem wyraźnie — stwierdził Herzog, siorbiąc ofiarowanego mu szampana. Lubował się wytworzoną sytuacją i zamierzał widocznie przeciągać ją jak najdłużej. — Co pana skłania do przypuszczenia, że jestem gotów wdać się w tę grę?

— Pański rozsądek — powiedział Messer — pański węch, jeśli chodzi o praktyczne możliwości. Wie pan przecież dobrze, że przeciw komuś takiemu jak Ettenkofler niewiele pan zwojuje. No tak, może pan rzucić na niego podejrzenie, postawić go w fałszywym świetle. Ale to jest ryzykowne, i to nie tylko dlatego, że ja jestem jego adwokatem.

— Czy to ma być pogrożka?

— Rodzaj wyjaśnienia, mój drogi. Bo w razie gdyby pan mnie zmusił do zajęcia się pańskimi ewentualnymi twierdzeniami, ja musiałbym z kolei znaleźć źródła, z którego one pochodzą. Pana naprowadził na trop zapewne ktoś z policji, kogo da się zidentyfikować. Ale ponieważ policja kryminalna ma obowiązek milczeć o sprawach służbowych, to ten ktoś przeznaczy pana na odstrzał. Czy panu na tym zależy?

— Powoli zaczynam całkiem wyraźnie rozumieć — odezwał się spokojnie Herzog — że przedstawiam pewną wartość dla pańskiego Ettenkoflera. Jaką mianowicie? W miarę możliwości wyrażoną w liczbach!

— Niech pan sam siebie nie ceni zbyt wysoko — poradził mu adwokat. — Niech pan przypadkiem nie bluffuje. U nas, w Monachium, ludzie dochodzą do porozumienia, okazując sobie wzajemnie daleko idące zrozumienie. Czyżby pan, mój 'drogi, dotąd się jeszcze nie zorientował?

— Zorientowałem się aż nadto dobrze, mój panie! — Herzog przeciągnął się z lubością. — Tylko właśnie tym razem wszystko się układa niezwykle obiecująco dla mnie. Nareszcie mi się udało! Nieprzeciętnie gruba ryba połknęła mój haczyk. Mam ją teraz lekkomyślnie wypuścić? Ani mi się śni! Tym razem pójde na całego! Ja zagarniam ten łup!

Holzinger spożywał śniadanie w hotelowym pokoju.

Była godzina 8.30. Posiłek ten odpowiadał jego sile witalnej — cztery jajka smażone na boczku, potem salami i szynka, następnie francuski ser i podwójna włoska kawa espresso.

Miał na sobie biało-niebieski szlafrok, układający się w miękkie, łagodne fałdy. Pełnia wygody i spokoju! Widok jego brzucha kojarzył się z bawarskim barokiem. On sam zaś uśmiechał się z zadowoleniem i jadł, jadł...

Za nim w podwójnym łożu leżała jeszcze Maria-Petra w całej swojej skąpo przykrytej różowej nagości, wolna od przesądów, całkowicie nie zaangażowana w to, co się wokół dzieje. Holzinger umiał to docenić.

Obok niego, niczym się nie krępując, siedział Huber Trzeci. Referował Holzingerowi, jakby się znajdował w biurze swojej partii: — Ten dyrektor telewizji, jak się zdaje, rzeczywiście wpakował się w bardzo przykrą przygodę. Jak mówią, pół nocy spędził ze stronnikami Müllera na hulance. Był tam też ten człowiek z Frankfurtu, to znaczy Lauferer, zanim go odwieziono z zapaścią do hotelu.

— Dyrektor telewizji niech się do mnie zgłosi od razu po poświęceniu studni. Czy moja mowa jest już gotowa? Musi być wyraźnie lepsza od przemówienia Müllera!

— Nasz Neumann postara się o to. Już nad nią pracuje — zapewnił Huber. — Jeżeli tylko uda się temu mięczakowi przewyciężyć kompletne opilstwo, no i jeżeli żona zostawi mu na to czas.

— Poznałeś ją?

— I to jak! — zawołał z zachwytem Huber Trzeci.

— W ciągu tej nocy byłem u niej dwukrotnie. Ona jest wręcz zabójcza! Laleczka, ale dziwnie podniecająca! Prawdziwa piękność! I coś podobnego Neumann przed nami ukrywa!

— Zatem klasa!

— Najwyższa. Choć może nie całkiem czystej rasy. I chyba bardzo skomplikowana.

— Niech ją przyprowadzi ze sobą — polecił władcym tonem Holzinger — na poświęcenie studni i na obiad po poświęceniu. Moja żona też będzie obecna razem z dziećmi, bo ta uroczystość powinna się odbyć w atmosferze możliwie rodzinnej. To znaczy ma przemówić do serca. Zależy mi na tym.

— Zorganizujemy to! — obiecał Huber, zawsze gotów przytaknąć szefowi. — Zwłaszcza że Müller przypuszczalnie

także przyjdzie z żoną, a może i z całą rodziną. Bo u tego szlachetnie postępowego ojca synowie mogą sobie pozwać na wszystko, na co im przyjdzie ochota. Nawet na ciągoty komunistyczne. Ojciec wszystko to podporządkowuje pojęciu wolności.

— Ja także jestem zwolennikiem wolności! — zapewnił go Holzinger ze śmiechem. — Ale co rozumiem pod pojęciem wolności, to moja rzecz. Coś jeszcze poza tym?

— Na korytarzu czeka Battenberg, ten facet od telewizji. Chce panu przegrać jedną taśmę.

— Nie odmówię sobie tej przyjemności — zdecydował się Holzinger, po czym zarządził: — Mario, masz na najbliższy kwadrans do dyspozycji łazienkę. Możesz nas stamtąd spokojnie podsłuchiwać, tylko nie dawaj znać o sobie, żadnych odgłosów. A teraz niech wejdzie ten spec od środków przekazu. Obecnie każdy z tej branży jest dla mnie dobry.

Battenberg wmaszerował zamasyście — z walizą i magnetofonem. Zachowywał się poufale, zadowolony, że Holzinger serdecznie go powitał i przyjaźnie uściśnął rękę. Odnotował w myśli: „Jestem pożądanym gościem.”

Battenberg przegrywał przyniesioną taśmę — najpierw wywiad z Müllerem, następnie jakieś przypadkowe fragmenty, a wreszcie jego ustosunkowanie się do zagadnień polityki w zakresie środków przekazu. — Jest to co prawda gorące żelazo, ale trzeba je pochwytać gołymi rękami.

Huber Trzeci nie chciał wierzyć własnym uszom. Patrzył z obawą na szefa. Ale szef się uśmiechał. Był wręcz zadowolony.

— No co pan na to powie? — zapytał wreszcie Battenberg.

— Na razie tyle, że Müllerowi wolno wypowiadać się na każdy temat, na jaki mu przyjdzie ochota. To jego rzecz. — Holzinger uśmiechnął się jeszcze szerzej, a Huber wiedział, że jest to sygnał alarmowy najwyższego rzędu. — Kiedy jednak szerzy się wśród społeczeństwa tak problematyczne poglądy, to ma się rozumieć, ja nie mogę pozostać obojętny.

— Mógłby pan dać polemiczną wypowiedź tej samej długości — zapewnił gorliwie Battenberg. — Jestem tu po to, by umożliwić to panu.

Huber Trzeci odetchnął z ulgą — jego bossowi daje się w tej sprawie „ostatnie słowo”. Nieźle.

Holzinger jednak odpowiedział głośno, przyjaznym tonem: — Panu by to dogadzało, mój drogi, gdyby tak było można Müllera i mnie jednocześnie zaprząć do roboty dla siebie! Ale ze mną to się panu nie uda! Ani myślę dłużej służyć za wywieszkę reklamową jakiejś rozgłośni czy jakiejś telewizji, która od niedawna propaguje poglądy liberalne, ba, nawet socjalistyczne, a może i marksistowskie. Chce pan akurat mnie wciągnąć w te swoje manipulacje?

— Ależ, panie Holzinger, bardzo pana proszę... Chciałem przecież tylko...

— To wydarzenie jest kroplą, która sprawi, że moja cierpliwość przeleje się przez brzegi — stwierdził Holzinger znów głośno, ale już bez przyjacielskich tonów. — Poproszę zatem intendenta, by zajął w tej sprawie stanowisko, poruszę też radę rozgłośni i demokratyczną prasę. Również premier zostanie o tym zawiadomiony.

— Ależ proszę pana, panie Holzinger! — błagał już przerażony Battenberg. — To przecież nie z mojej inicjatywy! Ja przecież stale... zwłaszcza w stosunku do pana... Rozumie pan?

— No dobrze — rzekł potentat partyjny przeciągle — nie mam przecież nic przeciwko panu. Zdaje mi się, że pan jest całkiem w porządku.

— Staram się zawsze zachować umiar, niech mi pan wierzy!

— Cały ten kierunek jest fałszywy! — oświadczył zdecydowanie Holzinger. — I przeciwko niemu trzeba skutecznie zadziałać. A tu akurat nadarza się właściwy punkt zaczepienia.

— Ale przecież nie w związku ze mną! — prosił usilnie Battenberg. — Ja przecież zawsze byłem jak najbardziej gotów do współdziałania.

— Czyżby rzeczywiście tak było, Battenberg?

— Pod każdym względem, panie Holzinger.

— Cieszyłbym się, gdyby tak było istotnie.

Holzinger i jego Huber spojrzeli na siebie. — Ale taka akcja, Battenberg, musiałaby mieć jakiś praktyczny sens. Zastanówmy się, jaki. Jestem pewien, że coś wymyślę. Mam nadzieję, że pan również.

Z notatek emerytowanego funkcjonariusza Kellera:

„Magnus Hirschfeld próbował systematycznie rejestrować typowe reakcje ofiar przestępstw obyczajowych. Opierając się na licznych notatkach i obserwacjach, cytował: «czułam się jak sparalizowana»), «znajdowałam się pod presją — urokiem — przymusem», «nie miałam już sił, by się poderwać...»

«Podobnie Gudrun Dambrowska» — notował Krebs na karteluskach, które wkładał do książki Hirschfelda. Odnalazłem je tam później.

Istnieją jednakże odmienne relacje, które zaprzeczają istnieniu jakiegokolwiek «hamującego obezwładnienia»). Ofiara występuje w nich tylko jako obiekt seksualny, w którym właśnie seksualizm dość szybko bierze górę nad wszystkim, co ją spotka. Zatem aktywnie uczestniczy! Rzekoma ofiara!

Według Grassbergera, następnego z kolei teoretyka przestępczości seksualnej, co najmniej jedna trzecia wszystkich przestępców obyczajowych wykazuje defekty inteligencji, następna jedna trzecia to osobnicy odznaczający się chwiejnością charakteru, jeśli chodzi natomiast o pozostałą jedną trzecią, to działa ona pod wpływem alkoholu.

Krebs uznał jednak, że ma do czynienia z przestępcą, którego osobowość jaskrawo się różni od tych wzorców. Miał on nadzieję, że przesłuchując dziewczynkę imieniem Gudrun domyśli się, o jaki rodzaj zwyrodnienia tym razem chodzi. Przygotował się więc z właściwą sobie starannością."

No, przyjemnie spędziłeś noc? — zapytała pani Weinheber męża, który przyszedł do domu, aby się przebrać na uroczystość poświęcenia studni. Uśmiechnęła się do niego pobłaźliwie. — Wyglą-

dasz na wyczerpanego.

— To polityka — zapewnił pospiesznie, wciągając spodnie. — Zbliżamy się do decydującego momentu, Müller i ja. Chodzi nam o radio i telewizję. Nie możemy dopu-

cić, by podstawowe środki przekazu dostały się w niewłaściwe ręce!

— Orientuję się — odezwała się łagodnie — chociaż nie ty mnie poinformowałeś. Dba o to ktoś inny i czyni to na prawdę chętnie. Odniosłam przy tym wrażenie, że wasza pozycja, to znaczy Müllera i twoja, nie przedstawia się zbyt różowo.

— Niech będzie, co chce, ale stanowisko radcy do spraw radia mam już zapewnione — oświadczył, zapinając spodnie na guziki.

— Koszula marszczy ci się z tyłu zbyt mocno — stwierdziła. — Powinieneś bardziej dbać o wygląd zewnętrzny. Twoje pozowanie na artystę może wiele tłumaczyć, powinieneś jednak bardziej zaufać mojemu wyrobionemu smakowi.

— Jesteś kobietą wyjątkową — zapewnił ją z wdzięcznością. — Dobrze mnie rozumiesz, wczuwasz się w moją sytuację, a ostatnio nawet interesujesz się polityką. Wiem, że robisz to ze względu na mnie. Bardzo to sobie cenię i jestem ci pod wieloma względami zobowiązany. Ale proszę cię bardzo, nie mieszaj się do moich spraw osobistych.

Jej spojrzenie nabrało ledwie zauważalnego badawczego wyrazu. Powiedziała: — Wydaje się, że wiesz, co jest na pewno twoje: stanowisko radcy do spraw radia. Ale nie orientujesz się, co mógłbyś uzyskać w zamian, a byłoby to coś znacznie lepszego.

— Skąd możesz to wiedzieć?

— Wiem — powiedziała z przekonaniem. — Byłam wczoraj w operze, a potem na kolacji, przy której wywiązała się dłuższa rozmowa. A ty tymczasem wysypiałeś się na Nymphenburger Strasse, czego ci zresztą nie biorę za złe. W każdym razie ja przebywałam w towarzystwie intendenta radia i telewizji, dwóch posłów do Bundestagu i pani Holzinger.

Weinheber szczerze się zdziwił. — I to wszystko ze względu na mnie?

— Ze względu na nas — poprawiła go zdecydowanie.

— Ale mam przecież zobowiązania wobec Müllera — poddał jej pod rozwagę.

— Wobec mnie także! Dodam do tego, że intendent już za rok odchodzi na emeryturę i rozgląda się za jakimś godnym siebie następcą. A ty, chodząc na pasku tego Müllera i jego partii, nie załatwisz tej sprawy. Załatwisz ją tylko będąc u Holzingera.

Tymczasem komisarz Krebs zawitał do własnej rodziny. Była godzina 8.05. Śmiertelnie zmęczony, udawał wesołego i żwawego. Krebs z rodziną zajmował mieszkanie w domu przy Ungererstrasse, w pobliżu łaźni Ungererów — trzy pokoje, kuchnia i spiżarnia. Razem 82 metry kwadratowe. Czynnosc za to wszystko pochłaniał prawie czterdzieści procent jego pborów.

Rodzina Krebsa składała się z jego trzydziestosiedmioletniej żony Helen, z domu Vogler, jej nieślubnej córki Sabine oraz ich jedenastomiesięcznego synka Konstantina, ochrzczonego takim samym imieniem, jakie nosił Keller.

Żona chyba czekała na niego. Powitała go z nieśmiałą życzliwością. Jej wdzięczność wzruszała go i nieco niepokoiła. Chciał tylko spokojnego, zgodnego współzycia.

— Powiedz mi proszę, Konradzie, czego sobie w tej chwili najbardziej życzysz! — zapytała serdecznym tonem. — Położysz się spać? Napijesz się mocnej kawy? Może obudzić Sabine? Ona jeszcze śpi. Chcesz zobaczyć Konstantina?

Krebs usiadł na ławce podokiennej w kuchni. Rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk i zdjął trzewiki. Właśnie tam, gdzie usiadł, miał przygotowane wygodne pantofle domowe. Uśmiechnął się do niej. — Życie ze mną nie jest wcale łatwe, prawda?

Potrząsnęła skwapliwie głową. — Wystarcza mi to, że jesteś dla mnie wyrozumiały. A wiem doskonale, że jesteś.

Wyciągnęła do niego rękę, a on ją ujął w dłoń. Czekala na ten jego gest. Usiadła obok niego, a on mówił:

— Nie mam nawet stałego czasu służby, ciągnie się to nieraz dniem i nocą bez przerwy. A moja pensja nie dorównuje nawet zarobkowi posadzkarza.

Roześmiała się ze zrozumieniem — Mogłabym przecież — powiedziała otwarcie — trochę bardziej uczestniczyć w twojej pracy.

— Niepokoi cię coś?

— Nie, staram się tylko zrozumieć ciebie i twój świat.

— A ja się staram trzymać ciebie z daleka od niego — zapewnił, przygarniając ją łagodnie do siebie, jakby pragnął ją osłonić. — Nie jestem cukiernikiem, który może przynosić żonie smakowite próbki swojej sztuki, ani poetą, który może uradować żonę swymi książkami, ani projektantem mody, ani kucharzem, ani jubilerem. Mój dzień powszedni jest pełen brudów.

— Ale to jest twój dzień powszedni! A tym samym, mam nadzieję, w pewnym stopniu także mój.

— Nie — powiedział Krebs łagodnie, lecz stanowczo.

— Jest dla mnie oczywiste, że powinienem chronić rodzinę od styczności z moją pracą.

— To właśnie jest nasz osobisty problem.

— Chyba tak właśnie jest — stwierdził ostrożnie. — Każde małżeństwo zasadza się z reguły na pełnej wspólności, na współuczestnictwie w życiu partnera. Nie mogę cię jednak dopuścić do współuczestnictwa w drastycznej niekiedy pracy policjanta. Zapytaj o to Kellera.

— Pytałam go już kilka razy. I jeszcze raz zapytam.

— Przyjdzie tu mniej więcej za pół godziny, razem z Antonem. Spodziewam się, że nie masz nic przeciwko temu.

Helen spiesznie uwolniła się z objęć męża, po drodze musnęła z lekka wargami jego czoło, po czym pocałowała w usta.

— Keller i Anton zostaną przyjęci, jak należy! Co będziesz tymczasem robił?

— Zajmę się dziećmi.

Miał na myśli zarówno własnego syna Konstantina, jak też Sabine, swoją ulubienicę.

Oboje z Helen stanowili szczęśliwą parę. Wzajemne zrozumienie, czułość i poczucie bezpieczeństwa tu, w trzech ciasnych pokojach, wydawały się nie mieć granic. Oboje wierzyli w trwałość swojego szczęścia. Żyli jednak w kręgu policji kryminalnej, a w nim nie ma rzeczy niewyobrażalnych.

Dzień w dzień, również w niedzielę, z dokładnością co do sekundy, dyrektor Hadrich wchodził do swego gabinetu. Podwładni mogli według niego regulować zegarki. Zawsze była punktualnie godzina 8.15.

Hadrich, w biurze nazywany Sekundnikiem, tego ranka robił wrażenie życzliwego, rozluźnionego, skłonnego do żartów pana. Miał za sobą ogromnie przyjemną noc — przyjęcie u pewnego konsula generalnego. Reprezentował tam prezydenta policji, przebywał wśród dyplomatów, arystokracji, ludzi polityki, poważnych przedsiębiorców, artystów. Sprawiało mu to niemałą przyjemność.

Jednakże jego podniosły nastrój prysł jak bańka mydlana, kiedy przeglądając leżące na biurku meldunki dzienne poszczególnych wydziałów, z instynktownym wyczuciem zajął się najpierw dokumentami obyczajówki. Z niedowierzaniem wykrzyknął: — To niemożliwe! — Chciał natychmiast rozmawiać z radcą Zimmermannem.

Zimmermann zjawił się po paru minutach i zapytał z zaciekawieniem: — O co chodzi?

— O aresztowanie pana Ettenkoflera! Czy pan o tym wie?

— Oczywiście wiem — powiedział Zimmermann. — Czy pana coś w tej sprawie niepokoi? Nie chodziło zresztą wcale o aresztowanie, lecz jedynie o doprowadzenie w celu wyjaśnienia pewnych szczegółów w zakresie prowadzonego dochodzenia. Okazało się, że się zwrócono pod fałszywym adresem.

— Ależ pana Ettenkoflera, jednego z najbardziej szanowanych obywateli naszego miasta, przetrzymywano tu godzinami! Przy tym niepotrzebnie, więc bez sensu! Kto jest za to odpowiedzialny?

— Ja, jeśli koniecznie pan potrzebuje osoby odpowiedzialnej.

— Niech się pan niepotrzebnie nie wypycha do przodu — ostudził jego gotowość Hadrich. — Wcale nie mam zamiaru przyjmować tego do wiadomości. Znamy się przecież zbyt dobrze. Należałoby pociągnąć do odpowiedzialności właściwego kierownika wydziału, a zatem komisarza Kreb-

sa. On zaś, tak całkiem między nami, od dłuższego czasu wydaje się mocno samowolny. Nie sądzi pan?

— Nie sądzę — odparł Zimmermann. — Rękę bym sobie dał za niego uciąć!

Dyrektor jakby osłupiał. Po chwili rozwagi przemówił: — Szanuję pańskie poglądy, kolego Zimmermann. A jednak ten Krebs, zdecydowanie pański faworyt, niepokoi mnie coraz bardziej. Osiągnął wprawdzie znaczne sukcesy, ale ma również poważne wady. Dotyczy to zwłaszcza jego metod, na których stosowanie nie będę się dłużej godził. W interesie naszej instytucji.

Zbliżała się godzina 8.30, kiedy Huber Trzeci przyszedł do Neumanna. Przez pewien czas dzwonił wytrwale. Ukazała się Undine.

Huber patrzył na nią z zachwytem. — Jakież miły widok! — wykrzyknął, starając się naśladować swego bossa, co mu się nie bardzo udawało. — Musiałem czekać przez całą noc, by znów nareszcie panią zobaczyć.

— Nie przypominam sobie, bym się z panem umawiała — odezwała się powściągliwie Undine.

— To wcale nie było potrzebne. Bez tego przyszedłem!
— zaśmiał się Huber, przyglądając się jej bezceremonialnie — jasnoblond włosy w lokach, gładka różowa skóra i delikatna, chociaż lekko zaokrąglona figurka okryta jasnoniebieską jedwabną sukienką. Przy tym jej oczy! Dopiero teraz, przy świetle dziennym, można było dobrze się im przyjrzeć — o kocim wykroju, mieniące się zielonkawymi przebłyskami. — Że też pani mąż podobne zjawisko trzymał z dala od nas ...

— Mówił pan coś podobnego dziś w nocy. Nie przypuszczam, by pan przyszedł po to, ażeby się powtarzać.

Huber Trzeci był oczarowany. Ta delikatna osóбка to widać nie byle jaka spryciara! To przecież zupełnie coś innego niż te przeważnie korpulentne damy lub usłużne

dziewczątka, jakie miał w swoim otoczeniu. Tu dopiero otwierała się przed nim obiecująca ziemia nieznana!

— Chciał mi pan powiedzieć, po co pan przyszedł — przypomniała mu Undine.

— Przychodzę, że tak powiem, służbowo!

Skinęła nieznacznie głową. Potem pozostawiła go w otwartych drzwiach, a sama odeszła. Po paru sekundach wypadł z mieszkania Bert Neumann — blady, wymęczony, nie ogolony, nie uczesany, w rozchełstany obszernym płaszczu kąpielowym. W jego ochryłym głosie słychać było oburzenie.

— Co to ma znaczyć? Wypraszam sobie! Nie do wiary, czego się ode mnie wymaga!

— Oj, chłopie, nie zgrywaj się bez potrzeby! W każdym razie ja bym sobie na to nie pozwalała, mając taką żonę.

— Panie Huber, bardzo proszę ...

— Dobrze już, dobrze, mój drogi, uspokój się. Spróbuj wreszcie okazać choć trochę poczucia humoru. Szef na pewno byłby z tego zadowolony.

— Jeśli chodzi o moje prywatne życie..., a więc, co dotyczy też mojej żony... — wyrzekł Bert Neumann wciąż w stanie ostrego podniecenia — w dodatku w zestawieniu z panem, panie Huber...

— Ależ ja przyszedłem tylko w sprawie mowy na poświęcenie studni.

— Zgodnie z umową będzie do dyspozycji na kwadrans przed uroczystością, obliczona na około dwunastu minut: treść, jak uzgodniono. Ale teraz proszę mi się dłużej nie naprzykrzać. Każda minuta jest mi potrzebna do opracowania przemówienia.

— Chłopie, Neumann, co ci poradzę na to, że w nocy się upiłeś i nie mogłeś pracować?

— Proszę — powiedział szorstko Bert, niedwuznacznie ujmując klamkę — jestem zmuszony prosić, by mi pan nie przeszkadzał w wykonywaniu obowiązków służbowych!

— Mam coś jeszcze — oświadczył nieustępliwie Huber.

— Szef życzy sobie, ażebyś na poświęcenie studni przyprowadził ze sobą swoją żonę.

— To nie wchodzi w rachubę — odparł pospiesznie Bert Neumann.

— Nie słyszałeś? Szef sobie tego życzy!

— To jest absolutnie niemożliwe. Proszę to przyjąć do wiadomości.

Huber odciągnął zamykające się drzwi wraz z Neumannem. Komuś takiemu jak Huber nie sprawiało to trudności. Dojrzał w głębi przedpokoju Undine. Stała z lekka pochylona do przodu, z szeroko otwartymi oczami.

— Nasz przełożony — oświadczył Huber głośno i z naciskiem — wie, czego chce, a ty powinienes się do tego przyzwyczaić. W obecnym przypadku wszystko ma być dostosowane do atmosfery ludowego święta: porywające przemówienia, zgodne rodziny, sam zresztą wiesz. A twoja żona powinna być obecna. Nie zbojkotujesz chyba podobnej imprezy?

— Bardzo żałuję — powiedział zdecydowanie Bert Neumann — ale niestety nic się tu nie da zrobić. Nie mogę przecieź się spodziewać, że mojej żonie to będzie odpowiadało.

— Zapytaj ją jednak!

Undine odezwała się na to jak zawsze bardzo cicho, ale całkiem wyraźnie: — A może należałoby tym razem zrobić wyjątek?

Bert Neumann stał osłupiały. Potem odwrócił się i obrzucił ją smutnym, błagalnym spojrzeniem. Następnie wybuchnął:

— Proszę cię, Undine! Czyż nie zobowiązaliśmy się oboje...

— Nie ma reguły bez wyjątku! — przerwał im Huber grzmącym głosem. — Twoja przemiła małżonka, zdaje się, najlepiej wie, co jest dla ciebie naprawdę korzystne! — Huber śmiał się teraz zupełnie tak samo jak Holzinger. — Zatem nie pozostaje wam nic innego, jak tylko zjawić się na reprezentacyjnej uroczystości! W każdym razie Holzinger się ucieszy. Ja także się cieszę!

— Nie, nie — upierał się zdenerwowany Neumann — tylko nie to.

— Ależ dlaczego by nie? — powiedziała Undine z łagodnym uśmiechem skierowanym gdzieś w przestrzeń.

Twardo przeświadczony o własnych racjach Michelsdorf, stosując się tym razem do polecenia Krebsa z pewnym opóźnieniem, spotkał się z rana z inspektorem Beckiem z wydziału włamań. Był to jegomość gruby jak beczka, stale wyglądający na kompletnie znudzonego. Jak powiadano, ożywał się ten nadwymiarowy człowiek jedynie przy piwie z beczki, ale nawet w tym przypadku jedynie na krótko.

Beck, nazywany przez kolegów Hipopotamem, był znanym w sferach policyjnych ekspertem od wszelkiego rodzaju tkanin. Rozpoczął kiedyś swoją karierę jako sprzedawca tekstyliów w pewnym sklepie branzowym, potem pracował u Bernheimera, słynnego w świecie handlarza antyków, następnie był pracownikiem działu zakupów w pewnym koncernie domów towarowych. Każde z tych zajęć po krótkim czasie zaczynało go okropnie nudzić.

Później, mając prawie dwadzieścia pięć lat, Beck z jakichś bliżej nie wyjaśnionych powodów postanowił zmienić zawód — wstąpił do policji kryminalnej. Tam także nudził się niezmiernie, przynajmniej w trakcie odbywania przeszkolenia zawodowego.

Potem jednak, z okazji prowadzenia dochodzenia w sprawie uduszenia za pomocą jedwabnego sznura, niezwykle szybko dostał się do monachijskiego Prezydium Policji. Polecił go bowiem Keller, a Zimmermann skutecznie poparł tę rekomendację.

Zgodnie z oczekiwaniami Beck Hipopotam okazał się ekspertem najwyższej klasy. Wprawdzie oficjalnie przydzielono go do wydziału włamań, ale należał w instytucji do tych specjalistów, którzy świadczyli usługi wszystkim służbom na ich zapotrzebowanie, gdy uzyskały na to zgodę. Świadczył je też z własnej inicjatywy, jeśli chciał się trochę rozzerwać, a zarazem wyświadczyć przysługę komuś, kogo cenił. Mógł to być na przykład Michelsdorf, który w jego oczach znaczył tyle samo co Krebs.

— Czy wasi kontrolerzy płci znów chcą u mnie urządzić coś w rodzaju rewii bielizny — zażartował sapiąc. — Mam nadzieję, że tym razem będę miał do czynienia z panią, która codziennie zmienia majtki.

— Chodzi tylko o chustkę do nosa — powiedział Michelsdorf, niezbyt życzliwie usposobiony wobec żartów Becka.

— Komisarz Krebs chciałby wiedzieć, co pan o niej sądzi.

— Dla naszego czcigodnego pana Krebsa — oświadczył Beck, kładąc nacisk na wyrazie „pan” — mogę się przyrzec nawet smarkatce.

Przerwał natychmiast badanie materiału, którym się właśnie zajmował. Badał mianowicie wyroby z sierści lamy, zdumiewająco lekkie, nader odporne na wodę i o niezwykłych wprost właściwościach, jeśli chodzi o izolację cieplną. Odsunął ostrożnie na bok mikroskop, którym posługiwał się przy pracy. Następnie wyjął chustkę a foliowej torebki, którą Michelsdorf położył na stole, i przyjrzał się jej uważnie.

— Najwyższa jakość — stwierdził wreszcie. — Znakomite ręczne wykonanie. Ale okropnie zaświniona. Przecież do czegoś takiego nie smarka się tak po prostu.

— Znalaziono tę chustkę — wyjaśnił mu Michelsdorf — na miejscu pewnego przestępstwa ostatniej nocy. Zgwałcono tam dziecko. Pan Krebs polecił zapytać, czy może pan ustalić, skąd pochodzi ten dowód rzeczowy.

Beck był mistrzem praktyki kryminalistycznej, a poza tym nabral o choty do zajęcia się tą sprawą. Wyjął z szuflady biurka plastikową podkładkę o wymiarach mniej więcej trzydzieści na pięćdziesiąt centymetrów, i pincetkę, za której pomocą uchwycił leżącą na biurku chustkę. Następnie zaczął ją uważnie oglądać przez lupę.

Wreszcie, sapnąwszy mocno, przemówił:

— Przedmiot zasługuje na najwyższą uwagę, wspaniałe rękodzieło. Jak przypuszczam, należałoby określić dość dokładnie pochodzenie tego cennego przedmiotu. Wzór, sposób wykonania i materiał robią wrażenie na wpół orientalne, na wpół europejskie. Oceniam, że mogłaby to być Jugosławia, a tam być może chodzi o okolice Mostaru, gdzieś między Sarajewem a Dubrownikiem.

— A kto sprzedaje podobne rzeczy u nas w Monachium?

— dopytywał się Michelsdorf.

— Tylko jeden, najwyżej dwa sklepy, o ile się orientuję.

— Może je pan przebadac?

— Ma się rozumieć. Dla pana Krebsa w każdej chwili.

— Mógłby pan zacząć zaraz?

— Jak mi się zdaje, znam liczbę sklepów, które mogą tu wchodzić w rachubę, ale co ważniejsze, ich właściciele znają mnie.

— Ile czasu pan na to potrzebuje?

— Powiedzmy, godzinę.

Keller z Antonem zjawili się u Krebsów punktualnie o umówionej godzinie. Obaj doznali serdecznego przyjęcia — Keller od pani Helen, Anton zaś od Sabine . Stół już był nakryty, lecz samo śniadanie jeszcze niegotowe.

— Mogę pójść pospacerować troszkę z Antonem? — zapytała dziewczynka.

— Jeżeli mama nie będzie miała nic przeciwko temu, to dlaczego nie? — zgodził się chętnie Keller. To łagodne, poważne dziecko było jedną z bardzo niewielu osób, którym gotów był powierzyć nawet swego psa. — Anton lubi spacerować o każdej porze.

— Około piętnastu minut — zapowiedziała Helen.

— Niech będzie dwadzieścia — ustalił Krebs. — Dodatkowo pięć minut na dojście i powrót. Zgoda? — Po czym zdjął z ręki zegarek i dał go córce. Keller natomiast wyciągnął z kieszeni spodni nylonową linkę dla Antona, którą stale nosił ze sobą: miała cztery metry długości. Po paru sekundach nie było już ani psa, ani Sabine .

— Konstantin śpi — powiedziała pani Krebs.

— Będę tu jeszcze, kiedy się obudzi — oświadczył Keller, sadowiac się wygodnie w narożniku. — Nawet jeśli mój przyjaciel Krebs będzie musiał wyjść wcześniej, to ja pomogę pani w zmywaniu naczyń. Pani wie, że ja się na tym znam.

Helen i Keller lubili się bardzo serdecznie. Od kiedy się poznali, Keller był traktowany jak członek rodziny. Teraz przyjaźnie skinął głową Helen, a ona odeszła, aby przygotować śniadanie. Był pewny, że przyrzadzi któregoś z jego

ulubionych dań, może omlet włoski z czterech jaj ze śmietaną i pieczarkami, lekko zapieczony z parmezanem.

Zerknął w stronę przyjaciela Krebsa, który usiadł w pobliżu i zamknął się w sobie, ogromnie znużony. Keller odezwał się do niego ostrożnie: — Czy nie sądzisz, że twoja żona niezwykle subtelnie wyczuwa twoje osobiste sprawy?

— Tak, stara się, i to bardzo — zgodził się Krebs.

— Nie tylko to, ale znacznie więcej! Ostatnio Helen coraz częściej instynktownie wyczuwa twoje szczególne życzenia. Zorientowała się natychmiast, że chcesz bez przeszkód ze mną porozmawiać, wysłała więc Sabine z Antonem i przedłużyła przygotowanie śniadania. Zostawiła nas zatem sam na sam z naszymi problemami. Z jakimi?

— Niezwykle mnie absorbuje przesłuchanie tej małej Gudrun Dambrowskiej — wyznał otwarcie Krebs. — Jeśli tylko nie przytrafi mi się jakiś błąd, mogłoby mnie to mocno przybliżyć do poznania prawdy.

— Jakie poczyniłeś przygotowania? Jaki przebieg przewidujesz?

Relacja Krebsa o poczynionych przygotowaniach:

Poszkodowana dziewczynka imieniem Gudrun jest obecnie starannie odizolowana: ma przy tym zapewnioną odpowiednią opiekę zarówno lekarską, jak i technicznie kryminalistyczną. Nocny dyżur — panna Leineweber. Zastąpi ją pani Brasch. Z panią Brasch omówiono już wstępny plan przesłuchania.

Przewidziano ostrożne wprowadzenie, bez spisywania protokołu, lecz z nagrywaniem na taśmę pod nadzorem Lobnera i Krebsa, ulokowanych za nieprzejrzystą szybą. Cel przepytania: bliższe poznanie osoby przestępcy przez ustalenie jak najliczniejszych szczegółów.

W tym celu skrupulatnie, z iście Krebsowską dokładnością, opracowano wykaz pytań zmierzających do jak najbardziej precyzyjnego rozgraniczenia i zróżnicowania danych. Ponad pół setki wskazówek w sprawie przesłuchiwania: położenie głównego nacisku na ustalenie wzrostu, budowy, wyglądu, mowy, szczegółów zachowania, wyrazów, charakterystycznych ruchów. Wszystko to jako punkt wyjścia.

Jakie to właściwie dziecko ta Gudrun? — zapytał z uwagą Keller.

— Jest delikatna, ładna, bardzo poważna, przypuszczalnie mocno wrażliwa, co mogłoby posłużyć jako podstawowe założenie do istotnych ustaleń. Ponadto wydaje się, że potrzebuje czułości i pieczy. Jest chyba zdolna do całkowitej uległości.

Keller znał już tę charakterystykę, ale znów go zdumiała, czego nie dał po sobie poznać. Zauważył tylko w myśli, że Krebs znów opisał prawie dokładnie swoją córkę Sabine. Ona zaś — stanowiło to pewne kryterium — kochała psa Antona, a on kochał ją.

— Spróbujesz więc najpierw wytworzyć atmosferę jak największego zaufania. Do tego najbardziej nadaje się nasza mama Brasch. Zgadzam się z metodą, ale dostrzegam tu pewien brak.

— Jaki?

— Jeżeli tak wrażliwe dziecko chcesz skłonić do istotnych wypowiedzi, powinieneś uczynić wszystko, co jest w twojej mocy, ażeby je najpierw odprężyć, rozluźnić i w ten sposób uwolnić od zahamowań.

— Ale jak to zrobić?

— Dzieci często spontanicznie reagują na zwierzęta, na przykład na takie psy jak Anton. Anton jest mądrym zwierzęciem. Oddałbym ci go do wykorzystania z tą Gudrun. Dla przełamania pewnych oporów.

— A co potem?

— Dziecku potrzebne jest inne dziecko, ażeby mogło się sprawdzić, poznać samo siebie. A nawet tak macierzyńskie osobowości jak nasza pani Brasch wytwarzają atmosferę pewnego autorytetu. Dziecko natomiast ...

— Czy dobrze ciebie zrozumiałem? — zapytał otrzeźwiający nagle Krebs. — Myślisz o Sabine? Proponujesz, by wprowadzić ją jako czynnik wyzwalający przed przesłuchaniem?

— Abstrahując od tego, że na podstawie własnych doświadczeń nigdy bym nie traktował dzieci jako normalnych świadków, zresztą często i dorosłych nie można tak traktować — wyjaśniał cierpliwie Keller. — A pod względem psychologicznym rozmowę można by przygotować tak:

twoja Sabine razem z moim Antonem odwiedzą panią Brasch, która dobrze zna oboje. Odwiedziny odbędą się w obecności Gudrun. Ponieważ zaś Gudrun, jak się wydaje, ma usposobienie podobne do Sabine, powinny poczuć do siebie sympatię, zwłaszcza dzięki pośrednictwu Antona. Ułatwiłoby to później w znacznym stopniu pracę koleżance Brasch.

— Dlaczego nie powiesz otwarcie, do czego zmierzasz?
— zapytał Krebs, już nieco ubawiony. — Chcesz być przy tym?

— A masz coś przeciwko temu?

— Ależ nie! — stwierdził radośnie komisarz. — Tym bardziej, że sam cię chciałem o to prosić.

— Mamy w tym przypadku do czynienia z rzadko spotykaną sytuacją kluczową. A takiej okazji, mój przyjacielu, nie chciałbym przepuścić.

— Proszę na śniadanie! — zawołała Helen Krebs.

Keller ujrzał włoski omlet, na który miał ochotę; Krebs znalazł na stole gotowaną szynkę, ozór wołowy i łosia, a do tego chleb tostowy. Pies Anton, który właśnie wrócił ze spaceru, z rozkoszą węszył zapach białych kiełbasek. Spodziewał się, że dostanie ich pięć — dostał siedem.

Podczas śniadania nie padło ani jedno słowo na temat związany z kryminalistyką czy sprawami służbowymi. Keller umiał zachwalać rozkosze stołu i również w tej dziedzinie okazał się znawcą. Także tym razem.

Późniejsze refleksje Josefa Franza Ettenkoflera:
„Nie sposób było już wtedy przewidzieć cokolwiek z tych spraw, które miały wyniknąć dopiero później. Przynajmniej ja nie mogłem. Dla obu stron byłem tylko przedmiotem spekulacji. Nie robi to na mnie większego wrażenia. Z czymś takim trzeba się zawsze liczyć i przy okazji umieć wystawić własny rachunek.

Nie dotyczy więc mnie osobiście często potem używane powiedzenie, że jeśli dwa słonie walczą ze sobą, to zawsze

zadepcą wiele trawy. Jeśli się to przeniesie na praktykę dnia codziennego, będzie to znaczyć: Zmiany personalne są w takich sytuacjach niemal nieuniknione — jedni tracą swoje stanowiska, inni je obejmują. Nie jest to niczym niezwykłym w naszej społecznej rzeczywistości.

Próby interpretacji tych wydarzeń jako swego rodzaju śmiertelnych zmagających, czego niestety ostatnio usiłowano dokonać, są po prostu absurdalne. Nikt w tej rzekomej walce nie zginął i nikt poważnie nie ucierpiał. Nastąpiło tylko pewne przetasowanie. Zmiany na stanowiskach. Wszelkie inne rozważania nie mają żadnych realnych podstaw."

W tym samym czasie, o godzinie 9.20, starszy inspektor Michelsdorf wkroczył do akcji. Po raz drugi odwiedził kolegę Becka. Z najwyższą niecierpliwością usiadł naprzeciwko niego na obskurnym, skrzypiącym biurowym krześle.

— No to jak?

— Jakie tam no? — sapnął Beck niechętnie, niemal pogardliwie. — To przecież tylko zwykła rutyna.

— Z jakim wynikiem?

— Z takim samym jak zawsze w naszym świecie cudu gospodarczego! W tych zafajdanych czasach ekskluzywności i nadzwyczajności. Czy to chodzi o dezodorant, o papier klozetowy czy o pastę do zębów, wszystko musi być bardzo niezwykle... To samo dotyczy chustek do nosa, do których nie może się wysmarkać byle kto. W każdym razie tych chustek dostarcza w naszym mieście tylko jedna jedyna firma, dom handlowy International. Szefową jest tam jakaś księżna pruska czy bawarska, czy coś podobnego. To zresztą wszystko jedno!

— Dostarcza? Komu? Dało się stwierdzić?

— Dziesięciu, najwyżej dwunastu osobom. Udało się ustalić imiennie prawie wszystkie. Bo ta księżna umie organizować, liczyć, urządzić. Rozumiemy się z nią całkiem dobrze, zresztą nie tylko dlatego.

Michelsdorf uzbroił się w cierpliwość, by do końca wysłuchać tego, co mówi jego hipopotamowaty kolega.

— Zatem pan wie, komu sprzedawano te wytworne chustki?

— Oczywiście wiem! Sprzedano je, jak powiedziałem, dziesięciu, najwyżej dwunastu osobom. Już mamy ich wykaz. Oto on. — Tu Beck z niejakim wstrętem odsunął od siebie kartkę ze spisem nazwisk.

Widniały tam nazwiska raczej powszechnie znane — pewnej eks-cesarzowej matki z Bliskiego Wschodu, małżonki krawca męskiego, posiadającej rolls-royce'a z szoferem, synowej bankiera Schreyvogla, pewnej śpiewaczki amerykańskich przebojów wykonywanych na sposób bawarski, eks-męża Brigitte Bardot, rozmiłowanego w sztuce nowoczesnej.

Dalej następowały nazwiska znane Michelsdorfowi z akt urzędowych, a także z materiałów dochodzeń. Wśród nich najpierw Ettenkofler — ten monachijski światowiec! Następnie pani Holzinger. I na koniec trzy nazwiska, z którymi Michelsdorf na razie nie wiedział, co począć: Weinheber, Huber, Neumann.

— Co to za ludzie?

— Skąd mam wiedzieć? — mruknął gniewnie Beck. — Żądał pan listy nabywców, a nie akt personalnych. Niech pan sam się o to martwi!

— Tak też zrobię, ten wykaz to po prostu dynamit! — zapewnił Michelsdorf, po czym pośpiesznie wyszedł.

Huber Trzeci zgłosił się z powrotem u Holzingera w hotelu, wyraźnie w świetnym humorze. Znacząco podniósł kciuk do góry.

— Wspaniała! — stwierdził. Boss z coraz większym zainteresowaniem lustrował spojrzeniem swego sekretarza, naganiacza, ochroniarza i powiernika.

— Kto lub co jest wspaniałe? Neumanna mowa dla mnie?

— Jego żona! — odpowiedział rozmarzony Huber. — Ta Undine to przebiegłe dziewczątko, jak się zdaje. Uważam, że jest grzechu warta. Wygląda jak wróżka z bajki. Miód z mlekiem! Ale takie są podobno najostrzejsze!

— Nie próbuj sprawdzać — powiedział Holzinger, przeglądając się w lustrze. Miał na sobie nowy modny garnitur w stylu regionalnym, który włożył po raz pierwszy na poświęcenie studni. — Przywiązuję wagę do tego, by moi współpracownicy zgodnie i ściśle ze sobą współdziałali.

— Może ta dama też zechce trochę współdziałać — zażartował rubasznie Huber.

— Czy ona przyjdzie? — zapytał Holzinger, poprawiając krawat w kolorze myśliwskiej zieleni.

— Nasz Bert był stanowczo temu przeciwny, ale ona wcale nie — relacjonował Huber. — Ponieważ nasz pisarzyna jest ostatnio mocno nie na poziomie i raczej robi wrażenie kompletnie przepracowanego, dobrze by było wysłać go na urlop!

— Abyś się mógł łatwiej dostać do jego żony?

— To także! — Huber Trzeci mówił zupełnie szczerze, a Holzinger miał zrozumienie dla bawarskiego sposobu bycia. — Ale poza tym nasz Neumann ostatnio upija się zbyt często i zbyt łatwo, potem przesiaduje gdzieś, jakby nieobecny, blady jak ściana. Ale nie ma się co dziwić, jak się zobaczy jego żonę! Ona by poradziła nie takim jak on! Jestem tego pewien na sto procent!

— Zaciekawiasz mnie — powiedział przeciągle Holzinger.

— Czyżby pan przypadkiem... osobiście? ...W takim razie...

— Nasz Neumann jest bądź co bądź bardzo przydatny.

— Jego żona może być także.

— Czy on zdąży na czas ze swoją mową na poświęcenie studni?

— Z wszelką pewnością! Może nawet przepisuje coś z Ludwiga Thomy! A takie rzeczy zawsze robią wrażenie, zwłaszcza kiedy pan je wypowiada.

— Holzinger przejrzał się jeszcze raz w lustrze i ujrzał udaną, zrosła z krajem postać. Był coraz bardziej zadowolony.

— Wiesz, Huber, dlaczego tego Müllera tak trudno znieść. Brakuje mu cech czysto ludzkich!

— On żyje swoimi zasadami, a praktycznie to znaczy, że nie żyje, jak trzeba. On nie wie, co to znaczy żyć samemu i dać żyć innym. Ale to właśnie może go uczynić niebezpiecznym.

— A jeśli chodzi o kobiety?

— Prawie nic — powiedział Huber bardzo ostrożnie. — Nigdy nie może wyjść z własnej skóry. Trzeba mu dopiero pomóc. Ale kiedy się dobierał do tej Scheurer, a może to ona do niego, to wyglądało już zupełnie obiecująco.

— Rzeczywiście? — Holzinger nastawił ucha.

— Tak, ale on wlecze za sobą ciężki balast. Uporczywie przestrzega moralności. Czy to w telewizji, czy w rodzinie wszystko musi być porządne i zgodne. Żonie stawia wielkie wymagania, a tymczasem on sam czuje się jeszcze jak młodzieniaszek, na przykład na widok takiej Scheurer.

— To brzmi bardzo obiecująco — stwierdził żywo Holzinger. — Może coś się z tego da zrobić. Zastanówmy się nad tym.

6

Studnia Zwierząt, którą miano poświęcić tej niedzie-
li około południa, znajdowała się w pobliżu Rinder-
markt, przy Jacobsplatz. Dzień był piękny — jas-
ny, promienny, niebo jasnobłękitne, nieskończe-
nie wysokie i rozległe.

— Jak na zamówienie — stwierdził Huber Trzeci.

Termometr wskazywał blisko 18 stopni. „Jeszcze raz roz-
błysło nasze Monachium!” — pisał pewien reporter. Wszys-
cy byli tego samego zdania.

Holzinger powitał swoją żonę w sposób demonstracyjnie
czuły, potem z radosną serdecznością uściskał dzieci, spog-
lądając jednocześnie w stronę licznych kamer. Dobrze wie-
dział, co ma zademonstrować — wzorową, liczną, nieskazi-
elną rodzinę!

— Wszystko przebiega doskonale — szepnął Huber
Trzeci swemu bossowi. — Tylko z samego pierwszego
programu pokazały się dwie ekipy. Jedną przysłał tu
dyrektor telewizji, przypuszczalnie dla Müllera. Drugą
Battenberg, jako główny reporter, specjalnie dla pana.
Ponadto jeszcze drugi program i jakiś przegląd tygo-
dniowy!

— To mnie cieszy — stwierdził Holzinger. — A gdzie się
podziewa nasz Neumann?

— Ten dupek pozwala na siebie czekać, ale już jest
w drodze. Zapewnił mnie telefonicznie, że opracował mowę
na medal.

— Przyprowdzi swoją żonę?

— Jasne! Zdumieje się pan!

Wokół studni zebrało się paręset osób, oprócz tego

kapela dęta, a także dwie delegacje stowarzyszeń. Oprócz tego ekipy telewizyjne.

Holzinger tymczasem wyglądał pojawienia się Müllera. Jeszcze go nie było. Zjawił się natomiast prezydent miasta, oczywiście z żoną. Przybyły również osobistości średniego kalibru — podskarbi miejski, radni miejscy, pełnomocnik do spraw kultury. Wydawało się, że także prezydent miasta niecierpliwie wygląda Müllera — zlecono mu przecież wygłoszenie mowy na poświęceniu.

Nieposkromiona żywotność Holzingera sprawiła, że stał się on ośrodkiem ogólnego zainteresowania. Humor poprawił mu się tym bardziej, że ujrzał dyrektora telewizji. — No to jesteś, staruszkule! — zawołał do niego żartobliwie. — Trudno uwierzyć, że zdecydowałeś się pokazać wśród przyjaciół partyjnych.

Dyrektora telewizji zaskoczyło takie bezpośrednie zawołanie, usiłował jednak zachować zewnętrzny spokój. — Przecież wystarczy, żebyś powiedział, kiedy chcesz mnie zobaczyć.

— No dobrze. Wobec tego następnym razem na białej kielbasie.

Po czym Holzinger pozostawił dyrektora telewizji własnemu losowi. Następnie zarówno niecierpliwie, jak z niedowierzaniem patrzył w kierunku Rindermarkt. Nadchodził bowiem stamtąd pospiesznie Bert Neumann z teczką w prawej ręce. Obok niego postępowała istota niezwyklej piękności. „Wyglądała, jakby się unosiła w powietrzu” — napisał potem Argus, bardzo poczytny reporter życia towarzyskiego.

— No i co pan na to? — zapytał uradowany Huber swego bossa, wyraźnie pozostającego pod mocnym wrażeniem. — Czy zbyt wiele obiecywałem?

W filii Instytutu Medycyny Sądowej przy Pettenkoferstrasse w tym samym czasie kończono przygotowania do przesłuchania małej Gudrun Dambrowskiej. Sama Gudrun wyglądała na odprężoną, niemal wesołą. O tym, że coś ją boli, prawie zapomniała.

Miała bowiem niedawno bardzo ciekawe odwiedziny — była u niej dziewczynka imieniem Sabine, a z nią cudowny pies, na którego wołano Anton.

Ten pies zaś na komendę Sabine zaprodukował wkrótce trzy sztuczki. Najpierw na komendę: „stań słupkiem”, przycupnął jak krasnoludek z bajki. Potem na „spać!” położył się, ale na grzbiecie. Następnie na „spaceruj!” szedł na dwóch łapach, kołysząc się tanecznym ruchem. Anton bawił się przy tym wybornie.

Mama Brasch siedziała przy tym cierpliwie. Dla Sabine była ona już osobą znaną i bliską. Ale Gudrun też szybko nabrała zaufania do tej niezwykle spokojnej i kojąco wyrozumiałej kobiety.

— Te dziewczynki rzeczywiście wyglądają jak rodzone siostry — zauważył przyglądający się im z zainteresowaniem Keller.

Znajdował się wraz z Lobnerem i Krebssem w lekko przyziemnym pomieszczeniu. Wszyscy trzej stali przy dużej przezroczystej szybie. Oglądana z drugiej strony wyglądała ona jak lustro. Znajdowało się tam także kilka prawie niewidocznych mikrofonów. Krebs miał przed sobą magnetofon, w tej chwili już włączony. Oprócz tego bloki do robienia notatek i filiżanki z herbatą. Lobner nad inne gatunki przedkładał herbatę indyjską, której wypijał całe dzbanki. Nie skąpił jej również swoim gościom.

— Ta Gudrun najprawdopodobniej skojarzyła się panu nieodparcie z pańską córką Sabine — stwierdził Lobner z głębokim przekonaniem. — I to stało się dla pana czynnikiem prowadzącym do pewnych rozwiązań.

— Nie chciałbym, panie profesorze, znaleźć się przed panem po śmierci! — oświadczył lekko rozweselony Keller.

— Bo zapewne stwierdziłby pan zaraz, że obiekt przywieziony do zbadania ma wątrobę uszkodzoną na skutek nadużywania alkoholu, żołądek rozepchany z powodu obżarstwa, a skórę nieczystą przez ciągłe przebywanie z psem.

— Drogi przyjacielu — powiedział roześmieszony Lobner — niech mi pan raz po razie nie przypomina, w jakie bagno wdepnęliśmy dzięki naszej służbie...

— Proszą o uwagę! — szepnął Krebs, nagle zaniepokojony. — Zdaje się, że koleżanka Brasch zacznie zaraz przesłuchanie!

Za chwilą w sąsiednim pokoju pani Brasch odezwała się do Sabine : — Wiesz, co mi się zdaje? Nasz Anton musi chyba koniecznie wyjść na dwór! Powinnaś go szybko wyprowadzić. Ja tymczasem porozmawiam trochę z Gudrun.

Tak też się stało.

Profesor Lobner stwierdził z uznaniem: — Wasza Braschowa dobrze zna swoje rzemiosło! Postępuje całkiem inaczej niż tamta Leineweber, która męczyła się tu w ciągu ostatniej nocy.

— Nie ma nic doskonałego — zauważył Krebs z lekką niechęcią, a Keller popatrzył na niego uważnie.

Tymczasem w przyległym pokoju mama Brasch serdecznie przygarnęła małą Gudrun, podeszła z nią razem do stołu, usiadła przy niej i powiedziała: — Słyszałam, że lubisz czekoladę na mleku.

— O tak! — potwierdziła Gudrun. — Ale dostaję ją bardzo rzadko. Bo mama nie lubi czekolady, a tata to już jej nie znosi!

— Ja w każdym razie zawsze lubiłam czekoladę, nie tylko w dzieciństwie. Przyniosłam dziś jej pełny termos i teraz napijemy się razem, jeżeli masz ochotę. No, to zabierajmy się do niej. Przy czekoladzie porozmawiamy sobie o wszystkim, co nam tylko przyjdzie na myśl.

Bert Neumann szybko podszedł do Holzingerera i podał mu projekt mowy. — Mam nadzieję, że do pewnego stopnia utrafiłem w pański styl.

— Ja też mam taką nadzieję — powiedział Holzinger, patrząc na Undine. Zerknął na otrzymany maszynopis i ocenił krótko: — Całkiem do rzeczy.

Huber podprowadził do niego Undine: — Pozwoli pani, że przedstawię jej naszego pana Holzingerera.

Skinęła głową. Holzinger spojrział w jej jaappbłękitne oczy. Podała mu ostrożnie prawą rękę; pochwyciła i mocno uściśnęła. ?;

— No, jest pani nareszcie! Cieszy mnie to!

— Ja również się cieszę, że pana poznałam. Nareszcie — odparła Undine, z lekkim uśmiechem.

Pani Holzinger niezwykle żywo zareagowała na tę scenę. Ostro brzmiącym głosem zapytała: — A któż to taki?

Pytanie było skierowane do Hubera Trzeciego, który przeczornie zdążył do niej podbiec. Szybko udzielił informacji:

— Żona naszego kolegi, niejakiemu Neumanna.

— Całkiem niezwykła osoba — stwierdziła z dezaprobatą pani Holzinger. — Ale zupełnie nie w moim guście.

— W jego na pewno także nie — zapewnił skwapliwie Huber, mając na myśli Holzingera. — Ale ten Neumann jest dla nas bardzo przydatny.

— A jaka jest ta jego żona?

— To się dopiero okaże — uspokoił ją Huber, rozglądając się wokół lisim spojrzeniem. Stwierdził, że Müllera jeszcze nie ma. Ale ukazał się Ettenkofler. Holzinger nie omieszkał uściśnąć mu mocno dłoni.

Potem jednak Ettenkofler stanął samotnie na uboczu. Po chwili przyłączył się do niego ktoś, kogo Huber nie znał. Dotychczas nie znał. Jak się później dowiedział, był to niejaki Zimmermann, radca w Prezydium Policji.

Holzingera nie sposób było teraz oderwać od jego zajęcia. Był całkowicie skoncentrowany nad projektem swojej mowy. Można było sądzić, że mu się podoba. Skinął głową Neumannowi i ponad nim uśmiechnął się do jego żony. Trudno było dostrzec, czy ona odpowiedziała mu na ten uśmiech.

Huber spojrział na zegarek — przewidywany początek uroczystości był przekroczony o siedem minut. Nie wydawało się jednak, by ktokolwiek z obecnych zaprzętał sobie tym głowę. Pewne zamieszanie powstało tylko gdzieś na tyłach zgromadzenia. Jakiś mężczyzna bezskutecznie usiłował przedostać się do przodu. Cywilna straż porządkowa zdecydowanie go usunęła. Człowiekiem tym był budowniczy tej studni. Zapomniano dać mu zproszenie.

Holzinger zerknął na zegarek. Przelotnie pozdrowił Battenberga, który prowadził ożywioną rozmowę z Brigitte Scheurer.

— To ładnie, że pan przyszedł, zobaczymy się później!

Holzinger wypatrywał Müllera, lecz ten wciąż jeszcze się nie pojawiał.

Holzinger był z tego rad. W swój charakterystyczny, żywiołowy sposób wykrzyknął: — Dlaczego nie zaczynamy?

— a potem jeszcze głośniej: — Na co właściwie jeszcze czekamy?

— Nasz pan Müller — zapewnił go prezydent miasta — przybędzie lada chwila.

— A może w ogóle nie ma zamiaru tu przyjść — zauważył Holzinger umyślnie głośno. — Ale gdyby tak było, to zdaje mi się, że powinien nas o tym przynajmniej powiadomić.

— O, właśnie nadchodzi — zawołał z ulgą prezydent miasta.

Müller zbliżał się pospiesznie od strony Rathausplatz, prawie biegł. Wyglądał na bardzo zmęczonego i z lekka zakłopotanego. Nie panował nad sytuacją i nie potrafił tego zatuszować. Wydawało się, że jakby stracił poczucie równowagi. Holzinger natychmiast to zauważył.

Podskoczył mu na spotkanie. Zatrzymał swego przeciwnika politycznego, wyciągnął do niego obie ręce i zawołał tak, ażeby go słyszeli wszyscy obecni: — Czekaliśmy na pana, mój drogi!

— Żałuję, ale nie mogłem zdążyć z powodu zatorów w ruchu. — Müller usiłował zachować spokój, co mu się wyraźnie nie udawało.

Hałaśliwa serdeczność Holzingera przybrała jeszcze na sile. — Gdzież to się podziewa pańska szanowna małżonka? Rad bym jej złożył wyrazy uszanowania. Szkoda, że nie przyprowadził jej pan ze sobą. Mam nadzieję, że się nie rozchorowała.

Müller, tak gwałtownie zaatakowany na oczach wszystkich zebranych, starał się zachować zimną krew. — Moja żona nie czuje się zbyt dobrze — powiedział.

— Przykro mi — grzmiał w dalszym ciągu Holzinger.

— Mam nadzieję, że to nie jest nic poważnego.

Jego bystry intelekt wietrzył komplikacje. Były mu one bardzo po myśli.

Komplikacje te istniały rzeczywiście. Potwierdził to później kierowca Müllera. Oto jego wypowiedź: — ...udałem się, jak polecił mi pan Müller, do jego żony. Czekałem przed ich domem, jak zwykle. Tym razem jednak nadaremnie. Nikt nie przychodził. No to zadzwoniłem. Pani Müller wyszła i oświadczyła mi: „Nie chcę. Już nigdy. Proszę to powiedzieć memu mężowi.” Przekazałem to panu Müllerowi, nie chciał po prostu temu wierzyć. Rozmawiał z nią telefonicznie. Potem powiedział: „Nie zatrzymujmy się dłużej. Jedźmy jak najszybciej na to poświęcenie studni!”

A więc twój tatuś powiedział ci, ażebyś poszła po piwo — stwierdziła pani Brasch po godzinnym wypytywaniu, które mogło uchodzić za poufną rozmowę. — Czy to często się zdarza? — Tak, bardzo często — odpowiadała z całą otwartością Gudrun. — Przeważnie w sobotę, bo wtedy ogląda telewizję. Keller w przyległym pokoju zaśmiał się z cicha. — Na przyszłość w tego rodzaju przypadkach będziemy musieli brać pod uwagę aktualny program telewizji.

W sobotnim programie panowało przeważnie miłe urozmaicenie: wiejski teatr amatorski z południowych Niemiec i na odmianę sentymentalny teatr mieszczański z północnych Niemiec. Zdarzały się w tej materii także inne warianty. Tego konkretnego wieczoru nadawano w pierwszym programie magazyn rozrywkowy, a film szpiegowski w drugim. Trzeci program miał wciąż jeszcze letnią przerwę.

Ulubieńcem telewidzów był w każdym razie występujący na ekranie szpieg z serialu *Konspirator*. W drugim

programie pokazywano trzeci odcinek w czasie od godziny 20.15 do 21.45. Około trzydziestu milionów siedzących przed telewizorami doznawało przyjemnych dreszczyków emocji. Wśród nich także posadzkarz Dambrowski i siedząca obok Gudrun.

Lobner spróbował ułożyć dowcipną sentencję: — Kiedy nadają dobry film kryminalny, po piwo muszą chodzić dzieci, kiedy zły, ojcowie chodzą sami.

Komisarz Krebs z naganą pokręcił głową — nie chciał, by mu przeszkadzano. Przypomniawszy sobie, opartą na doświadczeniu, starą zasadę: decydujące znaczenie ma nie końcowy, utrwalony na papierze wynik przesłuchania, lecz raczej sam jego przebieg — gesty, intonacja, wahania, przerwy.

Keller odezwał się po cichu: — To na pewno nowy rodzaj dowcipów lekarskich. Prawda, panie profesorze?

— Bronimy się dowcipem przed okropnościami...

— Wobec tego jesteście w sytuacji lepszej niż my — odparł lapidarnie Keller — bo nie istnieją dowcipy policyjne. Z naszej praktyki nie da się wyeliminować okropności. Musimy niestety się w niej babrać. A tu się kończą wszelkie żarty.

Tymczasem w pokoju za szybą pani Brasch doszła do następnego punktu swojego programu, to jest do spotkania Gudrun z owym mężczyzną na ulicy P po wyjściu z baru na rogu. Gdy szła do domu, mężczyzna ten stał po prawej stronie ulicy. Z początku wcale go nie było widać.

— W cieniu padającym od drzewa?

— Tak, może.

— A może przy bramie któregoś domu?

— Tak, może być.

— Natknęłaś się na niego przy bramie ocienionej drzewem?

— Ona wypytuje zbyt szczegółowo — stwierdził Keller.

— To należałoby stwierdzić na miejscu o tej samej porze, kiedy przestępstwo zostało popełnione, i w takich samych warunkach.

— To byłoby możliwe najwcześniej za dwanaście godzin

— bronił się Krebs. — Ale wtedy mogłoby już być za późno! Pouczyłem koleżankę Brasch, ażeby próbowała wydobyć wszystko, co się tylko da.

— Takie intensywne przepytywanie może nadmiernie

zmęczyć dziecko — poddał rzeczowo pod rozagę Lobner.

— Pod wpływem zmęczenia dzieci reagują niedokładnie, pospiesznie i bronią się, nierzadko kłamiąc.

Wszedł policjant pełniący służbę w portierni. Zbliżył się ostrożnie do Krebsa i powiedział po cichu: — Przyszedł pan Dambrowski i chce z panem rozmawiać.

— Później — odprawił go niecierpliwie Krebs.

Policjant odszedł z zakłopotaną miną.

Pani Brasch doszła tymczasem do następnego, nadzwyczaj ważnego punktu: opisu wyglądu przestępcy. Z doświadczeń Kellera wynikało, że daje to zawsze bardzo problematyczne wyniki. Któż bowiem pamięta ze wszystkimi szczegółami, co naprawdę widział?

— Koncentracja dziewczynki słabnie — stwierdził zaniepokojony Lobner.

— Nie jej koncentracja — oświadczył stanowczo Keller — ale jej zainteresowanie. Gudrun czuje się po prostu przeciążona, stąd się bierze jej pewien opór. O ile jednak znam mamę Brasch, to ona się szybko zorientuje.

I rzeczywiście pani Brasch natychmiast dostrzegła obniżenie poziomu reakcji dziewczynki na pytania. — Dajmy temu spokój, Gudrun, to nie taki ważne. — Objęła ją czule i łagodnie przygarnęła do siebie. Napily się obie czekolady. — Porozmawiajmy o tym, co ten mężczyzna powiedział, a może też, co zrobił.

— No więc — szepnął Krebs w sąsiednim pokoju. Maksymalnie skoncentrowany, pochylił się nad głośnikiem nastawionym w stronę przejrzystej tafli lustrzanej. — Teraz zbliża się decydujący moment.

Oficjalna część uroczystości poświęcenia Studni Zwierząt, „z licznym udziałem wybitnych osobistości i społeczeństwa”, była w pełnym toku. Najpierw kapela dęta zagrała coś na ludową nutę, a chór mieszany odśpiewał coś bawarskiego. Z kolei Müller wygłosił mowę.

Sens jej był mniej więcej taki: Zwierzę towarzyszy człowiekowi od czasu, kiedy istnieją ludzie, którzy już zasługują na to miano. Już bogowie antyczni...

— Podoba wam się to? — zapytał Huber Trzeci, stojący obok Battenberga i Brigitte Scheurer.

— Ten człowiek jest z pewnością kulturalny — oświadczył ostrożnie Battenberg, po czym szybko dorzucił: — lub przynajmniej chce dać do zrozumienia, że posiada pewną kulturę.

Brigitte Scheurer zaś w zamyśleniu dodała: — Do pewnego stopnia żal mi go. Przecież on rzuca perły przed wieprze.

— Budzi więc pani kobiece współczucie — stwierdził Huber. — A może nawet sympatię?

— Ma pan coś przeciwko temu? — zapytała łagodnie Brigitte Scheurer.

— Wprost przeciwnie, pochwalałbym to. Chociażby po to, aby się przekonać, czy on w ogóle ma jakieś uczucia.

Tymczasem Müller kontynuował swoją mowę: — Zwierzę było zawsze przedmiotem zainteresowania artystów. Najstarsze egipskie malowidła przedstawiają kota, zwierzę królewskie! A konie, tysiące koni na obrazie Altdorfera *Bitwa Aleksandra*. I wcale nie na poślednim miejscu psy — u Rembrandta, podobnie jak i u Renoira, Tycjana, Goyi i wspaniale naiwnego Rousseau. Kto chce świadomie doświadczyć całej pełni życia, musi żyć ze zwierzętami.

Ettenkofler z pewnym wzruszeniem pomyślał o doborowych zwierzętach u siebie w domu. O ich świetnym wychowaniu, nieskazitelnej rasie, potwierdzonej starymi rodowodami. W tej chwili jednak dostrzegał przede wszystkim niebezpieczeństwo zagrażające jego uporządkowanemu życiu. Odezwał się do stojącego obok Zimmermanna: — Te wydarzenia w ciągu wczorajszej nocy były naprawdę bardzo przykre.

— Godne najwyższego pożałowania! — oświadczył szybko radca. — Jedną z głównych przyczyn mojej tu obecności jest chęć oświadczenia tego panu raz jeszcze. A także zapewnienia pana, że gdybyśmy mogli uczynić cokolwiek dla

zapobieżenia ewentualnym nieporozumieniom, to jesteśmy na to gotowi.

— Dziękuję — powiedział Ettenkofler z pewną ulgą. Właśnie tego oczekiwał. Ostatecznie był zaprzyjaźniony z prezydentem policji. — Gdyby więc u pana zasięmano...

— Załatwimy to niezwłocznie i jednoznacznie!

Widać było jednak, że Zimmermann jest wyraźnie ogromnie zainteresowany czym innym. Nieustannie spoglądał w stronę Holzingerera. Patrzył wszakże nie na niego, lecz na dwie osoby znajdujące się w jego najbliższym sąsiedztwie — na nerwowego i niespokojnego mężczyznę i na stojącą obok niego kobietę o ślicznej, stale uśmiechniętej twarzy jak u figurki z porcelany. To ona skupiała jego główną uwagę.

— Proszę mi powiedzieć, kto to taki.

Ettenkofler, zawsze dobrze zorientowany, chętnie go poinformował:

— Niejaki Neumann ze ścisłego sztabu Holzingerera, jego jajogłowy, jak to się obecnie mawia. Przy nim jego żona Undine, prześliczne stworzenie, lecz raczej przeciwieństwo pełnokrwistej południowoniemieckiej piękności... Interesuje pana ta osoba? Dlaczego?

— Wydaje mi się skądś znana — powiedział mocno zamysłony Zimmermann — chociaż nie potrafię powiedzieć skąd. Ale jestem pewny, że już ją widziałem.

— To by było dziwne — oświadczył Ettenkofler — ponieważ ta pani właściwie nigdzie nie bywa. Widziałem ją tylko kilkakrotnie w kościele, a także na koncertach, na które pan zapewne nie ma czasu chodzić.

— Bardzo możliwe — wyznał Zimmermann — że nigdy nie widziałem tej kobiety. Ale znam ją na pewno. Tylko skąd?

Müller kończył tymczasem swoją mowę: — Również wybitni Niemcy chętnie otaczali się zwierzętami. Schopenhauer lubił prowadzić rozmowy ze swoim pudlem. Bismarck nigdy nie wychodził na spacer bez doga. A rodzina związkowego prezesa mojej partii ma jamnika — to najbardziej lubiane spośród wszystkich monachijskich i bawarskich zwierząt. Na ich użytek i na uciechę naszych obywateli niech płynie woda z tej studni!

W pokoju kierownika wydziału obyczajowego, znów przy głównym biurku, siedział starszy inspektor Michelsdorf, zdecydowany zatrzymać to miejsce na stałe. Przed sobą miał dokumenty w plastikowych teczkach, a obok siebie, całkiem blisko, asystentkę Hildę Leineweber.

W poufałym geście wyciągnęła do niego rękę. Dłoń jej znalazła się w pobliżu jego akt, a on ją pochwycił, nawet dość czule, ale zaraz odsunął. Widocznie chciał się nad czymś zastanowić i wołał, by mu w tym nic nie przeszkadzało.

— Ktoś tu widocznie próbuje mnie unieszkodliwić — odezwał się ponuro. — Przypuszczalnie staję się niewygodny.

— Jesteś zbyt dobry — zapewniła go cicho Leineweber.

— Możliwe — odparł. — Mam zasady wynikające z moich przekonań. A dotychczas zawsze, dobrze o tym wiesz, Hildę, i możesz to potwierdzić, wierzyłem w Krebsa, popierałem jego metody, zawsze na niego stawiałem.

— Ale on ci za to nie podziękował — stwierdziła, kontynuując tok jego myśli.

— Ach, moja kochana, kto tam czeka na jakąś wdzięczność w tym zawodzie! — Szczerze zmartwiony, potrząsnął swoją głową oddanego policjanta, — Oczekiwałem jednak czegoś innego: bezwzględnego przestrzegania naszej podstawowej zasady równości wszystkich wobec prawa! Ma się rozumieć, dotyczy to także takiego Ettenkoflera!

— Krebs idzie widocznie całkiem innym tropem — podała mu ostrożnie pod rozwagę.

— Jest to trop fałszywy, jak niestety należy przyjąć. — Michelsdorf podniósł teraz głos. Z leżącego przed sobą stosu akt wprawnym ruchem wyciągnął kilka arkuszy. — Oto zestawienie przypuszczalnych właścicieli chustki znalezionej na miejscu przestępstwa. A wśród nich nazwisko Ettenkoflera.

— Jak zareagował na to Krebs?

— W ogóle nie zareagował. Dotychczas nie udało mi się udostępnić mu tych dokumentów. Widocznie go nie interesują! Ale oczywiście muszę i będę się nimi posługiwał. Tak-

że bez niego, jeśli nie można inaczej, a nawet przeciwko niemu, jeśli się to okaże konieczne.

— W tym przypadku wpędził chyba sam siebie w ślepą uliczkę — potwierdziła życzliwie Hildę Leineweber. — Interesuje go tylko to, co mogło się przydarzyć małej Gudrun. Uważa, że cała reszta nic nie znaczy, nawet najbardziej niezbędne badania rutynowe.

— Jakie na przykład?

— Właśnie. Jest przecież jeden szczegół nie bez znaczenia. Gudrun Dambrowska nie jest wcale dzieckiem obecnego męża jej matki. Przyszła na świat jako dziecko nieślubne, o ile dobrze zrozumiałam rozmowę jej matki z Krebssem. Matka dała do zrozumienia, że mogą powstać kłopoty, gdyby zaczęto mówić o naturalnym ojcu Gudrun, osobistości wysoko postawionej, jak mówiła ta kobieta. To nie jest bez znaczenia! Ale dla Krebsa, jak się zdaje, jest to całkiem nieważne.

— O tym, *czy coś jest ważne, czy nie*, moja kochana, *wie się dopiero wtedy*, kiedy się zna sprawę z najdrobniejszymi szczegółami. — Ujął jej rękę, którą mu z ochotą podała, po czym spojrzał na nią z zastanowieniem. — Nie wolno nam przeoczyć niczego, absolutnie niczego. Sprawdźmy więc to. Natychmiast.

Müller zakończył przemówienie. Oklaski nie były zbyt burzliwe, brzmiały jednak szczerze. — Bardzo udane! — zapewnił Weinheber, który niedawno przybył wraz z żoną. Oboje przedstawiali obraz prawdziwej małżeńskiej harmonii. Również prezydent miasta wyraził swoje najwyższe zadowolenie. — Znakomicie! — zapewnił Müllera.

— Coś z nim jest nie w porządku — snuł pełne nadziei przypuszczenia Holzinger. — Przecież on plótł jakieś bzdury, całkiem od rzeczy.

Potem jednak skoncentrował się na przygotowaniach do własnej mowy. Przerzucał kartki maszynopisu Neumanna,

nie zapominając co pewien czas powieść życzliwym okiem po otoczeniu, a zwłaszcza popatrzeć na Undinę, a potem to w jedną, to w drugą kamerę.

W tym czasie kapela i chór znów popisywały się wykonaniem pogodnego preludium Haydna. Müller odszedł na bok w towarzystwie Weinhebera, ten zaś nie krył oburzenia: był pewien, że słyszy fragmenty symfonii *Polowanie*. I to akurat na imprezie poświęconej ochronie zwierząt!

Musiał to być jakiś makabryczny żart. Weinheber obiecał sobie, że zbada później tę sprawę. Na razie miał co innego na głowie: musiał jak najszybciej doprowadzić do spotkania Müllera z Ettenkoflerem.

Obaj panowie przywitali się serdecznie, chociaż, ze względu na zgromadzoną publiczność, dyskretnie. Nie musieli jednak rozmawiać szeptem, gdyż muzyka była dość hałaśliwa, przemówienia nadawano przez głośniki, a wielu obecnych rozmawiało bez skrępowania.

— Doskonałe przemówienie! Pełne treści! — zapewniał z zapałem Ettenkofler. — Rzadko słyszy się coś podobnego!

— Wykorzystałem wiadomości wyniesione ze szkoły — zażartował z pewnym wysiłkiem Müller, przyglądając się jednocześnie mężczyźnie stojącemu obok Ettenkoflera. Zdziałała jego znakomita pamięć wzrokowa. — Pan Zimmermann, komisarz w Prezydium Policji, prawda?

— Obecnie już radca — uzupełnił Ettenkofler. — Cieszę się, że panowie się już znają. — Następnie, kiedy podali sobie ręce, odciągnął ich obu nieco bardziej na bok. — Jak zawsze będę z panem szczerzy, panie Müller. Chciałbym pana poprosić o wyświadczenie mi pewnej przysługi.

Rozprawienie się z pewnym dziennikarzem. Część I.

Faza pierwsza. Rozmowa Ettenkoflera z Müllerem:
Ettenkofler: Znalazłem się w niezmiernie przykrej sytuacji — oczywiście bez żadnej winy. Otóż w ciągu ostatniej nocy przebywałem jakiś czas w Prezydium Policji, musia-

łem się tam znaleźć. Przy tej okazji wszedł mi w drogę pewien reporter.

Müller zrozumiał od razu. Nie wdając się w szczegóły, oświadczył: — Obaj jesteśmy całkowicie zgodni co do tego, że wolność prasy należy szanować bez żadnych zastrzeżeń.

Ettenkofler: Bezwzględnie! Ale nie taką wolność, na jaką sobie pozwalają niektórzy dziennikarze! W tym przypadku chodzi o niejakiego Herzoga, który jest poniekąd znany jako łowca skandali do swojej kroniki.

Müller zorientował się, dokąd zmierza Ettenkofler.

— Jestem zaprzyjaźniony z kierownikiem jego redakcji, nadzwyczaj przyzwoitym człowiekiem. Chętnie się z nim skontaktuję w pańskiej sprawie, oczywiście nie próbując wywierać żadnego nacisku. Ale parę odpowiednich wskazań powinno zrobić swoje.

Ettenkofler: — Wystarczy mi całkowicie, jeżeli pan je przekaze właściwemu kierownikowi redakcji. Adwokat, którego zaangażowałem, przedstawi panu odpowiednie materiały. Może się pan też przy tym, szanowny panie Müller, powołać na pana Zimmermanna z Prezydium.

Faza druga. Oświadczenie radcy Zimmermanna złożone Müllerowi w obecności Ettenkoflera:

Zimmermann: Dokąd byśmy zaszli, gdybyśmy chcieli nieustannie wdawać się w spory z prasą? Decydujemy się na to tylko w wyjątkowych sytuacjach, gdy jest to nieuniknione.

Jeśli chodzi natomiast o ten przypadek z ubiegłej nocy, to mogę tylko zapewnić, że w trakcie rutynowych badań zaproszono pana Ettenkoflera do Prezydium, gdzie, jak to się praktykuje, miał udzielić odpowiedzi na szereg pytań. Dokonał tego z wynikiem jednoznacznie negatywnym. To panom zapewne wystarczy.

Müllerowi wystarczyło.

Faza trzecia. Rozmowa Müllera z Burghausenem, kierownikiem redakcji „Munchner Allgemeine Zeitung”, prowadzona z budki telefonicznej w pobliżu Rindermarkt:

Na początek uprzejmy wstęp Müllera w rodzaju: że ma nadzieję, że pan Burghausen ma się dobrze; w każdym razie on, Müller, z przyjemnością wspomina ich ostatnie spotkanie — obiad w Winiarni Szwarzwaldzkiej i nader ciekawe rozmowy przy doskonałym frankońskim winie; ale ponadto słowa wdzięczności i uznania za ostatnio opublikowany w szanownej gazecie artykuł oceniający i doceniający jego, Müllera, działalność. Wreszcie na koniec:

— Jak doszły do mnie słuchy, raczej przypadkowo, szanowny panie Burghausen — ale to, bardzo proszę, w zaufaniu między nami — podobno pański współpracownik, niejaki Herzog, jeśli się nie mylę, nosi się z zamiarem wystąpienia przeciwko jednemu z najznakomitszych obywateli tego miasta, i to w sposób budzący poważne wątpliwości. Chodzi mianowicie o pana Ettenkoflera. Jestem pewien, że pan mnie należycie zrozumie. Zwłaszcza, że jak pan wie, Ettenkofler nie jest szczególnie bliski moim poglądom politycznym. Jednakże prawo musi być prawem. Więc powinno się zrobić w tej sprawie, co tylko możemy.

Burghausen, nagle całkiem poważnie: Ale tak całkiem otwarcie, mój drogi panie Müller, wyłącznie między nami, na co właściwie naprawdę pozwolił sobie Ettenkofler?

Müller: Na nic. W każdym razie tak wynika z relacji radcy Zimmermanna z Prezydium Policji. Jest on gotów udzielić wszelkich potrzebnych wyjaśnień. Oprócz tego złoży panu wizytę mecenas Messer, ażeby poinformować pana szczegółowo. Powinien go pan przyjąć.

Burghausen: Chętnie to uczynię! W każdym razie najuprzejmiej dziękuję panu!

*Faza czwarta. Rozmowa kierownika redakcji Burghause-
na z mecenasem Messerem:*

Messer: Zakładam, że pan Müller zapowiedział mnie i wyjaśnił panu charakter mojej misji. Pozwalam sobie sądzić, że zdążył pan też dowiedzieć się od pana Zimmermanna o szczegółach.

Burghausen: Tak jest.

Messer: I jakie wnioski pan z tego wyciąga?

Burghausen: Wypowiedziałem temu Herzogowi pracę ze skutkiem natychmiastowym.

Messer: Czy to nie było zbyt proste pociągnięcie? Może należało go najpierw pozbawić możliwości działania? Byłoby to bardziej skuteczne. Tymczasem ten cały Herzog uzyskał nagle swobodę ruchów i może przejść do innej gazety! W ten sposób wszystko zacznie się od początku.

Burghausen: Zrobiłem, co mogłem. Proszę uprzejmie powiadomić o tym pana Ettenkoflera, a także pana Müllera. Reszta należy do pana, panie Messer. Życzę panu powodzenia!

Ten mężczyzna powiedział więc do ciebie: „Dokąd idziesz?” — powtórzyła pani Brasch, siedząc obok Gudrun i obejmując ją ramieniem. — Czy też powiedział: „Co robisz?”

— Tak, właśnie coś podobnego — potwierdziła Gudrun, usilnie się starając nie sprawić zawodu swojej nowej opiekunce i przyjaciółce. — Był bardzo uprzejmy, bardzo grzeczny wobec mnie, jak rzadko kto.

Głos pani Brasch zabrzmiał teraz bardzo poważnie.

— A więc wcale się go nie bałaś, kiedy on tak stał przed tobą?

— Bałam się? Ale skąd! Wcale nie musiałam, bo ten pan od razu mi powiedział, żebym się nie bała. Potem zapytał mnie, jak się nazywam... gdzie są moi rodzice, co robią... i takie inne rzeczy.

— Czy on stał blisko, całkiem blisko przed tobą? A ty patrzyłaś na niego w górę?

— Tak, bardzo blisko. Ale ja tylko z początku patrzyłam na niego w górę. Bo potem nagle był taki wysoki jak ja. Mogłam patrzeć mu prosto w oczy. Pomyślałam sobie, że to są piękne oczy, takie jak czasem u mamy.

— Ukłąkł więc przed tobą — stwierdziła pani Brasch. — I nie robił nic więcej?

— Nic więcej, tylko mówił.

— Głośno?

— Nie, nie tak głośno jak tata.

— Koleżanka Brasch powinna szybciej przejść do konkretów! — odezwał się niecierpliwie Lobner w sąsiednim pokoju.

— Nie wolno jej niczego popsuć! — ostrzegł Krebs.

Keller wyjaśnił bliżej: — Najbardziej nam chodzi nie o fazę końcową, bo my ją znamy i można ją zrekonstruować. Ważna jest tylko faza wstępna, bezpośrednio przed czynem. Dopiero kiedy poznamy jej przebieg, będziemy mogli scharakteryzować i bliżej określić przestępce.

Policjant pełniący służbę w portierni ukazał się po raz drugi. Zbliżył się do Krebsa i zakomunikował mu szeptem:

— Ten Dambrowski nie daje się odprawić!

— Proszę go spławić — polecił niechętnie komisarz.

— On jest bardzo uparty — meldował policjant. — Chce koniecznie dostać się do swojej córki Gudrun i zabrać ją do domu.

— Mam się nim zająć? — zapytał Keller.

— Niech się lepiej nie zgrywa — oświadczył Krebs.

— Takim troskliwym tatusiem to on nie jest.

— Lepiej go nie lekceważyć — poradził Keller, zdziwiony reakcją kolegi Krebsa. — Byłoby bardziej wskazane go uspokoić.

— E tam! Będę się nim martwił później. Teraz najważniejsze jest przesłuchanie!

— Cóż on takiego powiedział, Gudrun? — dopytywała się dalej pani Brasch.

— No, rozmaite rzeczy. Na przykład, że jestem piękna. Powtarzał to ciągle. Zapamiętałam to sobie.

— Jak on to powiedział? Może mówił: „pięknie wyrosłaś na swój wiek”? Albo: „pięknie, że jesteś taka mądra”?

— Nie, nie — zaprzeczyła gorliwie dziewczynka. — On mówił do mnie tak: „Jesteś piękna!” A nawet: „O Boże, jaka ty jesteś piękna!” W każdym razie mówił: „o Boże!”

W sąsiednim pokoju Krebs z nieoczekiwaną gwałtownością, nie okazując przy tym najmniejszej nawet radości, lecz raczej głęboko poruszony, stwierdził: — A jednak! Jest tak, jak przypuszczałem. Wszelkie symptomy wskazują na to, że

mamy tu do czynienia z tak zwanym przestępcą estetycznym w akcji!

Oczekująca na poświęcenie Studnia Zwierząt między Rindermarkt a Jakobsplatz wciąż jeszcze była okryta szarobiałym płótnem. Całe miasto wiedziało jednak od dawna, co się pod nim kryje, wszystkie bowiem lokalne gazety już od kilku dni zamieszczały jej rysunki bądź zdjęcia. Miała ona kształt dużej czaszy z betonu imitującego marmur, spoczywającej na potężnym, okrągłym cokole. Wysokość jej wynosiła około 1, 2 metra, a średnica 3,3 metra. Ze środka czaszy łagodnie wytryskiwało źródło, a pod nią stał nadmiernie długi ziewający jamnik odlany w brązie. Toteż studnia ta już wkrótce zyskała sobie popularną nazwę „Sikający Pikus”.

Obecnie trzeba było jeszcze wysłuchać mowy zamykającej uroczystość. Miał ją wygłosić przez jednych uwielbiany, przez innych znienawidzony sam Holzinger. Wiedział on bardzo dobrze, jak oddziaływać na ludzi. Nikt nie umiał przemawiać do tłumu lepiej niż on. Stał potężny, mocny, a jego baryton piwosza bez trudu przygłuszał wszystkie głośniki.

Projekt Berta Neumanna potraktował swobodnie, odstępując znacznie od oryginalnego tekstu. Wołał więc Holzinger niefrasobliwie i wesoło: — Zwierzęta towarzyszą nam w wędrówce, to wiadomo. Ale ludzie mieli do mnie pretensję, że źle się odnoszę do kochanych zwierząt; bo jestem myśliwym!

Sformułowania te wstrząsnęły Bertem Neumannem. Szukając czyjejś pomocy schwycił za ramię swoją żonę, ale Undine odsunęła się od niego. Musiał i to znieść. Niemal błagalnie rozejrzał się wokół, ale nikt na niego nie zważał, bo ostatecznie nikt nie znał pięknej harmonii opracowanego przez niego tekstu mowy, którego początek brzmiał następująco:

„Nasz znakomity Ludwig Thoma, zarówno pochopnie, jak niezbyt zgodnie z prawdą, twierdził, że on sam, jakkolwiek

zapalony myśliwy, to jednak w podeszłym wieku musiał zrewidować swój stosunek do zwierząt, a potem uznał je za niezrównanych towarzyszy człowieka w jego podróży przez życie..."

Neumann musiał słuchać, jak Holzinger po raz któryś z rzędu całkiem samowolnie nadużywa jego tak starannie opracowanej koncepcji. Sprawiało mu to wprost fizyczny ból. — Jak mógł mi zrobić coś podobnego! — jęczał w duchu.

— To do niego podobne — wyraził swój pogląd Huber Trzeci, który, wiedząc, czego się można spodziewać, zatrzymał się w pobliżu Neumanna. Nie pierwszy raz bowiem temu wrażliwemu jajogłowemu zdarzało się tracić panowanie nad sobą po wysłuchaniu Holzingerowskiej wersji tak troskliwie przez niego przygotowanej mowy.

— Uspokój się, chłopie! Boss wie, czego chce.

Undine zaś, nie przestając się subtelnie uśmiechać, bardzo cicho i łagodnie powiedziała do niego: — Weź się w garść, proszę!

Pani Holzinger, otoczona wdzięcznym wianuszkami dzieci, szczerze się radowała, że jej mąż jest we wspaniałej formie, jak zwykle, kiedy znajdował się na mównicy. Znaczna część publiczności wpadła w wesoły nastrój.

Holzinger był pełen polotu. Odczytując w tekście Neumanna:nasz czcigodny Ludwig Thoma był w głębi subtelnej duszy skłonny raczej do pielęgnowania zwierzyny niż do polowania na nią, roztaczał opiekę nad bezradnymi stworzeniami...", natychmiast przetwarzał to na swoją modłę: — Oczywiście sam jestem rozsądnym myśliwym, a nie zapamiętałym mordercą! Jestem raczej opiekunem szlachetnej zwierzyny: zachowuję sporo rozważli. Ale nie waham się zastrzelić maciory, kiedy dziki mnożą się nadmiernie i rosną szkody! Wszystko to ma jednak swoje granice, istnieją też okresy ochronne, zasady selekcji i tak dalej. Jeśli chodzi o te sprawy, to przestrzegam ich starannie.

Bert Neumann, pobladły, oddalił się ze wstydem. Wycofał się chyłkiem przez zbity tłum na dalszy plan, gdzie nikt, jak sądził, nie zwróci na niego uwagi.

Tu, na samym obrzeżu, znalazł się w pobliżu Müllera, Weinhebera i Ettenkoflera. Jakkolwiek ci dwaj ledwie go zauważali, to jednak Müller nie miał zwyczaju mijać bez słowa kogoś, kto jego zdaniem choć trochę zasługiwał na uwagę.

Müller pozdrowił więc grzecznie Neumanna i podał mu rękę. — Gratuluję — powiedział, a zabrzmiało to całkiem szczerze. Wiedział przecież bardzo dokładnie, jaką funkcję w otoczeniu Holzingera spełnia ten drobny, błądy człowieczek. — Podziwu godne, jak umiał się pan wczuć w jego indywidualny sposób przemawiania.

— Proszę darować, ale to nie była moja mowa! — oświadczył pospiesznie Bert Neumann. Oddalił się wzburzony.

Müller popatrzył uważnie w ślad za nim. Weinheber, szczerze zdziwiony, pokręcił swoją głową artysty. Natomiast Ettenkofler, któremu się zdawało, że wie, o co chodzi, zauważył: — Ten człowiek będzie musiał znieść jeszcze mnóstwo rzeczy, służąc swemu Holzingerowi, bo wyraźnie nie jest typem, który może tam się dobrze czuć. A jednak jest on zapewne niezwykle uzdolniony.

W związku z tym już parę minut później Müller powiedział poufnym tonem do Weinhebera: — Proszę cię, postaraj mi się o adres tego Neumanna i o numer jego telefonu. Spróbuj też zasięgnąć o nim dodatkowych informacji. Ale tak, żeby niczego nie przeoczyć.

W tym samym czasie Holzinger zakończył swoje „ożywczę, gorąco oklaskiwane przemówienie”, jak później donosił jeden z monachijskich dzienników. Jeszcze raz posłużył się całą gamą soczystych popularnych sformułowań: — Nie chodzi nam przecież o dobrze wytresowane, wypieszczone pieski! A więc nie o te, które załatwiają się na środku ulicy i cieszą na widok każdego munduru, bo mają komu dobrać się do portek!

W tym miejscu zapanowała ogólna wesołość.

— Nasze drogie psy — tak kończył mowę Holzinger — są najlepszymi przyjaciółmi swoich właścicieli. Pilnują naszych domów, strzegą nas podczas snu, pomagają policji w utrzymaniu porządku, spokoju i bezpieczeństwa. A na zakończenie pozwolę sobie zacytować naszego drogiego premiera, który kiedyś, przy podobnej okazji, nadzwyczaj

tramie stwierdził, że kto wiernego zwierzęcia me szanuje, ten na szacunek ludzki nie zasługuje!

Po tych słowach nastąpiła doniosła chwila — prezydent miasta odsłonił studnię. Rozległy się oklaski i zabrzmiała muzyka!

Uroczystość zakończyła się zgodnie z planem o 12.30.

Akiedy ten mężczyzna ciebie zaatakował, Gudrun?

— wypytywała dziewczynkę pani Brasch. — Kiedy pochwyił cię rękami?

— Potem kiedy długo, długo mówił.

— Jak też długo on mówił? Mniej więcej tak długo, jak długo ty odbijasz piłkę o ścianę, zanim piłka upadnie? Mówiłaś mi, że możesz odbijać bardzo długo, nawet dwadzieścia razy.

— To trwało dłużej, o wiele dłużej — powiedziała dziewczynka po głębszym namyśle. — Mniej więcej trzy razy tak długo. Albo pięć razy. Tak, mniej więcej.

Zatem pani Brasch mogła sobie obliczyć — a mężczyźni w sąsiednim pokoju, Lobner, Krebs i Keller, także obliczali — że musiało to trwać ponad dwie, a nawet trzy minuty, jeśli wziąć pod uwagę praktyczne doświadczenia.

W przebiegu przestępstwa, świetnie prześlędzonym przez panią Brasch, niezwykle ważne było to, że przestępca nagle zaczął się jąkać. — Przestałam go rozumieć — powiedziała Gudrun. — Wciąż mówił, tylko nie wiem co!

— On znajdował się już w trakcie aktu seksualnego — stwierdził Lobner — zanim w ogóle zdążył dotknąć dziewczynki.

— Ale potem rzucił się na ciebie, Gudrun, chwycił ciebie i dotykał. — Pani Brasch mówiła to bardzo spokojnie, tak jakby wypytywała o zabawę lalkami, a jej opanowanie udzielało się dziewczynce. — Gdzie i jak cię dotykał? Głaszał cię po głowie? Pochwyił cię za ramiona? A może gdzie indziej? Powiedz mi! Wiesz przecież, że możesz mi powiedzieć wszystko!

Z notatek emerytowanego funkcjonariusza policji Kellera:

„Właściwie wszystkie zeznania świadków są niepewne. Ale nie zawsze dotyczy to zeznań dzieci. Z reguły są one zdolne do podawania obiektywnych danych.

Decydujące znaczenie ma w tym przypadku umiejętność zdobycia ich zaufania, a także umiejętność odróżniania tego, co dzieci chcą powiedzieć, od tego, co mogą powiedzieć. Dzieci uczuciowe, do jakich należy Gudrun, mądrze pokierowane, mogą być bardzo wiarogodne.

Ja zaś przyznaję, że nie wiem, czy w ciągu mojej długiej praktyki kryminalistycznej miałem okazję kogokolwiek podziwiać tak bardzo, jak podziwiałem w to niedzielne przedpołudnie mamę Brasch. A także Krebsa. Bo to on ją przygotował, a zrobił to sensownie i skutecznie: dobrze ocenił, co ona potrafi. W naszej profesji ważne jest zarówno rozpoznanie własnych możliwości, jak też zdolność oceny i pełnego wykorzystania możliwości innych.

Już po paru godzinach stwierdziłem ze zdumieniem, że nasz przyjaciel Zimmermann zdążył do tego momentu rozpoznać najważniejsze i najbardziej istotne uwarunkowania tego przypadku, co musiało nieuchronnie naprowadzić na trop przestępcy.

Na początku wyczuwał on jedynie, ale jeszcze nie wiedział, jak bardzo decydujące znaczenie ma to rozpoznanie. Zanim zdążył zdać sobie z tego sprawę, Krebs przeżył kryzys, najgłębszy w swojej karierze zawodowej. Tylko dlatego, że chciał pozostać wyłącznie pracownikiem policji kryminalnej."

A więc on, to znaczy ten mężczyzna, klęczał przed tobą, Gudrun. — Pani Brasch mówiła o tym wciąż tak samo, jak o rzeczy zrozumiałej samej przez się. — Ale potem nagle ciebie schwycił. Gdzie? Od razu całkiem nisko?

— Tak, przycisnął mnie do siebie! Całkiem nagle. — Gudrun stwierdziła to teraz ze zdumieniem. Pytania jej nie mę-

czyły, bo rozmawiała z kobietą, której od razu bez zastrzeżeń zaufała. Zdawało się, że mówienie o tym przynosi jej ulgę.

— Wyglądało to jak w zapasach. Całkiem nagle. O, tak mniej więcej, jakby się chciał ze mną mocować. Tak jak to czasem robią chłopcy.

— Gdzie cię przy tym pochwycił, Gudrun?

— Najpierw za ramiona, potem w dół po plecach, szybko coraz niżej. Aż do samego dołu. Zabolało mnie!

— Krzyczałaś?

— Nie wiem.

— Broniłaś się?

— Nie wiem, już nie mogę sobie przypomnieć. Tak myślałam. — Gudrun bardzo się starała odpowiedzieć na każde pytanie. — Myślę, że byłam ogłuszona, było mi niedobrze. Chciało mi się wymiotować. A potem wszystko było mokre.

Pani Brasch zamilkła, nie komentując tego ani słowem. Nie odzywała się przez dłuższy czas.

Trzej mężczyźni w przyległym pokoju — Krebs, Keller i Lobner — starali się nie patrzeć jeden na drugiego. Wydawało się, że na kilka sekund ktoś wyłączył równocześnie wszystkie mikrofony, że nie przesuwają się już taśma magnetofonu. Żaden z nich nie patrzył przez lustrzaną szybę.

Potem znów przemówiła pani Brasch, tym razem z pewnym napięciem, trochę za głośno: — Pomówmy teraz o tym, co się stało, moje dziecko. Zatem wszystko u dołu miałaś zmoczone.

— Tak. Ale nie przeze mnie!

— Wiem o tym, Gudrun. To zrobił ten człowiek. Zadarł ci sukienkę, ale ciebie nie rozebrał. Uszkodził ci majteczki. Ściągnął ci je?

— Tego nie wiem.

— Tak było, wiemy o tym. Ale potem miał już w ręce chusteczkę i ciebie wycierał. Znów u dołu? Tak? Już nie pamiętasz? Wcale nie musisz. Potem osunęłaś się i uderzyłaś głową o ścianę, i zrobiło się wokół ciebie ciemno, prawda?

— Tak, zupełnie czarno.

Poglądy mecenasa doktora Messera. — w konfrontacji z Kellerem:

— Któż w naszym zawodzie może twierdzić, że wie, czym w istocie jest prawo, a tym bardziej sprawiedliwość! Zawsze uda się znaleźć tak zwanego eksperta, który każdą możliwą teorię potrafi sprowadzić do absurdu. A z jej resztkami zdolni są rozprawić się biegli prawnicy.

— Do których pan się zalicza, wiem o tym — uzupełnił cierpliwie Keller.

Messer: — Niech mi pan pozwoli przesłuchać tę Gudrun systemem krzyżowych pytań, a ręcę panu, że będzie mówiła nie to, co, jak mu się wydaje, wykrył Krebs, ale coś całkiem przeciwnego.

— Jest pan tak bardzo pewny swego? — zapytał pobłaźliwie Keller. — Naprawdę sądzi pan, że może się komuś udać wybronić przestępcę, którego policja kryminalna przekonująco obciążyla na podstawie wszelkich możliwych dowodów?

— Sprawiłoby mi wielką *satysfakcją udowodnienie tego* właśnie panu, panie Keller. Bo samo pańskie istnienie jest dla mnie wielkim wyzwaniem!

— Nawet gdyby to miało kosztować życie ludzkie, panie Messer?

A więc było ciemno jak w nocy? — Policjantka życzliwie skinęła głową Gudrun, po czym szybko zerknęła do notatek opracowanych wcześniej wspólnie z Krebsem. — Musimy porozmawiać jeszcze o jednej rzeczy. Opowiadałaś mi, że on mówił bez przerwy, najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Ale co takiego powiedział on wtedy, kiedy to właśnie się stało. Wiesz, ta wilgoć u ciebie od dołu? O czym on wtedy mówił? Spróbuj sobie przypomnieć, proszę cię.

— Znów mówił coś takiego: „Jak pięknie!” — niepewnie przypominała sobie dziewczynka.

— Co miało być piękne? Jak piękne? Albo kto był piękny? I dlaczego?

— No, on powiedział: „Dlaczego jesteś taka piękna?”.
Mniej więcej tak.

— A może: „Jak można być tak piękną!”

— Tak, może tak.

— A może powiedział na przykład: „Nie wolno być tak piękną!”

— Tak, może. Bardzo możliwe. Ale już dokładnie nie wiem. Naprawdę nie wiem. Czy to niedobrze?

— Całkiem dobrze — zamknęła sprawę pani Brasch.

— A teraz już nie myśl o tym, staraj się o wszystkim zapomnieć. Niech ci się zdaje, że to był tylko sen.

W przyległym pokoju oświadczył na to przygnębiony Keller: — A ja ciągle jeszcze miałem nadzieję, że ty się mylisz, Krebs. Ale wydaje się, że istotnie jest tak, jak przypuszczałeś.

— Czy wciąż jeszcze chodzi o tego tak zwanego przestępcę estetycznego? — zapytał Lobner z lekką prowokacją.

— I to pomimo tak ubożego słownika przestępcy? Wciąż słyszałem tylko jeden powtarzający się wyraz: piękny, piękna, pięknie!

— Gudrun także to samo słyszała — powiedział Krebs, który musiał już przeprowadzić setki podobnych przesłuchań.

— Trzeba przy tym zdawać sobie sprawę z tego — wyjaśnił sprawę Keller — że dzieci w tym wieku dysponują ograniczonym zasobem wyrazów. Nigdy zatem nie odtwarzają niczego całkiem dokładnie. Ale ich zrozumienie właściwej treści bywa zdumiewające.

— Dzieci są źle traktowane przez prawodawców — podał pod rozwagę Lobner.

Krebs natychmiast przytaknął: — Nie tylko przez prawodawców. Nieraz są wydane na pastwę dorosłym, którzy się nad nimi znęcają, na przykład rzekomym rodzicom, takim jak ten ojciec.

— Powinien się teraz skoncentrować wyłącznie na zidentyfikowaniu przestępcy — stwierdził rozważnie Keller.

— Uważam, że teraz tylko to jest ważne.

— W tym przypadku chodzi przypuszczalnie o przestępcę wytwornie ubranego, być może z mercedesem sześćset,

domem letniskowym i basenem pływackim — zauważył z kolei Lobner, świadomie upraszczając sprawę. — Jest to zatem osoba prawdopodobnie dość wybitna, należąca do tak zwanego towarzystwa, a być może również do wyższych sfer politycznych.

— Myli pan rozpustę z przestępstwem — wyjaśnił mu lekko ubawiony Keller. — Na pierwszą z tych rzeczy można sobie pozwolić, na drugą jest się skazanym. Ci bowiem, którzy mogą za grube pieniądze realizować rozpustne zachcianki, nie muszą realizować ich przemocą, jak czynią to mniej zasobni chorzy. Za pieniądze można kupić wiele, ale nie wszystko.

Zniecierpliwiony Lobner chciał wreszcie się dowiedzieć, na czym rzecz polega: — Co nasi doświadczeni praktycy kryminalistyki mają rzeczywiście na myśli, mówiąc o przestępstwie ze znamionami estetycznymi?

— Jest to rodzaj niszczyielskiego procesu, który w decydującym stadium nieuchronnie prowadzi do samozagłady psychicznej — usiłował wyjaśnić Krebs.

— Proszę sobie wyobrazić — dodał Keller — kogoś o nieprzeciętnych walorach intelektualnych, których, być może, nie docenia otoczenie i traktuje go z całą bezwzględnością. Dochodzi w końcu w nim do wybuchu, który niszczy jego samego i przy okazji innych. W naszym przypadku dziecko.

Poświecenie Studni Zwierząt uznano powszechnie za piękną, łagodzącą spory uroczystość. Dwie antagonistyczne partie, występując ramię w ramię, przedstawiały miły sercu obraz. Drobnomieszczañstwo i patrycjat, zgromadzone tu w psim interesie, spotkały się we wspólnym przyjacielskim gronie. Zapanowała niczym nie zakłócona zgoda.

Jednakże już niedługo rozpadły się z powrotem zwarte kręgi. Potworzyły się grupy, przy czym dwie z nich, o wyraźnej orientacji politycznej, zdominowały resztę. Jedni, to jest konserwatyści, pociągnęli do „Dzwoneczka Norymber-

skiego", a drudzy, postępowcy, znaleźli się w „Radnej Piwnicy”.

Prasa codzienna angażowała się coraz mocniej. Organizacje zareagowały jeszcze ostrzej — przeciw albo za. Związki zawodowe się ożywiły, instytucje kościelne zgłaszały zastrzeżenia, aktywne politycznie grupy stawiały żądania przez jedną stronę uznawane za negatywne, a przez drugą za pozytywne.

Wszyscy oczekiwali poparcia radą i czynem, a więc przede wszystkim dotacjami pieniężnymi — podawanie do publicznej wiadomości przekonań przez naklejanie po całym mieście plakatów sporo przecież kosztuje. Oczekiwano przynajmniej nadających się do spożytkowania informacji, a zatem materiału, materiału i jeszcze raz materiału.

Starano się go dostarczyć.

Tymczasem udało się wyprosić z Instytutu Medycyny Sądowej posadzkarza Dambrowskiego, oficjalnego ojca małej Gudrun. Dokonano tego wprowadzie ostrożnie, ale jednak dość energicznie. Odpowiedzialny za to policjant uważał, że działa całkiem po myśli Krebsa.

— Proszę odejść!

— Nie zmusi mnie pan do tego! — krzyczał oburzony Dambrowski.

— Zmuszę — stwierdził niewzruszenie policjant. — Pan tu przeszkadza.

Dambrowski, wypchnięty już za drzwi, zaprotestował gwałtownie: — Nie pozwolę, by tak ze mną postępowano! Jeszcze zobaczycie!

— Nic nie zobaczą — odparł nieubłagane stróż porządku. — Ja tu spełniam tylko swój obowiązek. Nakazuję panu opuścić budynek urzędowy. Przy wejściu ma pan napis: „Nie upoważnionym wstęp zabroniony”! Dotyczy to także pana!

— Chcę się dostać do mojego dziecka, które tu zatrzymano wbrew prawu — argumentował gwałtownie Dambrowski. — Chcę przenieść moją Gudrun w bezpieczne miejsce, do domu. Jako ojciec mam do tego prawo! Chce mi pan zabronić? Mnie, ojcu? Chce pan? Może pan odpowiadać za to, że tu ojciec...

— Chcę tylko, żeby był tu spokój i porządek. Tylko za to jestem odpowiedzialny. A jeżeli pan mi to będzie utrudniał, to będę musiał pana aresztować!

Na takie oświadczenie Dambrowski wycofał się czym prędzej. Zdążył tylko zapewnić: — Nie pozwolę, ażeby mnie tak traktowano! Nie ze mną takie rzeczy!

Było to jeszcze jedno zajście, za które odpowiedzialnym miano potem uczynić jedynie Krebsa. On jednak skupił całą uwagę na swoim przestępcy — nie dostrzegając, co się dzieje wokół niego, i w ogóle nie zważał na nic innego. Na skutek tego miał wkrótce przeżyć najgroźniejsze zapewne chwile w swoim życiu.

Ośrodkiem zainteresowania w „Dzwoneczku Norymberskim” był Holzinger. Po lewej ręce Holzingera, na jego skinienie, Huber Trzeci ulokował Undinę Neumann. Zachowywała się wciąż tak samo, była raczej nieprzystępna i powściągliwa, ale uśmiechała się nieco wyraźniej.

Można to było zawdzięczać po części temu, że nie było tam Berta Neumanna. Nikt nie wiedział, gdzie się podział po zakończeniu uroczystości — nawet ten, kto bardzo chciał to wiedzieć.

Przy stole Holzingera zasiadł też dyrektor telewizji z żoną — szarą myszką. Jemu to, jak zorientował się Huber, zamierzał boss dobrać się dzisiaj do skóry czy, jak powiadano, „wziąć go na rogi”. Aby w ten sposób dać mu do zrozumienia, kto tu właściwie jest skazany na czyją łaskę. Na razie jednak boss pokrępał się piwem — pół litra — i pieczonymi kielbaskami frankfurckimi — trzy sztuki.

Uśmiechając się nieznacznie próbował się oganiać od miło brzmiących gratulacji z okazji wygłoszenia „mistrzowskiej”, zdaniem wielu, mowy na poświęceniu studni. Potem niezwłocznie zabrał się do „oczyszczania przedpola” — jak zwykł był określać ten manewr. Niemal każdy z zasiadających przy tym stole wiedział, co zacznie się zaraz dziać i co trzeba będzie w związku z tym wytrzymać.

— Ej, ty — rozmyślnie na cały głos zawołał Holzinger do dyrektora telewizji. — Podobno wczoraj wieczorem bardzo wygodnie rozsiadłeś się u tych oryginałów z partii naprawiaczy świata. Jak się właściwie czujesz wśród tych krzykaczy? Dobrze? A może się nawet skłaniasz w ich stronę?

Towarzystwo otaczające Holzingera zamilkło, wyraźnie oczekując, co będzie dalej. Niektóre panie okazywały wprost zachwyt — co prawda, powściągliwie — gdyż fascynował je zawiądycki styl Holzingera. Był on w ich oczach prawdziwym mężczyzną, chłopem na schwał — również jako polityk — podczas gdy inni byli raczej kupczykami.

Dyrektor telewizji próbował pojednawczo zażartować: — Och, wiesz, człowiek musi czasem krakać razem z wronami!

— Wcale nie musi! Wcale nam tego nie trzeba! — odparł ostro Holzinger. — I co tu mają do rzeczy wrony, a zwłaszcza krakanie? Przecież nie jesteśmy srokami. A może jesteśmy?

— Rozumiałem to raczej symbolicznie — zapewnił pospiesznie dyrektor telewizji.

— Symbolicznie — parsknął niechętnie Holzinger. — Nic, tylko wykręty! Pusta intelektualna gadanina! A nam chodzi o realne fakty. A przedstawiają się one tak: nędzna, ale na wszystko zdecydowana mniejszość wszelkimi siłami usiłuje się przepychać do przodu, jacyś komunistycznie nastawieni krzykacze! Ich to właśnie wy popieracie, jeśli nawet nie bezpośrednio, to bardzo skutecznie. Być może tylko po to, aby czymś wypełnić program. To nic innego jak zgniły liberalizm. Ulegacie pokusie uczipienia się ich ogona!

Dyrektor telewizji, nie bacząc na to, że żona chwyciła go ostrzegawczo za ramię, próbował nadal walczyć o zrozumienie:

— Czy nie należałoby starać się poznać przeciwnika, jego metody, zapatrywania i zamiary? Ażeby potem, że się tak wyrażę, będąc dobrze poinformowanym...

— Gównno warte takie gadanie — ryknął potężnie Holzinger. Wyrasz ten wszedł właśnie niedawno do języka potocznego. Już przed paru laty użyto go w Bundestagu, po czym zaczęto się nim nagminnie posługiwać w książkach, filmach i telewizji. Używanie obscenicznego języka uchodzić zaczęło za znamię nowoczesności.

— Pewna odmiana liberalnego gówna, jeśli tak chcesz. Ale dzięki temu łatwa do odróżnienia, przynajmniej dla tego, kto zajmuje się polityką. A może ci już nie odpowiada nasza konserwatywna, ale pomimo to przyszłościowa partia? Mocno mi na to wygląda!

Dyrektor telewizji umilkł, zrozumiał, że nikt od niego nie oczekuje odpowiedzi. Skulił się i upił nieco piwa. Żona szepnęła mu na ucho: — Tego było już stanowczo za wiele! Nie powinieneś tego puścić płazem!

Załatwiwszy tę sprawę Holzinger nachylił się poufale do Undine Neumann. — Przykro mi, że musiała pani być świadkiem czegoś podobnego. Ale taka to bywa polityka. Twarda robota, nie dla subtelných umysłów. Powiniennem był pani tego oszczędzić. Czy to było przykre?

— Co to znaczy przykre? — powiedziała Undine, uśmiechając się łagodnie gdzieś przed siebie. I nagle, jak gdyby w determinacji, spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. — Wydaje się, że sprawiło mi to nawet przyjemność. Chyba mnie pan nie docenia!

— Ależ to wspaniale! — zawołał ucieszony Holzinger, ujmując jej rękę. — Najwyraźniej ktoś się całkowicie na pani nie poznał. To pomyłka ze strony moich najbliższych współpracowników i musimy ją jak najszybciej sprostować. Tylko jak, pani zdaniem, dałoby się to najlepiej załatwić? Zastanowimy się nad tym wspólnie?

Na razie jednak czas nie był po temu odpowiedni. Ukazał się bowiem minister spraw wewnętrznych, człowiek zawsze życzliwy, przynajmniej dla Holzingera. Ukłonił się obecnym, udał, że cieszy się z obecności pań, że jest zachwycony dziećmi. Sprawiał wrażenie ogromnie jowialnego,

lecz jowialność ta znikła natychmiast, gdy poprosił Holzingera o rozmowę w cztery oczy.

Usunęli się obaj do kąta sali i tam minister spraw wewnętrznych zakomunikował zatroskany: — Wciąż się wzmacza aktywność tego Müllera. Wczoraj urabiał naszego dyrektora telewizji. Ale Langerer, którego ten przywiózł z Frankfurtu, wypada z gry: wylądował w którymś szpitalu. To jednak nie zniechęca Müllera. Obrął sobie teraz za sojusznika Ettenkoflera. Ten był przecież poniekąd naszym człowiekiem. Teraz siedzi z Müllerem w „Radnej Piwnicy”. Co ty na to?

Holzinger na razie się nie odezwał. Zastanawiał się. Ettenkofler, który robił wrażenie całkiem spokojnego pana, żyjącego z prywatnych dochodów, był w rzeczywistości jedną z najpotężniejszych osobistości życia gospodarczego Monachium — towarzystwa budowlane, banki, domy czynszowe, sieci sklepów detalicznych, przedsiębiorstwa transportowe. Zresztą, kto tam wie, co jeszcze! Zatem ktoś ustosunkowany, mający przyjaciół w interesach i duży kapitał!

— Zobaczmy, co się da zrobić — odezwał się wreszcie Holzinger, jak zwykle optymistycznym tonem.

Michelsdorf czekał, sam nie wiedząc właściwie na co. Nie pozostawał jednak bezczynny. Usiłował dojść do ładu z listą osób mających wiadome chustki do nosa. Prawdopodobnie ktoś z nich pozostawił swoją chustkę na miejscu przestępstwa.

Ciągnął się przed nim, jak sądził, cały łańcuch badań, zarówno żmudnych, jak i niepewnych, jeśli chodzi o wyniki. Opartych w dodatku niewątpliwie na niekompletnych danych. W każdym razie znajdowało się na tej liście nazwisko Ettenkoflera, które wywierało na Michelsdorfa wpływ niemal magiczny.

Policjanci, których zdążył już zatrudnić, zbierali wszelkie możliwe do uzyskania szczegóły dotyczące właścicieli owych chustek. Natomiast specjalnie utworzona grupa pod

przewodnictwem godnej zaufania Leineweber poszukiwała danych o naturalnym ojcu Gudrun Dambrowskiej. Także to działo się bez uzgodnienia z Krebssem.

Notatka w tej sprawie zamieszczona przezornie w aktach przez Michelsdorfa:

„Okazuje się pilnie potrzebne zebranie materiałów dotyczących tła sprawy. Nie jest możliwe omówienie tego z kierownikiem wydziału, gdyż uczestniczy on w pewnym przesłuchaniu w Instytucie Medycyny Sądowej i nie życzy sobie, by mu przeszkadzano. Omówienie to nie jest jednak konieczne, gdyż chodzi tu o badanie uzupełniające.”

Michelsdorf był przekonany, że ubezpieczył się należycie pod każdym względem. Usiłował również poinformować o swoich poczynaniach radcę Zimmermanna, ale — jak się dowiedział — uczestniczył on w jakimś poświęceniu studni. Zdziwiło to trochę Michelsdorfa, ale właściwie było mu na rękę.

Naraz do gabinetu szefa wpadła Hildę — jego Hildę — bez zapowiedzenia się, bez zapukania do drzwi. Wyglądała na niezwykle podnieconą. Nigdy dotąd jej takiej nie widział — nawet prywatnie. Od drzwi zawołała na niego:
— Nigdy byś nie uwierzył!

Michelsdorf na znak nagany pokręcił głową. Niemile go dotknęło jej podniecenie. Naśladując nieświadomie sposób mówienia Krebsa, odezwał się do niej:

— Powinnaś się już przyzwycząić do tego, że w naszej pracy nie zdarza się nic, co można by uznać za niewiarygodne.

— Ale ta sprawa to po prostu... Sama nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. To wprost niesłychane!

Michelsdorf spojrział na nią niemal surowo — ostatecznie siedział przy biurku kierownika wydziału obyczajowego i miał nadzieję, że wkrótce będzie tam siedział nie tylko w jego zastępstwie.

— Proszę uprzejmie do rzeczy!

A więc Hildę Leineweber przystąpiła do rzeczy, i to z powodzeniem:

— Wykryliśmy, kto jest nieślubnym ojcem tej Gudrun Dambrowskiej!

— No więc kto?

— Nigdy byś nie zgadł!

— Mów, na Boga! — krzyknął Michelsdorf, będąc już u kresu wytrzymałości. — Tu nie rozwiązuje się zagadek, tylko prowadzi dochodzenie.

Zauważył jej niezmiernie zdumienie i szybko dodał pojednawczym tonem: — Wybacz mi, kochana, ale cały ten przypadek i jego następstwa zaczynają mi działać na nerwy. Zatem kto?

— Ettenkofler — oznajmiła, rozkoszując się z kolei jego zdumieniem. — To on spłodził tę Gudrun!

— *Jeżeli sprawy tak się mają, to należy to przebadać jeszcze raz.*

— Już to zrobiono. Z wynikiem jednoznacznie pozytywnym. No i co teraz powiesz?

Michelsdorf nie powiedział na razie nic. Bez słowa, lecz z wdzięcznością ujął ją za rękę. — Trzeba to najpierw gruntownie przemyśleć, a dopiero potem skutecznie wykorzystać. Ale nawet już teraz łatwo się zorientować, że następstwa mogą się okazać całkiem nieoczekiwane.

Grupa z partii postępowej ulokowała się w „Radnej Piwnicy”, w bocznym gabinecie wyłożonym boazerią. Panował tam lekko przygaszony nastrój.

Było tak, gdyż Müller, zazwyczaj wiodący prym w rozmowach, po prostu zachowywał milczenie. Ettenkofler zaś, uhonorowany miejscem po jego prawej stronie, spoglądał na niego z lekkim niepokojem. Spożywali potrawy bez szczególnego apetytu.

Rozmowny był za to doktor Weinheber, siedzący obok żony prezydenta miasta. Swoją żonę natomiast posadził

obok podskarbiego miejskiego, wpływowego zarządcy wielomilionowych sum płynących z podatków. Weinheber znów zajmował się sprawami kultury i sztuki — tym razem z pozycji krytyka.

— To poświęcenie studni — mówił pouczającym tonem — dało okazję do wygłoszenia szeregu komunałów, czego nie można powiedzieć o bardzo udanej mowie naszego partyjnego przyjaciela Müllera. Odczułem wszakże pewien niedosyt. Brakowało mi tej żywiołowej wesołości, z jakiej słynie nasze miasto. Podsumowując twierdzę, że ta świąteczna chwila nie była po prostu dość monachijska!

— Była to przecież impreza wspólna, urządzona przez zarząd miasta i partię naszego kraju — próbował wyjaśnić sprawę prezydent miasta. — One to właśnie zleciły zaprojektowanie i budowę studni, a także dostarczyły na ten cel środków ze swoich specjalnych funduszy. My zaś udostępniliśmy jedynie plac i objęliśmy nadzór nad całością.

— Główny ciężar ponieśliśmy więc my!

— Ale mamy za to, drogi panie Weinheber, jeszcze jedną piękną studnię w naszym mieście.

— O to można by się jeszcze spierać!

Tu Weinheber wykazał swego buntowniczego ducha, występując krytycznie wobec kształtu, jaki nadano tej studni, i dyskredytując go jako „zbyt konwencjonalny”; wobec komitetu organizacyjnego, określając go jako „absolutnie pozbawiony pomysłowości”; wobec mowy tego Holzingerera, która była „wprost wyzywająca”. Jego oburzenie nie miało granic. Żona spoglądała na niego z uznaniem.

— Następnie zaś, szanowni przyjaciele, ten dobór utworów muzycznych, a wśród nich akurat pierwsza część Haydnowskiej symfonii *Polowanie*. Nie mam nic przeciwko Haydnowi, ale bardzo wiele przeciwko motywowi muzycznemu nagonki właśnie z okazji poświęcenia tej studni! Jak by ktoś nosił się z zamiarem wystrzelania naszych pieków!

Obecni na spotkaniu pozwalali mu mówić. Dzięki temu mogli bez przeszkód zająć kielbasę białą i zwyczajną, pogryzać pieczone kielbaski cielece i popijać piwo — tym

razem z browaru, którego akcje w pięćdziesięciu jeden procentach należały do Ettenkoflera. Za wszystko płaciła partia, księgując to jako wydatki reprezentacyjne.

Müller dyskretnie wyszedł; udał się do hallu, gdzie przy garderobie znajdowały się budki telefoniczne. Zadzwoił do domu. Zgłosiła się córka, szesnastoletnia Eva. Miała trzeźwy umysł, podobnie jak on, reagowała tak samo jak on logicznie, a nawet z taką Samą jak on szybkością.

Müller powiedział: — Co słyszać? Na pewno wszystko w porządku. Gdyby było inaczej, to już bym wiedział. Mogę mówić z mamą?

— Nie — odpowiedziała po prostu Eva.

— Zapytaj ją przynajmniej...

— Nie ma po co. Mama powiedziała, że kiedy zadzwonisz, mam ci powiedzieć, że jej nie ma w domu. Ale tak jest naprawdę. Jest na spacerze, oczywiście sama, w Ogrodzie Angielskim. Nie wiem, kiedy wróci. Nie wiem także, czy będzie dzwoniła. Coś jeszcze?

— W razie gdyby mama dzwoniła lub wróciła do domu, zawiadam ją, że ja na nią czekam! Bo jej obecność na wystawie lalek, a najpóźniej dziś wieczorem na zakończeniu Festynu Październikowego...

— Zawiadomię! Ale nie obiecuj sobie po tym zbyt wiele. Lepiej przyjdź do domu na popołudniową kawę lub przynajmniej na kolację...

— Nie mogę, Eva! Muszę wywiązać się z moich powinności! Czy nikt już mnie nie rozumie?

Po tej rozmowie telefonicznej i po powrocie do partyjnych przyjaciół Müllerowi tylko z największym trudem udało się stwarzać pozory jako tako pogodnego nastroju. Siedzący obok Ettenkofler zapytał półgłosem: — Nieprzyjemne wiadomości?

— Nieprzyjemnych wiadomości nigdy nie brak — odpowiedział szczerze. — Ale nie wolno się poddawać.

— Komu pan to mówi?

Müller natychmiast przeszedł do spraw polityki: — Zape-
wne pan wie, że od pewnego czasu ze wszystkich stron
wzrasta zainteresowanie środkami masowego przekazu. Jak

się wydaje, na pierwszy plan wysuwają się względy polityczne, ale nieporównanie bardziej ważkie są układy gospodarcze, finansowe, które w miarę możliwości nie powinny się znaleźć w sferze wpływów jednej tylko partii. Kiedy ta cała wrzawa ucichnie, dojdzie zapewne do ogólnej zgody na zaangażowanie jakiejś neutralnej, cieszącej się powszechnym szacunkiem osobistości. Mam tu właśnie pana na myśli.

— Wielki to zaszczyt dla mnie — wyznał Ettenkofler, nader przyjemnie zaskoczony. Było to intratne stanowisko. Zapewnił, że gdyby istotnie wysunięto taką propozycję, nie mógłby jej odrzucić. — Jestem obywatelem świadomym swojej odpowiedzialności.

Müller nie był zachwycony takim rozwojem sytuacji. Skoro Lauferer z Frankfurtu wypadł z gry, musiał szybko podjąć kroki, by się ubezpieczyć. Inaczej musiałby ustąpić pola Holzingerowi. Trwał w ponurym nastroju.

Ale nagle pojawił się promyk nadziei. Ukazał się bowiem dyrektor telewizji w towarzystwie żony. Skierował się w stronę Müllera, pochwycił go za ręce, potrząsnął nimi i wykrzyknął:

— Nadszedł już właściwy czas. Jestem gotów!

— Serdecznie witam! — zapewnił uradowany Müller.

Starszy inspektor Michelsdorf, po uprzednim uzgodnieniu telefonicznym, spotkał się z inspektorem Weichmadlerem, który pracował w głównym archiwum. Dawniej działał on w obyczajówce w walce z sutenerstwem, a jeszcze wcześniej w wydziale dochodzeniowym, w sekcji obserwacji.

Spotkanie odbyło się w trzecim korytarzu, po stronie okien wychodzących na kościół Najświętszej Marii Panny. Pomiędzy kościołem a gmachem Prezydium znajdowała się dziwaczna fontanna tryskająca wodą z setki dysz, zbudowana z okazji Igrzysk Olimpijskich. Nikt nie zwracał na nią uwagi, a już na pewno nie ci dwaj policjanci. Piękne budo-

wie w tym mieście były jak tajemnice — tylko miłośnicy umieli je odkrywać.

— Poprosiłem cię, Weichmadler, że tak powiem, o pomoc służbową — rozpoczął Michelsdorf tonem ni to prośby, ni to żądania. — Lub jeśli wolisz, o koleżeńską przysługę. Udało ci się coś znaleźć czy nie?

— Oczywiście mam! — zapewnił Weichmadler. — Dotychczas nie wymknął mi się nikt z tych, którymi się zajmowałem. Ale w tym przypadku napuściłeś mnie na kobietę, i w dodatku na żonę komisarza Krebsa!

— No i co z tego? Przeszkadza ci to? — Michelsdorf spojrział na niego ze zdziwieniem. — Przecież to jemu zawdzięczasz, że trafiłeś tu, na sam dół, do archiwum. Ale jeśli ja będę miał coś do powiedzenia tam na górze, to znajdę miejsce także dla ciebie, na przykład stanowisko kierownika sekcji. Ale aby tak się mogło stać, najpierw Krebs musi odejść. Mam nadzieję, że dzięki twojej pomocy tak właśnie się stanie.

Weichmadler wahał się jeszcze przez chwilę. — Naprawdę myślisz, że poradzisz sobie nawet z Krebssem?

— Jestem pewien! Tak się musi stać, i to w interesie naszego wydziału, całej policji kryminalnej, dla jej uczciwości, porządku, sprawności. Zajmę się tym i nic mnie nie powstrzyma! A więc co wykryłeś?

— Taką mianowicie rzecz, że pani Helen Krebs ma zwyczaj dość regularnie wychodzić ze swojego domu przy Ungererstrasse. Prawie zawsze to się zdarza we wtorek i czwartek po południu, między czternastą a szesnastą. Jej córka Sabine znajduje się w tym czasie w szkole, a syna Konstantina zostawia u sąsiadki.

— A ona sama?

— Odwiedza na przemian, dość regularnie, jak powiedziałem, dwa domy, jeden przy Gabelsbergerstrasse i drugi przy Bayerstrasse. Pozostaje tam do dwóch godzin.

— To w zupełności wystarczy — ucieszył się Michelsdorf. — Bardzo bym cię prosił, byś to opracował na piśmie, z podaniem miejsca i czasu, podając daty i godziny. Może być to nieco kłopotliwe, ale trzeba to zrobić, jeśli mamy do czegoś dojść. A zależy nam na tym, prawda?

Jest tu ten Battenberg — zakomunikował po cichu swemu szefowi Huber Trzeci. — Jak pan przewidział, jest kompletnie gotów do kapitulacji. Powiedziałem mu, żeby czekał przy barze.

— Jest sam? — zapytał przezornie Holzinger.

— Brigitte Scheurer została w jego wozie, stoi zaparkowany przed kościołem Najświętszej Marii Panny. Należy więc przypuszczać, że ona także jest gotowa się zaangażować.

Holzinger zadziałał bezzwłocznie. Zwrócił się szarmancko do Undine Neumann: — Niech mi pani wybaczy, wzywają mnie ważne sprawy. Niedługo wrócę.

W towarzystwie Hubera podszedł do Battenberga, klepnął go poufale po ramieniu i zamówił dla niego podwójną gorzką i do tego kwartę piwa — w kamiennym kuflu! — Niech się pan najpierw wzmocni!

Battenberg spełnił to życzenie, a Holzinger natychmiast przystąpił do rzeczy:

— A więc, mój drogi, prezes rady ministrów podziela mój pogląd, że nie można już dłużej tolerować w radiu i telewizji tej jednostronnie lewicowej manipulacji opinią publiczną.

Huber, jakkolwiek doskonale wiedział, że nie było takiej rozmowy między jego bossem a szefem rządu, potwierdził to skwapliwie. Rozmowa taka nie była zresztą potrzebna, mogłaby natomiast wywołać komplikacje, gdyby dowiedział się o niej przebywający w Bonn szef partii.

Wcale nie przeszkodziło to jednak Huberowi zapewnić Battenberga:

— Przygotowujemy właśnie gruntowną dokumentację. Planuje się również przeprowadzenie debaty na ten temat w Landtagu, a wstępny materiał dla zaufanych publicystów ukaże się już w najbliższym czasie. Pracuje nad tym nasz Neumann. Będzie to więc potężna akcja. Ale pan, panie Battenberg, chce pozostać na uboczu?

— Ależ już przecie oświadczyłem...

— Oświadczenia na nic się nie przydadzą. Potrzebujemy materiału. Poważnych informacji, i to jak najszybciej. — Huber zauważył, że Holzinger z aprobatą skinął głową. Zatem

dobrze odegrał swoją rolę.— Kiedy może nam pan je dostarczyć?

— Co mianowicie?

— Proszę zapytać swego redaktora naczelnego. Gdy on zostanie dyrektorem telewizji, pozostanie po nim wolne miejsce. Dla pana.

Battenberg aż zamrugął z pożądliwości.

Teraz włączył się z kolei Holzinger: — Musi pan wiedzieć, że lubię mieć wokół siebie godnych zaufania przyjaciół. Pańską rzeczą jest wykazać, że pan na takie zaufanie zasługuje. Do tego należy jednak dodać również czynnik czysto ludzki.

— Jak mam to rozumieć w praktyce?

— Powiedział pan: w praktyce. To bardzo dobrze. Ale ja mówię: czynnik czysto ludzki. To jeszcze lepiej. Żyć same-mu i pozwolić żyć innym! Pojmuje pan, co próbuję panu dać do zrozumienia?

— Jeszcze niezupełnie.

— Müller, jego mam na myśli. — Holzinger oświadczył to z naciskiem. — Szanuję go jako polityka i osobiście jestem mu szczerze oddany. Ale w naszym przyjemnym tolerancyjnym bawarskim świecie reprezentuje on niestety typ chłodnego, a może nawet zimnego myślenia. A to utrudnia naszą współpracę. Wciąż nie rozumie pan, do czego zmierzam, Battenberg?

— Powoli zacznę pojmować...

— Człowiek ten uznaje więc tylko czysty rozsądek, metodyczne myślenie. Poza tym jest utalentowanym organizatorem. Ale ludzkich odruchów trudno się u niego dopatrzeć! Żadnych uczuć, żadnych słabości. A jeżeli nawet są, to głęboko ukryte. Na przykład wobec kobiet.

— O jakich kobietach pan myśli?

— O prawdziwych, pięknych kobietach, Battenberg, jak na przykład ta Brigitte Scheurer, by tylko wymienić którąś z nazwiska.

W tym miejscu Huber uzupełnił: — Ona się nim interesuje, a on nią. Nie rzuciło się to panu jeszcze w oczy?

— A więc czynnik ludzki — stwierdził Holzinger tonem, jakim udziela się błogosławieństwa.

Battenberg nareszcie zrozumiał, czego tu od niego się oczekuje. Pokiwał głową. Pozycja redaktora naczelnego nęciła go i była, jego zdaniem, w sam raz dla niego.

— Niech się więc pan zajmie naszym droгим Müllerem — poradził mu Holzinger — wspólnie z piękną panną Scheurer. Proszę załatwić to jak najszybciej i zdać mi z tego sprawę.

Battenberg natychmiast się oddalił, nie zapominając wszakże ponownie zadeklarować swojej gotowości do współpracy.

— To byłoby załatwione — stwierdził z zadowoleniem Huber — a co dalej?

— Potrzebny mi jest Neumann — zdecydował Holzinger.

— Włóczy się, nie wiadomo gdzie!

— Musisz go wytropić, Huber! Niech natychmiast pójdzie do naszej centrali partyjnej i tam zabierze się do sporządzenia pilnie nam potrzebnej dokumentacji określonych destruktywnych działań w obecnie istniejącej telewizji. Muszę mieć tę dokumentację jeszcze dzisiaj. Niech Neumann zajmie się tylko tym i niech będzie gotów w ciągu paru godzin.

— A co zrobimy z jego żoną, z tą Undine?

— Przez ten czas ja się nią zajmę — rozstrzygnął problem Holzinger.

Huber Trzeci spojrzął ulegle na swego szefa. Przymknął przy tym oczy, jakby musiał spojrzeć prosto w słońce. Na to też chciał się odważyć. Dla Undine.

Dyrektor Hadrich zażądał, by mu przedstawiono bieżące dokumenty wydziału obyczajowego. Przedstawiono mu je natychmiast. Przyniósł je starszy inspektor Michelsdorf. Okazało się, że jest on w pełni gotów do udzielenia wszelkich informacji. Nie powstrzymało to jednak Hadricha od gruntownego zajęcia się przyniesionymi materiałami. Potem, wyraźnie zaniepokojony, zadał kilka pytań dotyczących akt w sprawie Gudrun

Dambrowskiej i aresztowania Etfenkoflera. Uzyskał na nie rzeczowe odpowiedzi, ale właśnie — od Michelsdorfa.

Powiedział on: — Wszystko to jest bardzo problematyczne, jeśli życzy pan sobie usłyszeć, co o tym myślę. Jest to przykład całkowitej samowoli, pozostającej w jaskrawej sprzeczności z wszelkimi zasadami postępowania służbowego. Stwierdzili to także inni funkcjonariusze. Pewien niepokój ...

Dyrektor nie dał po sobie poznać, co o tym myśli. Skinął tylko z głębokim namysłem głową. W tej chwili poważnie zastanawiał się nad odwołaniem ze stanowiska kierownika wydziału przestępstw obyczajowych komisarza Krebsa, co w praktyce by oznaczało zwolnienie go ze służby.

7

Było niedzielne popołudnie. Ostatni etap tegorocznego Festynu Październikowego znajdował się „w pełnym toku”. Wszystko przebiegało „świetnie”, niejako „z błogosławieństwem niebios”. Lepszej pogody, sprzyjającej jedzeniu i piciu, nie mogli sobie wymarzyć nawet sami gospodarze imprezy.

Nieuniknione okazało się też ustanowienie nowych rekordów dla tej zabawy ludowej. Na przykład spożycie pieczonych kurczaków było o dziesięć procent wyższe niż w poprzednim roku, a więc miało osiągnąć liczbę pół miliona. Wzrosła również konsumpcja piwa, chociaż zaledwie o pięć procent, w związku z czym nalano ponad cztery miliony kufli, a więc litrów. Samą liczbę skradzionych kufli oceniono na dwieście tysięcy — był to bądź co bądź także nowy rekord.

Liczbę tegorocznych uczestników oszacowano na pięć do sześciu milionów. Zatem co najmniej dwukrotnie więcej niż na ogólnoswiatowych, nieszczęśliwie zakłóconych Igrzyskach Olimpijskich. Ewentualne jeszcze żywe wspomnienia o tym wydarzeniu zostały dokładnie splukane potokami piwa. Impreza ta, nazwana przez jedną z miejscowych gazet „olimpiadą kuflową”, stała się wspaniałym sukcesem.

Również specjalnie na czas Festynu utworzona jednostka policji, po trzystu pięćdziesięciu interwencjach, mogła już dokonać całkiem pomyślnego podsumowania — zakładając, że w ciągu ostatnich godzin nie stanie się już nic nadzwyczajnego. Konkretnie zaś, nie było dotychczas ani jednego wypadku śmiertelnego, tylko około czterech tysięcy obrażeń, w tej liczbie tysiąc ciężkich. Następnie — niecałe

dwadzieścia zatrzymań z powodu kradzieży, w tej liczbie dwunastu kieszonkowców — wyłącznie obcokrajowców. Dalej około trzystu zagubionych dzieci i podobne drobne incydenty.

Komentarz policji: „Wszystko przebiegało znacznie spokojniej niż w ubiegłym roku.”

W Prezydium Policji starszy inspektor Michelsdorf po rozmowie z dyrektorem Hadrichem poczuł się jeszcze bardziej, a może dopiero teraz naprawdę całkowicie odpowiedzialny za wydział obyczajowy. Kierownik Krebs zatelefował z Instytutu Medycyny Sądowej z zapytaniem, czy wydarzyło się coś ważnego. Zaznaczył przy tym: — Proszę o możliwie obszerny meldunek.

Informacja Michelsdorfa: — Nic szczególnego, panie komisarzy. Zwyczajne sprawy: w Ogrodzie Angielskim ujęto fetyszystę z klubu „Lederheil”; kazał oddawać mocz sobie na twarz. Doniesienie na salon masażu przy Dachauerstrasse, że uprawia się tam sadystyczne zбочzenia; dwaj policjanci w drodze. Oprócz tego zwykle kradzieże przy okazji spółkowania, tym razem trzy. Jedno spędzenie płodu ze śmiertelnym wynikiem. Pobicie prostytutki przez sutenera, z użyciem żyłki. Następnie ekshibicjonista, znów w okolicy Rotkreuzplatz. Zgodnie z rutyną, przekazano te sprawy naszym specjalistom.

Pytanie Krebsa: — A czym pan się zajmuje?

Odpowiedź Michelsdorfa: — Nadzorem badań znajdujących się w toku oraz zbieraniem szczegółowych danych do pańskiego przypadku specjalnego, panie komisarzy.

Decyzja Krebsa: — Tego rodzaju szczegóły proszę tylko zbierać. Opracowaniem ich i wykorzystaniem zajmę się ja sam. Jeszcze około godziny można się ze mną skomunikować w Instytucie Medycyny Sądowej przy Pettenkofenstrasse. Opracowujemy tu przesłuchanie małej Gudrun Dambrowskiej.

Tak więc starszy inspektor Michelsdorf w ciągu co najmniej sześćdziesięciu najbliższych minut miał właściwie wolną rękę. Wciąż jednak jeszcze nie wiedział, w jaki sposób mógłby najskuteczniej spożytkować swój szczególny materiał, toteż intensywnie nad tym rozmyślał. Czuł, że nad-

chodzi jego godzina, lecz dotąd nie wiedział, jak będzie ona wyglądać.

Siedząca przy nim Hildę Leineweber nie potrafiła go odebrać od tych myśli. Zresztą nawet nie próbowała. Była dla niego kochanym, godnym zaufania dziewczęciem! Gorliwie demonstrowała swoją gotowość do współdziałania — w każdym zakresie!

Michelsdorf był zatem pogrążony w rozmyślaniach, a Hildę siedziała cicho, kiedy nagle ukazał się gość. Przez nikogo nie zapowiedziany, otworzył drzwi bez pukania. Podszedł do starszego inspektora i stanął przed nim, mierząc go wzrokiem. Był to dziennikarz Herzog.

— No to nawarzył mi pan piwa! — wykrzyknął. — Jak nic, pozbawił mnie pan roboty!

Michelsdorf zareagował na tę gwałtowną napaść całkiem spokojnie. Z wyrazem lekkiej dezaprobaty popatrzył na dziennikarza, a następnie przelotnie w stronę Hildę. Na to ona natychmiast wyszła z pokoju. Byli teraz sam na sam ze sobą.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Michelsdorf w tonie ostrej nagany, wskazując przy tym krzesło po przeciwnej stronie biurka. — Czy to ma być podziękowanie za moje informacje?

— Dzięki tym informacjom znalazłem się na bruku — wyznał Herzog, siadając na wskazanym sobie krześle. — Tego, co mi pan podszeptał, było po prostu za mało. Za mało dla mnie, ale wystarczyło memu chlebobdawcy, by mnie natychmiast wyrzucić!

— Dlatego, że był pan dobrze poinformowany?

— Aż zbyt dobrze w tym przypadku — stwierdził z ciężkim westchnieniem Herzog. — A jednak nie całkiem dokładnie.

— To jest najczęściej kwestią czasu — oświadczył poważnie Michelsdorf, wchodząc już całkiem w rolę kierownika wydziału. — Każdego dnia, niemal z godziny na godzinę dowiadujemy się czegoś nowego, jeśli postępujemy metodycznie.

— Czegóż to nowego się pan ostatnio dowiedział? — chciwie dopytywał się Herzog.

— Dość ważnych rzeczy.

Dziennikarz nachylił się do starszego inspektora. — Sprawa ma się tak, że udzielił mi pan pewnych informacji...

— Poufnie, panie Herzog. W żadnym razie oficjalnie. Chociaż na ogół były to informacje prawdziwe.

— Ale uczynił to pan, panie Michelsdorf, nie dla moich pięknych oczu, jak to się mówi, tylko po to, aby osiągnąć całkiem konkretny efekt. Takie rzeczy należą do mojego zawodu. Tyle tylko, że tym razem był to istny bumerang, dostałem natychmiastowe wypowiedzenie! Należy przypuszczać, że po pewnych zabiegach, na przykład Ettenkoflera, Messera i kto tam wie czyich jeszcze! Prawdziwe gniazdo os! Ale to pan mnie w to wpuścił. Podjąłem tę sprawę, i jakie mnie spotyka za to podziękowanie!

— Przecież w Monachium jest nie tylko ta jedna gazeta, prawda?

Herzog pokiwał głową. — A konkurencja mego dotychczasowego międzynarodowego brukowca przyjmie mnie zapewne z otwartymi rękami, ale chyba tylko wtedy, jeżeli będę mógł im pokazać coś o wiele lepszego, niż mogłem zaofiarować dotychczas. Myśli pan, że dałoby się to załatwić? Ja poczułbym wtedy grunt pod nogami, a pan uzyskałby efekt, na którym panu, zdaje się, bardzo zależy. A więc?

— Panie Herzog, ma się rozumieć, że nie jesteśmy jakimś tam okienkiem informacyjnym. — Starszy inspektor wstał, nie patrząc w ogóle na dziennikarza. — Nawet gdyby pan próbował wypytywać mnie o całkiem konkretne szczegóły, na przykład o te, które są zawarte w tej oto teczce, niestety nie mógłbym odpowiedzieć na żadne pańskie pytanie, ze względów służbowych.

Następnie Michelsdorf, nachylając się znacząco, dotknął tej teczki koniuszkami palców obu rąk. — Oto tu, panie Herzog, leży nader poufny materiał służbowy, nie wolno go zatem udostępniać nikomu postronnemu. Rozumie pan?

Herzog był szczerze zdumiony. — Rozumiem.

— Nie wolno mi udzielić panu jakichkolwiek informacji w tej sprawie, toteż ich panu nie udzieliłem. Jesteśmy co do tego całkowicie zgodni?

— Całkowicie!

— Zatem wszystko jasne! — Michelsdorf oddalił się od biurka, pozostawiając na nim teczkę z dokumentami, i zbliżył się do drzwi prowadzących do przedpokoju. — Bardzo proszę, niech mi pan wybaczy. Muszę wyjść na parę minut, powiedzmy, na pięć. Muszę wyszukać jeszcze w przyległym pokoju parę papierków.

Po czym Michelsdorf skinął dziennikarzowi głową i wyszedł. Herzog wpatrywał się ze zdumieniem w leżące przed nim akta. Złożył ręce jak do dziękczynnej modlitwy, lecz nagle zatarł je, radośnie zaaferowany.

Serdecznie się cieszę z dzisiejszego dnia! — wykrzyknął Holzinger. Oświadczył to głośno i szczerze wobec swojej rodziny. — Chciałbym się nacieszyć tym dniem do woli, ale nawet dzisiaj muszę chodzić w kieracie polityki jak wół roboczy.

Jego żona wiedziała, co to ma znaczyć. Jej Max był wprawdzie mocnym mężczyzną, prawdziwym człowiekiem czynu, ale ostatnio jego rezerwy zaczynały się wyczerpywać. Starzał się i zanosilo się na to, że już niedługo, podobnie jak premier, zostanie domatorem i zajmie się bardziej niż dotychczas rodziną.

— Muszę zaraz przestudiować parę dokumentów, a potem poustawiać jak należy szyki — zażartował. — Ale dopiero pod wieczór wszystko ruszy, jak należy!

Chciał zatem, jak instynktownie odgadła jego żona, uciąć sobie dłuższą drzemkę poobiednią, prawdopodobnie w samotności, w stale dla siebie zarezerwowanym pokoju hotelowym.

— A my sobie urządzimy tymczasem przyjemne popołudnie — oświadczyła z uśmiechem.

— Jak najmiłsze — zgodził się z nią Holzinger. Jednak i w tym momencie myślał, jak na polityka przystało, i dorzucił: — Byłoby nieźle, gdybyś się tak pokazała w moim imieniu w muzeum na wystawie japońskich lalek, oczywiście z dziećmi. Nie zapomnij też o herbatce

w amerykańsko-niemieckim klubie kobiecym. Wejdz tam w bliższą komitywę z naszą naczelną wroną. — Tak bowiem nazywał bawarską premierową.

— Czy coś jeszcze? — zapytała go żona z łagodną, z trudem ukrywaną ironią.

— Już ty to załatwisz! Na sto procent! — zapewnił ją z uznaniem. Następnie zaś, jakby coś sobie nagle przypominając, dodał: — Poza tym mogłabyś się trochę zająć naszą panią Neumann. Zabierz ją ze sobą.

— Czy to konieczne? — zapytała go żona.

— Że się tak wyrażę, ze względów społecznych, a może nawet humanitarnych, jeśli tak lepiej brzmi — zażartował.

— A jaką rolę odgrywają te względy u ciebie?

— No popatrz, popatrz. Od kiedy to chodzą ci po głowie takie robaczywe myśli? Słyszałaś kiedy może o atmosferze w miejscu pracy? Tylko o to tu chodzi. — Holzinger nagle się wesoło ożywił. — Muszę trzymać swoje owce, a raczej swoje barany w stadzie. A tu tymczasem ten Neumann gdzieś się włóczy, a Huber go szuka i ma go przyprowadzić z powrotem. Obaj są mi pilnie potrzebni. Byłoby nieźle, gdyby pani Neumann była w tym czasie zajęta czymś innym.

— I to razem za mną? Na wystawie lalek? Na herbatce w damskim klubie?

— Gdziekolwiek, z kimkolwiek i w jakikolwiek sposób.

— W głosie Holzingera pojawiła się troska. — Musisz wiedzieć, że głęboko się zastanawiam nad Neumannem. Ostatnio coraz częściej mi się wydaje, że coś niedobrego się z nim dzieje. Być może winna temu jest jego żona. Trzeba ją jakoś ożywić!

Komisarz Krebs wciąż jeszcze był zajęty analizowaniem przy pomocy Lobnera i Kellera wyników przesłuchania Gudrun, które przeprowadziła i zanotowała pani Brasch. Pracowali bardzo pilnie — obecnie przy piwie i kanapkach. Obaj panowie z policji kryminalnej zarówno grzeci-

nie, jak stanowczo odmówili wypicia herbaty, którą zaproponował Lobner.

Raz po raz ktoś im przeszkadzał.

Policjant ulokowany w portierni zameldował: — Państwo Dambrowscy, razem. Chcą zabrać swoje dziecko.

— Niech się jeszcze jakiś czas uzbroją w cierpliwość — powiedział niechętnie Krebs. Po ocenie przesłuchania mogła mianowicie zajść potrzeba zadania małej Gudrun paru dodatkowych pytań. — Ten Dambrowski dość szybko znów chce się zabawić w ojca.

— Ale ja już go z trudem powstrzymuję — powiedział zmartwiony policjant.

— Ja jestem tu gospodarzem — zaofiarował się Lobner.

— Zabaw go rozmową — zażądał dość stanowczo Keller — zanim wpadnie na jakiś głupi, ale prawnie uzasadniony pomysł. Nie możesz zbyt długo przetrzymywać jego córki u siebie.

— Jego córki! — parsknął gniewnie Krebs.

Poszedł jednak za radą Kellera. Udał się do hallu, gdzie czekali na niego małżonkowie Dambrowscy. Usiłował być dla nich uprzejmy.

— Panie komisarzu — przemówił posadzkarz Dambrowski, siląc się na godność, wyraźnie dobrze przygotowany na to spotkanie — powierzyliśmy panu naszą Gudrun...

— To kochane dziecko! — zapewnił go Krebs.

— Powierzyliśmy panu naszą córkę — Dambrowski wyraźnie do czegoś zmierzał, wysuwając się przed swoją żonę — bo pan do tego namówił moją małżonkę. A ona dała się przekonać. Ale to było wbrew mojej woli. A teraz pytam pana, panie komisarzu, co pan wyprawia z naszą Gudrun!

Krebs, po wielogodzinnej wytężonej pracy, na parę sekund stracił panowanie nad sobą. — Cóż to ma znaczyć? Co pan właściwie sobie myśli? Ma pan nas za oprawców w służbie sprawiedliwości? Za tępych wykonawców, gotowych iść po trupach?

— Jeszcze i o to zapytamy! — oświadczył z oburzeniem Dambrowski.

Jego żona zaś zapytała: — Czy moje dziecko dobrze się czuje?

— Bardzo dobrze — zapewnił ją Krebs, znów całkiem rzeczowo, ze współczuciem, a nawet serdecznie. — Bawi się w tej chwili w ogrodzie z drugą dziewczynką i psem. Ja zaś mogę tylko państwu zapewnić, że bardzo polubiłem waszą Gudrun. Wydaje mi się, że to moja własna córka. I odpowiednio do tego jest też traktowana.

— Ja tam nie wiem, jak traktuje pan własną córkę — odezwał się Dambrowski, zdecydowany teraz grać rolę mężczyzny dobrotliwego, lecz stanowczego, po prostu ojca. — Wiem tylko tyle, że w dzisiejszych czasach nawet dzieci nakłania się do niejednego. Wcale nie najlepiej jest z tymi sprawami w policji. Przepytują je jak stare kurwy, jak mi mówiono. Ze wszystkimi plugawymi szczegółami!

— Niech pan uprzejmie przestanie opowiadać te bzdury!
— upomniał go surowo Krebs. — Cóż to niby panu wiadomo o policji?

— A cóż policja wie o tym dziecku? — wykrzyknął ostrzegawczo Dambrowski. — Zatrzymał ją pan bezprawnie i może to pana jeszcze drogo kosztować! Bo nasza Gudrun nie jest ostatecznie byle kim!

— Wiem — odparował Krebs, po czym zwrócił się do matki: — Pani Dambrowska, niech pani spróbuje w miarę możliwości spojrzeć na sprawę tak: pani córka była naszym gościem, bardzo mile widzianym gościem, mogę panią zapewnić. To, co się jej przydarzyło, należy już do przeszłości. Również Gudrun tak to w tej chwili odczuwa, jestem tego pewny. Proszę jej już więcej nie męczyć, nawet najmniejszą aluzją. Niech pani spróbuje też, proszę, wytłumaczyć to swojemu mężowi.

— Jestem dla pana mężem swojej żony — odezwał się zaczepnie Dambrowski — a nie ojcem tej dziewczynki! Pannie, wydaje się panu, że coś pan wywęszył?

— Niech pan będzie tak dobry i zachowuje się jak ojciec tego dziecka — zażądał stanowczo Krebs. — Każdemu dziecku potrzebny jest ojciec! A pan powinien być szczęśliwy, mogąc się czuć ojcem Gudrun.

— Wypraszam sobie coś podobnego — krzyknął Dambrowski, odtrącając rękę, którą żona położyła mu na ramie-

niu, aby go uspokoić. — Usiłuje mnie pan znieważać jako człowieka, jako mężczyznę!

— Sprawił mi pan przykrość — powiedział zmartwiony Krebs.

— No, jeszcze zobaczymy, kto komu sprawi przykrość! — zagroził Dambrowski.

Trzy wstępne stadia pewnego brzemiennego w następstwa związku

Stadium pierwsze:

Battenberg i Brigitte Scheurer, która siedzi w jego zaparkowanym samochodzie.

Battenberg: Nie chcę ci przypominać, że co nieco mi zawdzięczasz. Zawsze cię przecież wyróżniałem, i ma się rozumieć, dalej tak będzie, ze względu na twoje szczególne uzdolnienia, zwłaszcza przed kamerą telewizyjną. Chciałem cię tym razem prosić o dość niezwykłą przysługę.

Brigitte: Przychodzisz prosto od Holzinger, a on prawdopodobnie wywiera na ciebie jakiś nacisk. Czy przypadkiem mam się przespać z tym hipopotamem?

Battenberg: Jego potrzeby w tej dziedzinie są w tej chwili, jak mi się zdaje, całkowicie zaspokojone. Chodzi raczej o Müllera. Trzeba się nim zająć! Holzinger mianowicie uważa, że Müllera trzeba usposobić bardziej ludzko i należy koniecznie coś w tym celu zrobić.

Brigitte: I ja mam do tego posłużyć? Za kogo ty mnie właściwie masz?

Battenberg: Co najmniej za osobę mądrą i wolną od przesądów! Wcale się nie spodziewam, że będziesz od razu włączyła do łóżek, w których niedobrze byś się czuła. Masz jedynie pomóc w wyświadczeniu przysługi pewnemu szacownemu przyjacielowi. Chodzi mianowicie o Müllera, który ma niejaką słabość do ciebie. Nie musisz się wcale sama w to angażować. Wystarczy, byś mu ułatwiła kontakt z kimś,

kto ma nieco mniejsze zahamowania, jak na przykład nasza gwiazda estradowa Melissa.

Brigitte: Akurat to tanie krówsko?

Battenberg: Wolnego, Brigitte! Ty reagujesz po kobiece-
mu, ale Müller jest mężczyzną! A pod pewnymi względami
wszyscy mężczyźni są jednakowi.

Stadium drugie:

*Rozmowa między Battenbergiem i Brigitte a pieśniarką
Melissą w kawiarni przy katedrze. Melissa, a właściwie
Kathe Meier z Kolonii-Kalk, stała się znana dzięki piosence
„Gdy nasze gwiazdy świecą...”. Potem trzy występy w te-
lewizji, ośmiokrotnie wzmianka w kronice towarzyskiej,
kandydatka do Złotej Płyty. Następny zapowiedziany tytuł:
„Kiedy księżyc wschodzi...”*

Battenberg: To ładnie, że przyszłaś tak szybko! Właściwie
chciałem ci tylko powiedzieć, że zamierzamy wyekspono-
wać twój najbliższy występ. Damy go, powiedzmy, w so-
botę w programie popołudniowym, obok Michaela i Tiny
Turnerów. Odpowiada ci to? Świetnie! Chętnie koło tego
pochodzę, bo wierzę w twój talent. Powinnaś *tylko* nieco
mocniej osadzić się w środowisku, jak się to mówi. A więc
nie zadowalać się jakimiś tuzinkowymi chłopaczkami, któ-
rzy trafiają co najwyżej na szpalty z kroniką miejskich plo-
tek, ale spróbować zbliżyć się do jakiejś osobistości z na-
główków pierwszych stron.

Melissa: O kogo mogłoby tu chodzić?

Battenberg: Znasz Müllera?

Melissa: No tak, gdzieś słyszałam to nazwisko. Nawet na
pewno! Chyba film? A może to ktoś z telewizji? No, niech to
będzie, kto chce. Jeżeli ty tak uważasz, Klaus, to ja chętnie.

Brigitte Scheurerna to: Myślę, że tego wystarczy. Nie moż-
na się spodziewać po Müllerze, że będzie chciał mieć z kimś
takim do czynienia. Możesz więc służyć, dziewczyno. Nie
ma co nawet próbować! Będę musiała sama się w to włączyć.

Stadium trzecie:

*Brigitte Scheurer oraz Battenberg zjawiają się w „Radnej
Piwnicy” u Müllera, a on wita ich serdecznie.*

Brigitte: Zostałam, że się tak wyrażą, całkiem po prostu przydzielona do pana.

Müller: Jeżeli istotnie tak jest, to naprawdę nie wiem, na czyj widok mógłbym się bardziej ucieszyć! Oczywiście chętnie bym się dowiedział: jeżeli przydzielona, to dlaczego? I przez kogo?

Battenberg: Jest to swego rodzaju manewr taktyczny. Aby zająć pana czymś przyjemnym. Jak się mianowicie dowiedziałem, Holzinger i jego ludzie planują dalsze ataki na radio i telewizję, korzystając nawet z pomocy premiera. Nie jest pan zaskoczony?

Müller: Bynajmniej. To było do przewidzenia. Już od paru miesięcy wskazują na to pewne symptomy. W każdym razie dziękuję panu za to poufne ostrzeżenie, drogi panie Battenberg. Jesteśmy jednak na to przygotowani.

Brigitte: Ale na mnie nie był pan przygotowany?

Müller: Niespodzianki zdarzają się bardzo rzadko. Korzystajmy więc z nich! Czy zechce mi pani sprawić przyjemność i dotrzymać mi towarzystwa dzisiaj wieczorem, na zakończenie Festynu Październikowego? Mnie, mojej żonie i kilku przyjaciółom?

Brigitte: Bardzo chętnie.

Radca Martin Zimmermann, przewodniczący wszelkich komisji nadzwyczajnych, po poświęceniu studni i połączonym z tym obiedzie, powrócił „do domu”, to jest do Prezydium. Był głęboko zamyślony i widać w niezbyt dobrym humorze.

W biurze powitał go Felder, nazywany „szarą eminencją”, niezmordowany mól papierowy, od niedawna komisarz. Ten to Felder był oficjalnie odpowiedzialny za służbę dyżurną, jednak w praktyce koordynował działania wszystkich wydziałów. Obaj z Zimmermannem stanowili zgraną parę. Nie było rzeczy, o której Felder by nie wiedział — nawet prezydent zwykł był bezpośrednio u niego zasięgać wiarogodnych informacji.

Felder przedstawił złożone dotychczas meldunki dienne, posegregowane na trzy rodzaje, zgodnie z zarządzeniem Zimmermanna. Po pierwsze, powtarzające się co dzień przypadki rutynowe — wpłynęło ich dotąd sześćdziesiąt trzy. Po drugie, niezbyt łatwe do rozpoznania, nie wyjaśnione jednoznacznie wypadki — zaledwie trzy, w tym włamanie połączone z zejściem śmiertelnym, być może morderstwo w celach rabunkowych; Danziger Strasse — bójka w grupie cudzoziemców z Jugosławii, trzech ciężko poszkodowanych; w pobliżu dworca kolejowego w Holzkirch na terenie dzielnicy Riem — uduszenie dziecka, prawdopodobnie przez ojca nie mogącego sobie uciąć drzemki poobiedniej z powodu krzyku niemowlęcia. Po trzecie wreszcie, najważniejsze: przypadki szczególne, zwłaszcza morderstwa — „nie było”.

— Spokojny dzień — stwierdził Zimmermann. — A cóż tam zgłasza jednostka policyjna z terenu Festynu Październikowego?

— Jak zwykle — meldował Felder. — Dzisiaj jeden przypadek śmiertelny, przypuszczalnie na skutek ataku serca; dalej — dwanaścioro zagubionych dzieci, z których siedmioro już odnaleziono; następnie cztery już uśmierzone awantury połączone z rękoczynami — siedemnastu uczestników opatrzonych przez lekarza. A więc i tu nic szczególnego.

— Gdzie jest Krebs? — zapytał następnie Zimmermann.

Felder chwycił za telefon i po chwili zameldował:

— Wciąż jeszcze znajduje się w Instytucie Medycyny Sądowej, zajęty oceną przesłuchania dziecka.

— A Keller?

Felder spojrzął na zegarek. Potem powiedział tylko:

— Jest trzynasta dwadzieścia sześć.

Wystarczyło to w zupełności. O tej porze bowiem emerytowany funkcjonariusz policji Keller zwykł był z niezmienną regularnością przebywać w Ogrodzie Dworskim na spacerze w kierunku romantycznego Parku Skarbowego. Czynił to ze względu na swego psa Antona. Pies miał tam używanie wszelkiego rodzaju. Nie omieszkał nigdy obśmiać muszli koncertowej, lubił zaszyć się w sobie tylko zna-

ne zarośla, a potem wypoczywać przy odległej i ukrytej wśród drzew fontannie ku czci Heinego-

— Przez najbliższą godzinę będę w Ogrodzie Dworskim — powiedział Zimmermann.

Pokonanie pieszo drogi z Prezydium policji przy Ettstrasse przez Odeonplatz do wejścia do Ogrodu Dworskiego zajęło pięć minut. Po upływie następnych dwóch minut Zimmermann dojrzał Antona, zgodnie z przewidywaniem przy fontannie Heinego. Niedaleko fontanny siedział na ławce Keller, a obok niego leżała otwarta książka. Spojrzał wycieczając w stronę Zimmermanna.

Zimmermann przywitał się najpierw z Antonem, który podbiegł do niego, merdając ogonem, i dopiero potem usiadł obok przyjaciela. Uśmiechnęli się do siebie i wpatrzyli uważnie w trawnik, który teraz, w pełni jesieni, tracił soczystość zieloną barwę, poszarzał i wyblakł jak stary papier.

— Jak było u Krebsa? — zapyta wreszcie radca.

— Wprost fantastycznie! Prawie doskonałość pod względem psychologicznym! — oświadczył z uznaniem Keller.

— Krebs mógłby być wybitnym lekarzem, ale ponieważ jego rodzice nie mogli sobie pozwolić na wyższe studia dla syna...

— Wiesz, Keller? Prawie to samo mówiono o tobie. Ale teraz wychwalają cię w pismach fachowych i powołują się na ciebie na uniwersytetach. Przewiduję, że ci jeszcze przyznają doktorat honoris causa.

— Musisz mieć chyba poważne kłopoty — zauważył rozbawiony starszy pan — skoro usiłujesz rni prawić komplementy. Co cię tym razem niepokoi? Może jakieś morderstwo na tle szczególnie groźnego zboczenia?

— Pewna kobieta. Widok pewnej kobiety — wyznał Zimmermann z lekkim ociąganiem. A następnie pospiesznie uzupełnił: — Ale powściągnij swoje uśmieшки. Oczywiście ani mi w głowie to, co ty masz na myśli-

— Ja nic nie myślę. Tylko słucham. Odnotowałem: jest kobieta, której widok ciebie zaniepokoił- Wnioski później. I co dalej?

— Nie użyłem określenia „zaniepokoił”, to ty powiedziałeś. A to wcale nie jest trafne — nie dał sobie insynuować

Zimmermann. — Należałoby raczej powiedzieć, że widok tej kobiety mnie zastanowił.

— Zastanowił cię? Sam jej widok?

— Oszczędź mi swoich żartów — powiedział radca, teraz już sam rozbawiony. — Przypuszczam jednak, że nie wyraziłem się dość dokładnie. No dobrze, byłem na poświęceniu pewnej studni, aby tam profilaktycznie zająć się Ettenkoflerem. Aby nie narobił głupstw, które mogłyby być kłopotliwe dla naszego urzędu. Już wiem, że nie narobi! Przy tej okazji zobaczyłem kobietę, która wydała mi się dziwnie znajoma, ale zarazem byłem pewny, że nigdy jej dotychczas nie widziałem. Byłem jednocześnie również przekonany, że ją znam. Oblęd, prawda?

— Niezwykłe! Ale to, co niezwykle, bywa w naszym zarodzie również najciekawsze. — Keller spoważniał w tym momencie. — Przyszedłeś więc dlatego, że tymczasem wpadłeś już na to, skąd ta kobieca postać wydaje ci się znana. Powiedz zatem!

— To tylko niejasny domysł, wprost śmiechu warte skojarzenie, śmieszne zwłaszcza w oczach tego, kto para się kryminalistyką. Chyba bez żadnej praktycznej wartości.

— Kogo czy też co przypomina ci ta kobieta? Mów wreszcie!

— No dobrze, Keller. Dokładnie tak jak ta kobieta wyglądają dziewczynki na zdjęciach, które Krebs umieścił na tablicy w swoim gabinecie. Są jak dzieci tej kobiety lub jak ta kobieta jako dziecko! Jota w jotę te same rysy! Jakby pozabawione wieku!

— Fantastyczne! — zauważył poważnie Keller. — Mówiłeś już o tym Krebsowi?

— Będę się tego wystrzeżał! — bronił się zdecydowanie Zimmermann. — Jestem wprawdzie zaprzyjaźniony z Krebssem. Podobnie jak ty. Ale jestem również jego przełożonym. Nie mogę przecież roztaczać przed nim jakichś fantastycznych teorii!

— Zatem ja powinienem to zrobić — stwierdził rozweselony Keller. — Zrobię to, nawet bardzo chętnie. Proszę cię, przekaz mi wszystkie informacje o tej kobiecie, jakie dotychczas zebrałeś.

To, co Keller uznał za oczywiste, w istocie takie było.

Zimmermann wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki notes i wyrwał z niego kartkę. Zapisał na niej nazwisko kobiety, jej imię, datę i miejsce urodzenia, datę ślubu, nazwisko rodziców, ich pozycję społeczną i aktualne zajęcie, adres kobiety i numer telefonu, szczegółowe dane dotyczące jej męża.

— Sądysz, że mając to, uda się coś zrobić?

— Zobaczymy — odpowiedział lapidarnie Keller.

— Mam ci przysłać samochód?

— Anton lubi chodzić, a ja muszę się trochę zastanowić. Nad tym przypadkiem i nad tobą. Zaczynasz mnie wprost zaskakiwać. Zdradzasz twórczą wyobraźnię. Budzi to we mnie nadzieję na powodzenie Krebsa.

Adwokat nazwiskiem Schlosser wraz z jednym ze swoich klientów kazał się zameldować u dyrektora Hadricha, dając do zrozumienia, że gdyby mu odmówiono spotkania, on byłby zmuszony nawiązać kontakt z dyżurnym odpowiedniej prokuratury.

Zaledwie w parę minut potem Hadrich przyjął adwokata, którego zresztą znał. Ów zjawił się ze swoim klientem, przedstawił go jako pana Dambrowskiego i nie zwlekając przystąpił do rzeczy. Po niespełna kilku minutach Hadrich niemal oniemiał.

Schlosser: Ustalmy zatem stan faktyczny. Dziecko, które stało się obiektem napadu, przetrzymano z dala od rodziców przez przeszło szesnaście godzin. Kilkakrotne próby nawiązania kontaktu z dzieckiem zostały szorstko odrzucone. Padły nawet obraźliwe wypowiedzi pod adresem ojca tego dziecka, mojego klienta, pana Dambrowskiego.

Hadrich, nieco znużony: To są nader ważne zarzuty.

Dambrowski: Ale to prawda! Obszedł się ze mną jak z ostatnim głównym ten Krebs!

Hadrich: Sprawdzę to niezwłocznie, i to osobiście. A gdyby się okazało, że te zarzuty są słuszne...

Schlosser: Są słuszne! To co wtedy?

Hadrich: Wówczas ani na chwilę się nie zawaham przed wyciągnięciem z takiego postępowania koniecznych konsekwencji, a więc pociągnąć do odpowiedzialności tego, kto zawinił. Powiadomię o tym pana.

Wyglądało na to, że satysfakcjonuje to Schlossera i jego klienta. Odeszli. Wtedy Hadrich zarządził: — Komisarz Krebs do mnie!

Po zwiedzeniu wspólnie z panią Holzinger i panią premierową wystawy lalek Undine Neumann powróciła do domu. Przywiózł ją kierowca prezesa rady ministrów. Wcześniej już zostało uzgodnione wspólne zwiedzanie Festynu Październikowego z okazji jego zakończenia.

Undine czuła się jakby uskrzydłona, wbiegając lekkim krokiem po schodach do swego mieszkania. Pod drzwiami zobaczyła siedzącego tam męża. Spojrzał na nią, kompletnie wyczerpany. Wydał się jej skrajnie zaniedbany, po prostu wykolejony.

— Cóż to, nie masz klucza? — zapytała.

— Dotychczas, zawsze kiedy wracałem, byłaś w domu — odpowiedział dźwigając się z trudem.

— To nie powód, by zawsze miało tak być — rzekła bezbarwnym głosem. Ominęła go wdzięcznym ruchem, otworzyła drzwi i pozostawiając je otworem, weszła do mieszkania.

Bert Neumann powłókł się za nią ociężałe. Przyciskał obie ręce do skroni, jak przy ostrym bólu głowy. Zatrzymał się w drzwiach i pochylił w bok, szukając oparcia. Patrzył, jak ona gwałtownie otwiera okna, i wzdrygał się za każdym ich stuknięciem bądź trzaskiem.

— Niedobrze czuć od ciebie — odezwała się. — Dlaczego tu jesteś? Huber ciebie szuka. Jesteś potrzebny Holzingerowi.

— Ach te świnie! — wykrzyknął Bert niespodziewanie gwałtownie. — Mogą mnie wszyscy...

— Co mogą ciebie wszyscy? — zapytała spokojnie.

— Pocałować w dupę! — wrzasnął Bert Neumann, tracąc panowanie nad sobą. — Ci dranie tylko puszczają gigantyczne bańki mydlane, aby jakoś zaznaczyć własne istnienie!

Undine uśmiechnęła się z wyrazem pogardy gdzieś w przestrzeń, nie patrząc wcale na niego.

— Potrafisz być dziwny — powiedziała nie zmieniając barwy głosu. — Twoja wyobraźnia nie zna miary ani hamulców, ani obaw. A w rzeczywistości wszędzie widzisz tylko wrogów i do wszystkich czujesz nienawiść. Nie tylko do mnie, ale do Holzingera, człowieka naprawdę godnego podziwu.

— Co? — krzyknął Neumann. — To bydlę!

— O mój Boże! Co się z ciebie zrobiło!

— To przez ciebie, moją żonę!

— Ja twoją żoną? — Jej uśmiech stał się jakby bardziej wyraźny, ale tylko Bert mógł to dostrzec. — Na papierze tak. A także w twojej wyobraźni. — Instynktownie wycofywała się powoli do sąsiedniego pokoju, który był jej sypialnią. — Ale w rzeczywistości już od dawna nie.

Bert Neumann zadygotał, podniósł w górę drżące ręce i zaczął trząść się cały. Potem rzucił się w ślad za nią i dopadł jej, dysząc ciężko, z szeroko otwartymi ustami. Powalił ją na łóżko i sam się na nią rzucił. Rękami mierzwił jej włosy, uciskał piersi, po czym sięgnął w dół, zadarł jej suknię i w dzikim rozpasaniu pochwyił za podbrzusze.

Undine odwróciła z wstrętem twarz, wtuliła się w poduszkę, zdawała się nie oddychać. Leżała nieruchomo, bezwolna, coraz bardziej odrętwiała, jak w śmiertelnym stężeniu. — Tylko nie to — westchnęła.

Rozszalałe poruszenia Berta osłabły nagle z sekundy na sekundę. Legł na niej martwy i tak pozostał. Jego twarz, wyrażająca bezgraniczną rozpacz, była trupio blada. Z oczu popłynęły łzy.

— Pomóż mi! — zawołał błagalnie. — Proszę cię! Czy nie ma już nikogo, kto by...

— Tobie nikt nie pomoże — powiedziała wyraźnie i obojętnie. — Przecież ty jesteś nienormalny.

— Zadzwoił przeciągle telefon. Undine wydołała się spod Berta, prawie bez wysiłku go odepchnęła, pochwyciła słuchawkę.

Potem powiedziała: — Pan Müller chce z tobą mówić.

Komisarz Krebs pojawił się nareszcie w swoim biurze; była godzina 15.45. W przedpokoju przywitał się ze współpracownikami. Napotkał tam starszą asystentkę Reese, którą cenil za jej lojalność. Wydała mu się przygnębiona.

— Dyrektor oczekuje pana. Podobno jest to sprawa pilna, jak kazał zakomunikować.

— Zrobi się — powiedział Krebs, zachowujący się niby wyżeł na tropie, którego nie można od niego odwieść. — Mam tu jeszcze załatwić coś nie cierpiącego zwłoki.

W swoim pokoju Krebs zastał zastępującego go Michelsdorfa. Zasiadał przy biurku szefa, co zresztą nie było niczym niezwykłym. Przed nim, starannie i przejrzysto ułożone w plastikowych teczkach, leżały papiery dotyczące wydarzeń z tego dnia. Komisarz zapoznał się z nimi, szybko przerzucając je po kolei.

— Czy przesłuchanie się powiodło? — zapytał Michelsdorf, demonstrując poufną uległość. Teraz już stał obok biurka przełożonego.

— Nie sposób jeszcze ustalić, czy rzeczywiście było skuteczne, ale na pewno nienadaremne.

— I tylko tyle przy tak ogromnym nakładzie pracy? — zdziwił się Michelsdorf. Miało to zabrzmieć jak wyrażenie podziwu dla niezmordowanego działania szefa.

Komisarz Krebs na to nie zareagował. — Proszę o wszystkie dokumenty związane z tym przypadkiem.

Michelsdorf wskazał wypełniony aktami kosz na biurku po lewej stronie; znajdowały się tam otrzymane meldunki, wyniki badań i dochodzeń. Wszystkie dokumenty prócz jednego, który starszy inspektor trzymał, zwinięty, w dłoni.

Komisarz zaczął nieoczekiwanie szybko przekładać te papiery, aż natknął się na sprawozdanie z badań wydziału włamań, sporządzone przez specjalistę od tkanin. Przyjrzał się temu orzeczeniu dokładnie, po czym popatrzył z niedowierzaniem na Michelsdorfa.

— Trzeba mi było natychmiast coś takiego zameldować, Michelsdorf!

— Cóż w tym takiego, proszę pana? To, że w tym wykazie prawdopodobnych posiadaczy chustki znajduje się nazwisko Ettenkofler? — Michelsdorf przybrał minę pocziwca.

— Nie chciałem pana niepotrzebnie fatygować, tym bardziej że zależało panu na tym, żeby tego Ettenkoflera uznać za całkiem wolnego od zarzutu...

— Michelsdorf — przemówił Krebs, z trudem hamując oburzenie — cały ten wykaz może mieć niezwykle znaczenie! Przecież pan świetnie wie, kogo poszukujemy. Obyczajowego przestępcy estetycznego. Gdy tylko pojawi się jakakolwiek poszlaka w tej sprawie, należy ją natychmiast zbadać i wykorzystać. A nazwisko Ettenkoflera jest tu tylko jednym z dziesięciu czy dwunastu innych!

— Powinniśmy byli bezwarunkowo zatrzymać tego człowieka — upierał się starszy inspektor. — Wskazane było konsekwentne, gruntowne przepytanie tego Ettenkoflera, a nie skwapliwe zwolnienie tylko dlatego, że jest to człowiek wpływowy i ma w dodatku mnóstwo pieniędzy!

— Michelsdorf, jesteśmy w policji, a nie na antykapitalistycznym wiecu przedwyborczym. Poszukujemy przestępcy, a nie wdzięcznego obiektu do uprawiania krytyki społecznej.

— A dlaczego ten Ettenkofler nie może wchodzić w rachubę jako przestępca? — Starszy inspektor przestał już unikać otwartej konfrontacji. — Zwłaszcza teraz, kiedy wykryliśmy pewne sprawy, które rzucają jaskrawe światło na tę postać!

— Cóż to by miało być takiego, pańskim zdaniem?

— Wie pan, kim jest ten Ettenkofler? — zapytał triumfalnie Michelsdorf, kładąc jednocześnie przed komisarzem na biurku schowany dotąd meldunek. — To nieślubny ojciec

tego dziecka, którym się pan tak gorliwie zajął, to znaczy Gudrun Dambrowskiej.

— Wiem o tym — powiedział spokojnie Krebs. — Wcale nie było sztuką to wykryć. My to po prostu przyjmujemy do wiadomości, ale nawet o tym nie wspominamy w śledztwie. Oficjalnie ojcem Gudrun jest Dambrowski.

— No to co będzie z Ettenkoflerem? Tylko dlatego, że jest Ettenkoflerem...

— Myślę, że wystarczy tego, Michelsdorf — uciął zdecydowanie Krebs.

— Mnie nie, panie komisarzu!

— Niech się pan zastanowi! Przecież zwykle myśli pan zupełnie poprawnie. Tym razem zaciętrzewił się pan jednak na punkcie jakiejś swojej teorii. Coś podobnego może się przydarzyć każdemu z nas, ale nie w takim jak ten przypadku. Gdzież ma pan jakiegokolwiek podobieństwo między sytuacją dziecka, które ktoś chce bezpiecznie odprowadzić do domu, a takiego, na które napadł przestępca obyczajowy?

— Pomimo wszystko zachodzi pewien związek, którego istnienia nie można *zaprzeczyć*. To właśnie *osoba* Ettenkoflera.

— Człowieku, Michelsdorf! Czy pan się już zupełnie oduczył logicznego myślenia? — Krebs spojrział badawczo na swego starszego inspektora. — To przecież czysty przypadek, w dodatku nader banalny. Niech się pan wystrzeżga przypadku. Potrafi nas czasem prześladować!

Müller z niejakim trudem podjął wreszcie decyzję, by odwołać wszelkie dalsze swoje zobowiązania na to niedzielne popołudnie i poprosić Weinhebera, aby go zastąpił, czego ten zresztą chętnie się podjął.

Müller uznał bowiem, że koniecznie musi raz zająć się własną rodziną, a zwłaszcza żoną. Nie chciał i nie mógł dopuścić do powstania jakichś nieporozumień.

Był on zwolennikiem harmonijnego współżycia, rzeczywistej tolerancji i rozważnych kompromisów. Zdecydował się zatem urządzić tego dnia rodzinie przyjemne, swobodne i radosne niedzielne popołudnie. Pogawędzić z dziećmi, posłuchać muzyki, pozwolić, by żona okazała mu życzliwość.

Jednakże, gdy zajechał, bez kierowcy, volkswagenem pod swój dom, stwierdził, że jest on właściwie pusty. Była tylko służąca, osiemnastoletnia, skromna i zręczna, za pięćset marek miesięcznie, do tego pełne wyżywienie i bezpłatne mieszkanie. Bardzo go szanowała.

— Gdzie jest moja żona?

— Pojechała do swojej matki, do Pasawy. Nie wiedział pan o tym?

— Oczywiście, wiedziałem — wyjaśnił pospiesznie Müller. — Ale nie orientowałem się, o której godzinie. Myślałem, że odjedzie dopiero wieczorem. A gdzie są dzieci?

— Nie wiem.

— Proszę pomyśleć, Irmgard. — Müller starał się nie okazywać zawodu, lecz nadal zachowywał swój opiekuńczo przyjacielski sposób bycia. — Zna mnie pani przecież. Ze mną można rozmawiać po prostu o wszystkim. A więc gdzie są dzieci?

— No tak, po pańską córkę przyszedł ktoś jakieś dwie godziny temu. Zaraz potem, jak pani odjechała taksówką na dworzec.

— Kto po nią przyszedł?

— Jej obecny przyjaciel. Nie wiem, kto to taki, ale wrażenie robi pierwszorzędne. Nie jest najmłodszy, ale ma fantastyczny samochód marki Porsche.

— No dobrze, Irmgard — powiedział Müller, udając, że go to nie obeszło. — Nie zazdrościmy im szybkiego wozu. A co robią chłopcy?

— Peter od wczoraj nie wrócił do domu. Powiedział, że wybiera się na jakąś wycieczkę w góry. — Irmgard z niepokojem przyglądała się swemu panu. — Ale Joachim może przyjść lada chwila. Dopiero co telefonował, żeby mu przygotować świeżą koszulę.

— Wobec tego zaczekam na niego — oświadczył Müller.

Przeszedł do pokoju, który służył mu za miejsce pracy.

W kącie po lewej stronie stał tam stół ze świerkowego drewna. Teraz znajdował się na nim tylko bloczek na notatki, kubek z ołówkami i telefon. Erwin Müller usiadł przy stole. Przez dłuższy czas siedział bez ruchu. Potem, zmrużywszy oczy, popatrzył na pokój — meble z domu towarowego, firanki z metra, zakupione przed laty, ręcznie tkane wełniane dywaniki. Półkę na książki zapełniały przeważnie egzemplarze okazowe, wydawnictwa reklamowe, okazjonalne podarki. Nieco bliżej, na stoliku na kółkach, telewizor dość starego typu, czarno-biały. Wazony, talerze, kufle

— głównie pamiątki, podarki od kontrahentów lub gości

— między innymi z Dolnej Bawarii z okazji zabawy ludowej, z Werony we Włoszech z okazji przyjacielskiej wizyty, a nawet z Meksyku, gdzie jako delegat był obecny na Igrzyskach Olimpijskich, i jeszcze raz z Meksyku, lecz tym razem ze światowych mistrzostw piłki nożnej, także z Monachium

— znów wazon z Olimpiady.

A zatem średniej klasy mieszczanin w otoczeniu rodem z domu towarowego. Prawdopodobnie nie potrafił żyć inaczej. W każdym razie nie żył tak jak, powiedzmy, Holzinger. Ten był bowiem właścicielem kilku domów czynszowych w Monachium, wiejskiego domu w Górnej Bawarii

— a może nawet kilku takich domów — willi na Riwierze; ponadto był akcjonariuszem wielkich banków i udziałowcem przedsiębiorstw budowy nieruchomości, fabryki samochodów, towarzystw budownictwa kopalni. No tak, to dawało dobre zyski. A tymczasem on, Müller, wolał uprawiać w miarę możliwości rzetelną politykę.

Pojawił się jego najmłodszy, niespełna szesnastoletni syn Joachim. Zatrzymał się w drzwiach i orzekł: — Cóż to za rzadki widok! Już od dawna cię nie widziałem!

— No więc widzisz mnie! Masz ochotę porozmawiać ze mną?

— Nie mam czasu, tato! Zresztą o czym mielibyśmy rozmawiać? O demokracji, infrastrukturze, a może nawet o zagadnieniach bytu narodowego? Jeśli kiedyś nadarzy się okazja, to chętnie. W tej chwili przed domem czekają na

mnie przyjaciele. Chcemy pozbawić pewności siebie kilku mamutów. Masz coś przeciwko temu?

— Dlaczego nie? — odpowiedział zyczliwie Müller. — To nawet może mieć jakiś sens, jeżeli ma wyraźnie określony cel i dotyczy właściwych osób. Czy będziesz mógł dotrzymać mi towarzystwa później?

— Z jakiej okazji?

— Dziś wieczorem muszę być obecny na zamknięciu Festynu Październikowego. Nie powinno tam zabraknąć nikogo z tak zwanych prominentów, taka obowiązuje zasada. Chcesz pójść ze mną? Bardzo bym się ucieszył! Pierwsze duże piwo, Joachimie, we dwóch!

— Chętnie, tato, ale przy jakiejś lepszej okazji. I niekoniecznie w takim szemranym towarzystwie. Nie oczekuj tego ode mnie! — I poszedł sobie.

Erwin Müller pozostał sam. Przez dłuższy czas siedział bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Wyglądało na to, jakby miał zapaść w drzemkę, potem jednak uśmiechnął się z wysiłkiem. Otworzył oczy, machnął ręką w pustkę, jakby coś od siebie odpychając. Następnie ujął w garść kilka leżących na stole karteluszków wielkości wizytówki. Widniały na nich nazwiska, adresy, numery telefonów. Wśród nich również Berta Neumanna.

Müller wybrał właśnie ten numer. Bardzo długo słyszał tylko sygnał połączenia, aż wreszcie odezwał się niezmiernie łagodnie brzmiący kobiecy głos. Müller wymienił swoje imię i nazwisko. Mówiąc bardzo powoli i wyraźnie, zapytał, czy może mówić z panem Ber tern Neumannem. Ów za chwilę się zgłosił.

— Drogi panie Neumann — zaczął uprzejmie Müller — zawsze mocno żałowałem, że nie nadarzyła mi się do tychczas okazja do dłuższej rozmowy z panem. Powinniśmy to jakoś nadrobić, nie sądzi pan? W każdym razie bardzo bym się cieszył...

— Ja również, panie Müller!

— Doskonale! A więc możliwie jak najszybciej, dobrze? Za godzinę? Zgoda? Wobec tego czekam na pana, że tak powiem, na gruncie neutralnym, w kawiarni Opern-Espresso. Spotkamy się tam... całkiem przypadkowo.

Wydarzenia służbowe w Prezydium Policji w trzech fazach, czyli jak się skutecznie łagodzi drażliwe sytuacje.

Faza pierwsza: Komisarz Krebs u dyrektora Hadricha.

Hadrich: Widzi pan, panie kolego, martwię się, i to z pańskiego powodu. Wydaje mi się pan ostatnio przepracowany. Powinien pan trochę odpocząć, wziąć parę dni urlopu, mniej więcej do powrotu prezydenta.

iTreibs; Dziękuję, nie! Właśnie pracuję nad pewnym przypadkiem, który wydaje mi się szczególnie groźny.

Hadrich: Mnie także. Ale z całkiem innego powodu niż panu! Widocznie pracuje pan w zbyt wielkim napięciu, aby rozgryźć ten przypadek. Jest pan oczywiście całkowicie pochłonięty tą sprawą. Bardzo pana proszę, czy mam się wyrazić dokładniej? Próbuję zbudować panu złoty most, aby pozwolić panu do pewnego stopnia dogodnie rozstać się i iść z admierną Tozdmuchaną historią.

Krebs: Doprowadzę ten przypadek do końca!

Hadrich: Wobec tego zmusza mnie pan, panie kolego Krebs, do podjęcia z wielkim żalem następującej decyzji: albo poprosi pan natychmiast o urlop, albo, również natychmiast, odwołam pana ze stanowiska kierownika wydziału przestępstw obyczajowych. Niech pan sobie to przemyśli przez następną pół godziny.

Faza druga: Radca Zimmermann spotyka komisarza Krebsa na korytarzu.

Zimmermann: Dlaczego tu wystajesz? Myślałem, że ty pilnie pracujesz, ażeby wreszcie dopaść swego estetycznego przestępcy! Tym bardziej że Keller jest już w drodze z kilkoma nowinami, a ja bardzo bym chciał zobaczyć, jaką będziesz miał minę, kiedy ja usłyszysz.

iTreibs; Jedyna ważna dla mnie W tej chwili nowina przedstawia się tak: albo biorę urlop, albo przestaję być kierownikiem wydziału obyczajowego. Hadrich dopiero co postawił mnie przed taką alternatywą.

Zimmermann: W takim razie ja też go postawię przed alternatywą!

Faza trzecia: Radca Zimmermann u dyrektora Hadricha.

Hadrich: Widziałem, jak pan nadchodzi! Ale proszę nie zadawać sobie trudu, moja decyzja jest ostateczna. Nie miałem innego wyboru. Wyczyny, na jakie pozwolił sobie nasz Krebs, zakrawają na zagrania wręcz obłąkańcze. Może nas to drogo kosztować, a ja nie mam zamiaru popierać czegoś podobnego!

Zimmermann: Ja również nie zamierzałem, w każdym razie nie bez zastrzeżeń. Co jednak się stanie, jeżeli okaże się, że to właśnie jedynie Krebs instynktownie reaguje, jak należy, a my zaślamiamy się przepisami?

Hadrich: Proszę pana, on jest przecież szalony! Ale my wszyscy stanowimy ostatecznie jedną instytucję, a ja jestem obecnie za nią odpowiedzialny. Nikt też, nawet pan, nie może tego zmienić!

Gdy funkcjonariusz policji w stanie spoczynku Keller przybył tego dnia do Prezydium bądź, jak ^{^^F/} utrzymywali niektórzy, do siebie, była godzina 16.04. Anton, pies o ogólnoprezydialnej renomie, biegł przodem, zmierzając prosto do gabinetu komisarza Krebsa.

Krebs przyjął Antona serdecznie nie tylko dlatego, że jego córka Sabine lubiła tego zwierzaka, lecz także dlatego, że zapowiadał on pojawienie się jego przyjaciela. Sam Keller był u Krebsa zawsze mile widzianym gościem, gdyż można było z nim omówić nawet najbardziej delikatne problemy. A nie brakło ich nigdy. Zwłaszcza w tej chwili.

„Wielki Starzec”, jak nazywano Kellera w Prezydium, podzwoił Krebsa podniesieniem lewej ręki. Z miejsca ruszył na ukos przez pokój w kierunku ściennej tablicy komisarza. Anton, jakby pragnąc się znaleźć w samym centrum zainteresowania, położył się tuż pod nią.

— Niezwykle mnie interesuje twoja teoria jednoznacznie nacechowanych ofiar — oświadczył Keller. — Nadal jesteś przekonany o jej słuszności?

— Bezwzględnie — potwierdził Krebs. — Ale już właściwie nie mam tu nic do powiedzenia.

— Jesteś chory?

— Tylko urlopowany albo też odwołany ze stanowiska kierownika tego wydziału. Hadrich dał mi do wyboru jedno bądź drugie. W każdym razie moim następcą jest Michelsdorf.

— Zimmermann wie o tym?

— Tak. Chwilowo jest u dyrektora.

— Wobec tego nie zaprzataj już sobie głowy drobnymi walkami podjazdowymi — powiedział z przekonaniem Keller. — Skoncentruj się tylko na sprawie dla ciebie najważniejszej. Jak ona obecnie wygląda?

— Spójrz na to! — Krebs, gotów pójść za radą Kellera, przypiął do tablicy czwarte zdjęcie, obok trzech, które tam już wisiały. Była to fotografia Gudrun Dambrowskiej. — Trudno nie zauważyć podobieństwa, ten sam typ! Zwróć tylko uwagę! Stale ta sama zgrabna sylwetka, identycznie delikatnie zarysowana buzia, okolona opadającymi na ramiona blond włosami. Poza tym te duże oczy, jakby z prośbą o zrozumienie...

— To brzmi po prostu jak poezja — stwierdził w zamyśleniu Keller. Ale nawet tak zatwardziałym praktykom jak nasz przyjaciel Zimmermann zdarza się ulegać nagłym przyływom, fantazji.

— Niemożliwe! Cóż on może wiedzieć o dzieciach i ich zagrożeniach? Zimmermann jest specjalistą od zabójstw i zajmuje się wyłącznie sprawami napadów.

— Dotychczas także tak sądziłem, nawet jeszcze przed pół godziną. Teraz jednak muszę przyznać, że nasz Zimmermann miewa wprost fantastyczne wysoki. Zdaje mi się, że on już znalazł klucz do twego przypadku.

Krebs spojrział na niego z niedowierzaniem, ale także z odcieniem nadziei. — Gdyby nawet tak było, to jest już chyba za późno. Jestem właściwie odwołany ze stanowiska.

— Poczekaj jeszcze, Krebs! To, co odkrył nasz przyjaciel Zimmermann, wydaje mi się niezmiernie obiecujące. Po jego twórczej fantazji połączonej z ogromną energią można się spodziewać mnóstwa rzeczy!

Ukazał się Zimmermann, lekko uśmiechnięty. — Ten Hadrich umie być konsekwentny. Co raz powiedział, tego już nie odwoła.

— Zostałem zatem załatwiony — stwierdził Krebs.

Zimmermann wyjaśnił mu sytuację:

— Hadrich powiedział, że masz pójść na urlop. A ja mu na to, że Krebs wcale nie jest gotów iść na urlop. Na to Hadrich stwierdził, że wobec tego nabiera mocy druga część jego decyzji, to znaczy, Krebs przestaje być kierownikiem wydziału obyczajowego. Zgodziłem się, bo musiałem się zgodzić. Aby Hadrich mógł zachować swoją niepokalaną urzędniczą twarz.

— To znaczy, że Michelsdorf jest już moim następcą?

— zapytał półgłosem Krebs.

— Przy najbliższej dogodnej okazji wyślij go do wszystkich diabłów, to znaczy z powrotem do łapania prostytutek

— poradził rubasznie Zimmermann. — Wydział obyczajowy będzie podporządkowany bezpośrednio mnie. Obejmuję go, że tak powiem, w zarząd komisaryczny, i ciebie razem z wydziałem.

— Udało ci się znaleźć wprost idealne rozwiązanie

— stwierdził Keller. — Możesz teraz zaprząć do roboty nad tym przypadkiem cały swój ogromny aparat.

— Powinieneś jeszcze raz przejrzeć wszystkie akta, Keller, mając na uwadze moją wskazówkę. Może coś ci się tam złożyć w jedną całość. Ja sam będę jeszcze uzupełniał dokumentację. Ty natomiast, Krebs, działasz nadal tak samo jak dotychczas. A potem pójdziemy na całego!

W tym samym czasie starszy inspektor Michelsdorf przebywał w przedpokoju kierownika wydziału obyczajowego. Był czymś zajęty przy szafie z aktami, podczas gdy starsza asystentka Reese siedziała przy stole porządkując i rejestrując pisma przychodzące i wychodzące.

Reese: Przypuszczam, panie kolego, że zameldował pan szefowi o zdarzeniu, które przebiegało nie całkiem zgodnie z przepisami.

Michelsdorf: O czym pani mówi?

Reese: O tym, że w pokoju kierownika przebywał ten dziennikarz. Nazywa się chyba Herzog.

Michelsdorf: Prosił mnie o informacje, a ja mu ich udzieliłem w granicach moich... naszych możliwości. Proszę pani, ostatecznie, jeśli chodzi o zagwarantowaną w konstytucji wolność myśli, to nie mogę...

Reese: Wcale mi nie o to chodzi, ale o przepis, który nas obowiązuje; w tych pomieszczeniach nie może przebywać samotnie i bez nadzoru nikt postronny, ponieważ znajdują się tam dokumenty, które w żadnym przypadku nie są przeznaczone do wglądu i wykorzystania przez osoby nie upoważnione.

Michelsdorf: Bardzo proszę, bez tej pedanterii, koleżanko. Herzog chciał tylko skorzystać bez przeszkód z telefonu.

Reese: Sam w pokoju szefa? Mógł to załatwić także u nas, w przedpokoju. Lub jeszcze lepiej, już bez najmniejszych przeszkód w hallu, gdzie jest kilka dźwiękoszczelnych kabin dla dziennikarzy. A pan pozostawił Herzoga w pojedynkę w gabinecie szefa, razem ze wszystkimi dokumentami, które tam leżą. Jeżeli nie zrobił pan tego dotychczas, to będzie pan musiał chyba wyjaśnić to panu Krebsowi. A jeżeli pan tego nie zrobi, to ja będę zmuszona go o tym poinformować.

W pokoju kierownika wydziału obyczajowego pies Anton sapnął głośno, gdyż wyczuł, że jego pan jest czymś gwałtownie poruszony. Stało się to mianowicie w toku studiowania leżących przed nim akt. Keller powiedział: — Wszystko wydaje się w najwyższym stopniu konsekwentne i przekonujące! — Ja dostrzegam tylko punkty wyjścia — odparł Krebs.

— Dlatego że nie wiesz, co odkrył Zimmermann. Ale nazwisko prawdopodobnego przestępcy zostało już w tych aktach zapisane. Co prawda na razie tylko jako szczegół marginesowy. A jest tak, bo wychowałeś sobie współpracowników, którzy myślą tylko o tym, jak objąć sukcesję po tobie.

— Czy nie mogę już ufać nikomu?

— Zaufanie jest dobre, ale kontrola lepsza — przypomniał Keller myśl Lenina.

Zanim Krebs zdążył się wypowiedzieć na ten temat, wszedł Michelsdorf. Przeprósł za to, że być może przeszkadza, czuje się jednak zobowiązany, jak zapewnił, wyjaśnić pewną, mogącą nasuwać niejakie wątpliwości sprawę.

Następnie zakomunikował, że zjawił się u niego pewien dziennikarz, któremu nagle zachciało się zatelefonować możliwie dyskretnie i bez przeszkód. Na to on, Michelsdorf, zawsze dbały o dobrą współpracę z prasą, zaproponował mu skorzystanie z aparatu w pokoju szefa. Chcąc zaś zapewnić temu dziennikarzowi dyskrecję, pozostawił go samego.

— Tego tylko brakowało — mruknął Krebs, po czym do-rzucił: — Kto to był?

— Niejaki Herzog.

— Tego nam starczy! — odezwał się ostro Keller, a jego pies poderwał się na równe nogi. — Jest pan tu niepotrzebny. Proszę wyjść!

— Za pozwoleniem — odpowiedział Michelsdorf — wiem wprawdzie, że ma pan szczególną pozycję w Prezydium, ale nie ma pan prawa wydawać mi poleceń służbowych.

— Owszem, tak! — oświadczył bardzo stanowczo Krebs.

— Naprawdę? — zdecydował się zapytać Michelsdorf. — O ile mi wiadomo, nie jest już pan kierownikiem tego wydziału. Bardzo mi przykro z tego powodu, ale muszę się chyba do tego stosować.

— No dobrze, niech pan spokojnie przyjmie do wiadomości, że nie jestem już odpowiedzialny za ten wydział. Ale dla pana wciąż jeszcze jestem przełożonym. Toteż rozkazuję panu, niech się pan trzyma z daleka od tego przypadku. Wszystkie papiery, które go dotyczą, proszę

przekazać pani Brasch, a pan sam niech się zajmie z powrotem prostytutką.

Michelsdorf wyszedł skonsternowany i oburzony. Keller mrugnął do Krebsa z uznaniem. Ten jednak, przygnębiony, powiedział: — Że też coś podobnego w moim wydziale...

— Nie daj się wyprowadzić z równowagi — upomniał go Keller. — Zajmij się lepiej wyszukaniem zbieżności między zapisami w aktach a dodatkowym spostrzeżeniem Zimmermanna. Wykrył on coś frapującego i znalazł pewne nazwisko. Pojawia się już ono zresztą w komunikacie naszego specjalisty od materiałów tekstylnych.

— Znow może to być jedynie przypadek.

— Ale niesłuchanie obiecujący! Sprawdź wszystko jeszcze raz. Wykorzystaj wszystko, co może ci dostarczyć Zimmermann. Najsprawniejszy byłby w tej pracy komisarz Felder. On potrafi uporać się ze wszystkim.

— A ty, Keller, pomożesz nam?

— Z rozkoszą! Chociażby dlatego, że nie chciałbym stracić okazji do spotkania oko w oko z przestępcą estetycznym. Brakuje mi kogoś takiego w mojej kolekcji.

Huber Trzeci zadzwonił do Neumanna. Zgłosiła się Undine.

— Co mogę zrobić dla pana i pana Holzingerera?

— Ogromnie się cieszę z pani gotowości! — zapewnił ją patetycznie Huber. — Także boss będzie z tego rad, bo przecież stanowimy, że się tak wyrażę, wielką rodzinę, którą pani mąż jednak dotąd...

— Przykro mi z tego powodu, panie Huber. Bardzo przykro.

— No świetnie! Ale my się przecież zobaczymy dziś wieczorem na Festynie Październikowym i mam nadzieję, że przy tej okazji poznamy się bliżej... Pani na pewno się zjawi, skoro pan Holzinger osobiście panią zaprosił.

— Chętnie. Bardzo chętnie.

— Przyjedzie po panią mercedes, boss tak zarządził. Ale na razie muszę porozmawiać z pani mężem. Jest nam pilnie potrzebny.

— Był tu — stwierdziła obojętnie Undine — ale bardzo krótko, niecałe pół godziny.

— O, do licha! — krzyknął zawiedziony Huber. — Latam za nim jak diabeł za grzeszną duszą! Ma nam jeszcze dzisiaj opracować ważny dokument, który najpóźniej jutro rano musi pójść do prasy. Nie wie pani przypadkiem, gdzie on się włóczy? O, przepraszam, dokąd poszedł?

— Skąd mam wiedzieć? Zresztą, cóż ja o nim wiem? — W głosie Undine zabrzmiała łagodna skarga. — Wiem tylko tyle, że ktoś do niego dzwonił. Jakiś pan Müller, jeżeli dobrze zrozumiałam nazwisko.

— Powiedziała pani: Müller? Naprawdę?

— Tak powiedziałam. Ale to chyba nic szczególnego. A może...

— Dokładnie tak, jak pani myśli — zapewnił ją skwapliwie Huber. Tak wielka naiwność wydała mu się obiecująca, zwłaszcza w określonej sytuacji. — Chętnie to pani wyjaśnię, jak się spotkamy wieczorem. Niech więc pani na mnie polega. Huber załatwi po prostu wszystko!

Herzog, reporter kroniki lokalnej, specjalista od wiadomości policyjnych, po wielu przygotowanych rozmowach telefonicznych, znalazł się w siedzibie redakcji dziennika „Miinchen am Morgen”. Była godzina 16.15. Kierownik wydawnictwa i współwydawca Tierisch przyjął go bezzwłocznie.

Przy tej okazji na wstępie usiłował Herzog zabłysnąć krasomówstwem, w rodzaju: — Jestem niezmiernie rad z pana gotowości... jakkolwiek nieuniknione zapewne okazjonalne napięcie... ja jednak zawsze staram się tolerować poglądy przeciwników... — Wreszcie, przynaglony przez zniecierpliwionego kierownika wydawnictwa Tierischa, przystąpił do rzeczy. To, co mówił, brzmiało całkiem zachęcająco:

— Wie pan dokładnie, kim jestem, zna pan mój dorobek dziennikarski. Zapewne nie omieszkał pan przeczytać moich prac. Przypuszczalnie też nie uszło pańskiej uwagi, gdyż niejedyn raz można to było wyczytać między wierszami, że czasem nieszczególnie dobrze czułem się wśród mego otoczenia. Mianowicie z samego usposobienia jestem przekonany konserwatywnych i dlatego postępowość za wszelką cenę, jaką uprawiała znaczna część mojej redakcji, działała mi na nerwy.

— Chce więc pan zmienić swoją postawę — stwierdził uprzejmie Tierisch. — Odniosłbym się do tego z uznaniem. Musiałoby się to jednak odbyć w sposób bardzo przekonujący.

— Mogę panu obiecać właśnie to, czego pan ode mnie oczekuje — zapewnił dobitnie Herzog. — Jestem w posiadaniu materiałów dotyczących skandalicznych wydarzeń i na razie tylko ja nimi dysponuję. Ale liberalne mięczaki z mojej redakcji oraz ich wspólnicy i poplecznicy przeszkadzili ukazaniu się moich artykułów na ten temat. Dlatego właśnie jestem u pana.

Tierisch spojrział na Herzoga całkiem przychylnie.

— Co to za materiał i przeciwko komu jest skierowany?

— Materiał jest wzięty prosto z policji obyczajowej, a więc z najbardziej miarodajnego źródła! — oświadczył Herzog. — Nie są to przy tym jakieś pospolite historyjki łózkowe, ale zupełnie poważne wydarzenie, przestępstwo obyczajowe! Zamieszane są w to cieszące się szacunkiem osoby, a wśród nich Ettenkofler.

— Ettenkofler? — zapytał Tierisch z widocznym zainteresowaniem.

— Nie powinno to pana zbytnio dziwić. Musi pan chyba wiedzieć, że ten Ettenkofler ostatnio mocno się skłania ku grupie Müllera.

— Wiem, mój drogi.

— Tym lepiej! Powinien pan również teraz się dowiedzieć, że Ettenkofler zakrzętnął się bezpośrednio wokół Müllera, wobec czego ten wywarł na swoich zwolenników tak poważną presję, że mój artykuł nie mógł się ukazać.

— Jeśli sprawy tak się mają, moglibyśmy zawrzeć transakcję — oświadczył ostrożnie Tierisch. — I to jeszcze dzisiaj. Mielibyśmy wobec tego w jutrzejszym numerze piękny zlagier. Kiedy może mi go pan dostarczyć?

— Mam gotowy konspekt pierwszego artykułu. Przyniosłem go ze sobą. Oprócz tego mam sporo materiałów do następnych artykułów. Proszę to sobie spokojnie przeczytać i powiedzieć mi, co pan o tym sądzi i jaką wartość to dla pana przedstawia.

Gdy radca Zimmermann przyszedł tego dnia późnym popołudniem na roboczą naradę w wydziale obyczajowym, sprawiał wrażenie nastrojonego nadwyzczaj pogodnie. Trzymał w ręku okazałych rozmiarów kopertę, na pozór pustą. Rzucił ją na biurko Krebsa, dodając przy tym: — Coś w rodzaju przedwczesnego prezentu gwiazdkowego dla ciebie, za namową Kellera.

Potem usiadł sobie na biurku Krebsa, prawie dokładnie na przyniesionej kopercie. Rozejrzał się wyczekująco, po czym zapytał: — Wszystko idzie dobrze?

— Tak — zameldował Krebs. — Należy to zawdzięczać Felderowi. Poruszył, jak się zdaje, połowę Prezydium. Niedługo będzie tu za ciasno.

— To wykorzystamy małą salę konferencyjną, już zarządziłem, co trzeba — oświadczył pełen przedsiębiorczości Zimmermann. — Ten przybytek gimnastyki umysłowej i masażu duchowego naszego szefa jest wolny do jutrzejszego popołudnia. Musimy być do tego czasu ze wszystkim gotowi, bo inaczej będziemy zrobieni na szaro. Zresztą zobaczymy, kto kogo załatwi. Co zrobiono dotychczas?

— Keller opracował plan działania — meldował Krebs, przejęty zdecydowaną postawą Zimmermanna. — Felder właśnie wprowadza go w życie.

— Zgodnie z tym, o czym ci wspomniałem — wyjaśnił siedzący w kącie Keller. — Interesują nas tu dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Nie muszę ci już wymieniać ich

nazwisk. Wydano zarządzenie, by jak najszybciej dostarczono wszelkie o nich informacje, jakie tylko uda się zdobyć. A także dane ogólne, jak pochodzenie, zawód, działalność, mieszkanie, życie prywatne. Trzeba będzie wyszukać, sprawdzić i przepytać jak największą liczbę osób z bliższego otoczenia tych dwojga. I zwrócić szczególną uwagę na to, co się z nimi działo w czasie popełnienia przestępstwa wczoraj wieczorem.

— Felder ocenił liczbę niezbędnych funkcjonariuszy na pięćdziesięciu — zameldował Krebs, zaniepokojony tak poważnym zapotrzebowaniem. — Keller natomiast zażądał siedemdziesięciu.

— I dodatkowo dwa zespoły do obserwacji — jeden kobiety, drugi mężczyzny. — Keller uśmiechnął się z zadowoleniem. — Te dwie ekipy uruchomiono natychmiast. Pozwoliłem sobie wydać takie polecenie. Ale czy ty mnie w ogóle słuchasz, Zimmermann?

— Nie próbuj mi imponować. Wiem, że umiesz myśleć!
— Zimmermanna wyraźnie cieszyła ta sytuacja. Nareszcie miał okazję zagrać na całej klawiaturze możliwości, jakimi dysponuje policja kryminalna. A jednak wydawało się, że całkiem zadowolony nie jest. — Czegoś mi tu jeszcze brakuje...

— Chyba to nie dotyczy kroków, które już podjęliśmy?
— zaproponował Krebs. — To akcja zakrojona dostatecznie szeroko.

— Któż by śmiał o tym wątpić? — Nic nie mogło zakłócić dobrego humoru Zimmermanna. — Przecież Keller jest naszym mistrzem! O, właśnie przypomniałem sobie, czego mi brak. Gdzie jest nasz Anton?

Na te słowa pies poderwał się spod tablicy, jakby tylko czekał, że ktoś wymieni jego imię. Podbiegł do Zimmermanna, a ten go głośno powitał: — A więc tu jesteś, cudaku! Pójdiesz ze mną do kantyny? Kielbaski, Anton! Ile tylko zechcesz. Tu nas już nie potrzebują.

— Czy mogę sobie pozwolić na pewną uwagę? — odezwał się poważnie Krebs. Keller, Zimmermann i Anton spojrzeli na niego wyczekująco. — Chodzi o wymienioną przez Zimmermanna kobietę. Widziałeś ją? Jak mówisz, podobna

jest w typie do dziewczynek ze zdjęć na mojej tablicy. Wybacz mi proszę. Muszę sam się o tym przekonać. Dopiero wtedy, mając ostateczną pewność, mógłbym...

— Chcesz może odwiedzić tę kobietę? — zapytał lekko zdziwiony Keller.

— Muszę ją zobaczyć na własne oczy! Muszę wytworzyć sobie jej obraz!

— Nic łatwiejszego! — odparł Zimmermann z widocznym zadowoleniem. — Mam przy sobie jej zdjęcie.

Keller mrugnął z uznaniem: — Istotnie spodziewałem się po tobie czegoś takiego. Już wtedy, kiedy odnalazłeś mnie i Antona w Ogrodzie Dworskim. Powiedziałem sobie wtedy: On się nie bawi w żadne przypuszczenia, ale idzie na pewniaka.

— A ja — przyznał się Zimmermann — wciąż czekałem na chwilę, kiedy zobaczę, jak głośno się śmiejesz, ty, także Krebs. Ostatecznie jest rzeczą niezmiernie dziwną, kiedy ktoś z policji kryminalnej, kogo obowiązuje ścisła rzeczowość, pozwala sobie na reakcje uczuciowe. Czy nie mam racji?

— Ale gdzie to zdjęcie? — upomniał się Krebs.

— A więc tę żeńską istotę — rozkoszował się szczegółową opowieścią Zimmermann — która tak nieodparcie przypominała zdjęcia na twojej ściennej tablicy, spotkałem na poświęceniu studni. Było tam wielu fotoreporterów robiących zdjęcia do naszych gazet; nie pomijali właściwie nikogo. Wystarczyło tylko poprosić Feldera, aby dostarczył jak najwięcej zdjęć. Co też zrobił. Pozwolił sobie tylko na niewczesną uwagę, że panu radcy zachciewa się zobaczyć na zdjęciach siebie pośród wybitnych osobistości! Najbardziej udane zdjęcie z tego zbioru zostało powiększone w naszym laboratorium.

— Gdzież ono jest? — spytał Krebs, sprężony jak do skoku.

— Na twoim biurku, w kopercie, którą tu przyniosłem.

Krebs pochwycił ją drapieżnie. Również Keller ruszył z miejsca. Tylko Anton nie okazał żadnego zainteresowania. Trzymał się blisko Zimmermanna, którego to, co działo się w pokoju, bawiło nie mniej niż sympatia, jaką okazywał mu Anton.

Otwarto kopertę. Ukazało się dużego formatu grupowe zdjęcie, ostro wywołane. Wyraźnie widniał na nim pośrodku potężny, masywny Holzinger, na prawo od niego jego żona, a na lewo jeszcze jedna kobieca postać — wiotka, śliczna blondynka. „Świetlistą postacią” nazwał ją później pewien reporter w kolumnie życia towarzyskiego.

— Dokładnie to! — przyznał niemal uroczyście Krebs, wyraźnie poruszony. — Zgadza się całkowicie. To wiele wyjaśnia.

— Nie pochwalam twojej pewności siebie — odezwał się Keller lekko ostrzegawczym tonem. — Sytuacja może przypominać górę lodową. Przecież możemy nie dostrzegać jeszcze bardzo wielu możliwości. Ale pomimo to nie powinniśmy dłużej czekać.

Keller pochwycił nożyczki i zaczął szybkimi, wprawnymi ruchami przycinać duże zdjęcie przyniesione przez Zimmermanna, aż pozostała na nim, w formacie zbliżonym do pocztówki, jedynie kobieca postać. Następnie przypiął tę fotografię na ściennej tablicy Krebsa obok zdjęć Gudrun Dambrowskiej i trzech innych dziewczynek. — Zdumiewająca zgodność — stwierdził z zadowoleniem. ss;

Panie Neumann — zaczął Müller przyjaznym tonem, co z miejsca budziło zaufanie — już od dawna pragnąłem porozmawiać z panem w spokoju. Bert Neumann przytaknął mu głową. Spotkali się w kawiarni Opern-Espresso, jak wcześniej uzgodniono, „przypadkowo”. Siedzieli teraz razem w najodleglejszym kącie. Mieli przed sobą kawę i wodę mineralną, ale nie pili, ani jeden, ani drugi. Müller zachowywał się swobodnie, Neumann wyglądał na wyczerpanego. Niespokojnie rozglądał się po sali. Lokal nie był o tej porze tłumnie odwiedzany i nie było widać znajomych twarzy. To go trochę uspokoiło. — Obawiam się — zaczął pospiesznie — że moje przyście tu mogłoby być źle rozumiane, sam pan wie, przez kogo i dlaczego. Niemniej przyszedłem chętnie.

— Pomijając już to, że Holzinger i ja rozmawiamy ze sobą od czasu do czasu w cztery oczy, czasem także tutaj, to nasze spotkanie, panie Neumann, jest po prostu, jeśli wolno mi tak powiedzieć, jednym z wielu podobnych spotkań. Wiem dość dużo o pańskich szczególnych osiągnięciach i mam dla nich szczerze uznanie. Potrafię je docenić.

— Naprawdę? — zapytał Bert Neumann. — Co pan ma na myśli?

— Przemówienia i artykuły, które wyszły spod pańskiego pióra, są na wysokim poziomie. Mają też znaczne walory literackie.

— Ale nie w ostatecznej postaci!

— Znane metody Holzingera, panie Neumann! — zapewnił go Müller. — Bardzo dobrze wiadomo, że on z miejsca upraszcza pańskie starannie opracowane koncepcje i przerabia je na frazesy. Musi być to czasem dla pana bolesne.

— Bolesne? — wykrzyknął Neumann. — To po prostu gwałt!

Zwrot ten zdziwił nieco Müllera. Jego zdaniem, nie przystawał do działań w zakresie polityki. Pomiął to milczeniem i rozejrzał się po lokalu. Był on urządzony zgodnie z duchem czasu, sterylnie i nijako. Fotele obite sztuczną skórą, na stolikach grube szklane płyty, ściany pokryte imitacją drewna, a do tego neonowe oświetlenie i chromowane listwy, całym jak w samochodzie. — Po prostu ohyda — pomyślał.

Po chwili, przypominając sobie o powziętym zamiśle, powrócił do rozmowy:

— Przypuszczam, panie Neumann, że pracuje pan dla Holzingera jedynie po to, aby mieć jakieś stałe zajęcie. Nie należy pan jednak do partii, którą on reprezentuje, a już w żadnym razie nie może się pan z nią bez zastrzeżeń identyfikować. Zgadza się?

— Czy człowiek w ogóle może znaleźć sobie miejsce, które by mu odpowiadało? — zwierzył się Bert Neumann. — Wytwarza się wokół nas jakaś sytuacja, w której wcale nie chcieliśmy się znaleźć. Nagle odnajdujemy się w świecie, który nas przytłacza i z którego nie potrafimy się wydstać, zwłaszcza o własnych siłach. Pozostajemy w nim, zdani na czyjąś łaskę i niełaskę.

Także te zdania wydały się Müllerowi nieco dziwne. Uznał je za literacką retorykę. W przypadku tego Neumanna należało przecież wziąć pod uwagę możliwość pewnej literackiej przesady, a być może nawet uznać ją za objaw jego szczególnego uzdolnienia. Müller dobrze wiedział, że wielka polityka potrzebuje języka o znacznej mocy oddziaływania.

Oświadczył zatem: — Wyobrażam sobie, że ktoś taki jak pan, obdarzony nieprzeciętnymi zdolnościami, mógłby znaleźć miejsce w sferze mojej działalności. Co pan o tym myśli? We współpracy pełnej zaufania, opartej na wzajemnym szacunku. Odpowiadałoby to panu?

— Byłoby to dla mnie wybawieniem! — rzucił Neumann i bardzo cicho dodał: — Bo nie chciałbym, by mnie wykorzystywano przez całe życie.

Tej ostatniej uwagi Müller, zajęty własnymi myślami, już nie dosłyszał.

— Oczywiście nigdy nie zażadam, by mi pan zdradził jakkolwiek służbową tajemnicę z poprzedniej działalności, chyba że pan sam tego zechce.

— Jestem lojalnym pracownikiem, chociaż ogromnie utrudniano mi czasem życie. Dotychczas.

— Potrafię to docenić — stwierdził pospiesznie Müller. — Również o aktualnej polityce w zakresie środków przekazu, jaką obecnie prowadzi Holzinger, nie chcę wiedzieć nic prócz tego, co pan sam zechce mi kiedyś powiedzieć.

Neumann znów zdał sobie sprawę, że nadal jest tylko towarem, że raz po raz ktoś będzie go kupował, a potem zapewne znów sprzedawał. Tyle tylko, że ten handlarz niewolników Müller wydał mu się mniej nieludzki.

Z trudem powstrzymywał się od płaczu.

Relacja reportera pisma ilustrowanego Konstantina Leitgeba, złożona Kellerowi:

— Jest pan zatem dobrze poinformowany. Istotnie zlecono mi zainteresowanie się tak zwanym życiem seksualnym

naszych aktualnych prominentów. Punktem wyjścia miały być zgromadzone w archiwum redakcyjnym przemówienia, wywiady i poufne oświadczenia tych osób. Opierałem się temu. Naprawdę, panie Keller. Sądziłem mianowicie, że znam już końcowy wynik. Dopiero kiedy dostałem pokazną zaliczkę...

A więc taki Müller, coś w rodzaju cnotliwego młodzianiszka! Wszystkie swoje siły skupia na uzyskiwaniu efektów pracy, a nie na przyjemnościach. Wystarczy popatrzeć na jego żonę!

Kilka miesięcy temu uwzięła się na niego jedna z jego sekretarek, wspaniała babka! Przystawiała się, łąziła za nim do każdego ciemnego kąta. A on do niej tylko dobrotliwie i serdecznie zagadywał! Dwa czy trzy razy wyjeżdżał potem służbowo z pewną oddaną przyjaciółką ze swojej partii; zatrzymywali się w tym samym hotelu, oczywiście w różnych pokojach. I trudno mu dowieść choćby najdrobniejsze przewinienia. Jak się zdaje, zdecydowanie postanowił zostać wzorowym małżonkiem!

Holzinger: ten barokowy mocarz umie używać życia! Pravidopodobnie tylko dlatego tak rzadko mówi nie, że nie chce narażać swojej nadzwyczaj kiepskiej opinii. Żony przyjaciół partyjnych, personel biurowy, przyjaciółki partnerów, wszystkie urozmaicają mu wolne od pracy chwile. Ale zawsze niezobowiązująco. Powiadają o nim, że wiąże się z każdą, ale z żadną na stałe!

Następnie Ettenkofler: w pewnym sensie człowiek honoru, także pod tym względem. Ten nie tylko korzystał, ale też płacił, i to szczerze. Każda z jego wielkich miłości zostawiała jego żonę, a potem dostawała wspaniałe zaopatrzenie. Dotychczas zdarzyło się to czterokrotnie. Ale również drobne romanse zwykł uprawiać gorliwie i wprost obyczajnie. W razie nieuniknionych skutków — przypisuje mu się około tuzina nieślubnych dzieci — zawsze następował wielkoduszny układ, na przykład czek na pięciocyfrową kwotę bądź własne mieszkanie, a także urządzenie sklepu. Niby wszystko jak należy, szlachetnie. Wręcz po monachijsku, prawda?

Kiedy jednak niespełna rok temu pojawiłem się u mego wydawcy z pierwszymi, na pewno bardzo jeszcze niekom-

pletnymi wynikami swoich poszukiwań, chwycił się za głowę. Był wprost przerażony. Jak mnie uroczyście zapewnił, chodziło mu o moją bezwstydną niedyskrecję, moją skłonność do negatywnej interpretacji, moją uciechę z plugawych postępów. On sobie wymarzył lekkie płasy uwodzicielskiego, powabnego Erosa, nie zaś obrzydłe, podstępne węszenie za rozpustą!

Nie zażądał jednak zwrotu zaliczki.

Jeśliby zaś panu, panie Keller, zebrane przeze mnie materiały miały się do czegoś przydać, to są one do pańskiej dyspozycji. Mam ostatecznie wobec pana pewne zobowiązania. Gdyby nie pan... byłbym zapewne wyładował w więzieniu i dotąd bym tam siedział.

— Siedziałby pan tam — powiedział Keller — gdyby pan na to zasłużył. Ale tak jednak nie było i dlatego panu pomogłem. Nie ma pan wobec mnie żadnych zobowiązań, panie Leitgeb, ale może mi pan wyświadczyć pewną przysługę. Byłby pan gotów sporządzić dla mnie jeszcze jedno podobne sprawozdanie?. Chodzi mi o następujące nazwiska: Weinheber, Huber, Neumann.

— Znam je — stwierdził ze znawstwem Leitgeb. — O tym drugim garniturze także zebrałem wówczas informacje, że się tak wyrażę, jako produkt uboczny czy marginesowy moich poszukiwań. Wystarczy, bym do nich zajrzał. Niezwłocznie je panu dostarczę.

Maximilian Holzinger postanowił zakończyć regeneracyjną „niezakłóconą południową drzemkę” w pokoju hotelowym. Stoczył się więc z łóżka i wstał, wzmocniony i gotów do dalszego działania. Najpierw jednak udał się do łazienki i bohatercko opryskał zimną wodą. Potem skropił się wodą kolońską „Tosca”. Poczł się teraz całkowicie odświeżony.

Owinął się miękkim płaszczem kąpielowym, biało-niebieskim, z czystej wełny, od Dietricha, najlepszego krawca miejskiego w mieście, a następnie podniósł słuchawkę tele-

fonu. Natychmiast zgłosiła się centrala. — Mogę już znów rozmawiać — powiedział. — Było coś szczególnego?

— Raczej nie, panie Holzinger — usłyszał. — Były rozmaite telefony, wszystkie zanotowane, posyłam ich wykaz panu do pokoju.

— Pięknie dziękuję, Rito — powiedział przyjaźnie Holzinger. Poznał telefonistkę po głosie. Lubił z nią pożartować, a od czasu do czasu ją obdarowywał — kwiaty, ciastka, czasem butelka szampana, zależnie od okoliczności. Był przecież człowiekiem ludu i tylko z rzadka mu się zdarzało zapomnieć o demonstrowaniu tego faktu. Przez swoich pracowników, a zwłaszcza przez kobiety, był uważany za „swego chłopca” bądź „równego faceta”, z którym można konie kraść. Zresztą istotnie tak było.

— Jeszcze jedna sprawa, panie Holzinger. Przyszedł ktoś, kto chce się z panem zobaczyć — informowała go Rita. — Przyszedł mniej więcej przed pół godziną i chciał do pana zadzwonić. Powiedziałam mu, że pan nie przyjmuje teraz telefonów, i poprosiłam, żeby zaczekał. Jest teraz w hallu.

— Powiedział, jak się nazywa?

— Niejaki Michelsdorf.

— Michelsdorf? — Świetna pamięć Holzingera, szczególnie jeśli chodziło o nazwiska, nie znajdowała żadnego punktu zaczepienia. — Nie znam. Domyśla się pani, Rito, kto to taki?

— Wiem, panie Holzinger — pospiesznie uspokoiła go telefonistka — że tu, w hotelu, nie przyjmuje pan nikogo bez uprzedniego zgłoszenia. Dlatego poprosiłam tego pana Michelsdorfa o podanie paru bliższych danych. Powiedział, że jest starszym inspektorem policji kryminalnej, ale przychodzi prywatnie.

— Niech tu przyjdzie — zdecydował Holzinger po krótkim wahaniu.

Michelsdorf zjawił się po paru minutach. Zachowywał się grzecznie, nie okazując zakłopotania, raczej pewną ciekawość. Ostatecznie w ciągu swej służby miewał styczność z wysoko postawionymi osobistościami, co mu przeważnie niezbyt imponowało. Ale do tego Holzingera odczuwał bądź co bądź sympatię.

Holzinger serdecznie przywitał przybysza, jakby od dawna na niego czekał. Podprowadził go do sofy obok okna, poprosił go, by usiadł, i zapytał, czego sobie życzy — kawy, kieliszka wódki, piwa? W ciągu tej całej, utrzymanej w jowialnym tonie ceremonii dokładnie sobie obejrzał i oszacował Michelsdorfa. Uznał, że trzeba go traktować poważnie, że nie jest on kimś bez znaczenia.

Nalał do dwóch kieliszków gorzkiej wódki, pędzonej w górach. — To prezent od gubernatora Tyrolu, jego własny, najwyższej jakości trunek! Przeznaczony tylko dla niezwykłych gości. Bo policja kryminalna u mnie to wydarzenie bardzo rzadkie.

— Czy powiadomiono pana, że jestem tu, że tak powiem, prywatnie?

— Ależ tak. — Holzinger rozsiadł się wygodnie w fotelu. — Przypuszczam, że wiadomo panu, kim jestem. Mogę wiedzieć, kim pan jest?

Michelsdorf odczuł atmosferę, w jakiej toczyła się rozmowa, jako niezwykle przyjazną, co w istotny sposób ułatwiało jego misję. Skwapliwie się przedstawił: — Starszy inspektor w Prezydium Policji, zastępca kierownika wydziału obyczajowego.

— Obyczajowego? — zapytał Holzinger, wyraźnie okazując swoje zaskoczenie. — Czy pan tu przychodzi jako pracownik tego wydziału? I to w mojej sprawie? — Pochwycił swój kieliszek, wychylił go do dna, wstrząsnął się, po czym zapytał: — Czy ktoś chce mnie, akurat mnie wpakować w jakąś taką historię?

— Niech mi będzie wolno zwrócić pańską uwagę, że przyszedłem do pana prywatnie — zapewnił go uprzejmie policjant. — A zatem z własnej inicjatywy, kierując się osobistym zaufaniem. Nie mogę się pogodzić z myślą, że nawet pana, którego zdecydowaną postawę polityczną bardzo szanuję, może ktoś wplątać w bardzo nieprzyjemną aferę.

— Rozumiem — powiedział Holzinger, pojmując w lot, o co może tu chodzić. Ponownie napełnił swój kieliszek i przepił do gościa, po czym wypili obaj, patrząc wzajem na siebie.

— Chce pan więc mnie ostrzec? — odezwał się Holzinger po chwili. — To bardzo ładnie z pana strony. Poza tym za-

mierzą pan zapewne poufnie mnie poinformować co do ewentualnych środków zapobiegawczych. Muszę to sobie bardzo wysoko cenić. Może pan również być pewien, że wiem, ile są warte przyjacielskie przysługi. A więc o co mianowicie chodzi?

— W naszym wydziale — zaczął policjant, starając się mówić zwięźle i zrozumiale — rozpracowuje się właśnie przypadek usiłowania popełnienia ciężkiego przestępstwa obyczajowego na dziecku, co się wydarzyło wczoraj wieczorem. Dochodzenie, moim zdaniem, wybiega daleko poza wszelkie dozwolone granice, między innymi dlatego, że przy okazji pojawiło się kilka nazwisk o niemałym znaczeniu.

— Do diabła! — zawołał oburzony Holzinger. — Ale chyba nie moje? — Z przerażeniem dostrzegł, że jego gość przytakuje. — Jeżeli naprawdę tak jest, to niesłychane świństwo! Któryż to bałwan jest za to odpowiedzialny?

— Zanim odpowiem na pańskie pytanie, proszę pozwolić, że zapoznam pana ze szczegółami oczekującego pana śledztwa. Na miejscu przestępstwa znaleziono poplamioną chustkę do nosa. Podobne chustki, najwyższej jakości, jak ustalono, nabyło w Monachium bardzo niewiele osób. Znałe są nawet ich nazwiska. Jest wśród nich także pańskie nazwisko, panie Holzinger! Poza tym także nazwiska dwóch bardzo bliskich panu ludzi, Hubera i Neumanna. A do tego jeszcze Ettenkoflera.

— Przecież to czysty obłąd! — stwierdził Holzinger, wyraźnie przejęty. — Z powodu jakiegoś śmiesznego wydarzenia nikt chyba nie zechce mnie osobiście robić świństwa! Kto jest odpowiedzialny za te okropne bzdury? Niech pan wreszcie powie! Czegoś podobnego, ma się rozumieć, nie będą cierpieć!

— Z punktu widzenia kryminalistyki podobne dochodzenie można nawet uznać za uzasadnione — powiedział Michelsdorf, pozornie głęboko się zastanawiając. — Jednakże niezwykła jest jego skala i wywierane naciski. Dlatego też niedwuznacznie i bardzo wyraźnie ostrzegałem przed podobnym postępowaniem odpowiedzialnego za to komisarza Krebsa, ale niestety, jak się obawiam, daremnie.

— Zatem on się nazywa Krebs — szybko stwierdził Holzinger. — To on chce mi stwarzać trudności, akurat mnie! Co to za człowiek?

— Powiedziałbym: budzący pewne wątpliwości, jeśli pan ciekaw mojego osobistego zdania — zdecydowanie stwierdził Michelsdorf. Był już pewny, że znalazł w osobie Holzingera poszukiwanego partnera. — Tym bardziej że chyba nie przypadkiem jest ożeniony z byłą okazjonalną prostytutką.

— Co pan powiada! — zawołał Holzinger, nastawiając ucha i szybko znów napełniając kieliszki. — W każdym razie rad jestem, drogi panie Michelsdorf, że mnie pan odowiedział. Niech więc będzie zaufanie za zaufanie! Od tej chwili należy pan do najbliższych mi osób!

Trzy rozmowy telefoniczne Holzingera:

Rozmowa pierwsza: Z Huberem Trzecim, znajdującym się w centrali partyjnej:

Holzinger: No, co tam słyhać, ty podejrzany przestępco obyczajowy?

Huber: U mnie wszystko w porządku, szefie, jak zawsze. Stale na chodzie! Tylko ten Neumann jest wciąż nieuchwytny, gdzieś się włóczy. Tymczasem ja się morduję nad tą głupią dokumentacją o radiu i telewizji. Ale dlaczego to mam być przestępcą obyczajowym, szefie, i jeszcze do tego podejrzanym?

Holzinger: Zaraz to zrozumiesz! Przyjdź natychmiast do mnie do hotelu! Czeka tu na ciebie ktoś z policji kryminalnej, ale to nasz człowiek. Trzeba uspokoić pewnego rozbrykanego faceta. Nazywa się Krebs. Nasz człowiek nazywa się Michelsdorf.

Rozmowa druga: Holzinger z Ettenkoflerem, znajdującym się w swojej willi w Grunwald:

Holzinger: Własnym uszom nie wierzyłem, mój wielce szanowny! W jakim to sposób akurat panu przydarzyło się

znaleźć wśród prawdopodobnych przestępców obyczajowych? Co prawda, nie zawsze zgodnie działamy na niwie politycznej i gospodarczej, jednak to, czego musiałem wysłuchać, wstrząsnęło mnie do głębi!

Ettlenkofler: To tylko nieporozumienie! Mogę panu wyjaśnić wszystko, jeśli pan chce.

Holzinger: Może pan? Oczywiście chcę! Jak najszybciej! Niech mnie pan zaraz odwiedzi!

Rozmowa trzecia: Holzinger z dyrektorem Hadrichem:

Holzinger: Sam pan wie, jak bardzo pana szanuję, panie dyrektorze. Jeżeli sprawy się ułożą po mojej myśli, zostanie pan następnym prezydentem policji. Czy pan jednak wie, na co sobie pozwalają pańscy ludzie, byle tylko rzucić podejrzanie na najbardziej szanowanych obywateli?

Hadrich: Każę, oczywiście, wyjaśnić sprawę. Ale o co chodzi? I kiedy mogę złożyć wyjaśnienie?

Holzinger: Dzisiaj wieczorem. Ponieważ chce pan najpierw sam się dokładnie poinformować, to oznajmiam, że chodzi o wydział obyczajowy, o Krebsa. Jeśli zajdzie potrzeba, podam panu również inne szczegóły. Zobaczmy się więc na Festynie Październikowym. Wie pan, gdzie tam mnie można znaleźć. Serdecznie pana powitam. A może ja pana poszukam? Jeżeli to będzie konieczne. We wspólnym interesie!

8

Obawiałem się, że pani nie przyjdzie — powiedział Erwin Müller na widok Brigitte Scheurer. — Przecież pan do mnie zadzwonił i byliśmy umówieni — odpowiedziała uśmiechając się do niego. — Dlaczego bym więc miała nie przyjść?

— Bo moja propozycja wydała mi się zbyt spontaniczna.

— Lubię, jak ktoś się zachowuje spontanicznie. — Bez skrępowania ujęła go czule pod ramię. — Co teraz zrobimy?

Spotkali się w podziemiu pod Karlsplatz, pośród rzęsiście oświetlonych witryn, pod jakąś kwiaciarnią. Było to miejsce spotkań młodych ludzi, pasażerów szybkiej kolei i metra, którzy lubili tu spacerować dla zabicia czasu. Dlatego właśnie oni oboje nie zwracali tu na siebie niczyjej uwagi. Był to po prostu grunt neutralny, gdzie mijali ich ludzie spieszący w rozmaitych kierunkach.

Podobał mu się jej naturalny sposób bycia. — Czuję się prawie tak beztrosko jak za studenckich czasów!

— Ja w tym wieku byłam sprzedawczynią w sklepie bławatnym — powiedziała Brigitte. — Nigdy nie miałam przyjaciela studenta. Czas, żeby to sobie powetować.

— Na Festyn Październikowy należałoby nie dojeżdżać, ale iść pieszo — powiedział Müller lekko rozmarzonym tonem, schodząc z nią razem z ruchomych schodów. — Na przykład iść sobie wzdłuż Schwanthalerstrasse, wśród rozbawionego tłumu, zbliżać się tam powoli do powodzi świateł, ku tym zapachom pieczeni i prażonych migdałów.

— A potem wylądować wśród wrzawy w którymś namiocie, gdzie nie sposób zamienić kilku rozsądnych słów...

Odłożmy tę przyjemność na trochę później. Będziemy jej jeszcze używali całymi godzinami.

— Zgoda. A dokąd teraz? — Erwin Müller wprawdzie całkiem dobrze się orientował w wielkim świecie luksusowych hoteli, wykwintnych restauracji i dobrych mieszczańskich piwiarni tego miasta, ale znacznie gorzej w środowisku ulicznych kawiarni, narożnych barów i restauracyjek przy bocznych uliczkach. — Gdzie, uważa pani, moglibyśmy sobie trochę pogawędzić? W miarę możliwości w spokoju, jeżeli to pani odpowiada?

Brigitte Scheurer, która czuła się tu u siebie, zaproponowała włoski lokal „Fontana di Trevi” w pasażu przy Sonnenstrasse — na dole kawiarnia, na górze restauracja. Przychodzili tu przeważnie Włosi, lecz także wtajemniczeni monachijczycy, którzy umieli docenić wyśmienitą kawę espresso. — Tam przynajmniej będziemy bezpieczni przed wszelkimi prominentami. Tam bywają tylko amatorzy włoskich specjałów, a oni nikomu nie przeszkadzają.

Znaleźli na parterze w głębi po prawej stronie wolny stolik. Usiedli tam i nikt nie zwracał na nich uwagi, nawet kelner obsługujący ich rejon. Erwin Müller poczuł się tu od razu dobrze, zwłaszcza że Brigitte Scheurer siedziała na ławie tuż obok niego. Oboje nachylili się nad kartą napojów i — głowa przy głowie — studiowali ją starannie i długo. Wreszcie zamówili dwa razy espresso.

— Mam nadzieję, że nie jest tu dla pana zbyt prymitywne? — zapytała, lekko zaniepokojona.

— Właśnie to lubię! — zapewnił ją. — Jestem w istocie człowiekiem nie wymagającym i nieskomplikowanym. Pochodzę ze skromnego środowiska. Mój ojciec był zwyczajnym urzędnikiem podatkowym, matka musiała pracować w fabryce amunicji. Ja sam nielekką zdobywałem pieniądze na studia, jako dorywczy robotnik na budowie, a potem siłą pomocniczą przy wywozie śmieci.

— Wiem o tym wszystkim — stwierdziła Brigitte, uśmiechając się gdzieś w przestrzeń. — Znam pański życiorys w szczegółach z artykułów prasowych, z ulotek, z programu wyborczego partii. Ale czy to wszystko prawda?

— W najdrobniejszych szczegółach! — zapewnił, ubawiony jej wątpliwościami. — Naprawdę tak było, chociaż dla celów propagandowych co nieco przesadzone. W rzeczywistości, w czasie kiedy przyszedłem na świat, ojciec mój był nadinspektorem służby skarbowej, a obecnie jest emerytowanym radcą rządowym. Prawdą jest także, że matka musiała pracować w fabryce amunicji pod koniec wojny, ale tylko w administracji tego zakładu. Poza tym była córką zamożnego aptekarza; dzięki temu umożliwiła mi studia prawnicze, które potem ukończyłem — jak to się mówi — ze świetnym wynikiem. W każdym razie później, niejako zauroczony, a może tylko złudzony, dość szybko przerzuciłem się na politykę.

— Co poza tym nie całkiem zgadza się z prawdą w pańskim oficjalnym życiorysie? Może twierdzenie o pana nie-nagannym, zgodnym pożyciu małżeńskim?

— Proszę pani, czy koniecznie musimy mówić właśnie o tym? — uciął ten temat Erwin Müller.

— Nie — zapewniła go pośpiesznie Brigitte. Wystarczyła jej taka właśnie odpowiedź. Szybko mówiła dalej: — Pozostańmy więc przy sprawach polityki! Nazywają pana człowiekiem przyszłości, którego nikt nie powstrzyma. Nawet taki Holzinger. Powiadają jednak, że jeśli ktokolwiek w ogóle może panu zagrozić, to tylko on.

— Jak sądzę, obaj żyjemy obok siebie, ale się roz mijamy; zbyt się różnimy. On jest żywiołowy i wierzy w swoją moc, a ja raczej rozważny i skłonny do analizowania. On działa spontanicznie i doraźnie reaguje na sytuację, a ja myślę konkretnie i buduję dalekosiężny plan, on prowadzi politykę na użytek swoich zwolenników, a ja jestem politykiem w ogóle dla ludzi.

— Unika pan bardzo aktualnego słowa: władza!

— Wzdragam się przed tym słowem, Brigitte! Każda władza bowiem łączy się z użyciem siły. Ja natomiast nie chcę nadużywać siły, po prostu nie potrafię!

— Ale on, Holzinger, potrafi, a nawet chce. Będzie usiłował pana zmusić, aby się pan zniżył do jego poziomu. Będzie chciał na tym poziomie dogodnie pana ustawić, a potem celnie ugodzić!

— Całe to szczęście dla mnie, Brigitte, że istnieją jeszcze ludzie tacy jak pani! — wyznał jej cicho.

— Ludzie tacy jak ja? — zapytała zdumiona.

— Uważa pani za swój obowiązek mnie ostrzec. Niepokoi się pani o mnie. Czuję się szczęśliwy z tego powodu. Instynkt podpowiedział pani, że czuję się poniekąd opuszczony. Może to człowieka doprowadzić do tego, że staje się rozgoryczony i nieczuły, a nawet prostacki i bezwzględny. A ja ani taki nie jestem, ani nie chcę być, zwłaszcza gdy mam obok siebie kogoś takiego jak pani, Brigitte!

No, jest pan wreszcie! — zawołała na widok Berta Neumanna sekretarka w przedpokoju partii konserwatystów przy Sendlinger-Tor-Platz. — Wszyscy już na pana czekają!

„Wszyscy” znaczyło w tej chwili tyle, co Huber Trzeci. W czasie nieobecności Holzingera władzę w biurze sprawował jego „osobisty referent”, a czynił to zarówno głośno, jak i gorliwie. Przebywał w gabinecie swego szefa i tam niezwłocznie mu zakomunikowano o pojawieniu się Berta Neumanna.

— No, nareszcie! — zawołał do niego. — Ty śpiący rycerzu! Mam nadzieję, że w dobrej formie umysłowej. Bardzo jej tu potrzebujemy! Na swoim biurku znajdziesz zbiór dokumentów na temat środka masowego ogłupiania, zwanego telewizją. Siadaj i zaczynaj płodzić. Niedługo przyjdę do ciebie. Chciałbym zobaczyć, jak ruszysz z miejsca!

Potem zwrócił się do mężczyzny, który znajdował się razem z nim w pokoju, i powiedział: — Niech pan tymczasem wysmaży jeszcze jakieś przydatne szczegóły, panie Michelsdorf. Jest pan na właściwej drodze. Ja w każdym razie muszę w tej chwili mocno popędzić kota naszemu chytruskowi. Zaraz przyjdę z powrotem.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie zazwyczaj pracowali obaj z Neumannem, biurko przy biurku. Zastał tam swego jajogłowego kolegę stojącego przy oknie i wpatrzonego w fontannę tryskającą na placu.

— Chłopie, jak ty znów wyglądasz! — zawołał Huber, oburzony i zarazem rozbawiony. Ubranie Neumanna było bowiem brudne i wygniecione, włosy rozwichrzone, krawat rozluźniony, koszula zaś daleka od świeżości, której w tym miejscu wymagano. — Wyglądasz, jakbyś się zaciągnął do hippisów! Gdzież ty się znów włóczyłeś?

— W rozmaitych miejscach — odpowiedział nieprzytomnie Bert Neumann. — Zresztą kogo to obchodzi? — Następnie gwałtownie dorzucił: — I kogo to może obchodzić?

— Nas — stwierdził z miejsca Huber. — Jesteś naszym pracownikiem i my ci płacimy. U Holzingera dzień liczy dwadzieścia cztery godziny, a tydzień siedem dni. Do tego także ty masz się zastosować. W każdym razie facet w twoim rodzaju jest tu w tej chwili pilnie potrzebny.

— Nie tylko tu, na szczęście.

— Co to ma znaczyć, Neumann? — Huber Trzeci, teraz zupełnie jak drugi boss, spojrzał groźnie. — Chcesz nam przypadkiem narobić kłopotów? Chłopie! Gdybyś tylko spróbował, to my narobimy ich tobie. I to jakich! A może to prawda, że ten Müller we własnej osobie raczył zatelefonować do ciebie? I co? Czepia się ciebie?

— No, a gdyby nawet tak było, to co z tego? — odpowiedział wyzywająco Bert Neumann, po czym opadł na fotel przy swoim biurku. — Wiem, wiem, na razie wciąż jeszcze jestem u was na umowie.

— Jeszcze o tym pomówimy, o tobie i o manipulacjach tego małego dupka Müllera. — Pod nieobecność bossa Huber zwykł się wyżywać w ordynarnych wyzwiskach. — Teraz masz zajmować się tylko tym, co my ci dajemy do zrobienia. W pierwszej kolejności zajmiesz się materiałami w sprawie radia i telewizji, których sam zażądałeś. Opracujesz to w takim sensie, żeby z tego jasno wynikało, że ci dranie z lewicy nadużywają jednostronnie tych środków przekazu. Jasne? Wykorzystaj, co się tylko da. Postaraj się, żeby to było przekonujące!

— A co pan teraz będzie robił?

Huber udał, że się nad czymś głęboko zastanawia. — Muszę się uporać z całkiem innymi sprawami, bo poza zwykłymi kłopotami mamy u siebie policję kryminalną.

- Kogo? — zapytał Neumann, przytomniejąc nagle.
- Powiedział pan, policję kryminalną?
- Nawet jej najgorszy, jaki sobie można wyobrazić, rodzaj, to znaczy obyczaj ówkę!
- Dlaczego?
- Nie szukaj tego, czegoś nie zgubił, Neumann. Każdy z nas ma do załatwienia to, co do niego należy. Ty masz swoje sprawy, a ja swoje. A co się ciebie tyczy, to masz wreszcie odwalić całą swoją robotę.
- O co chodzi policji?
- To ciebie wcale nie obchodzi. Ja mam ich załatwić. Ty masz tylko przygotować dla Holzingera materiał nadający się do użycia przeciwko radiu i telewizji. On na to czeka. Na Festynie Październikowym. Chcesz może, żeby czekał na próżno?

Utworzona w Prezydium Policji komisja specjalna w składzie: Zimmermann i Felder, a do tego Keller i Krebs, o godzinie 19.30 funkcjonowała już pełną parą. Jej miejscem działania była sala konferencyjna. Znajdował się tam duży stół i wokół niego dwanaście krzeseł, w głębi za stołem cztery okna. Przeważały ciemne kolory — szarawa zieleń i ciemny brąz drewna.

Na stole zamontowano trzy telefony, w tym jeden czerwony, a więc łączony przez centralę w pierwszej kolejności. Poza tym dwa radiotelefony, jeden do łączności z pięcioma gotowymi na każde wezwanie radiowozami, drugi, nastrojony na specjalną częstotliwość, do bezpośredniej łączności z dwoma znajdującymi się już w akcji grupami obserwacyjnymi.

Nad całością urządzeń w sali konferencyjnej panował komisarz Felder. Swoi nazywali go także „Woźnica Felder”, z powodu jego niewzruszonego opanowania w kontaktach z policjantami wszelkich stopni i kryminalistami wszelkich odmian. Był średniego wzrostu, rudy, z pozbawioną wyrazu twarzą zamiatacza ulic.

Na prawo od niego siedziała okazała i cierpliwa pani Brasch. Opatrywała wszelkie napływające meldunki adnotacjami na marginesie: godzina, symbol akt, szczególnie uwagi. Następnie przekazywała te meldunki inspektorowi Feinerowi, który siedział na prawo od Feldera. Ów Feiner był niedużym, jak łasica zwinnym mężczyzną, szybko i trafnie reagującym. Uchodził za drugiego po Krebsie znawcę zawartości wszystkich znajdujących się w urzędzie kartotek obyczajowych.

— Napływa coraz więcej meldunków — stwierdził Felder. — Jednakże, o ile mogłem się dotychczas zorientować, są to jedynie opisy sytuacji, lecz nic istotnie nowego.

Zimmermann oczekiwał na dalszy bieg wypadków, stojąc z Kellerem i Krebssem w najdalszej niszy okiennej. Krebs przeczukał kartki notatnika. Radca, nachylając się nieco, również do niego zaglądał. Tymczasem Keller cesał swego psa Antona, a zwłaszcza jego głowę, czemu sentymentalnie nastrojony pies poddawał się z lubością, powarkując tylko z lekka.

— Chyba coś ciekawego w meldunku z Ulm — zauważył Felder. — Trafili tam prawdopodobnie szczęśliwie na kogoś obdarzonego dobrą pamięcią.

Podał meldunek Zimmermanowi. Ten przeczytał go i bez komentarza podał Krebsowi. Krebs, jak się zdawało, studiował go dokładnie, co wzbudziło zaciekawienie Kellera. Czytał go więc równocześnie z Krebssem. Dowiedział się, że „wspomniana wyżej osoba, w wieku czternastu lat, była powódką w procesie o zniesławienie. W procesie tym chodziło o zarzut, że jej ojciec utrzymywał szczególny, wysoce podejrzany stosunek z tą swoją córką. Na co jednak nie było żadnego prawnie bezspornego dowodu...”

— Ten przypadek również potwierdza moją teorię — stwierdził z naciskiem Krebs.

— Gdyby rzeczywiście tak miało być — wmieszał się niezwruszenie rzeczowy Felder — to byłoby wskazane sprowadzić tu również doświadczonego psychiatrę.

— Skąd go wziąć tak od razu w niedzielę wieczorem? — zapytał Zimmermann. — Poza tym wydaje się, że pozostało nam najwyżej parę godzin! Na szczęście mamy naszego Kellera.

— Jestem zaledwie praktykiem — ostrzegł go Keller.

— Ależ tu chodzi o chłodną, kompetentną refleksję kryminalistyczną! Ty właśnie jesteś odpowiednim do tego człowiekiem. — Zimmermann nie chciał tracić czasu na teoretyczne dywagacje. — Co meldują grupy obserwacyjne?

Pierwsza grupa obserwacyjna, obiekt — mężczyzna:

— Po dłuższym poszukiwaniu podjęto jego trop o godzinie 18.17 w pasażu dla pieszych między Marienplatz a ulicą Stachus. Stamtąd udał się przez Sonnenstrasse na Sendlinger-Tor-Platz. Wszedł do budynku centrali partyjnej o godzinie 18.30. Dotychczas tam przebywa.

Druga grupa obserwacyjna, obiekt — kobieta:

— Pozostawała we własnym mieszkaniu. Została zabrana o godzinie 18.45 mercedesem sześćset z kierowcą. W wozie na tylnym siedzeniu prawdopodobnie pan Holzinger. Oboje wysiedli w pobliżu terenu Festynu Październikowego, na Bayerstrasse. Stamtąd poszli dalej pieszo.

Przy całej życzliwości, Krebs, wygląda mi to tylko na przyjemną rozrywkę — oświadczył prowokacyjnie Zimmermann. — Kosztowna taktyka i uderzenie w próżnię!

— Być może uda się nam jednak komuś pomóc na czas i skutecznie — rzucił ostrożnie Keller, też nieco prowokując.

— Ten przestępca jest już całkowicie gotów do działania — stwierdził z przekonaniem Krebs. — Wszystko, co o nim wiemy, wskazuje na to, że może on się znów bardzo szybko uaktywnić. Chociaż nie możemy być tego absolutnie pewni.

— W takim razie — powiedział Keller, jeszcze ostrożniej niż przedtem — powinni byśmy mu dać następną okazję. Całkiem świadomie.

— Jak ty to sobie wyobrażasz? — zapytał Krebs, szczerze zdziwiony. — Ten człowiek działa zgodnie z pojęciem.

Czynnik wyzwalający akcję znajduje się w nim samym. Nikt nie może go zmusić do konfrontacji.

— Keller to potrafi — odezwał się zachęcająco Zimmermann. — Nie wie tylko jeszcze, jak to uczynić najlepiej, najskuteczniej i najsprawniej.

Krebs przełknął odpowiedź, którą miał już na końcu języka. Uniósł tylko rękę jakby obronnym gestem i znów zajął się swymi papierami.

Nie przeczuwał, co zawisło nad jego głową.

To, co pani widzi przed sobą, moja droga, szanowna pani Neumann — zawołał Holzinger, wskazując na lunę świateł nad terenem Festynu Październikowego — zawsze mi się wydaje odblaskiem ludzkiego losu: pokusy, uwiedzenia i rozkoszy w powodzi świateł. Kto jest na to obojętny, ten nie potrafi żyć. A kto nie umie żyć, ten jest tylko nieszczęsnym bydlęciem.

— Wszystko to jest dla mnie jakieś nowe, zdumiewająco dziwne — powiedziała Undine, idąc obok niego i usiłując dotrzymać mu kroku. — Ale pan na pewno mi wyjaśni, na czym to wszystko polega, prawda?

— Niech mi pani spokojnie zaufa, znam się na tym wszystkim.

— Pan jest człowiekiem ludu, jak mówią.

— Nie tylko — roześmiał się na głos. — Odznaczam się także kilkoma zdolnościami, które przy najbliższej okazji chętnie pani zademonstruję.

Po drodze wielu go poznawało. Witano go skinieniem głowy, ruchem ręki, uściskiem dłoni. Pozdrawiano go: „Wszystkiego dobrego, Max!” lub „Tylko tak dalej!”, a także „Pokaż im jeszcze raz, tym zasrańcom!”.

— Oni pana uwielbiają! — stwierdziła ze zdumieniem Undine Neumann. Musiała to wykrzyzczyć, gdyż gęstniała już wokół nich i tętniła odświętna wrzawa.

Doszli do głównego traktu tej skondensowanej rozrywki i wpadli w nurt spragnionych zabawy ludzi, gotowy ich

wchłonąć i porwać ze sobą. Undine uchwyciła się ramienia Holzingera niby w poszukiwaniu oparcia.

Rad z tego, przygarnął ją serdecznie i, jak to mężczyzna, roześmiał się protekcyjnalnie: — Jeszcze się pani do tego przyzwyczai, moja droga!

— Bardzo bym tego chciała — zapewniła go patrząc mu z ufnością w oczy. — Na pewno tak będzie, jeśli pan mi tylko pomoże.

— Ależ z rozkoszą! — Holzinger objął ją prawą ręką za ramiona, jakby chciał ją sprawdzić dotykiem. Poczuł, że choć tak delikatna, ma dość ciała przy kościach, a jej piersi wcale nie wyglądały na drobne. — Z pewnością dobrze się zrozumiemy. Nie powinienem pani zawieść.

— Zbyt wiele zaniedbałam w swoim życiu — wyznała.

— Przypuszczalnie tak jak większość ludzi! Dopiero kiedy się to zrozumie, można sobie to jakoś powetować. Ale więcej o tym później. Muszę się najpierw zająć kilkoma niesłychanie prozaicznymi zagrywkami politycznymi. Mam nadzieję, moja droga, że pani to nadmiernie nie znudzi. A potem przyjdzie czas na przyjemności!

Wszystko to wygląda bardzo obiecująco — odezwał się Huber Trzeci do starszego inspektora Michelsdorfa. — Kto wie jednak, czy to rzeczywiście wystarczy.

— Czegóż pan chce więcej? — Michelsdorf był nieco spięty, lecz nie tracił pewności siebie. — Tego materiału starczyłoby nawet do zachwiania stołkiem prezydenta policji!

Podstawy takiego mniemania przedstawiały się następująco: Po pierwsze, miał on odpis notatki służbowej dotyczącej specjalnego dochodzenia w sprawie chustki do nosa. Figurowało na niej nazwisko Holzingera oraz inne nazwiska osób z jego najbliższego otoczenia. Po drugie, kompetentny w tej sprawie i jedyny odpowiedzialny komisarz Krebs jest jawnie zdecydowany rozszerzyć swoje śledztwo również na

osobę pana Holzingera. A to może wywołać skandal! Po trzecie, ten Krebs to postać dość wątpliwej wartości, ponieważ jest ożeniony z osobą podejrzaną w przeszłości o uprawianie okazjonalnej prostytucji. Jak się wydaje, nawet teraz uprawia ona swój dawny proceder, przeważnie po południu. Ustalono dwa świadczące o tym adresy. Krebs może więc ulegać naciskom z tej strony.

— Wysoce przydatne — skwitował Huber. Ponieważ zaś usiłował myśleć podobnie jak jego szef, lubił również przybierać pozę sceptycznego realisty. — Może się jednak zdarzyć, że temu Krebsowi zacznie się palić ziemia pod nogami, będzie się więc bał wprowadzić w czyn swoje niewczesne pogroźki. W takim przypadku mogłoby się okazać, że to my niepotrzebnie, to znaczy przedwcześnie, siejemy wiatr.

— Z tym się nie można zgodzić. Pewien dziennikarz przygotowuje się właśnie do mocnego zaatakowania tych nadużyć, o których całkiem przypadkowo uzyskał informacje. Niezawodnie wkroczy on na arenę. Jest to niejaki Herzog. Zna go pan?

Huber ze zrozumieniem pokiwał głową. — Świetnie go znam! Można mu śmiało powierzyć podobną sprawę. On na pewno poruszy odpowiednią sprężynę!

— Zdaje się, że już poruszył. Przeniósł się do „Miinchen am Morgen”. Poradzi więc pan panu Holzingerowi, aby teraz zastosował wszystkie środki odwetowe?

— Będę chyba musiał. Ale mówiąc szczerze, drogi panie Michelsdorf, znacznie lepiej bym się czuł, mając w ręku bardziej pewny materiał przeciwko Krebsowi jako temu, kto rozpętał tę aferę.

— Cóż takiego jeszcze?

— Przede wszystkim jedno musi pan wiedzieć, mój drogi: nasz Holzinger nie załatwia niczego połowicznie. Kiedy on uderza, musi coś trzasnąć.

— Moje materiały wystarczą!

— Wie pan, że mój szef zawsze powiada: „Polityka często bywa fabryką porcelany, w której jest mnóstwo słoni. Zawsze tam pełno skorup.” Ale kto tam wie, co się potłukło?

— To się może odnosić do polityki, ale nie do policji kryminalnej, a już w żadnym przypadku do takiego Krebsa! Krebs to szczwany wyga i chociaż udaje bardzo łagodnego, to jest bardziej zaciekły niż pies na tropie, a przy tym wytrwalszy od psa. Ma tylko jedną jedyną słabą stronę: życie prywatne!

— Kto tam będzie sobie zaprzętał głowę czymś podobnym! W naszych czasach, w których nic świętego nie ma! Kiedy można sobie używać, poczynając od flirtu, a na zdradzie małżeńskiej kończąc. To się przecież zdarza w najlepszych rodzinach.

— To pan nie chce...

— Tylko spokojnie, panie Michelsdorf! Wsiadł pan na właściwy statek, tylko obrał pan zły kurs.

— Do czego pan zmierza?

— Oto mój pogląd: Jeżeli strażnik obyczajów żeni się z osobą znaną z nie najlepszej strony władzom, jest to oczywiście rzecz przykra. Ale też i nic więcej. — Huber, wyszkolony przez Holzingera, zamierzał teraz odwalić całą robotę. — Gdyby się jednak udało zdemaskować go jako popełniającego wykroczenia obyczajowe, to sytuacja stałaby się dla niego niebezpieczna.

— Zbyt wiele pan ode mnie wymaga!

— Pan też niemało od nas oczekuje. Ale jeśli pan chce tego Krebsa strącić ze stołka, to musi się pan do tego jakoś przyczynić.

— W pańskim ujęciu wszystko staje się bardzo trudne, panie Huber. A tymczasem ja chcę tylko pomóc panu, a tym samym i panu Holzingerowi. W tej chwili nie jest przedmiotem dyskusji, czy ma to być bezinteresowne, czy nie. W każdym razie jedno jest pewne: z kimś takim jak Krebs nie upora się pan tak łatwo. Musi pan wytoczyć ciężką artylerię. Trzeba go uczynić niezdatnym do walki.

— Ależ my chcemy dokładnie tego samego! — zawołał Huber, łagodząc sprawę. — Wspólnie z panem. Tylko właśnie potrzebna jest najcięższa artyleria! A teraz powiedzmy sobie całkiem wyraźnie, przecież Krebs jest tylko człowiekiem, w dodatku takim, który z urzędu miał styczność z roz-

maitymi prostytutkami. Przy okazji na pewno też przejechał się na jednej lub drugiej?

— No tak — odpowiedział Michelsdorf, zastanawiając się głęboko — wobec postawnej młodej dziwki niejeden już kapitulował. Ale nie ja. I byłoby jednak trudno udowodnić coś takiego Krebsowi.

— No pięknie! Jak nie, to nie. Ale przecież są u was zatrudnione także kobiety. Stwarzają one zawsze sporo okazji do wyrażenia im, że tak powiem, namacalnej sympatii. W każdej instytucji jest to samo.

— U nas niekoniecznie — odparł Michelsdorf niemal z żalem. — Tym bardziej że w naszym urzędzie przeważają funkcjonariuszki raczej przejrzałe, które trudno sobie wyobrazić w jakichś sytuacjach łóżkowych. Być może z wyjątkiem koleżanki Leineweber.

— Niech będzie którakolwiek — przynaglił go Huber. — Najważniejsze, żeby się znalazła chętna! Tylko parę obciążających szczegółów, a do tego zaprzysiężone oświadczenie, jedno jedyne, i wszystko się potoczy! No, to jak będzie?

— Musi tak być koniecznie?

— Holzinger przywiązuje wagę do tego, aby robota była wykonana do końca. A pan, Michelsdorf, drogi przyjacielu, chce tego Krebsa usunąć ze swojej drogi. To dobrze, pod tym względem jesteśmy zgodni. Ale właśnie dlatego trzeba działać połączonymi siłami i bez rozwiązań połowicznych.

Z notatek emerytowanego funkcjonariusza policji Kellera:
„Należy sobie zdawać sprawę, że w tej dziedzinie, zgodnie z tym, co mówią podręczniki, istnieją: Po pierwsze, przestępcy obyczajowi, ci, którzy wykraczają przeciwko ((obyczajności seksualnej); po drugie, przestępcy seksualni. Ci popełniają czyny karalne «w celu pobudzenia lub zaspokojenia popędu płciowego).

W praktyce wszakże niezmiernie rzadko można przeprowadzić wyraźną granicę pomiędzy przestępcą obyczajowym

a przestępcą seksualnym. A staje się to w ogóle niemożliwe, gdy mamy do czynienia z «przestępcą estetycznym». Potrafi on raczej udowodnić, jak przeraźliwie nikła jest granica pomiędzy namiętnością a morderstwem, pomiędzy rozkoszą a męczarnią.

Przestępca tego typu w doborze swych ofiar trzyma się zawsze pewnego ściśle określonego typu. Jego działanie zaczyna się najczęściej od erotycznych porywów, które można interpretować w kategoriach pozakryminalistycznych. Pomimo to przestępcy ci wcale nie są «lepsi» od pozostałych, tylko ich postępowanie jest «bardziej delikatne». Dzieje się tak jednak tylko w fazie «rozruchu». W ostatecznym wyniku również oni są niebezpieczni.

Ten bardzo charakterystyczny przestępca nie lubi pewnych szczegółów anatomicznych, zazwyczaj pociągających gwałcicieli, jak wydatne pośladki, pełne kształty, duże piersi. Te cechy go wręcz odpychają. Owi «esteci» zawzięcie polują na delikatne piękno, miękkie ruchy, anielską buzię, dziewczynkę jak laleczkę.

W naszej sytuacji zakoruunikowałem Zimmermannowi praktyczne wnioski płynące z tych stwierdzeń. Jest on w tej dziedzinie zwyczajnym praktykiem. Po przejrzeniu pierwszych napływających meldunków z dochodzenia, oświadczył bez namysłu: — Mając takie materiały, można pisać ślicznie okrutne powiastki, a także wygłaszać wstrząsające prelekcje dla początkujących lub zapełniać szpalty w gazetach. Jednego tylko, dla nas najważniejszego, nie można tym sposobem osiągnąć: nie da się przekonująco udowodnić winy temu przestępcy.

Powiedziałem: — Uważasz więc, że coś podobnego musi się odbywać bezpośrednio w akcji, koniecznie in flagranti?

Zimmermann: Keller, dlaczego chcesz mnie zmusić, bym spełniał twoje myśli? I w dodatku żebym je głośno wywiał?

Ja: Dlatego że ja jestem tu gościem, a ty, Zimmermann, jesteś kierownikiem. To leży w twoich kompetencjach.

Zimmermann: Nie prowokuj mnie nieustannie! Dobrze wiem, o co ci chodzi, i zgadzam się z tobą! Chcesz tego potencjalnego przestępcę skonfrontować bezpośrednio

z obiektem, który musi go najpierw podniecić. Wówczas on zareaguje. A my go w tym momencie zgarniemy.

Zimmermann doskonale rozumiał, jaki «podniecający obiekt» wchodzi w rachubę. Natomiast ja musiałem sam sobie zadać pytanie, w jaki sposób należałoby zakomunikować tę niesłychanie śmiałą spekulację Krebsowi, temu zdeklarowanemu przyjacielowi dzieci."

Będzie tam pana brakowało — zauważyła zaniepokojona Brigitte Scheurer.

— Mnie w każdym razie nie brakuje nikogo

— stwierdził radośnie Erwin Müller. — Cieszę się, że jestem tu z panią!

— Przyjaciele będą czekać na pana! Może traci pan coś ważnego.

— Cóż mógłbym stracić, kiedy pani jest przy mnie?

Wciąż jeszcze siedzieli w restauracji i kawiarni „Fontana di Trevi”, w głębi sali, po prawej stronie, pod ogromnym, prawie na całą ścianę zdjęciem rzymskiej fontanny o tej samej nazwie.

Müller chciał zamówić szampana, ale właściciel zakładu w odpowiedzi na to popatrzył na nich wyraźnie zatroskany. Zachowywał się przy tym tak, jakby nie wiedział, z kim ma do czynienia, a przynajmniej Brigitte Scheurer nie powinna była być dla niego kimś nie znanym.

Wyraźnie dbał o to, by goście byli zadowoleni. Pozwolił sobie na udzielenie im rady: szampan, o który prosili, mógłby się okazać zbyt słodki. On poleca raczej lambrusco — wino półmusujące, delikatne, nieco cierpkie, odmiany rosę.

Pili je z wyraźną przyjemnością. Nie było im nigdzie spieszno. Nikt im nie przeszkadzał. Wydawało im się, że Festyn Październikowy pozostał gdzieś w innym świecie, a ludzie w ich lokalu są zajęci wyłącznie sobą.

— Już od dawna pragnąłem takiego cudownie odprężającego wieczoru — wyznał. — Może nieświadomie.

— Ja także! — zapewniła ostrożnie Brigitte. — Ale całym świadomie, przynajmniej od kilku godzin. A teraz się nim rozkoszuję.

— Właśnie pani? — Erwin Müller spojrział na nią zdziwiony. — Przecież może pani mieć wszystko, czego tylko zechce! Lokale rozrywkowe, nocne kluby, prywatne przyjęcia! Można się o tym dowiedzieć z gazet, co najmniej raz w tygodniu.

— Oczywiście! Bo przynajmniej raz w tygodniu pozwalam sobie na to. To należy do mojej pracy zawodowej, z której się utrzymuję. Jednego tylko nauczyłam się w życiu: umiem się znaleźć w towarzystwie. To znaczy, że wątpliwej wartości propozycje muszę puszczać mimo uszu, jeśli nie chcę uchodzić za „nieżyciową”. Czy potrafi pan sobie wyobrazić, Erwinie — po raz pierwszy wymówiła jego imię — jakie to budzi we mnie obrzydzenie?

— Potrafię, Brigitte! — oświadczył jej z przekonaniem. — Ze mną się dzieje w samej rzeczy nie inaczej. Pani ma do czynienia z pasożytami, którzy głoszą rzekomo niezłomne zasady, a ja muszę się układać z tymi, którzy tylko wykorzystują nadarzające się polityczne okazje!

— Nie da się o tym wszystkim zapomnieć? — zapytała Brigitte przyciszonym głosem. — Przynajmniej na parę godzin?

— Niczego bardziej nie pragnę — westchnął ciężko.

— Byłabym szczęśliwa, gdyby tak się stało.

Nie patrzyli na siebie. Milczeli przez dłuższą chwilę. Potem on ujął kieliszek i uniósł go w jej stronę. Przepili do siebie. Dyskretnie uważny właściciel lokalu ukazał się z nową butelką, choć nie prosili o to, i postawił ją przed nimi. To samo aromatyczne, lekko musujące lambrusco.

— Państwo czujecie się tu dobrze — powiedział. — Bardzo to mnie cieszy.

Odszedł, nie oczekując odpowiedzi.

— Być szczęśliwym! — powiedział Erwin Müller, ujmując rękę Brigitte. — Oto czego pragniemy, ale od razu zdajemy sobie sprawę, że chcemy stanowczo zbyt wiele.

— Spróbujmy się więc zastanowić, co się da zrobić, a potem zróbmy to bez żadnych skrupułów. W każdym razie ja jestem gotowa!

Teraz chodzi o rozstrzygnięcie, moja droga — oświadczył Michelsdorf, sam o tym przekonany i gotów przekonywać innych, — To znaczy o to, co można jednoznacznie udowodnić. Tak powiedział swojej Hildę, asystentce Leineweber. Pojawiła się na jego wezwanie i odnalazła go w głównym biurze partii konserwatystów. Uściskał ją nieco ostentacyjnie, ale serdecznie. Czas jednak naglił! Posadził ją obok siebie.

— O czym ty mówisz? Co ma teraz rozstrzygać i o czym? — zapytała, chwytając go zarazem za rękę jakby z prośbą o pomoc. — Czego się po mnie spodziewasz?

— Bezwzględного zaufania, Hildę, i całkowitej gotowości do współpracy.

— O co chodzi tym razem?

— O Krebsa — powiedział po prostu i wyraźnie. — O cóż by więcej?

— A co ma się z nim stać, proszę ciebie?

— Popatrz na to wszystko jak najbardziej obiektywnie, Hildę. Chodzi mianowicie o to, że skoro ten Krebs w życiu osobistym, zważywszy na wybór żony, pozwolił sobie na bardzo poważne niewłaściwości, to należy przyjąć jako rzecz bardzo prawdopodobną, że również w dziedzinie czysto służbowej musiał być zdolny do wcale nie mniej podejrzanych działań.

— Co ty masz na myśli?

Michelsdorf udawał, że nadal zachowuje cierpliwość, lecz w tym, co po chwili powiedział, coraz mocniej przebił ostry ton.

— Spróbuj tylko się zastanowić! Ktoś w rodzaju tego Krebsa nie jest zdolny do tak zwanych czystych uczuć wyższego rzędu, zwłaszcza w stosunku do kobiet. Wystarczy zważyć jego dawniejszy tryb życia i liczne okazje, jakie napotykał. Należałoby to jednak udowodnić! No więc?

— No tak — odezwała się po dłuższej chwili, starając się odgadnąć, o co mu chodzi. — Może jakieś zbliżenie, na przykład z tą Brasch?

— To nam się na nic nie zda! — rozstrzygnął z przekonaniem Michelsdorf. — Wystarczy tylko spojrzeć na tę krowiąstą policjantkę! Jeśli chodzi o nią, to nie wchodzi w grę

nawet najsłabsze podejrzenia o normalne stosunki seksualne. Zresztą kto by mógł w to uwierzyć?

— To może taka Reese? — starała się usilnie zdobyć jego uznanie.

— Ona także nie! — oświadczył Michelsdorf, już trochę na nią rozgniewany za taki brak rozeznania. — Reese jest zbyt sprytna. Nie pozwoli się w nic wpakować. Ona go wprowadzie ubóstwia, ale nie sposób go przyłapać na czymkolwiek. W tym przypadku do akcji musi wejść osoba bardziej obrotna, a jednocześnie taka, na której oświadczeniu można się śmiało oprzeć. Jednym słowem, kobieta, która dostarczy odpowiednich dowodów.

— To znaczy ja... na Krebsa? — zapytała z niedowierzaniem Leine weber.

— Oczekuję tego od ciebie, Hildę, nie bez skrupułów. A jednak bardzo bym cię o to prosił, moja kochana. — Michelsdorf spojrział na nią niezwykle czule. — Proszę cię, zastanów się nad tym. Postaraj się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły, choćby ci było trudno. Nie pomijaj niczego. Przypomnij sobie jego upodobanie do niecenzuralnego słownictwa. Możesz to wszystko potwierdzić?

— Mogę to zrobić?

— Z wszelką pewnością! W naszym zawodzie podobna rzecz okazuje się czasem nieunikniona. Ten, kto się tym zajmuje, używa czasem słownictwa, które przenika do naszej praktyki. Można to tak wytłumaczyć. Ale wcale tak być nie musi! Bo przecież w pracy ma on styczność z kobietami. A wobec nich nie tylko posługuje się niecenzuralnymi wyrazami, ale pozwala sobie także na podobne uczynki. W służbie i poza służbą. Rozumiesz mnie?

— Staram się...

Wobec tego bądź wreszcie konsekwentna! — pochwycił jej rękę. — Zrób to dla nas obojga! Chodzi przecież o moją egzystencję, a tym samym o naszą wspólną przyszłość. Postaraj się więc przypomnieć sobie wszystkie szczegóły, nieprzyzwoite propozycje, poufałość, bezpośrednie ataki. Omówimy sobie to wszystko bardzo dokładnie, potem spiszemy. Zgoda?

— Zrobię wszystko, czego tylko zażądasz. Ufam tobie, licząc na naszą wspólną przyszłość.

Nie sprawiasz nam czystej rozkoszy — stwierdził Huber Trzeci grubiańsko, ale żartobliwie. — Nie okazujesz należytej radości przy swojej robocie, nie jesteś całkowicie oddanym współpracownikiem. Muszę ci to raz po raz powtarzać.

Mówił tak do Neumanna, który niechętnie kleił dokumentację, jakiej od niego zażądano. Miała ona dotyczyć ulegania radia i telewizji pod względem politycznym i społecznym wpływom lewicy oraz łatwo dostrzegalnego nadużywania w tym zakresie, oficjalnie ponadpartyjnych i bezstronnych, środków masowego przekazu. Neumann miał za zadanie przeprowadzić zwyczajny zabieg dokonywania wyboru: uwzględnić argumenty popierające tę tezę, pomijać kontrargumenty. Ani słowa o tym, do czego się nie da zastosować tej metody.

— Czy nie za wcześnie jeszcze na odstrzeliwanie tej kolekcji figurek?

— Według Holzingera nie, a jego zdanie jest dla nas miarodajne — oświadczył z naciskiem Huber. — Zresztą posortowanie tego całego śmiecia to twoja robota. Za to ci płacimy. A może ktoś ci złożył lepszą ofertę? Sam wiesz, o czym myślę?

— Przede wszystkim chcę, żeby mnie traktowano jak człowieka — oświadczył Bert Neumann.

— Będziesz tak traktowany — zakpił Huber. — Wystarczy tylko, byś się zachowywał jak człowiek. Ale ty reagujesz jak mimoza, i to w dodatku z powodu kobiety!

— Co to ma znaczyć, proszę pana?

— Chłopie, nie udawaj mi tu niewinnego aniołka! Przecież dobrze wiem, dlaczego jesteś tak cholernie niespokojny i wyglądasz, jakby cię ktoś przepuścił przez wyżymaczkę! Tylko dlatego, że nasz szef zachował się uprzejmie wobec twojej żony. Dobrze ci się przyjrzałem na tym

poświęceniu studni. Byłeś kompletnie załatwiony. Człowieku, powiedz, dlaczego!

— Co pana obchodzi moje życie prywatne! — syknął Neumann. — Pracuję tu dla was. Niechętnie, ale solidnie! Nie pozwolę jednak, by ktoś nadużywał mojej cierpliwości!

— Kto by tam chciał nadużywać twojej cierpliwości? — Huber zaśmiał się ze swoich słów jak z dobrego żartu. Potem jednak zbliżył się do Neumanna i położył mu rękę na ramieniu, czując, jak ten się ugina pod ciężarem jego dłoni. — Ale teraz w pełnym zaufaniu, tylko między nami dwoma...

Nastąpił teraz nader precyzyjny, dobrze przemyślany wywód, najprawdopodobniej oparty na praktycznych doświadczeniach Hubera. Był on mniej więcej tej treści:

Holzinger jest człowiekiem wyjątkowym, a przynajmniej za takiego się uważa. Jest to rzecz w tym przypadku decydująca, tym bardziej że jest on kimś o nieograniczonych wpływach. Dzięki temu może sobie pozwolić także na pewną samowolę. Można przy tym jednak liczyć na jego wielkoduszność. Potrafi być wdzięczny i odpowiednio nagradzać czyjeś oddanie i pracę bez zastrzeżeń. Należy umieć to docenić.

Ażeby jeszcze bardziej uwydatnić jego sposób postępowania, podaję trzy przykłady, tylko z trzech ostatnich miesięcy. Pierwszy: H. w najbardziej odpowiedniej chwili okazał należny szacunek córce właściciela sieci restauracji, dzięki czemu ten zyskał możliwość zakupu pewnych terenów na obszarze przeznaczonym pod Olimpiadę. Drugi: H. tylko jeden raz wyróżnił siostrę pewnego właściciela przedsiębiorstwa budowlanego, po czym ten ostatni niedługo mógł się cieszyć z zamówienia o milionowej wartości. Trzeci: H. przy każdej nadarzającej się okazji sypiał z żoną poprzednika Hubera, a obecnie ten człowiek jest posłem, przewodniczącym paru komitetów i członkiem rad nadzorczych kilku firm.

— Trzeba myśleć po ludzku, mój drogi, jeśli się chce być kimś w otoczeniu naszego szefa. — Huber klepnął Neumanna kordialnie po plecach, aby mu dodać odwagi. — Powinieneś się o to starać, a być może coś jeszcze z siebie bę-

dzie! Mogłoby się przy tym okazać, że twoja żona jest prawdziwym kapitałem zakładowym.

— Jakie to wstrętne — powiedział Bert Neumann cicho, prawie niedosłyszalnie. Potem wybiegł z pokoju.

Huber spojrział za nim zatroskany i mruknął: — Strasznie mało treści wnoszą ci inteligentni faceci do rzeczywistości naszego życia, choćby im ją kto pod nos podtykał. W każdej sytuacji są tylko bezradnie wpatrzeni we własny pępek. Wszyscy oni są wykoślawieni przez tę zakichaną filozofię!

Obawiam się, że wszystko, co my tu robimy, powoli przeradza się w jakąś awanturę — powiedział radca Zimmermann. — Ogromnie jestem ciekaw, do czego nas to jeszcze doprowadzi.

— Ja tam jestem bardzo pewny swojej sprawy — odparł Krebs, pomimo to nieco zatroskany. — Ale w razie gdybyś uważał, że zaangażowaliśmy tu zbyt duży aparat...

— Zimmermann wcale tak nie uważa — stwierdził Keller.

— Tak? A dlaczego nie? — zapytał żwawo radca.

— Dlatego, że specjalista twojej miary nigdy by nie uruchomił takiego aparatu bez istotnych powodów.

— Jakie by to mogły być powody, Keller?

— Powiedzmy, na przykład dogodna okazja do przeprowadzenia większych ćwiczeń, tylko po to, aby drodzy koledzy zbyt nie nudzili. W każdym razie nasz dyrektor na pewno niezbyt by się cieszył, gdyby się o tym dowiedział.

Zimmermann, Krebs i Keller wciąż jeszcze stali na uboczku, w kącie na prawo w głębi sali konferencyjnej. Również pies Anton z ufnością uczestniczył w wielkim oczekiwaniu. Merdając przyjaźnie ogonem, podbiegł do radcy Zimmermanna i najwyraźniej zachęcał go do zabawy. W odpowiedzi na to Zimmermann wziął blankiet listu gończego, zrobił z niego jaskółkę i ku zdumieniu skaczącego wokół niego psa, puścił ją ślizgowym lotem przez salę.

To, co się działo na sali, zdawało się nie przeszkadzać komisarzowi Felderowi. Wokół niego bowiem koncentrowały się wszelkie działania. Im trudniejsze się stawały i bardziej skomplikowane, tym Felder wydawał się bardziej zadowolony. Przyjmował meldunki o wynikach akcji i niezwłocznie udzielał wskazówek. Brzmiały one tak, jakby odczytywał komunikat meteorologiczny.

Wśród wielu innych wskazówek były takie:

— Obie grupy obserwacyjne należy zapobiegawczo wzmocnić. Proszę wydział ścigania o wzmocnienie ich stanu o jedną trzecią.

— Rozdzielić radiowozy przygotowane do akcji. Trzy pozostaną w pobliżu obiektu pierwszego, to jest mężczyzny na Sendlinger-Tor-Platz. Spośród trzech pozostałych jeden przesuwają się w ślad za obiektem drugim, to znaczy kobietą, która w czyimś towarzystwie porusza się w kierunku Festynu Październikowego. Drugi wóz zawczasu ustawić w pozycji przechwycenia przy głównym wejściu. Trzeci uda się w kierunku południowo-zachodnim i zaparkuje między Messeplatz a pomnikiem Bawarii.

— Ustalenia dotyczące osoby są już wystarczające, zbieranie dalszych danych należy zatem zawiesić. Przyjął od tej chwili następujące ukierunkowanie: ponownie dokładnie przestudiować poszczególne czyny przestępcze, a zwłaszcza zbadać, czy przypuszczalny przestępca może wchodzić w grę w każdym zanotowanym przypadku, uwzględniając czas i miejsce przestępstwa.

Nadszedł zapewne moment decydujący. Krebs podszedł do Feldera i przysunął także do niego swoje krzesło. Usiadł bezpośrednio za komisarzem. Ten bez słowa podał Krebsowi jeden z trzech leżących przed nim stosów meldunków. Krebs je przejrzał — przestępstwo w dwóch, a może trzech przypadkach mogło być dokonane przez tego samego sprawcę.

Zimmermann starannie złożył na nowo jaskółkę z formularza, którą pochwycił zębami i z powrotem przyniósł Anton. Potem, ku wielkiej radości psa, po raz drugi puścił ją przez salę. Mówił zarazem szeptem do siedzącego obok i patrzącego na to z uśmiechem Kellera.

— Przestałem wierzyć w cud, Konstantynie. Chociaż nasz aparat działa bardzo sprawnie, to jednak nie zdobędzie ostatecznego, decydującego dowodu. Wiesz o tym tak samo dobrze jak i ja. Dlaczego więc jeszcze się ociążasz?

— Dlatego, że Krebs jest naszym przyjacielem — odrzekł Keller.

Zimmermann ze zrozumieniem kiwnął głową, co jednak nie oznaczało zgody. Wziął następny blankiet listu gończego i starannie złożył z niego nowy obiekt latający. Sporządzając go doradził: — Powinieneś porozmawiać z jego żoną.

— Zawsze zlecałeś mi do wykonania mnóstwo rzeczy.

— Wtedy, kiedy ty mnie do tego prowokowałeś. — Zimmermann wydawał się ogromnie zadowolony. — Nie zapomnij też zabrać ze sobą psa Antona. Z nim będzie ci znacznie łatwiej przyprowadzić tu potem Sabine. A nie zapomnij przypadkiem — dodał jeszcze — serdecznie pozdrowić ode mnie panią Krebsową. Spróbuj jej przy okazji wytłumaczyć, że pozycja jej męża nie wydaje się zbyt pewna. Jest tak nie z powodu jakiegoś tam Michelsdorfa. Niezależnie od niego będziemy mieli jeszcze do czynienia z Hadrichem. Powinna więc być przygotowana na niejedno, a dzięki temu też do pewnego stopnia dla nas wyrozumiała.

Rozprawienie się z pewnym dziennikarzem. Część B.

Po pierwsze:

Holzinger telefonuje z urzędu pocztowego na Festynie Październikowym przy Querstrasse 3. Panią Undine pozostawił pod opieką swoich zwolenników w Namiocie Kuszowników. Jego rozmówcą jest Huber.

Holzinger: Wciąż jeszcze nie jesteście gotowi?

Huber: Pogoniłem dobrze Neumanna, więc nabrał zapału do pracy. A z tym Michelsdorfem wszystko jest dosyć jasne.

Holzinger: Usłużnych sympatyków partii trzeba popierać, jeżeli na to zasługują. Czy on zasługuje?

Huber: To całkiem możliwe. Ten Michelsdorf może mia-

nowicie bardzo poważnie obciążyć swego szefa, w razie gdyby ten stał się rzeczywiście niewygodny. Ponadto zaoferował on nam także inny materiał wybuchowy, o Ettenkoflerze. Jak się zdaje, dziennikarz Herzog chce ten materiał wykorzystać. Wprawdzie wyleciał z „Miinchner Allgemeine Zeitung”, ale usiłuje także nawarzyć piwa w „Miinchen am Morgen”

Holzinger: Przynieś ze sobą wszystkie papiery związane z tą sprawą, kiedy przyjdziecie obaj z Neumannem. A on niech się pospieszy, przyciśnij go dobrze!

Po drugie:

Holzinger pojawił się w Namiocie Szkoekim, i podążył w stronę łóż po lewej stronie, zarezerwowanych dla znakomitych obywateli miasta Monachium, i tu natknął się na Ettenkoflera. Otrzymała się poufna rozmowa:

Holzinger: Martwię się, mój drogi, gdyż niepokoją mnie pewne manipulacje! Jestem szczególnie uwrażliwiony na mieszanie się do życia osobistego. Mógłby pan nawet skorzystać z tego, chociaż ostatnio nie ma pan opinii zdecydowanego zwolennika mojej polityki. Ale to nie musi trwać wiecznie, prawda?

Ettenkofler: Jeśli chodzi o politykę i przynależność partyjną, zawsze starałem się zachować neutralność. Czasem mogą z tego wynikać pewne nieporozumienia. Potrafię sobie jednak wyobrazić, co pan ma w tym przypadku na myśli: zapewne te podejrzone machinacje niektórych dziennikarzy. Na szczęście, zostały one we właściwym czasie powstrzymane.

Holzinger: Wydaje mi się, drogi panie, że nie jest pan dość dokładnie poinformowany! Wprawdzie tego Herzoga wyrzucono z redakcji, w której był dotychczas, lecz był to błąd, jeśli pan chce wiedzieć. Trzeba go

było zneutralizować tam, gdzie był. Tymczasem Herzog przenosi się do konkurencji wraz z całym swoim materiałem.

Ettenkofler: To wprost nieprawdopodobne! Ale skoro pan tak twierdzi, to na pewno tak właśnie jest. Ten nędzny, podstępny szubrawiec... Próbuje więc zmienić gazetę, powiada pan! To znaczy przejść do „Miinchen am Morgen”? Ale przecież ten dziennik jest bardzo zbliżony do pana, pan ma tam na nich wpływ...

Holzinger: Zdecydowanie unikam wywierania jakiegokolwiek wpływu na prasę. Nie odmawiam jednak wyświadczenia przyjaciółom przysług, jeśli mogą się okazać sensowne.

Ettenkofler: Proszę być pewnym mojej wdzięczności!

Holzinger: Liczę na pańską lojalność. Chociażby w dziedzinie środków przekazu. Niedługo ma się rozstrzygnąć kierunek odpowiedniej polityki. Jeśli tylko nie zajdzie nic nieoczekiwane, stanie się konieczne pójście na daleko-siężny kompromis. Przy swoich stosunkach i możliwościach może pan, jak myślę, być najodpowiedniejszym człowiekiem, zdolnym do oddziaływania na obie strony w charakterze czynnika równoważącego. Byłby pan gotów na to?

Ettenkofler: Podobną propozycję mogę uznać tylko za bardzo zaszczytną! Ale zagrożenia ze strony tego dziennikarza...

Holzinger: Już ja to załatwię! Jeżeli w ten sposób mam pozyskać dobrego przyjaciela dla słusznej sprawy, to można na mnie polegać całkowicie.

Po trzecie:

W Namiocie Kuszników, na tylnej galerii, na prawo od srebrzystego orła bawarskiego, Holzinger natknął się na szefa wydawnictwa Tierischa, który ulokował się zaledwie trzy stoły od niego.

Holzinger: Zawsze cię miałem za uosobienie ostrożności. A teraz muszę wysłuchiwać opowieści, jak to się decyduje na bardzo podejrzaną imprezę. Mówię o Herzogu!

Tierisch: Ten człowiek ma świeżutkie materiały, z których da się co nieco zrobić, jak się do tego ktoś zręcznie

zabierze. Zwłaszcza że dotyczą one przeciwników politycznych, których nie darzysz zbytnią życzliwością.

Holzinger: Mam nadzieję, że nie chodzi o Ettenkoflera. To przecież żaden polityk, to tylko kupiec. Przy tym możemy na niego liczyć w każdej chwili, jeżeli go wyraźnie zobowiązemy wobec siebie. Wydaje mi się, że mamy do tego świetną okazję.

Tierisch: Skoro tak uważasz, Max, to niech się dzieje, jak chcesz. A na mnie, sam wiesz, można polegać.

Po czwarte:

Rozmowa telefoniczna wydawcy Tieńscha z dyrektorem jego wydawnictwa Waldemarem Wollrichem:

Tierisch: Następująca sprawa, Waldemarze, do załatwienia jak najszybciej: W naszej redakcji siedzi niejaki Herzog. Płodzi właśnie artykuł. Wezwij go do siebie i wytłumacz mu dobitnie, że my jesteśmy poważnym wydawnictwem i nie przyjmujemy rzeczy wątpliwej wartości. Informacje uzyskane z Prezydium Policji od radcy Zimmermanna świadczą całkiem niedwuznacznie o tym, że rzekomo pochodzące z tego urzędu informacje Herzoga są bardzo łatwe do zakwestionowania. Wyrzuć go więc za drzwi! Mocnym kopniakiem!

Wollrich: Zrobi się!

Po piąte:

Herzog u dyrektora wydawnictwa Wollricha.

Herzog: Czy dobrze pana zrozumiałem? Nie chce pan?

Wollrich: Po ponownym dokładnym przejrzaniu — nie! Ale przezorność nakazuje nam...

Herzog: A więc i na pana ktoś wywiera nacisk! Znów czyjaś ręka...

Wollrich: Wypraszam sobie, panie Herzog! To, co pan tu wygłasza, jest zwyczajnym pomówieniem, którego w pana własnym interesie wolałbym nie słyszeć. Tym bardziej że nie świadczy ono dobrze o kwalifikacjach kogoś, kto chce uchodzić za odpowiedzialnego dziennikarza. Być może, powinien się pan rozejrzeć za jakimś innym zajęciem. Ja oświadczyć zalecałbym panu przejście do działu reklamy.

Keller pojawił się w mieszkaniu Krebsa o godzinie 19.50. Sabine krzyknęła z zachwytu na widok swego przyjaciela Antona. Oboje przypadli do siebie i przez dłuższą chwilę byli zajęci tylko sobą.

— Cieszę się zawsze, widząc pana — zapewniła serdecznie Helen Krebs. — Chociaż za każdym razem, kiedy pan przychodzi, muszę sobie zadać pytanie: „Czego on może chcieć ode mnie?”

— Na razie proszę o filiżankę kawy — powiedział zachęcająco. — Nie znam lepszej kawy niż ta, którą pani parzy, a to powinno coś znaczyć.

Dostał kawę. Była znakomita. Popijał ją w skupieniu, patrząc na Sabine i Antona, którzy w zabawie tarzali się po dywanie. Obrazek ten wyraźnie sprawiał mu radość.

— Z czym pan przychodzi tym razem? — zapytała ostrożnie Helen Krebs. — Pora jest dla pana niezwykła. A zresztą z zasady pan zapowiada wcześniej swoje odwiedziny.

— Przejrzała mnie pani na wylot! — roześmiał się Keller.

— Zaczyna pani powoli poznawać właściwości naszego grymaśnego zawodu.

— Wiele godzin przegadaliśmy na ten temat, nigdy panu tego nie zapomnę. Mnóstwo razy przygotowywał mnie pan na rozmaite zagrożenia, mówiąc mi, że mam być stale nastawiona na wszystko, co sobie tylko można wyobrazić, na podejrzenia, zniewagi. A jednak nic podobnego mnie nie spotkało.

Å

— Dotychczas, Helen.

— Czyżby mi groziło coś takiego?

— Podobne zagrożenie istnieje właściwie prawie zawsze — wyjaśnił Keller z pewnym wysiłkiem. — Zwłaszcza dla funkcjonariuszy wydziału obyczajowego. Bardzo często stają twarzą w twarz z ludźmi bez hamulców, popędliwymi, skłonnyymi do nieobliczalnych reakcji.

— Czy mojemu mężowi coś grozi?

— Droga Helen — przemówił Keller niezwykle serdecznie — on ma panią i ma przyjaciół takich jak Zimmermann i ja. Pomimo to ktoś może stać się dla niego niebezpieczny. Ale możliwość, by go zaatakowano, jest raczej nikła.

— Chciał pan powiedzieć, że mogą zaatakować mnie?

— Z racji mego zawodu, Helen, jestem skazany na rozważanie nawet najbardziej obłądnych możliwości. Staram się je przewidywać, zgłębiać i zapobiegać im. Zawsze są możliwe niezliczone warianty ludzkich zachowań, a ostatecznie sprawdza się tylko jeden z nich. Ale na ten jeden trzeba być przygotowanym.

— Jak pan sądzi, na co mam się przygotować?

— Przede wszystkim na to, że ja istnieję i że niezbyt łatwy do zniesienia jest ze mnie towarzysz podróży. Że mogę stawiać wymagania lub raczej prosić panią o wyświadczenie mi jakiejś szczególnej przysługi.

— Jakiej, panie Keller?

— Czy powierzyłaby mi pani Sabine ?

— Oczywiście. Dlaczego pan pyta?

— O każdym czasie? Rozumiem to **dosłownie: o każdym** czasie, jaki uznam za wskazany?

— Ależ naturalnie!

— A także nie pytając, po co, to znaczy nie żądając bliższego wyjaśnienia?

— Tak. Dlatego że mam do pana zaufanie. Przez całe życie chciałam mieć przyjaciela — dodała jeszcze — któremu bym mogła w pełni zaufać. I oto go mam.

— Któż to wie, co lub kogo pani wyłowiła? — powiedział Keller z przymrużeniem oka. — Emerytowanego policjanta i psa, obu szukających rodziny, która by ich przygarnęła. Obaj jednak chcą pozostać tym, czym są, psem i policjantem.

Po ojcowsku serdecznie skinął Helenie głową, potem zwołał Sabine . Podbiegła do niego, za nią Anton. Keller zaś tak się odezwał do tego zawsze uważnie go słuchającego dziecka:

— Chciałbym zbadać pewną sprawę, która wydaje mi się niezwykle ważna, a mianowicie: jak myślisz, czy można polegać na węchu naszego psa?

— No, węch ma on doskonały! — zapewniła Sabine .
— Przecież nasz Anton nie ma sobie równego! Czy ktoś przypadkiem w to wątpi?

Sam Anton przynajmniej, jak się wydawało, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Podniósł wysoko głowę i wy-

czekująco patrzył na Kellera błyszczącymi oczami. Keller ciągnął dalej:

— Nikt chyba nie wątpi, że tak właśnie jest. Ale pan Zimmermann bardzo by chciał sam się o tym przekonać. Jeszcze dzisiaj, przy okazji pewnego ćwiczenia. Twój tatuś także tam będzie. Jak więc uważasz, Sabine, pokażemy im, co nasz Anton potrafi?

— Dobrze! Wspaniale! Jeśli tylko mama pozwoli!

— Dlaczego bym miała nie pozwolić panu Kellerowi?
— Helen Krebs z ufnością spojrzała na przyjaciela. — Jeżeli pan Keller coś proponuje, to na pewno wie, co robi.

Czy nie powinniśmy już iść? — zapytała ostrożnie Brigitte Scheurer.

— Dokąd? — zapytał Erwin Müller, uśmiechając się do niej.

— Czekają na pana na Festynie Październikowym, już od dwóch godzin! — Otwarcie odpowiedziała spojrzeniem na jego z lekka poządlivy uśmiech. — Będzie tam pana brakowało.

— Nikomu nie jestem potrzebny — zapewnił ją, ujmując pod stołem jej rękę, którą mu chętnie podała. — Niektórzy się nawet ucieszą, jeżeli tam nie przyjdę. Będą się mogli przynajmniej spokojnie cieszyć ostatnim dniem Festynu.

— Więc sam pan ustępuje pola komuś takiemu jak Holzinger? — zapytała go ostrożnie. Położył rękę na jej udzie. Nie napotkał sprzeciwu. — Nie będzie pan tego żałował, Erwinie?

— Czego miałbym żałować? Wciąż mnie namawiano, abym się decydował. Decyzje zaś, które dotychczas podejmowałem, zawsze wypadały na korzyść mojej tak zwanej pracy, moich rzekomych obowiązków. W ten sposób niejedno w życiu przegapiłem i dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę. Tu. Przy tobie. I tylko to interesuje mnie w tej chwili.

Nadal siedzieli w „Fontanie”, druga butelka lambrusco była już niemal próżna. Oczy ich błyszcząły. Ręce połączyły

się jakby nierozzerwalnym uściskiem. Głosy ich nabrzmiały wzruszeniem.

Wciąż jeszcze im się wydawało, że nikt w tej restauracji nie zwraca na nich uwagi, prócz właściciela, który jednak trzymał się dyskretnie z dala. Zresztą nie wyróżniali się niczym niezwykłym — pan w sile wieku z dziewczyną młodszą od niego jakieś dwadzieścia lat. Oboje, widać, zakochani. Cóż by zresztą miało im przeszkodzić?

— Moglibyśmy pójść do mnie — powiedziała w pewnej chwili całkiem otwarcie Brigitte Scheurer. — Nie wiem tylko, czy będziemy tam całkiem swobodni. — Poczła jego dłoń na swoim udzie. — Mieszkam razem z koleżanką z radia, ona prowadzi audycje dla dzieci. Jest w domu znacznie częściej niż ja.

— Szkoa — powiedział. — Musisz wiedzieć — przyznał się — że nie mam żadnego doświadczenia w tych sprawach.

— To przemawia na twoją korzyść i upewnia mnie, że nie jestem dla ciebie tylko jakąś tam przygodną znajomą.

— Nie — oświadczył niemal uroczyście. — Ale co mamy robić?

— Przypadkowo znam właściciela pobliskiego hotelu przy Schillerstrasse — powiedziała, przejmując inicjatywę w swoje ręce. — Tam możemy dostać pokój bez żadnych formalności. Chcesz?

— Tak, jeżeli ty także chcesz.

Następny meldunek reportera Manfreda Leitgeba, złożony Kellerowi:

— Bardzo szybko, jak pan sobie tego życzył, przejrzałem wszystkie notatki, materiały dochodzeń i inne dokumenty dotyczące tych trzech osób, które pan wymienił, a oprócz tego zasięgnąłem także innych informacji. Wcale niepiękna to sprawa, niech mi pan wierzy, panie Keller. Tym bardziej że za podobne usługi nie może mi pan zapłacić ani grosza.

Keller: Gdyby nasza policja mogła sobie pozwolić na takich pierwszorzędnych detektywów jak pan, to na pewno

też by dobrze płaciła. Jesteśmy jednak instytucją ubogą i wobec tego skazaną na bezinteresowną współpracę. Jeśli mogę więc pana prosić — najpierw to, co najbardziej istotne.

Leitgeb: Zatem w skrócie: Numerem pierwszym na pana wykazie jest Huber. Człowiek całkowicie oddany swemu mistrzowi, jeśli tak można powiedzieć. On również usiłuje ciągle dowieść swego znaczenia. Dość obszerna lista odstrzałów. Są to przeważnie panie drugiej wielkości. Adresy są do dyspozycji, wydaje mi się jednak, że wniesie to niewiele nowego. Ale i pod tym względem pozostaje tylko drugi w kolejności. Czasem jest nawet bezpośrednim następcą swego mistrza lub wręcz występuje w jego zastępstwie.

Numer drugi to Weinheber. Człowiek uzdolniony artystycznie, jak sam ciągle daje do zrozumienia. Wszystko jest u niego trochę sztuczne, również jego życie seksualne. Angażuje się uczuciowo i finansowo. Bardzo rzadko zmienia swoje łóżkowe upodobania. W ciągu ostatnich dwudziestu lat, jak się zdaje, dwa lub trzy razy. Zawsze są to sekretarki lub coś podobnego, ale jednak z ambicjami artystycznymi. Jedna mu uciekła, druga kazała się wydać za męża, a obecna, chyba trzecia z kolei, ma oprócz niego co najmniej trzech przyjaciół. Ale od niego dostała mieszkanie i w dodatku miesięczną pensję.

Następnie trzeci, Neumann. Kompletnie zero pod względem seksualnym. Z początku myślałem, że w ogóle jest pozbawiony podobnych zainteresowań. Wyśmiewany na spotkaniach towarzyskich, po prostu unika zbliżenia do kobiet. A kiedy raz w nocnym lokalu, gdzie musiał towarzyszyć swemu bossowi, posadzono mu na kolanach na wpół nagą dziewczynę, on ją odepchnął, skoczył jak oparzony i wybiegł na dwór.

Keller: A więc zachowuje się nienormalnie. Nie sądzi pan?

— Tak samo uważałem, panie Keller — odparł *Leitgeb*.
— Aż do chwili, kiedy poznałem żonę tego Neumanna, *Undine*.

— Stworzenie o pięknej powierzchowności, bardzo subtelna, prawie przezjrysta, trochę anemiczna. Dobrze jestem poinformowany?

— Dokładnie tak, panie Keller — zapewnił go Leitgeb. — Ale właśnie takie... one czasem mogą się okazać najgorsze! Wszystko, co okazują na zewnątrz, to tylko piękna fasada, ale za nią kryje się wezbrane pożądanie, wybujała fantazja, nienasycona żądza. Kto natrafi na coś podobnego, musi okazać gigantyczną sprawność, inaczej zginie.

Holzinger w Namiocie Kuszników, na tylnym podestacie odgrodzonym balustradą, sprawiał wrażenie niezmiernie zadowolonego i pełnego aktywności. Z radością spozierał wokół. Na prawo od niego siedziała Undine Neumann, wpatrzona w niego z zachwytem, na lewo zajmował miejsce Ettenkofler, świeżo pozyskany przyjaciel, a naprzeciwko zaufany minister spraw wewnętrznych. On to zdążył już dostarczyć mnóstwo materiału, korzystając z pomocy redaktora naczelnego Geigenbauera, w niedalekiej przyszłości zapewne dyrektora telewizji.

Ukazał się także wraz z żoną Weinheber, powiernik świecącego nieobecnością Müllera. Weinhebera powitano głośno, jego żona została wyróżniona ucałowaniem ręki, a oboje poproszono, by zajęli miejsca. Następnie, przy dźwiękach orkiestry dętej przygrywającej na ludową nutę, rozpoczął się ostatni akt dramatu ludzkich, a zapewne też politycznych możliwości.

Holzinger do Weinhebera, rozmowa przez stół, przy czym obaj nachyleni do siebie:

Holzinger: Powiadają, że z pana mocna głowa. Ale czy potrafi pan myśleć realistycznie? Pańska szanowna małżonka potrafi. Ona sympatyzuje ze mną. Dobrze wie, czego z kim można się podjąć.

Weinheber: Do czego pan zmierza?

Holzinger: Do tego, by pan właściwie wykorzystał swój, jak mówią, znakomity umysł! Obawiam się, że będę musiał

mocno przyciąć pazury temu pańskiemu Müllerowi. Stało się to po prostu konieczne. Już zbyt zuchwale panoszy się na moim podwórku. Muszę to wreszcie ukrócić. Dobrze mu zrobi zmiana klimatu. Możliwe, że już niedługo... aż do Bonn. W ten sposób otworzy się dla pana droga bądź w pańskim stowarzyszeniu, bądź w radzie do spraw radia, jako intendenta lub przewodniczącego. Z pewnością to załatwimy. Życzę tego panu z całego serca, choćby ze względu na pańską szanowną mądrą małżonkę.

* ;

Huber Trzeci u Holzingera, rozmawiając z nim w zakątku poniżej balustrady, obok tylnego wyjścia po prawej stronie.

Huber: Neumann zaraz przyjedzie, musi jeszcze dać do przepisania te swoje wypociny. Nasz niezdara jest po prostu dziś do niczego. Ale za to ten Michelsdorf to tęga sztuka! Tu są jego materiały, napisane obszernie, ale jest też do nich zwięzłe streszczenie. Niech pan to przeczyta.

Holzinger po przeczytaniu streszczenia: To powinno skutecznie zadziałać, gdyby policja kryminalna naprawdę się odważyła wokół nas kręcić.

Huber: Już to robiła. Kilku policjantów próbowało u nas węszyć i udało się im wystraszyć jedną urzędniczkę. To krówsko po prostu dało im naszą listę personalną, a do tego pozwoliło im obejrzeć księgę przychodów i wydatków. Ponadto, jak się wydaje, wygadała się ze wszystkim, co wiedziała.

Holzinger: Wyrzuć ją! Nie wiesz, czy nie ma tu gdzieś przypadkiem dyrektora Hadricha?

Huber: Pewnie gdzieś tu jest. Powinni dokładnie wiedzieć w budynku policyjnym za Namiotem Szkockim.

Holzinger: Pozostań tu tymczasem na stanowisku. Zwłaszcza zajmij się Undine. Zadbaj, aby się dobrze czuła. Gdyby w tym czasie przyszedł Neumann, niech na mnie zaczeka.

Holzinger podążył przejściem między namiotami w stronę części administracyjnej, otoczonej ogrodzeniem z desek. Natknął się tam na samochód dyrektora policji i na

niego samego, rozmawiającego akurat z komendantem oddziału policji, pełniącego służbę na Festynie. Holzinger niezwłocznie poprosił dyrektora Hadricha o poufną rozmowę, na co ten skwapliwie przystał. Holzinger podziękował za tę jego gotowość, po czym zaczął jeszcze życzliwie: — Jestem zdecydowanym zwolennikiem porządku i bezpieczeństwa, a policję zawsze szanowałem... — a następnie bez owijania w bawełnę wygarnął:

— Tym bardziej dziwi mnie, wprost zdumiewa, że pańscy ludzie nawiedzają, że się tak wyrażę, całkiem oficjalnie naszą centralę partyjną! Nagabują tam moich współpracowników, rozsiadają się, wznieczają niepokój. Rzucają w dodatku nader drażliwe podejrzenia. Ma się rozumieć, panie Hadrich, osobiście uważam, że pana bezpośrednio o tym nie poinformowano. Sam zresztą nie zostałem powiadomiony o tej akcji we właściwym czasie, czego, na dobrą sprawę, można się było spodziewać w takich niezbyt normalnych okolicznościach. Przypuszczalnie mamy w tym przypadku do czynienia ze zbyt pochopną interwencją lub pożałowania godną pomyłką jakichś funkcjonariuszy niższego szczebla.

Ita akurat z pańskiego wydziału obyczajowego, jak się dowiaduję. Sprawcą wszystkiego jest oczywiście niejaki komisarz Krebs. Postać nieco podejrzana, jak można sądzić na podstawie materiałów, które mi udostępniono, a które chętnie oddam do pańskiej dyspozycji. I tego rodzaju człowieka nasyła się, proszę pana, na szanowanych obywateli?

Dyrektor Hadrich: Niezwłocznie zbadam tę sprawę, panie Holzinger, dokładnie, ze wszystkimi szczegółami. Dam panu znać, już wkrótce.

Maximilian Holzinger, zadowolony z tego, czego dokonał, powrócił do Namiotu Kuszników. Przeciskał się przez podchmieloną ciżbę, z szerokim uśmiechem kłaniał się na prawo i na lewo, aż wreszcie usiadł na swoim miejscu obok Undine. Pochwycił kufel i zawołał do siedzących wokół niego:

— Jestem z powrotem, przyjaciele! Musiałem najpierw powyjaśniać pewne nieporozumienia i wyprostować parą spraw. A teraz możemy już świętować!

Na początek przepił do Ettenkoflera, ten zaś z wdzięcznością, przyjaźnie się uśmiechając, uniósł swój kufel. To samo uczynili Weinheber i jego żona, podobnie też minister spraw wewnętrznych oraz Geigenbauer, który już siebie widział w roli dyrektora telewizji. Wszystkich ich ogarnął nastrój ogólnej, sytej piwa zgody.

Następnie Holzinger zwrócił się z uśmiechem do Undine:

— Nareszcie mogę się zająć panią. Jestem tu zresztą tylko z pani powodu.

— To ładnie — odpowiedziała.

Ktoś jednak Holzingerowi jeszcze raz przeszkodził. Był to Bert Neumann. Podając swemu bossowi teczkę z materiałami, z niedowierzaniem wpił oczy we własną żonę. Holzinger niedbale wziął od niego teczkę, otworzył i zaczął szybko przerzucać kartki. Następnie stwierdził: — Niezbyt imponujące.

— Nic więcej z tego nie udało się zrobić — odparł Bert Neumann z przymusem.

Holzinger pokręcił głową wśród powszechnej wrzawy, w której zlewały się hałaśliwe głosy piwoszy, nawoływania się przyjaciół, huku orkiestry dętej — znów grała *Bawarskiego marsza defiladowego*, po raz szósty tego wieczoru.

Była już godzina 21. Pozostawały tylko dwie godziny do zakończenia tegorocznego Festynu Październikowego.

— Nie podoba mi się to — przemówił Holzinger, ważąc na wyciągniętej prawej ręce otrzymane przed chwilą papiery, jakby chcąc pokazać, jak mało są warte. — To po prostu nie wystarczy! To są letnie siki!

Nagle zarządził: — Huber, sprowadź mi tu tego Battenberga! Niech przerobi te nędzne bzdury, niech je wzbogaci czymś sensownym. Neumann, ty sprawdzisz potem tę pisaninę, choćby cię to miało kosztować nawet całą noc!

— Zrobi się — oświadczył Huber.

Wydawało się, że Bert Neumann nie słyszy Holzinger. Uporczywie, z bolesnym zdumieniem wpatrywał się w swoją żonę. Wreszcie odezwał się do niej: — Chodź, pójdziemy!

— Nie — odpowiedziała mu łagodnie, lecz stanowczo.

Holzinger wmieszał się teraz rubasznie przyjaznym tonem: — Nie urządź teraz widowiska, Neumann. Twojej drogiej małżonce zdecydowanie się tu podoba. Chcesz jej zepsuć ten wieczór? Przemocą?

— Chodź ze mną — jeszcze raz wezwał ją Bert. Zbladł. Ogarnęło go drżenie. Wreszcie bezsilnie wyjącał: — Pójdiesz ze mną!

— Nudzisz mnie — wyrzekła cicho, patrząc gdzieś przed siebie. Wydało mu się, że jej słowa są bolesne jak krzyk. Ona zaś nie potrafiła już nawet spojrzeć na niego.

Nagle zapanowała cisza i na parę sekund obezwładniła Berta Neumanna.

Potem wybiegł z namiotu.

Meldunek zacząonej grupy obserwacyjnej drogą radiową do stanowiska kierowania w Prezydium Policji, dla komisarza Feldera w sali konferencyjnej:

— Obiekt obserwacji wychodzi z Namiotu Kuszników przez prawe wyjście od tyłu. Przez rozciągający się tam pagórkowaty teren udaje się na południowy wschód, na przebiegającą tam drogę, w kierunku placu targowego. Godzina 21.10.

Felder: — Kontynuować obserwację!

9

Keller powrócił do Prezydium Policji razem z Sabi-
nę i Antonem. Pozostawił ich oboje w kantynie,
prosząc jednak przedtem panią Brasch o opiekę
nad dzieckiem i psem.
Do sali konferencyjnej wszedł już sam. Była godzina 20.50.
Dał znak głową Zimmermannowi. Radca przyjął to z wyraźną
radością, po czym, aby nie tracić ani minuty, przywołał do
siebie Krebsa, który z trudem oderwał się od papierów ze-
branych przez Feldera. Dawały mu pewną nadzieję.

Ledwo podszedł do Zimmermanna, ten z miejsca krótko
podsumował sytuację: — Przy tak ogromnym nakładzie
pracy być może istnieje jakaś szansa na potwierdzenie two-
jej teorii. Ale tylko jedno może nam dać absolutną pew-
ność: przyłapanie przestępcy na gorącym uczynku.

— Można by to osiągnąć względnie łatwo — wmieszał się
do rozmowy Keller. — Trzeba, aby ten przestępca natknął
się na obiekt, na który z pewnością zareaguje, musi zare-
agować.

— Zatem typ, który wyzwoli jego aktywność! Coś jakby
siostra Gudrun Dambrowskiej. W tym samym wieku, o po-
dobnej powierzchowności — wyjaśnił sugestywnie Zimmer-
mann. — W ogóle już mogę sobie wyobrazić, kto by się do
tego nadawał!

— Nie! — zawołał przerażony Krebs. Błyskawicznie
przejrzał jego plan. — Byle nie moja córka! Byle nie Sabine !
Nie narażę jej na niebezpieczeństwo!

— To przecież wcale nie musi być niebezpieczne
— stwierdził zdziwiony Zimmermann. — Jak uważasz,
Keller?

— Keller także nie zechce wystawić Sabine na przynętę podobnemu mordercy — oświadczył stanowczo Krebs.

— On także kocha to dziecko!

— To prawda — potwierdził skwapliwie emerytowany funkcjonariusz. — Ale ten przestępca jest wrażliwy, ma zahamowania, porusza się ostrożnie. To jest właśnie typ estety. Nie należy się u niego obawiać nagłych, wybuchowych reakcji.

Krebs milczał. Zebrani w sali konferencyjnej policjanci jak urzeczeni przysłuchiwali się rozmowie wytrawnych znawców kryminalistyki.

— To, co tu proponujecie, może mieć niedobre, niebezpieczne następstwa — oświadczył z rozważą Krebs. — Czy na to ma być narażone moje dziecko? Nawet ty, Keller, jesteś gotów to uczynić?

— Tak! Nam przecież wcale nie chodzi o popełnienie przestępstwa ani nawet o jego usiłowanie. Samo ujawnienie zamiaru nam wystarczy, byśmy mogli aresztować tego sprawcę i doprowadzić do przyznania się.

— A więc, mój przyjacielu, dlaczego się jeszcze opierasz? — zachęcił Krebsa Zimmermann. — Włos z głowy nie spadnie twojej Sabine. Będziemy ją osłaniali zgodnie ze wszystkimi zasadami naszej sztuki. Siłami całego zespołu, łącznie z Kellerem i Antonem.

— No dobrze, niech będzie — zgodził się ulegle Krebs.

— Ale jak mam to powiedzieć mojej żonie? Ona nigdy nie dopuści, żeby nasza Sabine ...

— Już mi powierzyła twoje dziecko — wyjaśnił sprawę Keller. — Sabine znajduje się właśnie w Prezydium. Na nią odpowiedzialność.

— Mój Boże — szepnął Krebs, wpatrując się w Kellera — po tobie chyba wszystkiego można się spodziewać!

— Zatem rozpoczynamy akcję! — zawołał patetycznie Zimmermann — Felder, proszę uruchamiać wszystko po kolei.

Meldunek sytuacyjny komisarza Feldera:

— Obiekt obserwacji numer jeden, mężczyzna, przebywał w Namiocie Kuszowników na tylnym podeście. Tamże, w ścisłym gronie, odbyła się gwałtowna wymiana zdań. Bezpośrednio potem, zgodnie z ostatnim meldunkiem, ucie-

czka mężczyzny w kierunku południowo-zachodnim. Zgodnie z przewidywaniem.

Ucieczka ta w zaistniałych okolicznościach mogła nastąpić tylko w kierunku południowo-zachodnim, ponieważ Namiot Kuszników znajduje się tym razem od razu na prawo od wejścia na Festyn Październikowy. Na południe od niego rozciąga się duży, ogrodzony teren wystawowy. Nieco w bok na południowy wschód leży dzielnica mieszkaniowa.

Przez dzielnicę tę przebiega wprawdzie kilka ruchliwych ulic, jak na przykład Schiesstattstrasse i Gollierstrasse, lecz pomiędzy nimi mamy wiele bocznych, całkowicie odludnych uliczek. Stoją tam tylko zaparkowane samochody i z rzadka pojawiają się przechodnie, a oświetlonych okien jest tam niewiele.

Inicjatywa Kellera:

— Powinniśmy się udać na stanowisko przechwycenia. Radiowozy, jakie mamy do dyspozycji, należy wykorzystać do osłony. Do akcji wyruszą nasze jednostki specjalne: w pierwszym wozie Krebs, Sabine oraz pani Brasch, w drugim Zimmermann, Anton i ja.

Następnie będzie przeprowadzone ćwiczenie z psem, które już omówiłem z Sabine. Nakłoniłem ją do sprawdzenia umiejętności węszenia u naszego psa Antona, to znaczy zbadanie, czy on ją wyczuje nawet w bardzo trudnych warunkach. Sabine jest gotowa nam pomóc w sprawdzeniu, czy Anton posiada podobne umiejętności.

Powiedziałem Sabine tak: Ojciec pójdzie z tobą aż do pewnego określonego miejsca, potem będziesz szła sama. Anton i ja będziemy w pobliżu. W razie gdyby ktoś zaczął z tobą rozmawiać, wyjaśnisz mu, że szukasz psa Antona. Gdyby ci ktoś chciał pomóc, to czemu nie? Myślę, że to powinno wystarczyć.

Decyzja Zimmermanna:

— W takim razie ruszamy! Do wozów i na stanowisko przechwycenia! Gotowość do działania tam, na miejscu, powinniśmy osiągnąć za niecałe piętnaście minut. Centralę regulacji ruchu proszę o polecenie zapewnienia nam przy wszystkich przejazdach zielonego światła.

Felder pozostaje tu jako odpowiedzialny za wszelkie połączenia radiotelefoniczne, za ochronę wozów patrolowych, za działania grup operacyjnych. Ma niezwłocznie na bieżąco informować o ewentualnych nowych elementach dochodzenia.

Proszę zapewnić możliwie najszerszą łączność w sieci radiowej. Gdyby w tym czasie powielono zdjęcie obiektu informacji, należy je natychmiast udostępnić funkcjonariuszom uczestniczącym w akcji.

W sali konferencyjnej włączono głośnik. Z początku wydawał jedynie słaby szmer, ale potem rozległ się uprzejmy, lecz stanowczy głos dyrektora Hadricha: — Pan radca Zimmermann, proszę do mnie, sprawa pilna!

— Akcja przebiega dalej — rzekł Zimmermann — zgodnie z planem. Proszę zakomunikować dyrektorowi, panie Felder, że jestem właśnie w drodze do niego. Bezpośrednio potem jadę na miejsce akcji. Do mego powrotu wszystkimi działaniami kieruje kolega Krebs. Ma to jednak czynić według moich wskazówek, których pod moją nieobecność będzie mu udzielał Keller. Zostały one już omówione między nami.

—

Bert Neumann opuścił namiot „jakby ścigany przez furie”, jak później pisano. Wydostał się na wolną przestrzeń. Wbiegł na wzgórek w pobliżu terenów wystawowych i tu zatrzymał się na parę sekund, ciężko dysząc. Niespokojnym wzrokiem obrzucił siedzących tam ludzi — samotnych, przeważnie nietrzeźwych, ale też obejmujące się pary. Byli tam również ojcowie rodzin i matki z dziećmi — wszyscy wpatrzeni w przedziwną grę świateł. Bert Neumann przeciął południową obwodnicę, po której pęły kolumny samochodów, i ruszył pośpiesznie w stronę terenów wystawowych. Zanim na nie wszedł, skręcił jednak

w prawo i pobiegł na Messeplatz, a stamtąd rzucił się pędem w najbliższą ulicę.

Zarówno jednak te ulice, jak i dalsze, pełne były hałasu i ryku silników — kotłowanina gorączkowego ruchu! Wbiegł w sam środek tego piekła zablokowanych samochodów, porykujących silników, wściekłego trąbienia. Żaden samochód nie mógł ruszyć. Do tego tłum ludzi wyjących, krzyczących, wymiotujących pod drzewami i parkanami. Niepohamowane użycie rozplywające się w oszołomieniu i znużeniu.

Bert Neumann obydwoma łokciami przepchnął się przez zataczającą się z opilstwa cizbę i schronił się w którejś z bocznych uliczek. Tu, zaledwie o kilka kroków od ludzkiego strumienia cuchnącego alkoholem, znalazł się nagle w zbawczym, po poprzednim zgiełku prawie bezgłośnym otoczeniu.

Oparł się o ścianę jakiegoś domu. Był kompletnie wyczerpany. Jedyne na tej ulicy lampa neonowa, umieszczona na wysokości pięciu metrów, nie obejmowała go swoim światłem. A już wcale nie było widać jego twarzy, trupio bladej i błyszczącej *od* potu. Był kompletnie załamany, bliski targnięcia się na własne życie.

Wtem spostrzegł dziecko. Dziewczynkę idącą środkiem jezdni. Niemal w jego kierunku. Ulicą, która mu się wydała niesamowicie dobrze znana, jakby ją nagle załało jaskrawe światło. Była to przecież ulica P. Taka sama jak ta wczorajsza.

Teraz wszakże widział jedynie dziewczynkę, która zbliżała się do niego. Wydawało się, że czegoś szuka. Nad jej rozpromienioną twarzą unosiły się kolorowe baloniki.

No, jest pan nareszcie! — zawołał dyrektor Hadrich, gdy radca Zimmermann zameldował mu swoje przybycie. — Możemy sobie oszczędzić zbędnych uwag. Oświadczam najwyraźniej w świecie: koniec z tym wszystkim!

— O czym pan mówi? — zapytał zaciekawiony Zimmermann.

— O Krebsie! — stwierdził dyrektor. — Bo o kim innym?

— Krebs, jak pan dobrze wie — oświadczył stanowczo Zimmermann — jest jednym z naszych najlepszych funkcjonariuszy. Powinniśmy się cieszyć, że mamy go u siebie!

— Powinniśmy? Naprawdę? Niektórzy są całkiem innego zdania.

— Takich nigdy nie brak!

— Z rzadka zdarzają się wszakże tacy, co nie tylko zgłaszają poważne zastrzeżenia, ale dysponują także przerażającymi materiałami dowodowymi.

— Dotyczącymi Krebsa? Nie *wierz*ą.

— Dokumenty, które mi przedstawiono, dają bardzo wiele do myślenia. Stwierdzają na przykład, że Krebs wplątał się w jakieś podejrzane małżeństwo.

— Nonsens! — *zawołał* oburzony Zimmermann.

— Poza tym jego żona, podobno już po zamążpójściu, uprawiała podejrzany proceder, co zostało potwierdzone dwoma adresami. Oto one! I co pan na to?

— Proszę pana, jakie znaczenie mogą mieć adresy? Jeden z moich przyjaciół, elektronik, mieszka przy Landwehrstrasse, w domu, na którego parterze mieści się salon masażu, odwiedzany zresztą nawet przez panów z kół rządowych. Ja tam chodzę tylko po to, aby odwiedzić przyjaciela. Pod tym samym adresem.

Hadrich upierał się jednak przy swoim, był zdecydowany skończyć sprawę: — Ponadto Krebs podobno pozwalał sobie na intymną ingerencję w życie naszych funkcjonariuszek.

— Ten, kto utrzymuje coś podobnego, musi mieć bardzo wybujałą wyobraźnię. A poza tym nie ma najmniejszego wyobrażenia, kim jest nasz Krebs. — Zimmermann zaczął się po prostu śmiać. — Dziwię się jednak, że pan w ogóle reaguje na podobne pomówienia.

— Szanowny panie kolego — odezwał się ostrzegawczo dyrektor — bardzo pana proszę o nieco więcej zrozumienia dla mojej sytuacji. Zastępując znajdującego się właśnie na urlopie prezydenta, mam nie tylko obowiązek prostować

wszelkie możliwe uchybienia podwładnych, muszę także myśleć o instytucji jako całości.

— Nikt panu w tym nie przeszkadza! Niech się pan zastanawia nad całością, a my będziemy pracować.

— Panie Zimmermann — zaznaczył Hadrich z naciskiem — nie życzę sobie żadnych bezpośrednich sporów z panem, proszę to mieć na uwadze. Niepokoi mnie tylko niesłychana zawziętość tego Krebsa! Do tego jeszcze ta wczorajsza przykra historia z Ettenkoflerem.

— Za to nie można winić Krebsa jako bezpośrednio odpowiedzialnego! Przed gorliwymi idiotami nie uchroni się niestety żadna instytucja. Nawet dyrekcja policji kryminalnej.

— Trzymajmy się tematu! Niech się pan tylko przyjrzy bezwzględnej metodzie, jaką Krebs stosuje w swoich dochodzeniach. Nie oszczędził nawet centrali partyjnej. Narobiło to wiele wrzawy, a można było tego łatwo uniknąć!

— Tak właśnie powinno się stać — wyjaśnił bynajmniej nie stropiony Zimmermann. — Zazwyczaj zresztą działamy w jedwabnych rękawiczkach i na gumowych podszewkach, według życzenia klientów. Ale tym razem pracujemy pod silną presją czasu i nie możemy sobie pozwolić na jakiegokolwiek względy wobec kogokolwiek. Dla pana natomiast w tej chwili rzeczą chyba najważniejszą jest to, że nie Krebsa trzeba czynić odpowiedzialnym za tę akcję, tylko mnie! Podporządkował mi pan jego wydział, a tym samym jego samego. Jeżeli więc pan chce się z kimś rozprawić, to proszę, nie z Krebssem, *ale* ze mną.

Dyrektor Hadrich milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie zapytał z naciskiem: — Chce pan naprawdę odpowiadać za to wszystko?

— Czy chcę, czy nie chcę, i tak będę odpowiadał. Wspólnie z Kellerem.

— Wciągnął pan w to nawet Kellera? — zapytał dyrektor, wyraźnie stropiony. — I on pozwolił się włączyć? Wobec tego sprawa z pewnością przedstawia się niedobrze. Bardzo pana proszę o szczegółowy meldunek.

— Mniej więcej za godzinę — *oświadczył* bez skrępowania Zimmermann. — Teraz jadę na miejsce akcji. Od jej

wyniku będzie zależało, czy wręczę panu prośbę o dymisję, czy też pan wyrazi pełne zaufanie i mnie, i Krebsowi. Keller czegoś podobnego oczywiście nie potrzebuje.

Wyjaśnienia doktora Bergolda, specjalisty techniki kryminalistycznej w Prezydium. Policji:

— W tę niedzielę wieczorem zamierzałem pozostać w gronie rodzinnym. Po dobrej kolacji, pieczeni wieprzowej z knedlami, postanowiliśmy popatrzeć na telewizję. Chciałem znów zabawić się oglądaniem filmu kryminalnego, ponieważ przejawiana w takich filmach naiwność i brak pojęcia o naszej praktyce przenosi mnie w świat baśniowy. Nagle nadeszło jednak wezwanie od Kellera, a to zapowiadało coś znacznie poważniejszego.

Zastałem naszego wybitnego starszego pana w laboratorium. Postawił mnie wobec takiego problemu: umieścić na dziecku jak najmniejszy, prawie niewidoczny mikrofon, o zasięgu kilkuset metrów.

Przedstawiłem mu swoje propozycje: zawiesić dziecku mikrofon wielkości zaledwie połowy pudełka zapalek na szyi, pod pachą, we włosach. Keller na nic się nie zgadzał, uważał, że może nastąpić bezpośredni atak i na skutek tego mikrofon może ulec uszkodzeniu lub zostać w ogóle wyłączony. Wobec tego prosił, bym odpowiednio rozwinął fantazję!

Poprosiłem o podanie konkretów: co to za dziecko? w jaki sposób i gdzie ma być włączone do akcji? Dowiedziałem się, że jest to dziewczynka w wieku nieco ponad dziesięć lat, że znajdzie się w pobliżu terenu Festiwalu Październikowego. Ten ostatni wyraz zadziałał jak hasło wywoławcze. Od razu skojarzyłem go ze swobodą, lekkością, unoszeniem się w powietrzu!

W rezultacie użyłem baloników. Było ich trzy, uwiązane na krótkich nitkach długości jednego do półtora metra. Pod balonikami zaś zamontowałem mikrofon.

Bert Neumann, oparty o szarą ścianę domu przy ulicy P numer 26, dojrzał trzy różnobarwne baloniki, które zbliżały się do niego, unosząc się w powietrzu. Jeden był żółty jak światło księżyca, drugi lazurowy jak niebo, trzeci zaś jaskrawoczerwony.

Pod balonikami, w świetle neonowej latarni, wyraźnie rysowała się piękna jak u lalki buzia, o cudownie regularnych rysach, okolona łagodnie lśniącymi jasnymi włosami. Bert Neumann, ulegając jakby jakiemuś tajemnemu przymusowi, ruszył na spotkanie tej dziewczynki.

Kiedy zbliżył się już do Sabine, zatrzymał się ostrożnie, aby jej nie przestraszyć. Potem przemówił:

— Cóż ty tu robisz?

— Szukam naszego psa — odrzekła Sabine.

— Uciekł ci?

— Nie uciekł — odparła dziewczynka — ale ja go po prostu nie mogę znaleźć, a może to on nie może znaleźć mnie?

— W takim razie musisz go szukać, nadal bez przerwy szukać. Wszyscy ludzie, dopóki żyją, muszą szukać.

Podszedł do Sabine, która nie ruszała się z miejsca i przyglądała mu się ciekawie. On zaś zbliżał się do niej powoli, jak gdyby daremnie się opierał, a coś przemocą popychało go naprzód. Będąc już zaledwie o metr od niej, powiedział po cichu, zdławionym głosem, z głuchą wyrazistością: — O Boże, dziecko! Jakaś ty piękna!

Następnie jakby się dusił, przytłumionym, głosem dorzucił: — O Boże, jak można być tak piękną, moje dziecko!

Tę wymianę słów pochwycił i przekazał dalej mikrofon zawieszony pod unoszącymi się w górze balonikami, a przysłuchiwały się jej cztery osoby: Krebs i pani Brasch w pierwszym wozie, a w drugim Keller z Antonem i Zimmermann, który pojawił się dopiero przed kilku minutami. Był gotów do skoku jak podrażniony lew. Zdawało się jednak, że i pies rozumie każde słowo. Był coraz bardziej niespokojny.

— Dość już chyba tego! — powiedział pośpiesznie Krebs do zawieszzonego nad nim radiotelefonu.

— Jeszcze tylko odrobinę cierpliwości — doradził Keller przez swój radiotelefon z drugiego końca ulicy.

— Czy grupa obserwacyjna zbliżyła się już do tego obiektu? — zapytał Zimmermann.

— Tak jest — zapewnił Keller przez stale włączony radiotelefon, co powinni byli dokładnie słyszeć także Krebs i pani Brasch. — Nasza grupa może w każdej chwili wkroczyć do akcji.

W skład tej grupy obserwacyjnej, dzięki przezornemu wzmocnieniu jej przez Feldera, wchodziło sześć osób, w tym czterech mężczyzn i dwie kobiety. Znajdowali się oni w samochodzie przy bramie jakiegoś domu, w cieniu zaparkowanego wozu. W tym przypadku było to zbyt daleko.

— Powinniśmy już wkroczyć — zaproponował Krebs.

— Jeszcze nie! — zawołał Zimmermann.

— Sabine nic nie grozi — zapewnił z przekonaniem Keller. — Rozumiem twoją niecierpliwość, Krebs. Nasz Anton odczuwa to podobnie. Ale na razie byłoby to przedwczesne.

— Żadnego działania bez mojego rozkazu! — zarządził Zimmermann.

Chciałbym ci jakoś pomóc, moje dziecko — powiedział Bert Neumann, tym razem cicho, nie ruszając się z miejsca, wciąż jeszcze stojąc w odległości metra od dziewczynki. — Jak ci na imię?

— Sabine — powiedziała, spoglądając na niego z zaciekawieniem.

— To piękne, cudowne imię! Bardzo dla ciebie odpowiednie, bo jesteś taka delikatna.

— Nasz pies nie może mnie znaleźć — przemówiła bezradnie Sabine. Popatrzyła na Neumanna, jakby oczekiwała od niego pomocy. — Co tu robić? Gdzie mam go szukać?

— Zagubione psy boją się — powiedział poruszając się nieznacznie naprzód. — Najczęściej chowają się, znajdują sobie zaciemnione kryjówki. Rozejrzyjmy się po takich miejscach. A może się boisz?

— Czego bym się miała bać? — zapytała Sabine wesoło brzmiącym głosem. — A jak pan uważa, gdzie powinniśmy go szukać?

— Wszędzie tam, gdzie jest ciemno, Sabine, moje śliczne dziecko! Na przykład tam naprzeciwko moglibyśmy zacząć, w bramie. W takiej kompletnej ciemności psy czują się bezpieczne, podobnie jak czasem ludzie. Pójdiesz ze mną? No chodź, Sabine, piękna dziecinko. Chodź ze mną!

Niecałe sto metrów od tego miejsca wrzeszczeli podpici biesiadnicy, którzy dotarli do swego autobusu stojącego na przystanku. Śpiewali: „Taki dzień, tak piękny jak dziś...”

Była godzina 21.42.

W Namiocie Kuszników Holzinger raz jeszcze zlustrował spojrzeniem swój orszak. Unosząc stojący przed nim kufel, przepijał po kolei do każdego: do Ettenkoflera w imię świeżo zawartej przyjaźni: „Za to, co mamy jeszcze przed sobą!” Do Weinhebera, nawet w tym miejscu przewidując dalekosiężne przyszłe działania: „Wszelkie szanse ma pan w swoim ręku, podobnie jak pańska małżonka!” Do ministra spraw wewnętrznych, wypróbowanego partnera: „Tylko tak dalej!” I wreszcie do Geigenbauera, już w niedalekiej przyszłości dyrektora telewizji: „Rozumiemy się!”

Jeszcze raz, jak się wydawało, zostały uruchomione wszystkie ważniejsze mechanizmy. Holzinger był w nich biegłym mechanikiem, pewnym ich siły napędowej. Przerwy w ich funkcjonowaniu, przeznaczone na twórczą pracę, wydawały mu się sensowne i całkowicie usprawiedliwione.

Z zadowoleniem spoglądał na rozwrzeszczaną cizbę, a potem w górę, na potężne trofea myśliwskie, umocowane na poprzecznych ścianach olbrzymiego namiotu, na łby

odyńców i poroża jeleni dwunastaków, i całą resztę godną miana zdobyczy łowieckiej.

Odezwał się z pewnością siebie i zarazem z poufałą zachęta do Undine: — Tu jest już właściwie po wszystkim. Teraz nareszcie mogę *się zachowywać* jak człowiek. Wspólnie z panią, jeśli ma pani ochotę.

— Mam — oświadczyła zdecydowanie.

Dyrektor Hadrich wezwał do siebie komisarza Feldera. Stał właśnie przed nim, całkowicie spokojny.

— Wiem — zaczął powściągliwie Hadrich — że pan bardzo szanuje naszego kolegę Zimmermanna.

— Zgadza się, panie dyrektorze. Zresztą pan Zimmermann przekazał mi dwa adresy, które pan mu podał, a które dotyczą pani Krebs. Poleciał mi je sprawdzić. Stosownie do tego przeprowadzono badania.

— I co dalej? Z jakim wynikiem?

— Cotygodniowe wizyty składała swemu ojcu, to adres numer pierwszy. Następnie panu *Kellerowi*, adres numer dwa. Podejrzenia robią wrażenie niesłychanie prymitywnych. Mogli je sfabrykować tylko skończeni durnie.

— Dobrze — powiedział dyrektor, nieco rozczarowany aż tak nikłym rezultatem, ale także z pewną ulgą. — Nawet bardzo dobrze.

— To mogę już sobie iść?

— Jeszcze nie, panie Felder. Będę pana potrzebował. Tym bardziej że uważam pana za jednego z naszych najbardziej godnych zaufania funkcjonariuszy.

— Bardzo mi miło.

— Za godnego zaufania pod każdym względem, Felder! Rozumiem przez to, że pan bez namysłu zastosuje się do wszystkiego, co zarządę. Liczę na to. Nie żądam, ażeby pan postępował niełojalnie wobec swego przełożonego. Oczekuję tylko dokładnego przewidywania. Mianowicie, *co* się stanie, ale tak ze wszystkimi szczegółami, w razie gdyby

miała się nie udać akcja Zimmermanna i Krebsa? Musimy zapobiec ewentualnej katastrofie. A więc podjąć zwykłe urzędowe działania ubezpieczające. Rozumie mnie pan?

— Całkowicie!

— Jest pan zatem gotów...

— Nie, panie dyrektorze! — odparł zdecydowanie Felder. — Musiałby sam pan Keller mnie przekonać, że w tej sprawie nastąpiło fatalne nagromadzenie błędnych ocen. Czy pan uważa, że to jest możliwe?

— Strasznie zgrana z was kompania! — zawołał Hadrich. — Czy człowiek chce czy nie chce, musi razem z wami konie kraść!

— Ale pan przecież chce — usłyszał Felder swoje własne słowa. — A my chcemy, żeby pan nadal był naszym dyrektorem.

Jesteś szczęśliwy? — zapytała cicho Brigitte Scheurer. — Tak, jestem szczęśliwy — wyznał Erwin Müller. — Wiesz, co to jest szczęście? — zapytała go, uśmiechając się gdzieś w przestrzeń. — Co przez nie rozumiesz?

— Przebywanie z tobą — wyznał.

Leżeli obok siebie w pokoju hotelowym przy Schillerstrasse — trawiastozielona wykładzina podłogowa, lazurowe ściany, jasnoszary sufit. Wokół nich prymitywne meble z domu towarowego. Tylko podwójne łóżko, w którym leżeli, zostało dopiero co wymienione. Erwin przeciągnął się w nim z lubością, z zamkniętymi oczyma.

— Nie myśl przypadkiem — powiedziała, tuląc się do niego — że ja często sobie pozwalam na coś podobnego.

— Ja nie robiłem tego nigdy, od czasu kiedy się ożeniłem — przyznał się z uśmiechem, dziwiąc się sam sobie.

— Nie wierzę ci! — zawołała siadając. Patrzyła na niego ze zdumieniem. — Tylko tak mówisz!

— Wiem, że to brzmi mało prawdopodobnie, ale to szczerą prawdą. Z braku okazji, jeżeli tak chcesz, z odrazy

do łatwych przygód. Można by jednak także powiedzieć, że dla czystej zasady.

— To niedobrze i jednocześnie cudownie! — orzekła Brigitte, nachylając się nad nim czule, jakby prosiła o wybaczenie. — Niedobrze, oczywiście, dlatego że ze mną.

— Właśnie cudownie, dlatego że z tobą!

— A co mogłoby z tego wynikać? — zapytała, nie patrząc już na niego.

Była godzina 21.42.

Tu. moje piękne dziecko, tu, w tej bramie zaczniemy szukać twego pieska. Chodź ze mną, bądź całym spokojna. Już my go znajdziemy. Zaufaj mi, chętnie się tym zajmę. Dla ciebie. Słowa te huczały w uszach Krebsa, który nastawił odbiornik na pełną siłę głosu. Pani Brasch w macierzyńskim odruchu położyła mu uspokajającym gestem dłoń na ramieniu. Kilka sekund minęło bezgłośnie.

— Nadeszła właśnie ta chwila — odezwał się rzeczowo Keller.

Potem dał się znów słyszeć głos Sabine. Brzmiało w nim niechętnie zdziwienie. — Co pan robi? Dlaczego pan klęka?

Na to Bert Neumann, jakby go kto dławiał, z wysiłkiem wyrzucał z siebie trudne do rozpoznania strzępy słów:

— O Boże, jak możesz być tak piękna... Jak straszliwe jest twoje piękno... To niemożliwe... Już nie mogę...

— Koniec! — krzyknął przerażony Krebs. — Nie wytrzymam tego!

— Wystarczy już! — stwierdził Keller.

— Nie wystarczy! — zauważył ostro Zimmermann.

— Przecież to wszystko jest dopiero fazą wstępną. Jeżeli chcemy mu naprawdę coś udowodnić, musi się on posunąć jeszcze dalej.

— Od Krebsa nie można już tego wymagać! — oświadczył stanowczo Keller. — Dla nas jest to przypadek, a jemu chodzi o dziecko.

— Nie róbmymy tego połowicznie! — zawołał zaniepokojony Zimmermann. — Jeżeli go teraz ujmijemy, to on się nam z tego wykręci i wszystko się okaże daremne.

Krebs: Dość tego!

Keller: Zbyt wiele od niego wymagasz, Zimmermann. Kończ z tym! Natychmiast!

— Wkraczamy więc! — rozkazał, wyraźnie już przymuszony, Zimmermann. Uczynił to tak głośno, że właściwie zbędne się okazały wszystkie urządzenia wzmacniające.

Ruszyli natychmiast, jak wystrzeleni z procy — najpierw Krebs, potem funkcjonariusze z grupy operacyjnej i wreszcie pani Brasch. Wszystkich wyprzedzał jednak spuszczone ze smyczy pies Anton, który pierwszy znalazł się obok Sabiny. Bezpośrednio po nim dobiegł do niej zadziwiająco szybki Keller.

I on, i Anton natychmiast zajęli się troskliwie dziewczynką. Pies rzucił się na mężczyznę, który znajdował się przy niej, ale Keller sam odtrącił tego człowieka i pchnął go pod ścianę domu, po czym pociągnął ze sobą Sabinę z bramy na zewnątrz, na oświetloną ulicę.

Tu opiekuńczo objął dziewczynkę, Anton zaś podskakiwał wokół niej radośnie.

— No jak tam, Sabine — odezwał się Keller, zmuszając się do uśmiechu. — Czy to nie było zabawne? A może dałaś się zastraszyć? Ale nie myślę, bo to wszystko było dość śmieszne, prawda?

— Można by tak powiedzieć — stwierdziła Sabine. Nie była ani wystraszona, ani zmieszana, być może tylko trochę zdziwiona, jak stwierdził z ulgą Keller. Oddał ją w ręce pani Brasch, Anton zaś wołał pozostać przy dziecku.

Keller wszedł z powrotem do bramy.

Stał tam Bert Neumann, przyciśnięty plecami do ściany. Mrugał oczyma w jaskrawym świetle skierowanych na niego latarek, blade, bezsilny, uległy. Krebs, upewniwszy się, że jego córka jest cała i zdrowa, stanął przed nim i przyjrzał mu się uważnie, nie odrywając od niego oczu.

Tymczasem zbliżył się Zimmermann. Szedł dumnym, posuwistym krokiem. Wcale nie było mu spieszo. Był całkowicie zdecydowany zadać ostateczny cios. Popatrzył

badawczo na Berta Neumanna, swoją ofiarę, którą wstrząsały dreszcze, być może na skutek nocnego chłodu. Następnie głośno zarządził: — Teraz na pana kolej!

Jak się zdawało, Zimmermann miał zamiar dalszy ciąg sprawy oddać w ręce Krebsa. Skinął na niego głową, po czym sam cofnął się kilka kroków i stanął napięty, jakby się gotował do skoku. Obok niego stał Keller.

Keller odezwał się przytłumionym głosem: — Inteligentny, nerwowy, udreżony wyraz twarzy. Co też się w tym człowieku musi dziać!

— Widzę na razie tylko tyle — mruknął Zimmermann z oburzeniem — że nie jest to wcale idiota. A jeżeli, jak uważasz, jest inteligentny, to nie powinien mieć trudności z wyplątaniem się z tej imprezy. Krebs zmiękł zupełnie, to z powodu Sabine. A ty tak samo. Tacy jesteście wy, przewrażliwieni policjanci!

Krebs przybliżył się powoli do Neumanna, aż znalazł się tuż przed nim. Otaczający go policjanci cofnęli się nieco — z szacunku i zarazem w oczekiwaniu, co nastąpi dalej. Światło ich latarek nadal skupiało się na postaci Neumanna. Jego ostro zarysowana blada twarz, z początku podobna do maski kłowna, teraz wyrażała śmiertelne znużenie. Przykrył oczy.

Krebs cicho i wyraźnie powiedział: — Udowodniono panu usiłowanie popełnienia przestępstwa obyczajowego. Nie ulegają wątpliwości inne przestępcze czyny tego samego rodzaju. Są na to świadkowie. Chce się pan wypowiedzieć w tej sprawie?

Bert Neumann jęknął z udreką: — Co pan może o mnie wiedzieć?

— Bardzo wiele.

— Nic pan nie wie! Nie ma pan nawet pojęcia, jak bardzo bezradny jest każdy człowiek!

— To pański pogląd! My trzymamy się tylko faktów.

— Krebsa nic nie mogło powstrzymać, gdyż uważał, że jest już bliski celu. — To, co pan tu uczynił, było trzecim, a może nawet czwartym usiłowaniem. Każde z nich może być udowodnione. Nasilenie ich wzmagало się coraz bardziej. Pan wie, czym to się mogło skończyć?

— Ja tylko kochałem, nic więcej! — Neumann rozpaczliwie mrugał, patrząc w światło, i raz po raz zamykał oczy.

— Ulega pan urojeniom na tle swojej żony.

— Undine! — wymamrotał Bert Neumann. Z rozpaczą patrzył przed siebie. — Dlaczego są na świecie takie kobiety? Czy wszystkie są takie same, niszczące, rozkładające, jak choroba psująca krew. Straszna choroba, występująca już u dzieci. Trzeba je przed nią chronić...

— Pozbawiając je życia?

— Ja kocham... ludzi.

— Proszę nam oszczędzić tego rodzaju oświadczeń — włączył się Zimmermann. — Za pomocą filozofii nie ruszymy z miejsca. Mamy sprawcę przestępstwa, a teraz potrzebne jest nam tylko jego przyznanie się. Musi nam je złożyć.

— Do czego mam się przyznać? — zapytał zrozpaczony Bert Neumann. — Że nikt nigdy nie chciał mnie zrozumieć? Że nikt mnie nigdy nie kochał? Że ja cierpię?

— Dalszy ciąg przesłuchania w Prezydium — zdecydował zirytowany Zimmermann. — Zabrać tego człowieka!

Natychmiast wypełniono jego rozkaz.

Krebsowi zaś Zimmermann powiedział: — Zajmij się nim jak najszybciej i jak najbardziej umiejętnie. Dopóki znajduje się pod wpływem szoku. I żadnych opowieści o chorobie. Mają być tylko fakty, fakty i jeszcze raz fakty!

Następnie zwrócił się do Kellera: — Musimy liczyć się z tym, że z fenotypem przestępcy estetycznego, jak słusznie zauważyłeś, łączy się pewien poziom inteligencji. Jeśli nasz przestępca posłuży się swoim rozumem, może się nam wyśliznąć jak węgorz. Czy możemy liczyć, że w takim przypadku włączysz się do przesłuchania?

Keller skinął głową na znak zgody. — Licz na to. Ale najpierw sprawdzę, czy Sabine i Anton dobrze wszystko przetrzymali. Bo kiedy się mówi o ludziach, bardzo rzadko myśli się o dzieciach. O zwierzętach już nawet nie wspomnę.

— Chciałbym mieć tylko takie kłopoty jak ty — roześmiał się niezbyt radośnie Zimmermann. — W twoim przypadku chodzi oczywiście o niuanse psychiczne, ale w moim wchodzi w grę moja własna egzystencja, i w dodatku egzystencja

Krebsa. Jeżeli w tej sprawie coś się nie uda jesteśmy załatwieni.
Hadrich już się o to postara.
Była godzina 22.45.

No co, czy Anton nie spał się dobrze? — zapytała radośnie Sabine . Objęła przy tym psa za szyję i uściskała tak mocno, że aż zaskowyczał. — Czy nie udało *się wszystko bardzo dobrze?* Sabine zadała to pytanie Kellerowi, siedząc obok niego na tylnym siedzeniu samochodu radcy Zimmermanna. Pani Brasch, z przodu obok kierowcy, ze zdziwieniem zerknęła do tyłu na to niezwykle żwawe dziecko. Nie wydawało się, by Sabine choćby w najmniejszym stopniu pozostawała pod wrażeniem tego, *w czym dopiero co* uczestniczyła. Wyraźnie nie uświadamiała sobie, że zaledwie przed kilkoma minutami była w poważnym niebezpieczeństwie.

Pani Brasch mrugnęła porozumiewawczo do Kellera. Wielki starzec z Prezydium roześmiał się — donośnie, serdecznie i beztróskowo. — Tobie, Sabine , naprawdę się zdaje, że wszystko jest wspaniałe, nie tylko to, co się wiąże z naszym Antonem. Zaczynam już prawie rozumieć, dlaczego uważasz, że wszystko wypadło dobrze. Widocznie zorientowałaś się, o co tu naprawdę chodziło.

— Chodziło o kogoś, kto udaje dobrego wujaszka — oświadczyła dziewczynka. — A ja byłam czymś w rodzaju wabika!

— Jak na to wpadłaś. Sabine ? — zdumiała się pani Brasch. Okazało się że i ona może tu się nauczyć czegoś nowego.

Keller, wyraźnie ubawiony, dorzucił: — Mnóstwa rzeczy spodziewałem się po tobie. Sabine , i nasza pani Brasch także, a cóż dopiero nasz Anton, ale nie tego, że wiesz, co to takiego wabik.

— Przecież umiem czytać. I ostatecznie mam parę oczu w głowie. — Dziewczynka wydawała się w tej chwili nie ta sama, odpowiadała bez zwykłej powagi i namysłu. Była też nadzwyczaj rozmowna. — Znam to przecież z telewizji. Czy-

tuję także gazetę. A poza tym przeglądam zawsze czasopisma, które tatuś przynosi do domu.

— Nie do wiary — odezwała się pani Brasch, kręcąc głową. — To dziecko czyta czasopisma fachowe. A może też na przykład „Kriminalistik“?

— Tak, czytam nie tylko „Kriminalistik“, ale także „Kriminalbeamten“ i „Polizeinachrichten“, i książki pana Kellera. — Sabine wprost się rozkoszowała wrażeniem, jakie wywołała u dorosłych. — Czasem nie rozumiem czegoś bardzo dokładnie, ale przeważnie rozumiem.

— Niezwykle ciekawe — powiedział Keller. — Powinnaś czasem porozmawiać o tym z ojcem albo ze mną, albo z panią Brasch. W każdym razie najważniejsze jest to, że wypadło nam nieźle. A może się czegoś wystraszyłaś? Co?

— Zrobiłam to chętnie — zapewniła dziewczynka, znów już poważna. — A nasz Anton — jeszcze raz uściśliła go serdecznie — był naprawdę pierwszorzędny, prawda? Przybiegł do mnie pierwszy, szybciej niż ludzie.

— Nasz Anton jest naprawdę pierwszorzędny — potwierdził skwapliwie Keller. — Ale ty też jesteś wspaniała i dlatego mogę się z tobą spokojnie pożegnać. Może będą mnie potrzebowali w Prezydium. Pani Brasch odwiezie cię do mamy.

— A co będzie z naszym psem?

— Zobaczysz go znów najpóźniej jutro, Sabine. Teraz jednak musi on iść ze mną. Bądź co bądź może się zdarzyć, że będę musiał polegać na jego niezawodnym instynkcie, sama to rozumiesz. Taki zwierzak jak Anton może zawczasu wyczuć zbliżające się niebezpieczeństwo.

Holzinger usłyszał ciche, ale niecierpliwe stukanie do drzwi swego pokoju hotelowego. Obrócił się niechętnie na bok, leżąca obok niego kobieta pozostała bez ruchu. Była to Undine. Nie otwierając oczu, jak pijana z rozkoszy, wyrzekła: — Nie odchodź ode mnie.

— Zaraz powrócą — obiecał jej. — Przecież noc się dopiero zaczęła.

— Pospiesz się — powiedziała.

Podniósł się z łóżka i sięgnął po leżący obok płaszcz kąpielowy. Następnie odemknął drzwi pokoju i uchylił je nieznacznie. Ujrzał Hubera.

— Chłopie, czy koniecznie chcesz mi się narazić? — zapytał niechętnie Holzinger. — Co to? Rosjanie wkroczyli?

Był to jeden z jego ulubionych żartów, co znaczyło, że nie jest wcale zagniewany, tylko w czymś mu przeszkadzono.

— Czy wolno mi zapytać, czy pani Undine jest u pana? — wyszeptał konfidencjonalnie Huber.

— To po to przyszedłeś? Bo sam byś chciał... — Holzinger nie wiedział już, czy ma teraz Hubera spoliczkować, czy roześmiać się na głos. Wzbudzenie w tym miejscu sensacji wydało mu się w każdym razie najmniej wskazane. Powiedział półgłosem:

— Nie pleć bzdur, chłopie. Może innym razem.

— Przychodzę z powodu Berta Neumanna — wyjaśnił pospiesznie.

Holzinger dokładniej się otulił płaszczem kąpielowym, wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

— Co się stało z Neumannem? Węszy za mną? Może z pistoletem w rękę? Nie próbuj mnie nabierać na takie głupstwa. Poza tym Neumann nie wie, w którym hotelu się zatrzymuję. Tylko ty o tym wiesz!

— Gdyby tylko o to chodziło! — odpowiedział wyraźnie przygnębiony Huber. — Ale jest gorzej. Neumann został mianowicie aresztowany.

— W takim razie porozum się z adwokatem. Niech on się o niego martwi, a mnie pozwól łaskawie spać.

— Nie byłoby wskazane, abyśmy się angażowali w tę sprawę. Raczej powinniśmy się od niej zdecydowanie odciąć. Neumanna aresztowano jako poważnie podejrzanego o popełnienie przestępstwa obyczajowego.

Holzinger popatrzył z najwyższym zdumieniem na swego najbliższego zaufanego. Potem rozejrzał się podejrzliwie. Na ciasnym korytarzu hotelowym, wyłożonym grubymi chodnikami, znajdowali się tylko oni dwaj. Holzin-

ger opadł na wąską sofę pod ścianą naprzeciw drzwi do pokojów.

— Człowiek z naszego ścisłego grona, proszę cię, wplątany w coś podobnego! To niemożliwe! Uzasadnione podejrzenie czy tylko domniemanie?

— Podobno przyłapano go, że tak powiem, na gorącym uczynku. Powiedział mi o tym Michelsdorf, nasz człowiek. Chodzi mianowicie o to, że Neumann miał napaść na dziecko. To wiadomość poniekąd urzędowa.

— A to nędzny, mały świntuch! — zawołał szczerze oburzony Holzinger. — Musimy się natychmiast odżegnać od tego bydlaka!

— Proponuję, żeby się od niego odżegnać niejako z mocą wsteczną, jeszcze przed popełnieniem przestępstwa.

— To byłoby wcale niezłe, gdyby się udało — zauważył boss nastawiając ucha. — Ale jak to uzasadnić?

— Dziś po południu Neumann spotkał się z Müllerem. Jego żona może to potwierdzić. — Huber ucieszył się, że ma okazję o tym powiedzieć. — Wyrażna próba podkupienia!

— Wcale nie próba, tylko dokonane podkupienie! — rozstrzygnął sprawę Holzinger, reagując błyskawicznie. Podniósł się, znów niezachwianie pewny siebie, jak zresztą przystało wielkiemu przywódcy. — Zatem Neumann nie należy już do nas, tylko do strony przeciwnej, do Müllera. Müller kupił więc sobie przestępcę obyczajowego! Sam zobaczy, jak ten go wykończy. Jasne?

— Jasne — potwierdził Huber. — Formalnie będzie wszystko w porządku. Ale jak na to zareaguje Müller?

— Wyszukaj go, a resztę już ja załatwię.

— Pozwolimy więc temu przestępcy obyczajowemu ugotować się we własnym sosie?

— Oficjalnie tak, ale w samej rzeczy nie. Nie myślę przy tym bynajmniej o sytuacji Neumanna, tylko o naszej. Trzeba go w miarę możliwości zneutralizować za pośrednictwem najrzęczniejszego człowieka, jakiego mamy do dyspozycji.

— Może Messera? — zapytał z niedowierzaniem Huber Trzeci. — Właśnie jego?

— Właśnie jego! — zdecydował nieodwołalnie Holzinger. — Niech on się martwi o Neumanna. Przez to się osiągnie znaczne złagodzenie sprawy. Messer jest wprawdzie opłacany przez nas, ale wobec Neumanna nie powinien występować jako nasz człowiek. Trzeba bezwzględnie unikać wszelkich powiązań politycznych.

— Zrobi się — zapewnił Huber Trzeci, pełen podziwu. Po czym dorzucił: — A co się stanie z tą Undine?

— A cóż się ma stać? — roześmiał się jego boss. A potem poufnie, jak to między mężczyznami, dodał: — To jeszcze nie tknięty ugór. Ona wprost szaleje, by stracić z kimś swoją „niewinność”. Jest równie podniecająca, jak wyczerpująca. Ot, taki mały wulkan na użytek domowy. Ale ty najpierw wytrop Müllera i napuść na niego naszego Messera. Całą resztę da się później zaaranżować, także na twój użytek. Z Undine włącznie.

Bert Neumann siedział w gabinecie kierownika wydziału obyczajowego na krześle przed biurkiem komisarza. Krebs siedział po drugiej stronie biurka. Radca Zimmermann stał w kącie przy drzwiach.

Trzymał się raczej na uboczu, wyczekując, oparty o ścianę.

— Został pan aresztowany — powiedział dobitnie Krebs. — Ujęto pana w trakcie popełniania czynu przestępczego. Nie może się pan tego wyprzeć.

Neumann milczał. Siedział zgarbiony, uniósł tylko głowę i spojrzał na komisarza szeroko otwartymi oczami. Wydawało się, że nie może wydobyć z siebie słowa.

— Dziewczynka, z którą nawiązał pan rozmowę, a później napadł — dodał Krebs — miała przy sobie mikrofon. Słyszeliśmy więc każde pańskie słowo.

— Jakie znaczenie mogą jeszcze mieć słowa? — odpowiedział cicho Bert Neumann.

Krebs próbował dotrzeć do celu drogą okrężną. Zaczął budować długi łańcuch — zamierzał uporządkować wszystkie fakty i po kolei analizować je pod kątem czasu, miej-

sca, okoliczności i motywów. Neumann powinien się uwikłać w gigantycznej, niezwykle gęstej sieci.

Zimmermann jednak szybko się zorientował, że musiałyby to kosztować wiele godzin, a nawet dni pracy. Nie mógł na to pozwolić, bo dyrektor czekał na wyniki; lada chwila mogła zainteresować się tym prasa. Żądał więc pilnie jednoznacznego rezultatu.

Dlatego też Zimmermann zdecydował się wkroczyć w śledztwo osobiście. Poprosił Krebsa do przedpokoju, pozostawiając Neumanna pod nadzorem jednego z policjantów, oraz zażądał, by mu pilnie sprowadzono Kellera.

Gdy pojawił się on wraz z Antonem, zasiedli we trzech w kącie. Tak zaczęła się niewielka poufna konferencja. Mogła się zresztą odbyć gdziekolwiek w tej przeładowanej instytucji — na korytarzu, w kantine bądź w dowolnym zakątku. Rzeczowe rozmowy fachowców nie wymagają sal konferencyjnych.

Zimmermann: Nie posuwamy się dostatecznie szybko naprzód.

Krebs: Bo to wszystko jest skomplikowane. Tu potrzebna jest cierpliwość.

Zimmermann: Na cierpliwość potrzebny jest czas, a my go nie mamy!

Keller: Krebs chce postępować konstruktywnie i systematycznie.

Zimmermann: To będzie trwało zbyt długo. Pozostaje nam tylko jedno: metoda bezwzględna, to jest przesłuchanie pod presją fizyczną za pomocą krzyżowych pytań.

Krebs: Sprzeciwiam się temu. Nie tylko z zasady. Ten sprawca, choć podlega chwilowemu zahamowaniu, jest osobnikiem o dużej wrażliwości. Zastosowanie przemocy w tym przypadku nic nie da.

— Wobec tego — powiedział stanowczo Zimmermann — musisz do akcji wkroczyć ty, Keller! Ty z twoimi ludzkimi metodami.

— Naprawdę muszę? — zapytał Keller, patrząc na Krebsa.

— Spróbuj — zachęcił c/o Krebs.

Holzingera obudzono po raz drugi — tym razem o godzinie 23.18. Nie było to wcale nie oczekiwane.

Leżąca obok Undine jeszcze nie miała dosyć. Przyglądał się jej badawczo. No tak, tym razem coś nowego. Była rozkosznie pobudzona, co pochlebiało jego męskiej dumie. Sam sobie jeszcze raz dowiedział, że jego żywotność nie była wcale legendą.

Undine położyła się na brzuchu. Przy całej swojej wiotkości miała wcale pokaźne pośladki. Przyjemnie zmęczona, wtuliła twarz w poduszkę.

— Wypocznij sobie trochę — poradził jej Holzinger.

Znów wstał, żwawy i odprężony, po czym wyszedł na korytarz hotelowy na spotkanie swego Hubera. Ten zaś pospiesznie zaczął zdawać mu sprawę ze swoich poczynañ:

— Wyciągnąłem od Battenberga, co się dzieje z tą Scheurer. Wystartowała! Dokładnie w takim kierunku, jak chcieliśmy!

— Do Müllera? Urobiła go?

— Wszystko na to wskazuje! — Huber Trzeci był całkiem świadom świetnej jakości swojej roboty. Dodawał mu ducha błysk uznania w oczach szefa. — Ta Scheurer wybiera zawsze ten sam hotel, o czym nasz Battenberg wie z własnego doświadczenia. Wystarczyło, by tam zadzwonił, a już było wiadomo, że Scheurer zatrzymała się z pewnym panem, jak powiedziano. A zatem z naszym przyjacielem Müllerem! Oto adres. Nocny portier po otrzymaniu napiwku staje się rozmowny. Wystarczy pięćdziesiąt marek.

Holzinger, uradowany, wziął kartkę z adresem hotelu i numerem pokoju. — Dobra robota! — oświadczył. — Bardzo dobra robota, mój drogi!

Jednocześnie szybko obliczał — stąd do wiadomego hotelu, to znaczy z Paradeplatz do Goethestrasse, niecałe dziesięć minut. Świeże powietrze o tej porze dobrze mu zrobi.

— Zmobilizowałeś Messera?

— Tylko na to czekał! — zameldował Huber. — Natychmiast wystartował do Prezydium Policji.

— Nie na nasze oficjalne polecenie, ale w naszym interesie!

— Messer to potęga! Wart jest swego honorarium! Od razu zrozumiał, od czego ono zależy.

Na to Holzinger mrugnął znacząco do Hubera: — Teraz się ubiorę. Potem ty będziesz mógł się rozgościć w moim pokoju. Zasłużyłeś sobie na odrobinę odprężenia. A co się tyczy damy, to ona chyba śpi. Zajmij się nią, kiedy się obudzi.

Messer, nazywany niekiedy szybki Messer, nie lubił chodzić okrężnymi drogami. Stawił się bezpośrednio u prezydenta policji, ale znalazł się u jego zastępcy, dyrektora Hadricha. Hadrich mruknął tylko: — Jeszcze jego tu brakowało! — i poprosił adwokata do siebie.

Messer od razu przystąpił do rzeczy:

— Pańscy podwładni aresztowali niejakiego pana Neumanna. Berta Neumanna. Czy panu o tym wiadomo?

— Wiem o tym — stwierdził Hadrich ostrożnie, gdyż znał już dobrze Messera. — Czy pan jest jego obrońcą?

— Jestem nim, w razie jeżeli mnie zaakceptuje. — Messer szybko przeszedł do porządku nad tym nieco drażliwym szczegółem. — Panu Neumannowi nie dano oczywiście ani czasu, ani możliwości nawiązania kontaktu z jego adwokatem. Praktycznie rzecz biorąc, aresztowano go nie zważając na jego prawa. Przesłuchuje się go bez pouczenia, że wolno mu zażądać pomocy prawnika.

— Bardzo pana proszę, tylko bez pochopnych domysłów!
— poradził mu dyrektor.

— To niech je pan obali. Proszę! — zażądał Messer.

— Proszę zarządzić, aby mi natychmiast dano możliwość porozmawiania z panem Neumannem. Wtedy zobaczymy, co robić dalej.

Hadrich zapatrywał się na całą sprawę pesymistycznie. Przeczuwał najgorszy jej obrót i przeklinał w myślach cały wydział obyczajowy, z Zimruermannem łącznie. Oświadczył jednak bardzo uprzejmie: — Zgadzam się na pańską prośbę.

Pan Neumann Jest etos pana dyspozycji. Proszę zwrócić się do pana Zimmermanna jako osoby kompetentnej; w tej sprawie.

Bert Neumann wciąż jeszcze znajdował się w gabinecie kierownika wydziału obyczajowego. Siedział skulony na krześle pośrodku pokoju. Czuł się ogromnie samotny. Zdawał się nie dostrzegać stojącego za nim policjanta.

Wreszcie uniósł z wysiłkiem głowę. W tym prostym, brzydkim, mocno zaniedbanym pokoju zobaczył coś bardzo niezwykłego, co przykuło jego uwagę.

Naprzeciw niego stał bowiem pies. Popatrzył na niego z odległości jednego, najwyżej dwóch metrów. Było to stworzenie prawie czarne, kudłata, z pozoru trochę zaniedbane, o dużych błyszczących ochach.

— To jest Anton — usłyszał Neumann, a głos mówiącego miał czyste, niemal młodzieńcze brzmienie.

Bert Neumann ujrzał jednak mężczyznę starego, drobnego, o zatroskanym wyglądzie. Miał on dobrotliwy wyraz twarzy i zadziwiająco jasne oczy. Człowiek ten skinął nieznacznie na policjanta, który niezwłocznie wyszedł. Teraz przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Neumanna.

— Nazywam się Keller — zaczął bardzo grzecznie — a to jest mój pies. Pan go już zna, prawda?

Neumann popatrzył na Antona, który wydawał się bacznie go obserwować. — Czy to ten sam pies, który mnie przedtem... na tej ulicy... który tam wpadł między nas jak dziki? Czy to ten pies?

— Tak, ten sam — powiedział Keller. — Ale niech pan zwróci uwagę, panie Neumann, że Anton nie szczeka już na pana i nie warczy. Tylko patrzy. Tak jakby chciał pana zrozumieć.

— Mnie? — spytał niecierpliwie Bert Neumann.

— Psy reagują o wiele bardziej instynktownie niż większość ludzi. A zwłaszcza ten pies — wyjaśnił mu ostrożnie

Keller. — On rozumie to, co my, ludzie, ledwie przeczuwamy. Zapewne współczuje panu.

— Co to za pies ten Anton? — zapytał po chwili Bert Neumann.

— Nie umiem panu dokładnie powiedzieć — oświadczył Keller. — Nie ma w nim nic z tego, co ludzie nazywają rasą. Prawdopodobnie jest to mieszaniec pudła z owczarkiem, szpicem i terrierem. Nie wiem również, w jakim jest wieku, i nie jest mi bliżej znane jego pochodzenie. Wziąłem go przed kilku laty od kogoś, kto nie mógł i nie chciał dłużej żyć. Była to zapłata za to, że ochroniłem go przed zamknięciem w więzieniu do końca życia. Najpiękniejsza i najcenniejsza zapłata, o jakiej mogłem kiedykolwiek marzyć.

— Jest to więc żywa istota, która pana kocha — stwierdził w zamyśleniu Bert Neumann. — Bez wyrachowania. I coś podobnego istnieje na świecie?

— Opiera się to na wzajemności. Zresztą musi się na niej opierać. Bo ja też kocham to stworzenie. Jesteśmy parą przyjaciół.

— A więc pies! — Bert Neumann spojrział na Antona najpierw badawczo, a po chwili już przyjaźnie. — To chyba wcale niemało znaczy na tym okropnym świecie, gdzie nawet tak zwana miłość jest najczęściej męką, nieskończonym łańcuchem upokorzeń, zdławieniem w zarodku wszelkiej nadziei. Sądzi pan, że ten pies potrafi zwęszyć odruchy uczucia?

— Potrafi, ale sam nie wie dlaczego — powiedział spokojnie Keller. — W istocie wie on zapewne tyle, że dopóki ludzie umieją się jeszcze zdobyć na okazanie uczuć i dopóki tkwi w nich choćby iskierka uczuć, dopóty psom nie zagraża zguba. Mogą przeżyć. I za to są właśnie wdzięczne.

— Czy Anton może do mnie podejść? — zapytał cicho Bert Neumann.

— Przyjdzie do pana, jeśli zechce, jeżeli pozwoli mu na to jego instynkt. Proszę go zawołać.

Bert więc zawołał: — Anton, chodź tu do mnie! Pies zawahał się przez moment, a potem ruszył w stronę Berta Neumanna i usiadł przed nim. Ciemno połyskującymi

oczyma prosił o zaufanie. Zaczął nieśmiało merdać krótko przyciętym ogonem.

Bert Neumann ukląkł i objął psa. Anton był wyraźnie zadowolony, ale popatrywał w stronę Kellera, który mu przyzwolił skinieniem głowy. Wreszcie uniósł pysk w górę, do twarzy człowieka, który klęczał przy nim.

— Naprawdę wygląda na to, że ten pies mnie rozumie — powiedział Bert Neumann zdumiony i jakby rozjaśniony wewnątrz.

— Ja także próbuję — powiedział Keller.

Przykro mi, mój drogi, szanowny panie, jeśli przypadkiem przeszkodziłem — zawołał z uciechą Holzinger. — Ale musimy pilnie pomówić o pewnym zdarzeniu absolutnie nie cierpiącym zwłoki.

Wpadł bowiem do pokoju hotelowego, w którym zastał leżących Müllera i Brigitte Scheurer. Popatrzył na nich oboje nie bez satysfakcji. Byli nadzy i próbowali się jakoś przyślonić. Holzinger stał w drzwiach i już zdążył włączyć wszystkie światła.

Rozbawiony tym widokiem, przemówił: — Wcale tego panu nie żałuję, mój drogi. Mam wiele zrozumienia dla tych rzeczy, tym bardziej że połów się udał. Zdobycz jest wcale pożądana. Jakkolwiek jestem nieco zaskoczony, że akurat pan...

— Czego pan tu chce? Proszę się wynosić! — Müller podniósł się w odruchu obronnym, lecz nagość czyniła go bezradnym. Odłożył gdzieś nawet okulary i teraz z wytężeniem patrzył na rozbawionego intruza, nie mogąc dokładnie dojrzeć jego poruszeń. — Co ma znaczyć ten wygłup?

Holzinger najpierw przez chwilę z upodobaniem przyglądał się obojgu. Potem, oparty o drzwi, powiedział: — Jeśli chodzi o moje zdanie, może pan robić, na co ma pan ochotę, nawet to, co pan tu robi w tej chwili! Jestem dla pana bardzo wyrozumiały, ale nie w każdej sprawie

i nie o każdym czasie. A zwłaszcza nie wtedy, kiedy ktoś za moimi plecami werbuje dla siebie moich ludzi. Choćby chodziło tylko o jakiegoś Neumanna.

— O werbowaniu pańskich ludzi nie może być mowy

— zapewnił Müller, starając się szybko wyjaśnić sytuację.

— Co prawda rozmawiałem z panem Neumannem i odniosłem przy tym wrażenie, że chciałby się przenieść. Należałoby też umożliwić mu to, jak sądzę, gdyby przy tym obstawał.

— Wobec tego daruję go panu! — oświadczył rubasznie Holzinger. — Jeśli chodzi o moje zdanie, to może być pan szczęśliwy, mając go u siebie. Ale sprawą najważniejszą są jasne sytuacje. Tego się domagam. Zatem Neumann jest pańskim człowiekiem!

— Dobrze, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Wprost przeciwnie, szanowny panie. Ma pan w dodatku nawet moje błogosławieństwo. Wątpię jednak, by pan miał z niego wiele pociechy. Oświadczam to panu lojalnie, jak mam w zwyczaju.

Adwokat Messer został odesłany do radcy Zimmermanna. Ten zaś przyjął go dość beztrosko.— O co chodzi tym razem?

— O pana Neumanna. Mam zezwolenie na rozmowę z nim.

— Bardzo proszę, panie Messer, jeśli tylko jest pan do tego upoważniony.

— Pan Hadrich już podjął odpowiednią decyzję.

— Ale chyba tylko w przypadku, jeśli istnieją do tego podstawy prawne. Czy tak jest rzeczywiście? O ile wiem, pan Neumann nie zażądał sprowadzenia adwokata, a już w żadnym razie pana. Zatem nie może się pan tu zjawić na jego zlecenie.

Messer spojrział na Zimmermanna niemal z zachwytem. Lubił takie konfrontacje, wprost go podniecały.

— No, jeżeli pan koniecznie chce, to możemy podejść do tej sprawy od przeciwnej strony. Czy pana Neumanna przy aresztowaniu pouczo no o uprawnieniach, jakie mu przysługują?

— Z wszelką pewnością! — Zimmermann udał poczciwca. — Robię to całkiem automatycznie, ale niestety zainteresowani czasem puszczają to mimo uszu.

Messer z uznaniem wyszczerzył zęby w uśmiechu. Niezwykle mu się podobała tak śmiała, zręcznie ubezpieczona odpowiedź. Dokładnie tak sam by zareagował na miejscu Zimmermanna. — Czy zdążono już przeprowadzić przesłuchanie?

— Nie — oświadczył swobodnie radca. Zgodnie z zasadami prowadzenia postępowania karnego istotnie tak było. Nieodłączną częścią formalnego przesłuchania jest bowiem sporządzenie protokołu i obowiązkowe podpisanie go przez obie strony.

— Zatem dotychczas odbyło się tylko tak zwane przepytywanie — nalegał wciąż Messer. — Inaczej, powszechnie stosowana w policji metoda przygotowania do przesłuchania, czyli próby pewnych sugestii! A to wszystko bez pouczenia przepytywanego, że ma prawo odmówić udzielenia odpowiedzi.

— Za kogo pan nas uważa? Obecnie pan Neumann odbywa jedynie coś w rodzaju pogawędki z panem Kellerem.

Messer wyraźnie się wystraszył. Przeszła mu natychmiast ochota do dalszej szermierki słownej. Bardzo zaniepokojony, oświadczył oficjalnym tonem: — Jestem obrońcą pana Neumanna.

— Może pan to udowodnić? — łagodnie zapytał Zimmermann.

— Bardzo pana proszę o niezwłoczne umożliwienie mi spotkania z moim klientem!

— Tylko nie natychmiast! Pan Neumann rozmawia właśnie z panem Kellerem, a my obaj nie powinniśmy im przeszkadzać. Gdyby jednak panu Neumannowi szczególnie zależało na rozmowie z panem, to na pewno do niej dojdzie.

Każde ludzkie życie jest w każdym momencie zagrożone — powiedział z namysłem Keller. Przyglądał się zarazem Bertowi Neumannowi, który wciąż niezwykle czule obłaskawiał Antona. — Słyszał pan już kiedyś o tak zwanej teorii ucieczki? Nierzadko odwołują się do niej kryminolodzy.

— Im dłużej się zastanawiam, tym mniej potrafię zrozumieć — powiedział Bert Neumann obejmując Antona, który okazywał wprost bezgraniczną cierpliwość. — Jedno tylko odczuwam: bez żadnego oporu z mojej strony zostałem wydany, ale nie wiem komu, na co, dlaczego! Co pan rozumie pod tym dziwnym pojęciem ucieczki?

— Wysuwa się niekiedy twierdzenie, że my, specjaliści kryminalistyki, jesteśmy w istocie tylko potencjalnymi przestępcami, którym nie było dane stać się przestępcami z prawdziwego zdarzenia. Być może czasem naprawdę tak jest. Przecież chcąc udowodnić sprawcy przestępstwo, trzeba myśleć tak, jak on myśli, reagować tak, jak on reaguje.

— I pan potrafi tego dokazać? — zapytał z niedowierzaniem speszony Neumann. — Również w moim przypadku?

— W pańskim przypadku — wyjaśnił bardzo ostrożnie Keller — został pan w ostatniej fazie skonfrontowany z dzieckiem, które znam.

— Piękne, przepiękne dziecko, jeśli mi pan pozwoli zauważyć! Stworzenie po prostu ze snu i baśni!

— Mogę to tylko potwierdzić, panie Neumann. Bo mnie także oczarowała ta dziewczynka. Reaguję więc na nią prawie tak jak pan. Nawet mój pies Anton musi mieć podobne odczucia, gdyż on od nikogo prócz niej, nawet ode mnie, nie ścierpiałby szorstkiego traktowania.

— Pan także... jak pan powiedział... potrafi podobnie jak ja...

— Nawet dla mnie, w pewnych okolicznościach, w pewnych warunkach, dziecko to mogłoby przypuszczalnie stać się pewnym zagrożeniem, gdyż bardzo kocham Sabine. — Keller uczynił to wyznanie bez żadnych skrupułów, ale bardzo rozważnie. — Ale ja jestem już starym człowiekiem, jak to mówią, ustatkowanym, z bardzo rzadkimi nawrotami

sprawności fizycznej, jestem więc w stadium, które można by określić jako znajdujące się poza dobrem i złem. U pana natomiast, panie Neumann, sprawa przedstawia się całkiem inaczej.

— Czego pan się domyśla? — zapytał Bert wprost chciwie, przyciskając do siebie Antona. Pies z rozkoszą poddawał się tym pieszcotom z na wpół przymkniętymi oczyma i jęzorem wywalonym z otwartego pyska. — Co pan wie?

— To, czego się domyślam, nie odgrywa w tym przypadku żadnej roli, panie Neumann. Nigdy też nie przypisywałem sobie szczególnie głębokiej wiedzy. — Keller spojrział w tym momencie na Neumanna, który wpatrywał się w niego bacznie z zapartym tchem. — Gdyż podobnie jak wśród liści jednego drzewa czy całego lasu, czy też wszystkich drzew świata nigdy nie znajdzie się dwóch liści identycznych we wszystkich szczegółach, tak samo nie sposób uważać kogokolwiek za dokładnie podobnego do kogo innego. Każdy z nas może ponadto się zmienić w ciągu godziny, a nawet minuty. I wtedy człowiek staje się całkowicie bezbronny.

— Fantastycznie trafne wyjaśnienie! — zawołał oczarowany Bert Neumann. — Ale czy to ma coś wspólnego ze mną?

— Tak — powiedział Keller przyciszonym głosem — Od niepamiętnych czasów każdy policjant w każdym śledztwie zadaje sobie pytanie: jak to się mogło stać? Przestępstwa nierzadko wydają się nam podobne do wypadków drogowych, są jakby wynikiem nieuniknionych zbiegów okoliczności.

— A w moim przypadku?

— Pański przypadek prawdopodobnie został wyzwolony siłą nieuchronnej konieczności. Przez jakiś czynnik wyzwalający. Może to być jakiś kolor, jakiś specyficzny zapach, czasem jakiś przedmiot, na przykład rower, błysk noża. A w pańskim przypadku czyjaś twarz. Piękna jak z porcelany, zastygła w wyrazie zdziwienia. Twarz lalki. I pańskiej żony.

— Kocham ją — wyznał Bert Neumann. — Niewypowiedzianie. Ponad wszelką miarę!

— I to mogłoby wszystko wyjaśnić.

Och ty! — jęknęła Undine Neumann, z mocno zaciśniętymi powiekami. — Jesteś niepowtarzalny! Huber Trzeci, leżąc na niej, nie odpowiadał. Ciężko dyszał z rozkoszy. Ona przyjęła go w siebie, uznając to za rzecz zupełnie oczywistą. Uradowało go to niezmiernie i mocno podnieciło. Uważał, że jego sprawność nie ma granic. Był taki jak jego boss.

— Jesteś lepszy! O wiele lepszy niż przedtem! — wyznała mu bez tchu. — Rób tak dalej, o tak...

Toteż robił to, radośnie pobudzony. Uniósł się nieznacznie i popatrzył na nią. Poruszała się pod nim, skrajnie wyuzdana.

— Jak wspaniale! — stęknęła. — Nigdy jeszcze nie było tak wspaniale!

Niech to licha! — pomyślał, zdziwiony. — Ona musi przecież wiedzieć, że teraz tu się odbywa coś całkiem innego! Ale się z tym nie zdradza. Nie chce chyba nic o tym wiedzieć. Nawet stękając w poduszkę, odzywała się do niego per Max.

Sprawał jej więc i sobie rozkosz nad rozkosze. Omdlewała pod nim. On opadł na nią i leżał, dysząc ciężko.

Ona zaś mruknęła z uznaniem: — Jesteś lepszy niż on!

Sądzę, że pan mnie rozumie — powiedział Bert Neumann, ogarnięty nagłą słabością. — Zdaje mi się, że pan się domyśla, co się dzieje i co się do tychczas działo we mnie pod wpływem przemożnej męczącej konieczności.

— Naprawdę nie wiem nic — przyznał się otwarcie Keller. — Staram się jednak pana zrozumieć. Proszę też, aby mi pan pomógł wyświecić ostatnie jeszcze niejasne współzależności. — Przyciągnął Antona do siebie. — My, praktycy kryminalistyki, nierzadko odnosimy wrażenie, że przesładuje nas przypadek, że jesteśmy na ten przypadek skazani. Można go również nazwać losem.

— Tak, to zdanie na łaskę i niełaskę! — zawołał Neumann. — O to właśnie chodzi! Mnie to także ogarnia!

— Ogarnia nas wszystkich. W rozmaity sposób, w dowolnym momencie, całkiem nieuchronnie. Już o tym mówiłem. Decydujące znaczenie ma aktualny zbieg okoliczności. A tego nikt nie może sobie wybrać.

— Sądzę, że rozumiem pana, panie Keller. Jest pan człowiekiem, któremu można zaufać. Ale dotąd, ilekroć komuś zaufałem, zawsze spotykał mnie zawód, byłem oszukiwany, wykorzystywany przez wszystkich bez wyjątku! Dlaczego pan miałby być inny?

Wybuch ten był dla Kellera niemalym zaskoczeniem. Anton podniósł się, zdziwiony, Keller przyciągnął go delikatnie do siebie. Już ze znużeniem powiedział: — Pańskie doświadczenia są zapewne bardzo przykre, lecz ich dotychczasowa suma nie oznacza życia w ogóle. Są przecież ludzie okazujący wiele zrozumienia innym. Tylko pan dotychczas nie natknął się na kogoś takiego. Zatem nie wie pan również, kim jest Krebs i ile mu pan zawdzięcza.

— Kto to taki Krebs?

— Nie zna go pan. Znajdujemy się właśnie w jego gabinecie. Wie on o panu mnóstwo rzeczy. Pod niektórymi względami może nawet więcej, niż pan sam wie o sobie lub tylko się domyśla. Proszę tu popatrzeć.

Keller wstał i podszedł do szkolnej tablicy, odwróconej przednią stroną do ściany. Odwrócił ją z powrotem. Neumann patrzył na zawieszane na niej materiały: zdjęcia, szkice miejsc przestępstwa, opisy czynów przestępczych, dane o przestępcach, wyniki dochodzeń.

Bert Neumann, jakby przyciągnięty tajemną siłą, podszedł do tablicy, stanął przed nią zeszywniały, nie wierząc własnym oczom. Anton zdradzał znaczne zaniepokojenie. Keller położył mu rękę na głowie, ani na sekundę nie spuszczać oka z mężczyzny stojącego przed tablicą.

— O Boże! — cicho, ledwo dosłyszalnie powiedział Neumann sam do siebie — jak to jest możliwe?

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego — wyjaśnił mu Keller. — To wynik zwyczajnej drobiazgowej roboty kryminalistycznej. — Nie będzie pan mógł niczemu z tego zaprzeczyć ani niczego się wyprzeć.

— A więc pan także chce mnie tylko schwytać w swoją sieć! — wykrzyknął boleśnie Neumann, cofając się powoli, jakby chciał zyskać dystans. Potem znów opadł na krzesło. — Czy mam zawsze cierpieć wciąż nowe prześladowania? Czy ma się mnie zniszczyć tylko dlatego, że chcę kochać to, *co* piękne, co delikatne?

— Trzeba pana uchronić przed totalnym samozniszczeniem, a stało się to możliwe tylko dlatego, że natknął się pan na kogoś takiego jak Krebs. To on sprawił, że nie stał się pan pewnego dnia winnym ludzkiej śmierci. — Keller cierpliwie i łagodnie walczył o to, by Neumann go wreszcie zrozumiał. — Ten Krebs, mój kolega i przyjaciel, w porę się zorientował, że ma do czynienia z kimś niezwykle wrażliwym. To właśnie go zaniepokoiło.

— Dlaczego?

— Dlatego, że Krebs również jest zdolny do reakcji uczuciowych. Dlatego też w tych przypadkach, tak niezwykle do siebie podobnych, instynktownie wyczuł silny ładunek uczuć. Mówił o tym całym łańcuchu zdarzeń, że wytwarza je jakies bezradnie zmierzające do samozagłady uczucie miłości. Wiedział jednak również, że kryje się za nim wzmagający się niebezpieczny przymus, podobny do uzależnienia od alkoholu, narkotyków czy też do uzależnienia seksualnego. Jest to wydanie na łaskę i niełaskę szybko postępującego schorzenia.

— Uważa pan — zapytał niezmiernie zdziwiony Bert Neumann — że właśnie ten człowiek nazwiskiem Krebs rzeczywiście to rozumiał?

— Inaczej znajdowałby się pan nie tu, lecz znów w drodze, bezradnie dążąc do używania coraz bardziej bezwzględnej przemocy. A skończyłoby się to zgładzeniem żywego człowieka, jakiegoś dziecka. Przed tym właśnie uchronił pana Krebs.

— Chciałem móc panu zaufać — odezwał się z napięciem Bert Neumann. — Pragnąłem tego z całego serca.

— Niech więc pan to uczyni. Niech się pan wreszcie uwolni od swego brzemienia.

— Tyle razy, wciąż od nowa, odnosiłem się do ludzi z ufnością. Za każdym razem nadaremnie. Nigdy już więcej nie zaufam nikomu. Nikomu!

Zdaje się, że odwaliliśmy całą robotę — stwierdził z zadowoleniem Holzinger. Siedział razem z Huberem Trzecim w hallu hotelu cieszącego się jego względami. Pili mokkę z koniakiem. Zbliżała się północ.

— Naprawdę przyłapał pan naszego przyjaciela Müllera na gorącym uczynku? — dopytywał się chciwie Huber.

— Przyłapałem. Razem z tą Scheurer! — roześmiał się rozradowany Holzinger. — Ale osobiście nie będę miał z tego żadnego pożytku. Ludzie mnie dobrze znają pod tym względem. Nigdy też nie nosiłem w sercu morderczych zamiarów. Ma się rozumieć, nie opowiem też o tym nigdy wrażliwej, dobrze wychowanej pani Müller. Mógłby to kto zrobić?

— Weinheber?

— Nie będziemy go tak od razu zamęczać, jeszcze przyjdzie jego kolej — stwierdził ubawiony Holzinger. — Na razie zatrzymajmy się przy matadorach interesującej nas branży.

— Mógłby tu zadziałać Battenberg — podsunął odważnie Huber. — Wyostrzyliśmy go, jak należy. Już się czuje naczelnym redaktorem. Na pewno wcale dobrze nawrzuca, co trzeba, tej pani Müller, którą tak poważa, i dostarczy jej pierwszorzędnej podstawy do rozwodu.

— Można byłoby to załatwić jeszcze tej nocy? Sól zawsze trzeba sypać na świeżą ranę.

— Uważa pan, że w ten sposób wykończy się Müllera?

— Musisz się jeszcze niejednego nauczyć, mój drogi. — rzekł wyrozumiale Holzinger. — Jak się chce uprawiać dalekowzroczną politykę, trzeba być wytrwałym i na wszystko gotowym. Dokonywać pociągnięć po kolei. Jeśli nawet zniknie Müller, to nie zawali się przez to jego świat. Ale on wkłada w to wszystko uczucia, a one nigdy nie są całkiem bezpieczne, zwłaszcza na dłuższą metę.

— Sądzi pan, że w tym przypadku wchodziło w grę coś takiego jak miłość?

— On się ugnie. Już ta afera napędzi mu strachu, a ewentualny skandalik rozwodowy jeszcze bardziej. Ma zresztą jak na nasze zajęcia zbyt delikatną skórę. Jak go mocniej

podrapiemy, zaraz będzie bardziej chętny, by przystać na nasze propozycje.

— Jasne! — zapewnił Huber.

— A co się dzieje z tą Undine? — zainteresował się Holzinger.

— Wypoczywa.

— Dopilnuj, żeby znikła. To było coś całkiem nowego, ale nie do zniesienia na dłuższą metę. A może nie?

— Jestem tego samego zdania.

— Sądzisz, że ona może wysunąć jakieś pretensje, żądania?

— Na pewno nie! Nie może zresztą po nocy spędzonej z kilkoma mężczyznami. Gdyby jednak czegoś próbowała... to powiem jej bez ogródek, że nie chcemy mieć do czynienia z dziewczynkami!

— To zbyt dosadne, zbyt bezpośrednie! — pouczył Holzinger swego Hubera. — W naszym zawodzie należy unikać zbyt ostrych starć, chyba że jest to nieuniknione i dobrze przemyślane. Pozostaw ją na razie w przekonaniu, że jesteśmy dżentelmenami, którzy potrafią milczeć.

— Załatwione!

— A co z Neumannem? A więc i z Messerem?

— Jak się zdaje, Messer całkiem ładnie przycisnął Prezydium do ściany. Tak powiada Michelsdorf, nasz mąż zaufania. Znaczy to, że jeśli Neumann nie zachowa się jak skończony idiota, to jeszcze w ciągu dzisiejszej nocy może się znaleźć z powrotem w domu u ukochanej żony.

— Dobrze! Ale ona powinna wrócić do domu, zanim on przyjdzie. Postaraj się o to.

Trzy spotkania odbyte tej nocy, które miały nieuchronnie doprowadzić do śmierci człowieka. Miejsce — Prezydium Policji.

Spotkanie pierwsze: Messer u Neumanna. Rozmowa w cztery oczy:

Messer: Proszę wszystko pozostawić mnie. Z racji pana dotychczasowego stanowiska nie mogę być panu całkowicie nie znany, choć nie może to w tym przypadku odgrywać żadnej roli. Jestem, że tak powiem, prywatnie do pana dyspozycji. O moje honorarium proszę się nie martwić.

Neumann: Jaki to ma jeszcze sens?

Messer: Proszę pozwolić, że się tym zajmę. Nie oczekuję przy tym od pana żadnych zwierzeń. Proszę tylko skorzystać z moich usług. W związku z tym powinien mi pan jednak udzielić pewnych informacji. I mógłby pan jeszcze dzisiaj nocy znaleźć się z powrotem w domu.

Neumann: Gdzie? W domu?

Messer: Razem ze swoją żoną. Nie chce pan?

Neumann: Tak, chcę. Koniecznie! Chcę do mojej żony!

Spotkanie drugie: Messer u dyrektora Hadricha; obecni Zimmermann i Krebs.

Messer: Jestem adwokatem pana Neumanna. Udzielił mi pełnomocnictwa, które można włączyć do akt. Jako adwokat pana Neumanna żądam jego natychmiastowego zwolnienia.

Hadrich: On nie jest aresztowany. Chodzi nam jedynie o jego zeznania.

Krebs: Do czego niezbędne jest dokonanie kilku konfrontacji.

Messer: Wiem. Na przykład konfrontacji z dziećmi! Już to samo w sobie jest sprawą problematyczną. Poza tym w ciągu tej nocy raczej nie będziecie mieli tych dzieci do dyspozycji. I zapewne też pozostałych świadków. Zatem przebywanie pana Neumanna w Prezydium nie jest celowe i mogłoby być tłumaczone jako pozbawienie wolności. Tym bardziej że ma on stałe miejsce zamieszkania, zgodnie z przepisami ma zastępcę w mojej osobie i nie jest podejrzany o zamiar ucieczki. A więc?

Spotkanie trzecie: Dyrektor Hadrich, radca Zimmermann i komisarz Krebs. Poza nimi Keller ze swoim psem Antonem.

Hadrich: Wplątaliśmy się, koledzy, w sytuację nad wyraz nieprzyjemną. Zastanówmy się wspólnie, jak w miarę możliwości bez szkody wydostać się z tych opałów.

Zimmermann: Jeśli schwytanego nareszcie przestępcę

obyczajowego wypuści siQ na wolność, będzie to znaczyło tyle, co narazić ludzi na niebezpieczeństwo!

Krebs: Mamy do czynienia z człowiekiem poważnie chorym. Musimy go chronić przed nim samym.

Hadńch: Czy pan kolega jest również tego zdania?

Keller: Tak. Usiłowałem wyjaśnić panu Neumannowi jego sytuację. Za pierwszym podejściem nie powiodło mi się. Za drugim lub trzecim mogłoby się udać, chociaż na razie mocno się opiera.

Hadńch: Nie mamy na to czasu. Przynajmniej według obecnych przepisów prawnych. Nie pozwalają mi one (dłużę) przetrzymywać Newmsnna, zwłaszcza te ma do dyspozycji takiego adwokata jak Messer.

Krebs: Jeśli tak się stanie, będziemy musieli być przygotowani na wszystko, nawet na to, że ten Neumann, będąc u kresu sił, z chwilą przekroczenia ostatniej bariery psychicznej wpadnie w amok. Analiza obrazu jego choroby prowadzi właśnie w tym kierunku.

Hadńch: Nie powinno mnie to interesować. Dla mnie ważne są aktualne przepisy. Zgodnie z nimi Neumann musi być zwolniony. To też zarządzam!

Krebs: Może się to okazać ułatwieniem morderstwa.

Hadńch: Posuwa się pan stanowczo za daleko, wygłaszając tę uwagę, trudno wiQC puścić ją mimo uszu! Proszę przyjąć do wiadomości, panie Krebs, że jest pan urlopowany, i proszę natychmiast opuścić nasz urząd!

Zimmermann: Pozwoli pan...

Hadńch: Na nic nie pozwalam. Wydaję rozkazy. Panu, panie Zimmermann, rozkazuję, niech pan dopilnuje, aby pan Neumann był natychmiast zwolniony.

Po niezwłocznym wypuszczeniu na wolność Bert Neumann nie przejawiał najmniejszej ochoty na odbycie rozmowy ze swoim adwokatem, doktorem Messerem. Po prostu ominął go bez słowa. W pobliżu Prezydium Policji wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do domu.

Gdy znalazł się na miejscu, wbiegł po schodach na górę. Pod drzwiami mieszkania stwierdził, że nie ma przy sobie klucza. Nacisnął przycisk dzwonka i przytrzymał przez chwilę. Rozległ się muzyczny fragment z Mozarta „Pójdź na zamek mój ze mną...” Przejęło go to wstrętem.

Zastukał do drzwi, potem bębnił pięścią, lecz nie trwało to długo. Osunął się na najwyższy stopień schodów. Siedział tam, wpatrzony przed siebie. Obfity pot spływał mu po twarzy.

Uważam, że powinienem ciebie przeprosić — powiedział Konrad Krebs do swojej żony Helen po powrocie do domu. — Chociaż sam nie wiem, za co.

— Nie trudź się — odparła spokojnie. — Zostałam już wystarczająco poinformowana przez naszego przyjaciela Kellera.

— Trudno przeniknąć jego metody. — Krebs pokręcił głową. — Ciekawe, jak też zabrał się do rzeczy, że ty zdecydowałaś się mu powierzyć naszą Sabine ?

— Samo pytanie dowodzi, że nie znasz jeszcze dobrze naszego przyjaciela.

— Jak się czuje Sabine ? — zapytał Krebs, szybko zmieniając temat rozmowy.

— Zasnęła głęboko i spokojnie. Uznała, zdaje się, za dobrą zabawę to wszystko, co się wokół niej działo. Oczywiście nawet na sekundę nie straciła pewności siebie, bo wiedziała, że ty jesteś gdzieś w pobliżu i Keller, i Anton.

Dopiero co minęła północ. Krebs wyglądał na nieładnie zmęczonego. Ujął w ręce dłonie żony, jakby szukał u niej pomocy, i wyznał jej: — Te dwa ostatnie dni były jak jakaś dzika awantura, która ogarnęła całe Prezydium i mój wydział, a mnie osobiście mocno dotknęła, a przez to także całą naszą rodzinę.

— Czy już jest po wszystkim? — spytała.

— Na razie — odpowiedział, uśmiechając się z wysiłkiem. — Bo zostałem wysłany na urlop.

— Z mego powodu?

— Nie — zapewnił ją Krebs, przygarniając ją do siebie.

— Tylko ja jestem za to odpowiedzialny. Ośmieliłem się przełamać starą policyjną rutynę. Po prostu nie mogłem postąpić inaczej. Usiłowałem działać zapobiegawczo, bo widziałem zbliżającą się śmierć, widziałem człowieka bezwiednie zmierzającego do morderstwa. Nie mogłem jednak dostarczyć na to ostatecznego dowodu, chociaż miałem go już prawie w zasięgu ręki. A teraz jestem wyłączony z gry.

— Wobec tego masz nareszcie czas dla siebie i dla nas. Patrz na całą sprawę pod tym kątem.

— Chętnie, Helen. Sam zawsze tego pragnąłem. Ale w innych okolicznościach. Bo teraz wyrzucam sobie, że nie doprowadziłem sprawy do końca. A to może kosztować czyjeś życie.

— Za to troje ludzi cieszy się, że jesteście razem z nami: twój syn, twoja córka i ja!

Naraz zadzwonił telefon. Krebs podniósł słuchawkę i zgłosił się. Poznał głos komisarza Feldera:

— Proszę, niech pan natychmiast przyjdzie do biura. Stało się coś strasznego.

Stało się mianowicie to, co później słusznie nazwano rzeczą straszną.

Siedząc na najwyższym stopniu schodów, pod drzwiami własnego mieszkania, z bezsilnie opuszczonymi rękami, Bert Neumann nagle uniósł głowę. Dosłyszał warkot samochodu, potem otwieranie bramy, a następnie znane sobie kroki. Zbliżała się jego żona. Gdy ukazała się naprzeciwko, krzyknął przerażony: — Boże, jak ty wyglądasz!

Odpowiedziała znużona: — Zejdź mi z drogi! — Wyglądasz, jakby cię kto napadł! — wołał, nie ruszając się z miejsca. — Masz zaczerwienione i podsiniaczone oczy, wygniecioną sukienkę i zmierzwiłone włosy. Czuję cię łóżkiem i mężczyzną. Kto cię tak urządził? Co robiłaś?

Podniósł się chwycenie, wpatrując się w nią bez przerwy.
— Użyłaś życia?
— Tak, użyłam! Nareszcie!
— O Boże, czy ty nie wiesz, jak ja bardzo ciebie kocham?
— Cóż ty możesz wiedzieć o miłości? — powiedziała pogardliwie, przesywając go spojrzeniem. Odsunęła go na bok. — Daj mi przejść, ty ciemięgo. — Ruszyła do drzwi.

Rzucił się na nią, usiłował ją objąć. Wzbraniała mu się, wreszcie odepchnęła od siebie. Zachwiał się, szukał oparcia i nie znalazł go. Zatoczył się znów w jej stronę. Uchwycił się jej ramion. Ona próbowała uwolnić się od niego, chciała krzyknąć, ale już nie mogła. Z przerażeniem patrzyła w nicłość.

Jego dłonie ścisnęły jej szyję. Sapiąc uderzył jej głową o ścianę, z dziką wściekłością powtórzył to kilka razy. Na ścianie wystąpiły plamy krwi.

Osunęła się pod jego naporem, skowycząc, wstrząsana drgawkami, po czym znieruchomiała na podłodze.

Opadł na nią i dyszał: — Dlaczego mnie nie kochasz?
— Uczepiony jej, leżał razem z nią. Płakał. — Dlaczego mnie nie kochasz?

Tak znaleziono ich oboje.

W tę niedzielę, dnia 8 października, krótko przed północą, emerytowany funkcjonariusz policji Keller opuścił gmach Prezydium razem ze swoim Antonem. Wsiedli obaj do samochodu, który im podstawiono, i kazali się zawieźć na teren Festynu.

Na miejscu, przy głównej bramie, Keller zwolnił kierowcę. Następnie „wielki starzec” wraz ze swym Antonem ruszyli na przechadzkę główną aleją, wzdłuż wielkich namiotów restauracyjnych. Keller miał ochotę wypić jeszcze jedno ciemne piwo, podane w kamiennym kuflu, jego Anton natomiast zasługiwał na kurczaka, tym razem całego. Pies zapewne coś wietrzył, bo skomlał z radości.

Ostatnia noc Festynu Październikowego niespiesznie dobiegała końca. Gromady podpitych uczestników wrzeszczały, usiłowały coś śpiewać, kołysały się w szeregach, ścisniętych ramię w ramię. Policjanci, stojący w pogotowiu pod przybytkami rozrywki, bacznie obserwowali nietrzeźwy tłum.

Jeden z nich podszedł do Kellera i wskazał na Antona, gdyż wprowadzanie psów na teren Festynu było surowo zabronione ze względu na ich bezpieczeństwo. Policjant jednakże rozpoznał Kellera, na skutek czego Anton, by tak rzec, został zakwalifikowany jako pies policyjny. Zatem i panu, i psu wolno było poruszać się po terenie Festynu.

Niebo nad nimi zaciągnęło się czarnymi jak smoła chmurami, które odbijały gasnący blask świateł ostatniego dnia jesiennego święta. Wydawało się, że gęsta, ciemna, upstrzona rdzawymi plamami krwi zasłona łagodnie, lecz nieustannie opada na Monachium.

Oficjalny komunikat meteorologiczny zapowiadał pogodę pochmurną, chłodną i wilgotną. Niedługo miało zacząć padać — po pół setce prawie słonecznych dni i rozgwieżdżonych nocy.

Keller, od kilkudziesięciu lat dobrze obyty ze swoim miastem, doskonale wiedział, gdzie o tej porze dostanie jeszcze pienne piwo dla siebie i oczywiście ostygłego już kurczaka dla swego Antona. Nie dochodząc do Bavariastrasse, wszedł razem z psem przez tylne wejście do Namiotu Szkockiego. Powitano ich tam serdecznie, dzierżawca miał bowiem pewne zobowiązania wobec Kellera, poważniejsze niż jego sąsiedzi. Ludzkie i wyrozumiałe potraktowanie przez policję w kłopotliwej sytuacji skłania przecież do wdzięczności.

Zasiadł więc Keller prawie sam w obszernym namiocie, o tej porze sprawiającym wrażenie gigantycznego. Miał przed sobą biało-niebieskie szarfy, przed sobą piwo, a obok siebie Antona z pieczonym kurczakiem oczyszczonym z kości. Idylla o północy! Przyćmił ją jednak wkrótce pewien cień. Zjawił się radca Zimmermann. On także dostał piwo.

— Czasem bardzo trudno nie upaść na duchu — zwierzył się Zimmermann. — Zwłaszcza w naszym zawodzie.

— Ty tak twierdzisz, a cóż dopiero ma mówić Krebs?

— Być może on się mylił — poddał pod rozagę Zimmermann. — Chciałbym nawet, aby istotnie tak było, ale bardzo trudno mi w to uwierzyć. Krebs zdołał mnie całkowicie przekonać. Przynajmniej jego teoria wydaje mi się słuszna.

— Nie tylko się wydaje. Ona rzeczywiście jest słuszna. — Keller pogłaskał Antona, który tylko na chwilę pozwolił się oderwać od smakowitego kurczaka. — Krebs wyjaśnił przypadek, który niedługo już znajdzie uznanie w literaturze fachowej i zostanie doceniony jako przykład akcji zapobiegawczej w praktyce kryminalistycznej. Nie było mu jednak dane osiągnąć ostatecznego, zamykającego całość wyniku. Tylko dlatego, że pewien ograniczony rasowy urzędnik nie potrafił wznieść się na poziom twórczego myślenia.

— Jutro zaczniemy robotę od tego, na czym dziś w nocy musieliśmy przerwać — zapowiedział solennie Zimmermann. — I to razem z Krebsem, choćbym miał dobrze przyłożyć Hadrichowi.

Nagle przywołano radcę do telefonu. Usłyszał w słuchawce głos komisarza Feldera. Powiedział: — Stała się rzecz straszna.

— Co znaczy straszna? — odezwał się spokojnie Zimmermann. — Niech pan strzela!

Felder meldował. Zimmermann słuchał, a jego twarz przybierała coraz bardziej surowy wyraz. Wreszcie bez słowa odłożył słuchawkę.

Potem wrócił do Kellera i patrzył na niego bez słowa. Po dłuższym milczeniu przemówił, a jego głos zdradzał wrażliwość, o którą nikt w służbie by go nie podejrzewał, a o której wiedział tylko Keller. W bardzo rzadkich momentach nawet ten „lew" był zdolny do smutku.

— Nie wyobrazasz sobie nawet — mówił — jak bardzo, ale też w jak okrutny sposób został usatysfakcjonowany nasz przyjaciel Krebs.

— A więc Neumann — stwierdził Keller. — Kto jest ofiarą?

— Jego żona. Dokonał na niej tego, co zaczynał z dziećmi.

— Z dziećmi, w których zawsze jej poszukiwał.

— Przez to, co się stało, przynajmniej został zrehabilitowany nasz Krebs — stwierdził Zimmermann.

— Ale za cenę, której chciał uniknąć. Możesz mi powiedzieć, ile naprawdę jest warte ludzkie życie?

Nie rozmawiali już więcej. Keller przyglądał się swemu psu, który węszył za czymś z błogim zadowoleniem. Zimmermann siedział ciężko oparty o stół. Wreszcie obaj — radca i emerytowany funkcjonariusz — podnieśli kufle i pili, nie przepijając do siebie.

Tymczasem wilgotna mgiełka zalegająca teraz teren Festynu przemieniła się w dość obfity ciągły deszcz, od którego załśniły dachy namiotów i asfaltowa nawierzchnia dróg. Zamierająca jesień niedługo już miała oszałamiająco szybko ustąpić miejsca zimie.

— Jaka jest prawda? Lub jaki jest punkt zaczepienia w dochodzeniu do niej? Oto czego wszyscy szukamy, chociaż najczęściej nadaremnie — odezwał się Keller, kiwając głową do psa. — Ale znaleźć prawdę w taki sposób, jak to się udało Krebsowi! Któż by tego chciał?

Ostateczne wnioski międzynarodowej w Monachium osobistości, pana Josefa Franza Ettenkoflera:

— Na razie nie doszło do skutku, przynajmniej w spodziewanej skali, oczekiwane, a również konieczne wywarcie możliwie wszechstronnego wpływu na środki masowego przekazu. Ale to o niczym nie świadczy. Trzeba być tylko wystarczająco wytrwałym.

Czynnikiem hamującym były w tym przypadku doraźnie podburzone środowiska tak zwane demokratyczne, z hałasem przepychające się na pierwszy plan. Zakłóciły one — na razie — wszelki przewidywany rozwój wydarzeń politycznych i związane z nimi plany ekonomiczne.

Jeżeli przy tym parę osób musiało odejść z tego świata, to przecież było to zarówno nieuniknione, jak i zgodne z prawem. Kto chce żyć nic nie ryzykując, nie powinien się mieszać do poważnych wewnętrznych batalii. To nie jest

zajęcie dla idealistów wygrzewających się w ciepłe swoje-
go idealizmu.

Bilans wykazuje stan następujący: Jakkolwiek na początek można było poczynić jedynie nieznaczne kroki, to jednak poszły one dokładnie we właściwym kierunku. Dotychczasowy dyrektor telewizji ma objąć zaszczytną profesurę. Zastąpi go zasłużony redaktor naczelny, a jego miejsce przyjmie godny zaufania naczelny reporter. Ponieważ następnym intendentem mógłby zostać Weinheber, ja poprzestanę na razie na rozpowszechnianiu w skali międzynarodowej kaset i płyt, wraz z niezbędną do nich aparaturą. Można się stąd spodziewać milionowych zysków z udziałami dla naszego Holzinger.

W sumie się jednak opłaciło. Müllera wypchnięto do Bonn. Brigitte Scheurer przeniosła się do Hamburga. Nawet policji, która kilkakrotnie już zdradzała niepokój, wytłumaczono ostatecznie, że pełni ona jedynie funkcję służebną.

Wszystko to zresztą zgodnie z naszą piękną, wypróbowaną monachijską dewizą: „Kto płaci, ten kupuje i decyduje.”